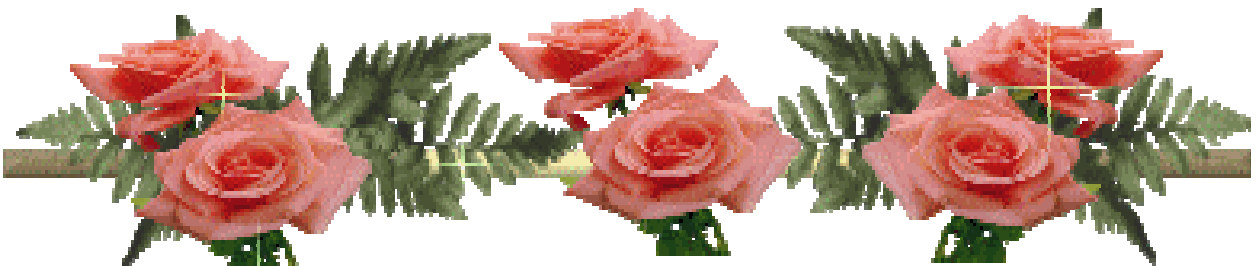




Deborah Moggach

Huśtawka



Przekład: Ewa Rudolf

Dla Lottie, która jest tego warta.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Lokalna gazeta przysłała reporterkę.

— Zapewne nie posiadacie się państwo ze szczęścia — oświadczyła na wstępie ta bardzo młoda osoba.

— Jesteśmy zachwyceni — przyznała Val. — Wręcz podekscytowani. Nigdy dotąd nie wygraliśmy na loterii choćby płynu do kąpieli. — Tym razem wylosowali wycieczkę na Florydę, dla całej rodziny. Prawdę mówiąc, pobyt na Florydzie nie zajmował jednak pierwszego miejsca na liście wymarzonych wakacji Val; słowo „Floryda” kojarzyło jej się z rozbojami i starym zniedołężnieniem. Oczywiście nie należało o tym wspominać.

— Czy byliście już kiedykolwiek na Florydzie?

Val potrząsnęła głową. — Raz zabraliśmy dzieciaki do Nowego Jorku — mąż ma tam krewnych — ale na Florydę to jeszcze nie.

Czy to my wybraliśmy los, czy raczej on wybrał nas, zastanawiała się. Szczęśliwy traf czy przeznaczenie? W przyszłości — minie wiele czasu — wyobrazi sobie ten ich kawałek papieru przeciskający się na powierzchnię, rozpychający się i przeskakujący przez inne losy, by dotrzeć do magnetycznej dłoni telewizyjnej osoby, która, ogłaszając ich numer, uruchomiła proces wydarzeń, jakie na zawsze zmieniły ich życie. Ale to nastąpi później.

Pojawił się także fotograf. — Ładnie tu u was — zauważył, rozglądając się po salonie. — Jakże miło. Zrobię kilka ujęć tutaj, a parę na zewnątrz, dobrze?

Rodzina Val już zaczynała okazywać niepokój. Morris wrócił z pracy wcześniej; ona także. Zebranie całej ich piątki o czwartej trzydzieści w majowe popołudnie było nie lada sztuką. Tylko Becky, młodsza córka, zdawała się podekscytowana perspektywą ujżenia swej podobizny w gazecie.

— No dobrze, to odkąd mieszkacie w Stanmore? — kontynuowała wywiad reporterka.

— Od piętnastu lat — odrzekła Val.

— A jak długo jesteście małżeństwem?

— Och, od zawsze.

Morris uniósł brwi. — Masz na myśli dożywocie? Jak możesz być taka cyniczna, i to w obecności tej czarującej młodej damy? — Zwrócił się do

dziennikarki: — Dwadzieścia cztery szczęśliwe lata. A chce pani poznać nasz sekret? Para, która potrafi się razem śmiać, umie też ze sobą żyć. I także — pokiwał palcem — nigdy nie należy iść do łóżka w trakcie kłótni, tylko kłaść się na materacu.

Dzieci aż jęknęły. Zażenowanie zachowaniem ojca należało do tych niewielu łączących je spraw.

Reporterka zapisała ich wiek. — Becky, jedenaście... Hannah, siedemnaście. Obie chodźcie do szkoły, prawda? — Odwróciła się do Theo i, czerwieniąc się, zapytała: — A ty?

— Dwadzieścia jeden — odrzekł, przeciągając samogłoski. — Kończę szkołę filmową.

— Jakie fascynujące! Wciąż mieszkasz w domu?

— Jezu, nie! W Londynie... — swym tonem zepchnął Stanmore w mroczny świat przedmieść, do miejsca, z którego za wszelką cenę należy się wyrwać.

— A teraz, wspólne ujęcie — oznajmił fotograf. Zebrał wszystkich przed kominkiem.

— Czy mogę do tego zdjęcia wykorzystać moje golfowe trofea? — zapytał Morris.

— Tato! — oburzyła się Hannah.

Fotograf zajął się ustawianiem dziewczynek. — Becky, może tu, a... ty, Harriet...

— Hannah.

— Hannah, tutaj.

— Mowy nie ma! — Becky cofnęła się. — i Nie będę obejmować jej ramieniem.

— Dziewczynki! — skarcił córki Morris.

— Szeroki uśmiech! — polecił fotograf.

Klik — zdjęcie gotowe. Val wolałaby, aby mąż nie miał na sobie marynarki w kratkę; gdy pozwalano mu samemu robić zakupy, przejawiał okropny gust. Całkiem w stylu Florydy. Jaskrawe koszule, letnie garnitury, marynarki sportowe a la Jack Lemmon. A Hannah mogła była wyszczotkować włosy i usunąć tę okropną błyskotkę z nosa. Przy odrobinie szczęścia fotografia nie ujawni tego szczegółu, ale co z tymi jej przypominającymi pajęczynę rajstopami?

— A więc prowadzi pan własną firmę, panie Price? — upewniała się reporterka.

Kiwnął głową. — Systemy Antywłamaniowe, Price Security Systems, może pani o nas słyszała?

— Niestety nie.

— Mamy biuro niedaleko stąd — tuż za Watford — ale instalujemy i naprawiamy urządzenia w całym kraju. W tym roku nasze obroty wzrosły o trzydzieści procent, a wie pani dlaczego, młoda damo? Bo świat jest niebezpiecznym miejscem.

Gdy fotograf wyciągnął ich na dwór, Morris wskazał na przycisk alarmowy nad werandą, z logo jego firmy. — Mógłby pan to pstryknąć?

— Tato! — ponownie skarciła go Hannah.

— Czy musimy stać przed domem? — zirytował się Theo. — Wyglądamy jak skończone głupki.

— Możemy udawać, że to zdjęcia dla Hello — zauważyła Val.

— Właśnie to miałem na myśli — upierał się Theo.

— Szeroki uśmiech! — poinstruował fotograf.

Na dworze panował chłód. Kartki notatnika reporterki zaszeleściły na wietrze. — A ty, Val, pracujesz zawodowo? — zapytała młoda osoba z gazety.

— Czy ona pracuje? — podchwycił Morris. — Ona nigdy nie przestaje!

— Projektuję wnętrza — wyjaśniła Val. — W domu mam pracownię, a biuro w Marylebone. Przeważnie jestem w ruchu.

— Mamy to nigdy nie ma, by zrobić mi podwieczorek — poskarżyła się Becky.

— Miły uśmiech! — przypomniał fotograf.

W domu zadzwonił telefon. Po dwóch sygnałach włączyła się sekretarka. Za pół godziny Val miała jechać do Totteridge na spotkanie z potencjalnymi klientami. Morrisa czekała droga do Londynu i obiad z inwestorem budowlanym centrum handlowego — jak on rotarianinem i dowcipnym gawędziarzem. Zdaniem Val słowa „dowcipny” i „rotarianin” wykluczały się wzajemnie.

— Uśmiechnij się, Harriet — polecił fotograf.

— Hannah.

Przejeżdżający ulicą samochód zwolnił i zaraz pojechał dalej. Val przeszedł dreszcz; wyczuwała poruszenie za oknami sąsiadów. Gdzieś w oddali rozległ się alarm przeciwwłamaniowy; uświadomiła sobie, że dzwonił przez cały czas, wypełniał jej mózg dudnieniem. Jej córki niespokojnie przestępowały na żwirze z nogi na nogę.

— Jeszcze tylko parę ujęć — nalegał fotograf.

Telefon zadzwonił ponownie i ucichł. Rodzina już zdawała się oddalać od Val, rozchodzić się, każde do własnych spraw; Becky znów zasiądzie do oglądania Lokatorów, Hannah wycofa się w swój własny świat dorastania,

Theo rozplynie się w swej mętnej studenckiej egzystencji... ona i mąż powrócą do gromadzących się na telefonicznej sekretarce wiadomości i do przerwanego impetu dnia pracy.

— Stańcie bliżej siebie. O tak, wyśmienicie.

Klik migawki. Stojąc tam, miała przedziwne uczucie. Wessani, każde w swoją przyszłość członkowie jej rodziny znikali. I już ich nie było, jakby rozplnęli się w powietrzu, by odtworzyć się w tysiącach innych, nie znanych domów. Później przypomni sobie to uczucie.

Rozdział drugi

Żadna nie chciała wybrać się do Camden Lock. Hannah proponowała wypad każdej po kolei — Rachel, Emmie, Julii. Nagle okazało się, że wszystkie mają chłopaków; dlatego tak postąpiły, zdrajczynie. Znikały z nimi w kinie. Chodziły na wagary, by spotkać się z nimi na Stanmore Broadway; wracały na lekcje, cuchnąc marlboro. W sobotnie noce stawały się nieosiągalne; spanie u siebie nawzajem nagle okazało się dziecinadą. Emma uprawiała seks z Olliem Friedmanem. Ostatnio chodziła z tajemniczą, pełną wyższości miną. Po trzech latach chichotów na te tematy, teraz nie chciała im niczego zdradzić — i to ma być przyjaźń?

Była niedziela. A w niedzielę Hannah zawsze jeździła do centrum handlowego Camden Lock. Bo mieszkała w Stanmore. Niedzielne popołudnia w Stanmore, w tej krainie żywych trupów... Szmer kosiarek, szum zapalanych silników, odgłosy parkowania. Cisza. Dantejska otchłań przedmieścia — w tej kwestii jak rzadko ona i Theo mieli to samo zdanie.

W tę niedzielę mama obiecała jej pomoc przy wypracowaniu na temat Renesansu na zajęcia z historii sztuki. Ale Val najwyraźniej zapomniała. Jak zwykle zamknęła się w swym gabinecie. Przechodząc obok jej drzwi, Hannah usłyszała cichy dźwięk klawiatury i elektroniczne piski komputera.

Więc sama zajęła się sobą. Usiadła przed swym wrogiem — lustrem. Odwróciła głowę i spojrzała na siebie. Kolczyk w nosie zamigotał. Oczywiście, byli oburzeni.

— Takie okaleczenie! — wrzasnął ojciec. — Moja rodzona córka!

— Ale spoko — nonszalancko zareagowała Hannah.

— A jak będziesz dłubać w nosie? — zaciekawiała się Becky, jej młodsza siostra.

Kłopot w tym, że na podbródku miała trzy pryszcze, które także odbijały światło. Rozmiarem dorównywały kolczykowi w nosie — nie, są większe. Gigantyczne. Boże, czemu ja jeszcze żyję? Wtarła maskujący krem w tę swoją okropną twarz. A skąd się wzięły te jej biodra? Nie ma ich po matce, to pewne. Mama jest taka piękna, szczupła, elegancka. To wina ojca; tato jest pękaty. Czy jej biodra staną się jeszcze obfitsze, czy to możliwe? Wlecze je ze sobą niczym dwa balony zaporowe. Nawet siedząc, widziała, jak wypełniają ją pod długą, czarną spódnicą. Jak obce narośle. Cale jej ciało to obca narośl.

Hannah wyszła z domu. Wciąż użalała się nad sobą. Gdyby znikła, czy ktoś by to w ogóle zauważył? Mogłaby zapaść się pod ziemię, a trzy dni później oni wciąż by siedzieli przed komputerami albo chichotali przez telefon do Olliego

Friedmana. Przeszła Cypress Drive i skręciła w lewo, w Ridgeway. Minęła dom Silvermanów, najstarszych przyjaciół rodziców. Dawniej, nim wszyscy stali się zbyt zajęci, spotykali się na przyjęciach. Teraz dom wyglądał na całkowicie opuszczony. Przeszła obok rezydencji Barlowe'ów; kiedyś pływała tu z Joni Barlowe, zanim dziewczynkę wysłano do szkoły z internatem. I tu nikogo nie było widać. Opuszczone wokół basenu żaluzje zdawały się informować ją, że dzieciństwo już się skończyło.

Hannah skierowała się w stronę stacji metra. Joni nawet podczas wakacji zwykle przebywała za granicą. Śmieszne, pomyślała: im jest się bogatszym, im ma się większy dom, tym mniej spędza się w nim czasu. Jej rodzice nie byli tacy bogaci, nie mieli basenu. Poza tym ojciec zawsze jęczał na temat rachunków i wciąż powtarzał, by gasili zbędne światło. Twierdził, że wszelkie pieniądze, jakie zarobi, z powrotem ładuje w ten cały ich interes; gdy była młodsza, wyobrażała go sobie wlewającego strumień złota przez dziurę w dachu.

Próbowała wyobrazić ich sobie wszystkich na Florydzie. Mieli zarezerwowany wyjazd za sześć miesięcy, w okresie Bożego Narodzenia. Theo już odgrażał się, że nie pojedzie, a ona sama też stawiała się zbyt dorosła na wakacje z rodzicami. Tata będzie chodził w szortach. A że wygrali tę wycieczkę na loterii, staną się obiektem ogólnego zainteresowania. Może nawet trzeba będzie wygłosić przemówienie! Jakie żenujące. Wszystko było niezwykle żenujące.

Tak naprawdę chętnie by znikła. Niewidoczna dla innych, nie musiałaby się martwić swoim wyglądem. Gdy zbliżała się do stacji metra, humor jej się poprawił. Zawsze tak się działo, gdy oddalała się od domu. Będzie żyła własnym życiem, z dala od tych, którzy przyczepialiby się do bałaganu w jej pokoju. Może rodzice podarują jej mieszkanie — kupili już jedno dla Theo — i zostanie pustelniczką, wychodzącą wieczorami z zakrytą welonem twarzą. Stanie się żywą legendą.

Ruszyła do metra zmierzającego do Camden Town. Na peronie owiał ją gorący oddech tunelu; poderwał jej spódnicę. Zauważyła zaciekawione spojrzenie jakiejś rudej kobiety. Poczzerwieniła i wbiła wzrok w botki. W zapchanym potem do niemożliwości składzie tłum rozprawiał w obcych językach. Piersi Hannah rozpląszczały się o plecy stojącego przed nią mężczyzny w skórzanej kurtce. Chyba musi je wyczuwać! Osoba za nią przyciskała się do jej pośladków. Hannah starała się nie oddychać, aby jej ciało nie rozszerzyło się ani odrobinę. Przesunęła palcami po kórkach w uchu.

Na stacji Camden Town trzech starych mężczyzn siedziało na kafelkach posadzki. Popijali z puszek Tripple Export. Jeden mrugnął do niej — co za bezczelność! Miał fioletową, pobrużdżoną twarz; zupełnie jakby rozebrano ją na części, a potem ponownie posklejano do kupy. Ona przynajmniej nie wygląda aż tak źle. Tylko czy aby na pewno?

Poruszający się tłum pchał ją uliczką. W Centrum aż kłębiło się od ludzi. Bębniła muzyka. Jakiś Murzyn kiwał głową w górę i w dół, kołysał dredami. Dotknęła kolczyka w nosie, swojej wizytówki. Niebo było szare, ciężkie; jak na czerwiec, panował chłód. Powietrze wypełniały zapachy curry i kadzidełek. Ludzie przepychali się obok niej. Dlaczego dziewczyny z innych krajów nigdy nie mają pryszczycy? Gdzie zdobywają taką opaleniznę? Hannah pośliznęła się na rozsypanym makaronie. Kosze na śmieci kipiały. Plastikowe talerze, pełne pomarańczowego ryżu, tkwiły w drzwiach niczym religijne ofiary. Jak ona uwielbiała to miejsce! Przebiegi obok niej pies ze sznurkiem zwisającym mu z szyi; w pysku niósł ostrzegawczy słupek drogowy. Po drugiej stronie kanału, gdzie grupka starych przyków popijała jabłecznik pod plastikowym zadaszeniem, stał wózek sklepowy i ortopedyczna kula. Dalej sterczało uschnięte drzewo, naszpikowane puszkami. To wszystko było takie realne. Takie... no cóż, zupełnie inne od Stanmore.

Leniwie przechadzała się między stoiskami, przerzucała sztuki odzieży. Spojrzała na swoje obgryzione paznokcie. Mama obiecała jej jakiś środek, płyn czy coś w tym rodzaju. Obietnice, obietnice, ha, ha. Wyciągnęła ze sterty ubrań czarną spódnicę z frędzlami. Wcisnęła się do maleńkiej przymierzalni i próbowała odgrodzić się zasłoną, ale materia była tak kusa, że po bokach pomieszczenia pozostawały nie osłonięte szpary. Hannah poczuła żar na twarzy. Wysunęła się z przymierzalni i odłożyła spódnicę na miejsce. Przesunęła dłonią po kurteczce w stylu lat sześćdziesiątych, barwioną nierównomiernie, o milion rozmiarów za małą; przekroczyła przez futerał na gitarę z porozrzucanymi w nim monetami. Grajki uliczne — jakże żenujące. Już miała kupić sobie falafel, ale na myśl o tym, jak pieróg rozsypie się w trakcie jedzenia, zrezygnowała.

Później próbowała przypomnieć sobie, co czuła tamtego dnia. Wydawało jej się, że wszyscy się na nią patrzą, ale tak było z nią zawsze. Wpatrywali się w nią, bo wiedzieli. Sprzedawca Big Issue (orientował się, że ona pochodzi z wielgachnego domiska z Stanmore); te grajki (znali zawartość jej portmonetki: sześć funtów pięćdziesiąt pensów); wszyscy dziwili się (jak taka grubaska może w ogóle chodzić po ziemi?). Tak naprawdę, to wiedziała, że wyglądem nie różni się od innych — długa, czarna spódnica, sportowe buciorzy z

koralekami nawleczonymi na sznurówki, wielki, rozpinany, indiański sweter, amulety, ekologiczne bransoletki, poskręcane włosy. Wiedziała o tym, ale jednak wciąż wydawało jej się, że jest przedmiotem ogólnego zainteresowania. Nawet ci odwróceniu do niej plecami patrzą na jej odbicie w szybie wystawy.

Tyle że ktoś rzeczywiście jej się przypatrywał. Tamtego dnia ktoś patrzył na nią.

— Hej, obserwowałam cię.

— Mnie?

— Tak, ciebie. — Kobieta w czarnych legginsach, z tabliczką z klipsem do wpinania kartek. Miała komórkę. — Szukam dziewczyny dokładnie takiej jak ty, rozumiesz... — Uśmiechnęła się.

Hannah na zawsze zapamięta tę twarz — płaską, bladą, piegowatą. Seksowną, kocią. Szerokie, błyszczące od kredki usta. Sylwetka smukła, drobnokoścista — całkiem inny gatunek niż Hannah, inny rodzaj ssaka. Na oczach ciemne okulary; włosy połyskujące czerwienią.

— Pstrykamy zdjęcia dla działu mody w Face. Rozglądaliśmy się za kimś takim jak ty.

— W Face? — Hannah patrzyła na nią ze zdumieniem.

— Powiedzieli, żeby znaleźć kogoś z wymownym ciałem.

— Wymownym, to znaczy z... wielkim?

— Nie, wymownym czyli w swoim stylu.

— Naprawdę?

— W guście ulicy. A kogóż to obchodzą chudziny? Mamy ich po dziurki w nosie, wiesz, o czym mówię?

Hannah kiwnęła głową. — Ja mam ich powyżej uszu. — Zastanowiła się. — Naprawdę chcecie mnie?

Kobieta przytaknęła ruchem głowy. Hannah poczuła coś, co nieczęsto jej się przytrafiało — przyjemność.

Kobieta przytupywała rytmicznie. Na jej twarzy ukazały się krople potu. Dziwne, dzień przecież taki chłodny, przez moment pomyślała Hannah.

— No więc — kontynuowała kobieta. — Idziesz? Mamy napięty program.

Hannah spojrzała na nią ponownie. No tak, te włosy, rude i błyszczące. — Hej, czy ty nie byłaś przypadkiem w metrze?

— Czy byłam? — padła szorstka odpowiedź. — A tak, tam cię zauważyłam.

— I szłaś za mną aż tutaj? Przez cały czas chodziłaś za mną?

Kobieta kiwnęła głową. Wyciągnęła paczkę papierosów, wyjęła jednego i zapaliła. Ręka jej się trzęsła. Nerwowa albo to jej pierwsze zdjęcia. Chyba nie — wygląda na zbyt doświadczoną, na całkowicie pewną siebie.

— No to chodź — powiedziała.

— I pokażą mnie w Face?

Kobieta przytaknęła głową i gestem dłoni nakazała Hannah iść za sobą. Pomyśleć tylko, jak zareagują jej koleżanki w szkole! Nie uprzedzi ich. Otworzą czasopismo, o tak, choćby przypadkiem, w wtedy zobaczy ich miny.

Kobieta przekroczyła przez pijaka; potem przez szmatę, na której ktoś rozłożył drewniane słonie.

— Tylko mnie będziecie robić? — zapytała Hannah.

— Robić?

— To znaczy — tylko o mnie wam chodzi?

Kobieta kiwnęła głową; rude włosy zafalowały wokół jej twarzy. Spieszyła się. Weszła pod plastikowe zadaszenie. Hannah, z powodu swego wzrostu, musiała się schylić. Z całego Camden Lock wybrali ją. I nagle uświadomiła sobie: jeżeli ktoś mnie doceni, potrafię być naprawdę miłą. Mogłabym nawet być miła dla innych. Tak niewiele potrzeba...

— No chodź! — powiedziała kobieta. — O, tutaj. — Przepychała się przez tłum, ramionami torowała sobie drogę między wieszakami z ubraniami.

— Gdzie to jest? — zapytała Hannah.

— Trzeba tędy przejść. — Kobieta złapała ją za rękę; miała ostre paznokcie. Taka mała dłoń! Jak mocno trzymała jej rękę! Hannah, ciągnięta, poczuła się nieswojo — zupełnie jakby była olbrzymią szynką. Przeszły pod zasłoną staromodnych sukienek. Przepchały się obok skwierczących hamburgerów. Kobieta wpadła na stoisko; stojące na nim słoiki zakolebały się. „No!” — krzyknął właściciel.

Wyszły na ulicę, gdzie czekał samochód z zapalonym silnikiem. Za kierownicą siedział mężczyzna; nie odwrócił się. Kobieta otworzyła tylne drzwiczki i wrzuciła do środka tabliczkę. Ze stereo rozbrzmiewała muzyka.

Hannah cofnęła się. Samochód?

— Nic nie mówiłaś o samochodzie.

— No chodź, Hannah! Oni czekają. Zamarła. Wyrwała rękę z uścisku.

— Skąd znasz moje imię? — zapytała. Kobieta chwyciła ją za ramię.

Rozdział trzeci

Hannah? — Val zapukała do drzwi. Przypięta do nich ulotka: Skończyć z doświadczeniami na zwierzętach jak zwykle wzbudziła jej irytację. Czy ta ich córka sobie wyobraża, że jak tylko się odwróci do rodziców plecami, natychmiast zabierają się do wstrzykiwania czegoś beaglom? — Hannah?

— Pojechała do Camden Lock — poinformowała ją Becky.

— Przecież obiecała najpierw posprzątać w swoim pokoju. I ma do odrobienia pracę domową.

Becky wzruszyła ramionami i zeszła na dół. Co ją to obchodzi! Pochłaniała kompot z marakui z Marks and Spencer.

Val pchnęła drzwi do sypialni, zablokowane warstwą ubrań. Pod wylewającą się zawartością szafy dywan był niemal niewidoczny. Pokój przypominał pomieszczenie tuż po przeszukaniu; zupełnie jakby był miejscem brutalnej zbrodni. Powyciągane szuflady, części garderoby wysuwały się z nich niczym czarne jęzory. Najwyraźniej Hannah, nim zdecydowała, co na siebie włożyć, wyrzuciła wszystko na podłogę. Po co tyle zachodu? Przecież i tak zawsze ubiera się na czarno.

Między ubraniami wały się ulotki koncertowe — Ministry of Fear w klubie Dome; Dead Babies w Marquee. Val przebrnęła przez stosy ubrań i podniosła z podłogi trzy miseczki z resztkami płatków kukurydzianych, zasmarowane jogurtem. To tu podziewały się łyżeczki. Hannah zawsze używała maleńkiej; jej brat także; najwyraźniej jedna z dziwniejszych perwersji dorastania. Dlaczego? Tylko po to, by się wyróżniać? Jakaś żałosna deklaracja wyrażona przy pomocy małej łyżeczki?

Val stała po kostki zanurzona w częściach garderoby; aż się w niej gotowało. Sama zawsze była niezwykle schludna; jak udało jej się wyprodukować podobną córkę? Do ścian kleiły się wyblakłe plakaty — Wargi, Piersi, Biodra, Moc! Wyglądający na ćpuna, nachmurzony młodzian w skórzanych džinsach. Na nie pościelonym łóżku jak zwykle wały się puste pudełka po kasetach, w większości połamane. Hannah wciąż na nowo przegrywała dla przyjaciółek tę swoją okropną muzykę, zupełnie jakby raz nie wystarczyło. Na wieży migotały wszystkie światelka; Hannah nigdy niczego nie wyłączała, jej pokój nabierał przez to wyglądu Marie Celeste.

Val, rozwścieczona, podeszła do biurka. Sterta podręczników, a na nich Tylko 17 i książki w tanich oprawach — Jeźdźcy Jilly Cooper; Milczenie owiec. Na samym wierzchu stał słoiczek antyseptycznego kremu, którym Hannah smarowała nos przy tym swoim okropnym kolczyku. Zrobiła się piąta

trzydzieści. Hannah powinna właśnie ślęczeć nad zadaniem na temat Renesansu — Val nawet obiecała jej pomoc. Mimo gniewu poczuła lekkie ukłucie poczucia winy. Ale przecież Hannah nie było, więc jak mogła jej pomóc?

Przebrnęła do okna, otworzyła je. Hannah otwierała okno tylko wtedy, gdy chciała pozbyć się dymu z papierosa; miała nadzieję, że rodzice niczego nie poczują. Val przedarła się z powrotem do drzwi i raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem pomieszczenie. Wśród ogólnego chaosu gdzieś pozostały archeologiczne ślady niegdyś dziecięcego pokoju — nad łóżkiem wciąż wisiał wyblakły plakat z koniem, na półce stały książki Roalda Dahla, na kołdrze siedział łoś Mandy. Pokoik dziewczynki, która odeszła na zawsze. Zastąpiła ją ta duża istota. Hannah była taka wielka. Jak zresztą i jej przyjaciółki. Olbrzymki-mutantki stąpające w ciężkich buciorach. Ciągnęły przez dom niczym stado bizonów, traktowały ją i jej męża z przyjazną pobłażliwością; przewracały przedmioty, słodczyce wyjadały do dna, pozostawiając lepkie naczynia.

Val wyniosła miski i weszła do łazienki córek. Panujący tu zapach kojarzył się z bagnami. Roleta opuszczona; pomieszczenie jak zwykle tonęło w półmroku. Na wannie liczne słoiczki z kosmetykami, wieczka poodkręcane. Z przewróconego pojemnika po wannie spływał zielony śluz. Val podniosła roletę. Do kosza na papiery wcisnęła walające się na podłodze wilgotne czasopisma. Czemu nastolatki nie mogą na pięć lat zapaść w stan hibernacji i obudzić się już jako istoty ludzkie? Spojrzała na leżące w nieładzie tubki kremu do makijażu i płynu używanego przez Hannah przeciw trądzikowi, na wyciśniętą saszetkę darmowej próbki, wyciętej z prenumerowanego przez matkę czasopisma Wybory. Gdybyż można było wysyłać nastolatki do jakiegoś specjalnie przeznaczonego dla nich miejsca, czegoś w rodzaju zagrody dla dzikich koni, i dostać je z powrotem jako osoby dorosłe, zakrecające pastę do zębów i nie wycofujące się z pokoju, gdy próbuje się coś im powiedzieć! I żeby już nie zwracały się do rodziców w stylu: „o co ci chodzi?”, patrząc przy tym na nich, jakby byli psychicznie niedorozwinięci.

Wróciła do gabinetu. Zamknęła drzwi, problemy zostawiła za sobą. Co za błogi porządek! Na stole, poukładane starannie, próbki materiałów. Adamaszki w rozmaitych odcieniach śliwy i ochry. Właśnie zajmowała się wielce poważnym zleceniem, całkowitą zmianą wystroju hotelu Yewtree Country w Stow-on-the-Wold. Pomieszczenia ogólne, sypialnie, dwie jadalnie — styl mauretański i prowansalski. Rozłożyła plany piętra — puste sceny, gdzie będzie rozgrywał się teatr życia i mogą wydarzyć się sprawy, za które ona nie poniesie odpowiedzialności. W wyobraźni weszła do hotelu i zagubiła się w

nim. Niemal dotykała chłodnych, marmurowych kafelków, czuła pod stopami dywany. Żadnych nieporządków, bałaganu, innej irytacji, sporów i rodzicielskiego, bolesnego poczucia winy. Tam nikt nie pozostawi na podłodze ścieżki z mokrych ręczników. Nie mieszkał tam nikt oprócz niej, w jej własnej głowie; jakże beztrąsko radosna była praca! Zwykle problemy, wszystko do wymierzenia, wystarczyło nacisnąć klawisz. Usiadła przed komputerem i wcisnęła enter.

Gdy znów spojrzała na zegarek, była już szósta czterdzieści pięć. Na dworze rozpadało się, deszcz bębnił na łukowatych liściach krzewu rododendronu pod oknem. W głębi ogrodu śpiewał kos; jego głos zdawał się wyplukany, jakby go wyczyszczono. Na dole rozległ się wybuch śmiechu; Becky oglądała jeden ze swoich filmów z Jasiem Fasolą.

Val wstała, rozprostowała kości. Wyszła z pokoju, przystanąła na półpiętrze. Przed domem zachrząścił żwir; podjechał samochód. Przez chwilę pomyślała, że to może Hannah; kilka jej przyjaciółek już posiadało prawa jazdy, nawzajem podwoziły się do domu autami rodziców. Ale usłyszała głośnie dźwięki z radia. Trzasnęły drzwiczki. To Morris wracał z golfa.

Z dołu doleciały ciche głosy. Morris rozmawiał z Becky. Pewnie mówił: „Nie masz nic innego do roboty?“, ale dobrotliwym tonem. Uwielbiał swoją młodszą córkę, swoją Złotą Dziewczynkę; zawsze ją faworyzował. Becky była taka żywa i śliczna; wiedziała, jak czarować ojca, wszystko uchodziło jej na sucho. Gdyby to Hannah tam siedziała, ton jego głosu zabrzmiałby ostrzej. Ostatnio znajdował starszą córkę wyjątkowo irytującą, drażniły go jej upór, buntowniczość. Jej niedbalstwo. Nigdy nie potrafił udawać, a teraz jego rozczarowanie niesforną, bryłową dziewczyną było wyraźne dla każdego, co oczywiście sprawiało, że Hannah stawała się jeszcze bardziej niemożliwa. Czasami Val, w roli pośrednika, starała się zachwalać ich sobie nawzajem i powtarzała Morrisowi niektóre mądre uwagi Hannah. Starając się w ten sposób zespolić rodzinę, czuła się nieszczera, spięta. Robiła co mogła, by Morris jednakowo kochał całą trójkę swych dzieci i nie czepiał się Hannah, tej nieładnej, wciśniętej między bardziej atrakcyjnego brata i siostrę, córki. No i Hannah nie posprzątała pokoju — o Boże, czy drzwi jej pokoju zostawiła otwarte? Czy Morris zajrzy do środka? Do tego dziewczyna nie zaczęła nawet wypracowania o Renesansie. Gdzie ona u diabła się podziewa?

Zrobiła się siódma czterdzieści pięć. Morris, w salonie, rozmawiał przez telefon z Malcolmem. Malcolm był jego kierownikiem do spraw sprzedaży. Mogli przecież odłożyć tę rozmowę do jutra, gdy znów spotkają się w biurze.

— ...a więc Tim sugeruje, byśmy zwołali zebranie? — mówił Morris. — ...no to co powiemy udziałowcom?...

Val próbowała zwrócić uwagę męża, bezgłośnie poruszając wargami. Natychmiast przykrył dłonią mikrofon.

— Nie rozmawiaj za długo — poprosiła. — Może będzie próbowała się dodzwonić.

— Kto?

— Hannah. A jeśli utknęła gdzieś i zechce, byśmy po nią przyjechali?

Poszła do kuchni. Dlaczego nastolatki są tak całkowicie pochłonięte sobą? Czy nie rozumieją, że ona ma na głowie przygotowanie kolacji? I naprawdę miło by było mieć jakąś pomoc przy robieniu posiłku — bo potem musi iść na górę i dokończyć osiem arkuszy z propozycjami, które ma jutro przesłać faksem. Deszcz bębnił o dach oranżerii. Val otworzyła zamrażarkę. Wyciągnęła kilka paczuszek. Przed laty, gdy dzieci były małe, sama gotowała — była w tym dobra, tak jak niemal we wszystkim, w co włożyła serce. Teraz już nie miała na to czasu. Z wdzięcznością spojrzała na torebki. To nie tylko łosoś w bułce tartej; każde zawiniątko reprezentowało zamrożony kawałek oszczędzonego czasu; oszroniony prostokąt skompresowanej wolności. Frontowe drzwi trzasnęły; odwróciła się gwałtownie. Narastał w niej gniew — wręcz pałaca wściekłość i jeszcze gorętsza ulga. — Hannah!

Drzwi otwarły się. Nie Hannah, tylko Theo. Syn bez pośpiechu wszedł do kuchni. — Cześć, mamó. — Wrzucił do ust miniaturowego pomidorka.

— Nie widziałeś gdzieś Hannah?

— Niby dlaczego miałbym ją widzieć?

Zaskoczył ją własny głos — wysoki i ostry. Theo nie zauważył tego, ale on nigdy nie zwracał uwagi na nic, co dotyczyło jego rodziny. Podobnie jak ojciec, miał ograniczoną perspektywę widzenia. Ogarnięty obsesją na punkcie spraw związanych z montażem filmów, wszystko inne widział jakby przez mgłę. Właśnie wprowadził się do mieszkania, które mu kupili w Clerkenwell; spędzał tam całe dni pochylony nad swoim ukochanym urządzeniem firmy Lightworks. Ten obiekt zawiści jego kolegów ze szkoły filmowej został dostarczony dopiero w zeszłym tygodniu. Theo miał ten szklany, skierowany do wewnątrz wzrok młodego, zakochanego mężczyzny.

Spojrzała na syna z mimowolną dumą. Z czarnymi, przylizanymi żelem włosami i zmysłowymi ustami swego ojca wyglądał jak przywódca jakiejś żydowsko-sycylijskiej grupy gangsterskiej zajmującej się wymuszeniami. Otworzył lodówkę i zbadał jej zawartość. Na twarzy miał swój „lodówkowy” wyraz — mieszanina dezaprobaty i pożądlivosti. Krytyczna opinia o rodzicach

jako istotach materialistycznych nic a nic nie przeszkodziła mu w przyjęciu od nich w prezencie na swe dwudzieste pierwsze urodziny wartego trzydzieści tysięcy funtów urządzenia audio-wideo. Pogarda, jaką okazywał dla ich stylu życia, zdawała się wręcz zmuszać go do częstych przyjazdów do domu, by ogołocić im lodówkę i zappełnić ich pralkę brudnymi ubraniami. Nigdy nie opróżniał kieszeni, więc suszarka psuła się i Val musiała wzywać mechanika z Hotpoint — za niemałe pieniądze — czekać całe rano, aż przyjedzie i obrzuciwszy ją piorunującym spojrzeniem, powyciąga z filtra paski rozmokłych kwitów za benzynę i strzępy biletów z National Film Theatre.

— O której zamykają Camden Market? — zapytała.

— Nie mam pojęcia. Kto powyżerał cały humus i wsadził ten cholerny garnek z powrotem do lodówki?

— Chyba podzwonię po jej przyjaciółkach.

— Czemu? — Becky weszła do kuchni, zaróżowiona po kąpieli. Puszyste blond włosy sterczały jej wokół głowy. — Kiedy kolacja?

— Hannah jeszcze nie wróciła — powiedziała Val. W głowie wibrował jej niepokój. — Pewnie poszła do Emmy albo tej drugiej, jak jej tam...

— Tanya.

— Mogła chociaż zadzwonić.

— Może ją porwano — stwierdziła Becky.

Theo prychnął. Wrzucił do kosza na śmieci pojemnik po humusie. — Be będziemy musieli im zapłacić, by ją sobie zatrzymali?

Odebrała kobieta. O Boże, jak ma na imię matka Emmy?

— Czy jest Emma? Tu Valerie, mama Hannah.

Emma przejęła słuchawkę. — Nie, ostatni raz widziałam ją w piątek, w szkole.

— Kto jeszcze mógłby coś wiedzieć?

— Niech pani dzwoni do Tanyi.

Tanyi nie było w domu, poszła z wizytą do ojca. — I czy one nie doprowadzają nas do szaleństwa? — pożałowała się jej matka. — W zeszłą sobotę Tanya została poza domem przez całą noc, a ja zamartwiałam się. Okazało się, że poszły do Tamsin, a potem do Phillipa i podobno zasnęła tam, ha, ha... — ostrym, przenikliwym głosem matka Tanyi wyrecytowała całą litanie skarg: — Poszła do pubu, a potem na to przyjęcie, i nie miała dwudziestu pensów na telefon, naprawdę...

— Są strasznie samolubne — zgodziła się Val z nieznaną kobietą. — Wystarczyłby jeden telefon; czemu one do licha nie potrafią podnieść słuchawki? Czy jest radioaktywna? Gdyby wiedziały, jak się martwimy... niech

tylko same zostaną matkami... — teraz i jej podniesiony głos zabrzmiał szorstko. Poczuli się na siebie zła za czepianie się córki. I zła na nią.

Zadzwoiła do Rachel. Ojciec dziewczynki nie orientował się, czy córka w ogóle wybrała się do Camden Lock. Nigdy nie słyszał o Hannah. Może nawet nie wiedział, kim jest jego własna córka. Ojcowie nigdy nie mają o niczym pojęcia. Oznajmił, że poza nim nikogo w domu nie ma. Mówił jak ktoś, kto broni dostępu do całkowicie obcej mu fortecy. Dziwaczne, pomyślała Val, przecież pewnie kieruje międzynarodowym konglomeratem. A zdawał się marzyć do powrotu przed telewizor...

Val spojrzała na nogę stołu, na całej wysokości obklejoną znaczkami poczty lotniczej. Podczas trwających w nieskończoność rozmów telefonicznych z przyjaciółkami Hannah zawsze zajmowała czymś palce — coś gryzmoła, coś darła. Czy nie rozumiała, że trzeba będzie usunąć te cholerne nalepki? A gdyby ktoś chciał tu szybko wysłać jakiś list za granicę? Nie przyszło jej to do głowy?

Becky powiedziała jej o kimś zwanym Coarser. Dopiero gdy przyniosła notesik z adresami siostry, pełen całkiem nieznanymi Val nazwiskami, okazało się, że Coarser to Kauser. Pewnie ta Hinduska, której ojciec był właścicielem połowy Knightbridge i która miała własną komórkę. Numer Kauser był zajęty.

Theo wszedł do salonu: — Nie martw się tak, mamó. O mnie to nigdy się nie niepokoiłaś.

— Ty byłeś mężczyzną. Jesteś mężczyzną.

— Pewnie siedzi w jakimś pubie czy w podobnym miejscu.

W telewizji nadawano wiadomości. ...ciało siedemnastoletniej dziewczyny, które znaleziono w zaułku za stacją metra Wood Green. Miała na sobie różowe legginsy i niebieski skafander... Policja twierdzi, że zbrodnię tę łączy duże podobieństwo z morderstwem trzynastoletniej

Marie Pritchett, której ciało, częściowo obnażone, znaleziono w ostatni czwartek na wysypisku śmieci w pobliżu Epping High...

Val nie odrywała wzroku od ekranu telewizora. Jej mąż czytał część biznesową Sunday Telegraph. Uniósł głowę. — Coś się pali — zauważył.

Poszła do kuchni. Wyciągnęła z piekarnika dymiące, pokryte bąblami ciasto. Zadzźwięczał alarm.

— Możesz je oskrobać — doradziła Becky, wchodząc do kuchni.

— Mogłabyś jeszcze o kimś pomyśleć?

— Wiele z nich to zwykle spędza czas ze swymi chłopakami, ale nie w niedzielę wieczorem. Pewnie po prostu zapomniała.

— Co takiego? Wrócić do domu? Nawet Hannah nie jest do tego stopnia zapominalska.

Becky wzruszyła ramionami. Poszła do oranżerii i rozłożyła na stole podkładki pod talerze. Teraz już rozpadało się na dobre, deszcz stukał o dach. Becky przyniosła sztucce, przechodząc tam i z powrotem pod dudniącym szkłem. Jej nagła chęć do pomocy wręcz wystraszyła Val — czyż to nie idiotyczne? Jednak Becky nigdy nic nie zrobiła, jeżeli jej do tego nie zmuszono. Chyba też się niepokoi.

Zadzwonił telefon. Val pochwyciła słuchawkę. Palce miała mokre od płukania sałaty.

— Halo — zabrzmiał dziewczęcy głos. — Czy jest Hannah?

— Nie. Kto mówi?

— Ellie. Mogłaby jej pani powiedzieć, żeby jutro przyniosła moje notatki z Mansfield Park?

— Oczywiście. A więc nie widziałas jej?

Nie widziała. — Może pani spróbować u Coriander. Zaskoczona, Val spojrzała na sałatę. Czy to miała być jakaś nowa knajpa?

— Coriander... no wie pani, Corry. Razem chodzą do Media Club. Podam pani jej numer.

Val nigdy nie słyszała o większości z tych dziewcząt. Cały ta sprawa zaczynała przypominać grę: Stary Macdonald miał farmę...

Nieznana jej Corry mówiła dodającym otuchy, macierzyńskim tonem: — Proszę się nie martwić, pani Price. Ona jest taka roztargniona. W zeszłym tygodniu nie przyszła na lekcję z cyw-klas, sądząc, że ma wolne.

— Co to takiego cyw-klas?

— Cywilizacja klasyczna. A ona to pewnie spotkała chłopaków z Króla Alfreda. Zawsze przesiadują w pobliżu Camden.

Uspokajający głos Corry wyraźnie dodał Val otuchy. — Pewnie tak właśnie się stało.

— A może w metrze zarządzono alarm ostrzegawczy?

Val zgodziła się z nią. Aż westchnęła na myśl, że koleżanki jej córki uznają takie sprawy jak alarmy ostrzegawcze czy dybiących na ich życie nieznajomych morderców za coś całkiem normalnego.

Morderstwo...

Zeskrobała wierzchnią warstwę z ciasta; zwęglone łuski opadły na stół. Wszedł Theo, niósł olbrzymi wór ubrań. — Wychodzę — oznajmił.

— Nie idź!

Wbił w nią wzrok. — Spoko, mamó.

— Proszę, zostań z nami na kolacji.

Usiądą do wspólnego posiłku. Przywrócą sprawom normalność, a już ta, zrozumiałszy sytuację, jak zawsze przywiedzie Hannah do domu. Val rozerwała paczkę rukwi i wrzuciła liście do miski z sałatą. Wszystko jeszcze było w normie.

Odezwał się telefon.

Dzwoniła Corry. — Ona prawdopodobnie poszła do Faridy przepisać notatki. Chodzą razem na historię sztuki.

Val odłożyła telefon. Przez moment poczuła się bliska tej nieznannej Corry, dziewczynce, o której wcześniej nawet nie słyszała, bliższa jej niż komukolwiek z własnej rodziny. Corry rozumiała. Wyrośnie na taktowną, wyrozumiałą kobietę.

Czy Hannah wyrośnie na kobietę?

Poczuła ucisk w żołądku. Pobiegnęła do toalety w korytarzu, zatrzasnęła drzwi i wypróżniła się.

Cóż za melodramatyczna myśl! Co jej strzeliło do głowy? Poszła na górę. Weszła do sypialni Hannah. Przebrnęła przez warstwy ubrań i zaciągnęła firanki-zasłony, które przed chwilą rozsunęła. Zapaliła stojącą przy łóżku lampkę.

Zeszła na dół. Stopnie wydawały się jej wyraźnie wyższe, schody szersze. Dopiero po wyjściu do ogrodu odzyskała równowagę. W zapadającym mroku śpiewał kos. On wiedział, że wszystko będzie dobrze. Życie toczy się dalej; Hannah żyje — tylko w tym momencie gdzieś indziej. Niedługo wróci do domu.

W kuchni Morris — tak, Morris — przyrządzał sałatę. Nie radził sobie z sosem; polewał sałatę włoskim winegret, za którym nikt nie przepadał. Ale starał się. Czy to dlatego, że bardzo się martwił i próbował jakoś pomóc, czy po prostu chciał jak najprędzej zasiąść do stołu? Morris niepokoił się o swój poziom cukru we krwi i starał się przestrzegać właściwych pór posiłków. Twierdził, że maniera ta wynika z jego żydowskiego pochodzenia. Na pierwszą randkę, przed dwudziestu laty, wybrali się do kina. Po wyjściu zatrzymali się we foyer i odezwali się równocześnie: — Napijemy się? — to ona, a on: — Zarezerwowałem już dla nas stół.

Dzisiaj po prostu sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. Pobiegnęła za nim wzrokiem, gdy niósł salaterkę na stół. Ile ulic znajdowało się w Londynie, ile tysięcy? A ile wysypisk śmieci, teraz ciemniejących w zapadającym zmroku?

Nie panikuj. Zachowując się normalnie, podtrzyma się na duchu. Theo wyszedł do holu. Usłyszała trzask zamykanych drzwi toalety. Czy wciąż tam

śmierdzi, od czasu, gdy tam była? Boże, czyż to nie jest normalne, że martwi się podobnymi sprawami? I nie dowodzi, że wszystko jest w porządku?

Becky rozłożyła pięć nakryć. Widelce, noże... każdy z innej parafii, ale mniejsza o to. Theo dołączył do nich i zajęli miejsca przy stole. Siedzieli spięci — każde z uszami nastawionymi niczym nasłuchujące zwierzęta. W oczekiwaniu na dzwonek telefonu, trzaśnięcie drzwi.

Wróciłam! Zadyszana, przemoczona. Tłumacząca się lub oburzona. To cholerne metro... cholerny autobus. To... co? Val wyczerpała pomysły. Co mogło zatrzymać kogoś tak długo i tak znacznie opóźnić powrót do domu? Zrobiła się dziesiąta. Morris podniósł się, poszedł po wino. W drodze powrotnej zatrzymał się, wolną ręką objął Val za ramię i lekko ścisnął. Aż drgnęła — wykonał ten gest sztucznym, teatralnym ruchem. Wolałaby, by tego nie robił, lepiej by wszyscy zachowywali się jak zazwyczaj.

Zwróciła się do syna: — I jak ci idzie z tymi „Palcami”? — Theo montował film o palcach. Palcom nie musiało się płacić tantiem; można było wykorzystać własne. Oznajmił jej o tym w zeszłym tygodniu, w nietypowy dla niego, przydługi sposób, z entuzjazmem, jakiego nie zauważyła u niego od czasów dzieciństwa. Zeszły tydzień wydawał się teraz przebrzmiały niczym echo; jak całkiem inne życie.

Palce. Palce są zdolne do wszystkiego.

Coś mówił Theo. Chyba twierdził, że wszystko będzie dobrze. Spojrzał na swój talerz. — Co przytrafiło się temu ciastu?

Zadzwoił telefon. Becky poderwała się; pierwsza dopadła aparatu. Jej krzesło przechyliło się i przewróciło się ze stukiem. Zamarli, umilkli i słuchali jej głosu, rozbrzmiewającego w salonie.

— No... właśnie je kolację... Wiem, że jest późno... ale takie mamy dziwactwa. Może oddzwonić za chwilę?

Becky wróciła do stołu. — To Therese. Chciała wiedzieć, czy dostałaś wiadomość... ze Stow — jakoś tam. Coś w sprawie elektryków. Powiedziałam, że jesz kolację.

Nagle Becky jakby całkiem dorosła — ten takt, te wyjaśnienia. Ostatnie kilka godzin zrobiły z niej osobę dojrzałą. Val spojrzała na swoje stygnące jedzenie. Stow-on-the-Wold... elektrycy... jak wszystko to teraz zdawało się błahe, nieistotne.

Morris odchrząknął. Talerz miał pusty. Zjadł wszystko, jak zwykle. Czasem denerwowało ją, gdy tak połykał każdy kawałek, nawet nie czując smaku, ale dziś była mu za to wdzięczna. Odchrząknął ponownie. Zacisnął swe małe,

zaskakująco kobiece dłonie. — Może by zadzwonić na policję — zaproponował.

Nie zadzwonili. Jeszcze nie. Jeszcze na jakiś czas zastygli za stołem, wpatrzeni w porozstawiane przed nimi rozmaite pojemniki — mus czekoladowy, mus morelowy ze śmietaną. Typowe dla niedzielnego wieczoru resztki i pozostałości z lodówki. Becky skończyła swój deser i zabrała się do porcji matki. Theo zapalił papierosa; ojciec ponownie chrząknął i poprosił: — Daj mi też. — Rzucił palenie pięć lat wcześniej, w dniu, gdy przejechano ich psa.

Dziesiąta czterdzieści pięć. Od jakiegoś czasu na dworze zrobiło się już całkiem ciemno.

— Może powinniśmy obdzwonić szpitale — powiedziała Val. — Może nigdy nie dotarła do Camden Lock, miała wypadek.

— Powiadomiliby nas.

— Czy miała przy sobie jakąś legitymację? — Hannah była taka nieuważna. Wciąż gubiła torebkę.

— Na pewno — orzekła Becky. — Tę sfalszowaną.

— Sfalszowaną?

— Poświadczającą, że ma osiemnaście lat. By móc wejść do klubów. Wszyscy takie noszą.

Val spojrzała na męża. Znowu coś, czego nie wiedzieli o córce; tego wieczoru wiele się dowiadawali,

Theo dmuchnął pióropuszem dymu. — Prawdopodobnie poszła do kina.

— Nic nam nie mówiąc?

— Próbowwała zadzwonić, ale było zajęte — zgadywał. — Któreś z was gadało bez końca. A ona spotkała przyjaciółkę i film się właśnie zaczynał... — ściszył głos, może zły na siostrę, a może zorientował się, jak bardzo brzmi nieprzekonująco.

— Przecież jutro ma szkołę.

Morris zgasił papierosa. — Zadzwonię na policję — oświadczył.

Nikt się nie odezwał. Serce Val waliło, jakby chciało wyskoczyć jej z piersi. Zawiadomienie policji nadałoby sprawie oficjalności; na myśl, jak stałaby się konkretna i przerażająca, Val ścisnęło w gardle. Słowo policja zmieniało w rzeczywistość scenariusze, których do tej pory starali się do siebie nie dopuszczać, udając, że nawet ich sobie nie wyobrażają. W końcu przekroczą granicę i pozostawią za sobą normalne rodziny. Podnosząc słuchawkę, dostaną się w tryby oficjalnej maszyny, bez możliwości powrotu.

Morris wstał. Pozostali siedzieli ze wzrokiem wbitym w obrus. Słyszeli, jak idzie do salonu i wystukuje numer.

Milczeli. Za granicami ogrodu w ciemnościach migotały światła. Gdzieś tam sąsiedzi oglądali telewizję i przygotowywali kąpiel. Val czuła, jak jej dom odrywa się od nich; traci kotwicę i dryfuje w dal, w nieznane.

Kolor oczu?

— Brązowe. — Włosy?

— Ciemna szatynka.

— Z czarnymi pasemkami — dodała Becky. — Ufarbowała je, ale już odrastały.

— Ta młodzież! — warknęła Val. Spojrzała na Becky. Oczy jej córki świeciły jasno; siedziała na kanapie, ściskając razem kolana. Teraz, w obecności policjanta, utraciła swój takt i znów wycofała się w dzieciństwo. W końcu miała tylko jedenaście lat.

Policjant zapisał informacje w notatniku. Z elektronicznego urządzenia na jego piersi dolatywały trzaski. Był młody, ale mundur nadawał mu powagi. Ramiona miał wilgotne od deszczu. Za młody na widoki, jakie przychodziło mu oglądać. Przez cały czas jakaś część Val usiłowała przypomnieć sobie, kogo przypomina — aktora z telewizji? I nagle pomyślała, że to dlatego, że cała ta sprawa zdawała się tak nierzeczywista; jakby odgrywali często oglądaną w telewizji scenę.

— Jak córka była ubrana?

Val spojrzała na męża. — Wiesz?

Morris potrząsnął głową. — Nie było mnie w domu, grałem w golfa — poinformował policjanta, jakby tym chciał się rozgrzeszyć z wszelkiej odpowiedzialności.

Gdybym nie była zajęta pracą, pomyślała Val, widziałabym ją, gdy wychodziła. Ale czy zapamiętałabym? Aż poczerwieniała. Jaką niedbałą matką musi się wydawać; żeby nawet nie pożegnać się z córką, nie wiedzieć, jak była ubrana ani że pojechała do Camden Lock. Nie znać nazwisk większości jej przyjaciółek, które wpadały do ich domu, gdzieś telefonowały i znowu znikwały.

— Prawdopodobnie jest ubrana na czarno — powiedziała. — Praktycznie wszystkie jej rzeczy są czarne.

— I ma buty z demobilu — dodała Becky. — Z koralikami na sznurówkach.

— One wszystkie noszą te okropne buciory, czyż nie? — powiedziała Val, próbując podtrzymać konwersację. Nikt jej nie odpowiedział.

— Ma chłopaka? — zapytał policjant. Val potrząsnęła głową.

— Jest pani pewna? To może być ktoś, kogo chciała utrzymać przed panią w tajemnicy.

— Ja bym wiedziała — stwierdziła Becky. — Słyszałabym, jak gada przez telefon. Na prywatce u Emmy obcałowowali się z Grahamem Lucasem, ale wciąż jest dziewicą.

Morris chrząknął. — Wystarczy, dziękujemy ci, Rebecca. Policjant zapisał coś w notatniku. Uniósł wzrok. — Czy miała jakieś problemy w domu?

— Problemy? — zdziwił się Morris.

— Kłótnie?

— Oni ciągle się kłócą — powiedziała Becky.

— Nieprawda! — oburzyła się Val. — Tylko zwykłe sprzeczki. O jej pokój. O palenie papierosów. O to, co zwykle. Dogadujemy się. — Jak to banalnie zabrzmiało, jakby dopiero co poznała swe dzieci na cocktail party. Nie potrafiła znaleźć właściwego tonu w rozmowie z tym policjantem; bo też wszystko to zdawało się takie nierealne. Gdyby rzecz rozgrywała się w telewizyjnym serialu, już znałaby jego stopień i nazwisko. Na przykład taki komisarz Pettigrew. Ci w telewizji zawsze znali podobne szczegóły. — Ona nie uciekła, jeśli o to panu chodzi.

— A kiedy widziała ją pani po raz ostatni? Przy lunchu? Potrząsnęła głową. — Morris grał w golfa. Ja musiałam po coś

wpaść do pracowni — mam zakład w pobliżu Baker Street...

— Mama nie przejmuje się niedzielnymi lunchami — oświadczyła Becky.

Val obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem. — W istocie, nie jadamy lunchów. Kiedyś tak było, ale cóż, później Hannah przeszła na wegetarianizm i nie chciała jeść pieczeni... no i trudno zebrać rodzinę o jednej porze dnia... zresztą zawsze jest coś w lodówce. — Spojrzała na Morrisa i Theo. Dlaczego nie pospieszają jej na ratunek? Wydawała się taką beznadziejną matką. A przecież nikomu z nich nie zależało na niedzielnym lunchu.

Morris stał przed kominkiem. Wciąż miał na sobie swój golfowy sweter marki Fair Isle, który teraz wydawał się nie na miejscu. Zupełnie jakby minęły tygodnie, odkąd grał w golfa. Spojrzała na jego rzedniejące włosy, wypukły brzusek. Był niższy od niej, ale usiłował sprawiać wrażenie mężczyzny silnego, głowy rodziny. — I co będzie teraz? — zapytał.

— Powiadomimy wszystkie posterunki — obiecał policjant. — Jak państwo wiecie, nie słyszano o niej w żadnym szpitalu. I proponuję, byśmy poprzestali na tym do jutrzejszego dnia. Nie uwierzylibyście państwo, jak często otrzymujemy podobne zgłoszenia odnośnie nastolatków w jej wieku. Bardzo możliwe, że spotkała się z przyjaciółmi, wiecie państwo, jacy są młodzi.

Ostatnią rzeczą, o której pomyślała, to zawiadomienie rodziców. Oczywiście przekażę te informacje do centrali, ale sądzę, że po prostu zasiedziała się w jakimś klubie.

— W niedzielę wieczorem? — zdziwił się Morris.

— Jest ten teatr komedii, tam gdzie ogląda się na stojąco — przypomniała Becky. — Zawsze chciała się tam wybrać.

— Może poczekamy jeszcze z godzinę. — Val spojrzała na policjanta, starając się siłą woli skłonić go, by się z nią zgodził. Miała co do niego mieszane uczucia — ta wręcz szokująca obecność człowieka w mundurze tylko potwierdziła wyjątkowość sytuacji. Wchodząc do tego domu, bezpowrotnie zmienił naturę ich niepokoju. A jednak do tego właśnie młodego człowieka cała rodzina zwracała się teraz niczym do lekarza, jakby ktoś zachorował, ten zawodowiec nagle stał się dla nich osobą nieodzowną. Czekala, by powiedział: Jestem pewien, że nic jej się nie stało. Jednak nie uczynił tego. Val na jego miejscu postąpiłaby inaczej.

— Jestem pewien, że nic jej nie jest — odezwał się Morris.

Na wideo świeciły cyfry zegara, z jedenastej dwadzieścia pięć zrobiła się jedenasta dwadzieścia sześć. Każdy impuls o jedną minutę przedłużał to, co było udziałem Hannah. Każda minuta — jakże długie się wydawały! — zwiększała ich strach. Wciąż kolejne wizje pojawiały się w wyobraźni Val, niczym poruszony muł, unoszący się z dna stawu. Nie powinna się tak zadrećcać. Dlaczego Hannah nie dzwoni? Gdzie może być? Czy nie rozumie, co oni czują? I czego bardziej należy się lękać: że Hannah jest sama, czy że odwrotnie, że ktoś z nią jest?

Policjant wstał; Val zamarła, niezdolna do ruchu. Morris odprowadził go do drzwi. Val pomyślała: jeżeli bym nie pracowała, pomogłabym jej przy zadaniu domowym. Gdybym nie pracowała, nie pojechałaby do Camden Lock. Teraz byłaby w domu...

A ja, jej matka, nawet nie wiedziałam, kiedy wyszła i co miała na sobie.

— Nie są brązowe — powiedziała na głos.

— Słucham? — Policjant zatrzymał się przy drzwiach.

— Jej oczy. — Ten opis — brązowe włosy, brązowe oczy — zdawał się nijaki. Jakby podany obojętnie, bez żadnych emocji. — Nie są całkiem brązowe, tylko piwne — wyjaśniła.

O północy Morris i Theo wybrali się do Londynu, żeby choćby pojeździć uliczkami Camden, żeby cokolwiek zrobić. Musieli zademonstrować, że są mężczyznami. Val ułożyła Becky do snu.

— Jutro szkoła — przypomniała.

- Nie pójdę.
- Oczywiście, że pójdziesz!
- Nie krzycz.

Nie krzyczę, próbuję zachowywać się normalnie. Przyklękła i niezdarnie, pod niewłaściwym kątem, pocałowała Becky w czoło. — Ona na pewno już wróci do domu.

Szary rogacz przytulony do Becky. Łoś Hannah. Becky zawsze chciała mieć łosia starszej siostry. Czy wzięła go, bo uważała, że Hannah nie wróci, więc będzie mogła go już zatrzymać? A może chciała czymś należącym do Hannah dodać sobie otuchy? Val nie starczyło energii na znalezienie odpowiedzi.

Siedziała potem w salonie ze wzrokiem wbitym w telefon, próbując siłą woli zmusić aparat do wydania sygnału. Mimo czerwca noc była chłodna. Włączyła kominek. Hannah pewnie marznie, gdziekolwiek jest; nigdy nie ubierała się wystarczająco ciepło, zresztą tak samo postępowały wszystkie jej koleżanki. Val siedziała z Sunday Magazine na kolanach, próbując zmusić się do płaczu. Zawsze sprawiało jej to trudność; nie należała do tych płaczliwych. Ale nie chciała załamać się w obecności mężczyzn; to by ich przerażyło. Po odejściu policjanta zwarli szeregi. Choć podejrzewała, że obaj, tak jak ona, czują się straszliwie samotni. A wizje stające im przed oczyma są zbyt przerażające, by mówić o nich z innymi.

Podniosła słuchawkę, sprawdziła, czy jest sygnał, i odłożyła ją. W ciągu wieczora powtórzyła tę czynność sześciokrotnie. Poruszyła ramionami i poczuła intensywny zapach wydobywający się z jej ciała — zwierzęcą woń. Zapach strachu. Wyprostowała się, z całej siły naciągając mięśnie, jednak ze zmęczenie traciła jasność myśli.

Air Mail Air Mail Air Mail — znaczki w równym rzędzie przyklepione na nodze stołu. Oderwała od nich wzrok, spojrzała na pokój. Jakże wydawał się przytulny, bezpieczny. W kominku migotały płomyki gazu, rzucały blask na srebrne ramki rodzinnych fotografii. Szczelnie zaciągnięte brzoskwiniowe zasłony nie wpuszczały do wewnątrz zdradliwej nocy. Dobrane kanapy w odcieniu terakoty; wielkie lampy firmy Haels. Na podłodze leżały w nieładzie kasety wideo, które oglądała Becky. Val zazwyczaj była osobą schludną — obsesyjnie, zdaniem jej dzieci — ale teraz nie mogła się zdobyć na poskładanie filmów. Na biurku zalegała sarta listów, które wcześniej tego wieczora zdawały się takie pilne — jakieś nieporozumienie w sprawie rachunku Morrisa w American Express, spory w sprawie mandatu za parkowanie, dokumenty dotyczące wygranej na loterii wycieczki na Florydę. Listy należały teraz do

tych innych ludzi, wyglądających pozornie tak samo jak ona i Morris, ale już dla nich bez znaczenia.

Podniosła się. Godzina dwunasta trzydzieści. Poszła do holu i otworzyła frontowe drzwi. Może gdyby wyteńczyć wzrok i popatrzeć na drogę, choćby przypadkiem, zdołałaby gdzieś stamtąd, z eteru, ściągnąć córkę. Przestało padać. Bez rosnący u sąsiadów napełniał powietrze zapachem. Val matą zablokowała otwarte drzwi, by móc usłyszeć dźwięk telefonu, i wyszła na żwir podjazdu. Dwie zewnętrzne lampy wciąż się paliły — u Malików, którzy zostawiali światło na całą noc, i u tych nowych. Inne domy tonęły w ciemnościach. Cała ich Cypress Drive spała, niczego nieświadoma.

I właśnie wtedy zauważyła kawałek papieru, przypięty do drzewa przed domem. Przez chwilę wpatrywała się w niego. Połyskiwał w blasku ulicznej lampy.

Wiadomość — wiadomość od Hannah. Jak długo tu była — cały wieczór? Przypięła ją, czekając, by wyszli z domu.

Val podeszła aż na chodnik. „Zaginęła ruda kotka o imieniu Elsie. Nagroda za znalezienie.”

Theo wrócił do swego mieszkania; nic więcej nie mógł pomóc. Poza tym, chociaż niezbyt dogadywali się z Hannah, przyszło mu do głowy, że lepiej, by był w domu na wypadek, gdyby się u niego pojawiła. W każdym razie tak twierdził; Val podejrzewała, że po prostu chciał się ulotnić. Odszedł, mrużąc: — Nie martwcie się. — Jacyż ci młodzi nieodpowiedzialni, pomyślała. Nie miała siły martwić się tym, co przeżywa jej syn. Musiała się skoncentrować, bez rozpraszania uwagi, na przeżyciu każdej następnej minuty. Tak właśnie czuła się podczas porodu.

Wreszcie poszli z Morrisem do sypialni. Leżeli niczym kamienne posągi, jedno obok drugiego, każde udawało, że śpi. Nie pamiętała, by zakładała koszulę nocną, jednak miała ją na sobie. Chętnie porozmawiałyby z mężem, ale zwierzenie się ze swych emocji nie przychodziło jej łatwo. To Morris był tym uczuciowym, tym sentymentalnym. Ciekawe, czy płakał; spędził w łazience dłuższą chwilę. Pragnęła dodać mu otuchy, czuła jednak, że wszelkie słowa zarówno dla niego jak i dla niej samej zabrzmiałyby płytko. Choć byli ze sobą związani — byli rodzicami i nikt inny nie mógł wiedzieć, co czują — uświadomiła sobie, że w ciągu dwudziestu czterech lat małżeństwa nigdy nie przechodzili przez coś równie okropnego. Turbulencja w samolocie do Nowego Jorku; podejrzenie, że dziesięcioletni Theo ma pękniętą czaszkę — spoglądając wstecz, same błahostki. I cóż! Wszyscy wyszli cało.

Morris był hipochondrykiem. Posiadał niezliczony zbiór rozmaitych pigułek — na żołądek, na bezsenność. Nalegał, by wzięła trochę nitrazepanu, ale chciała być całkiem przytomna. Sam zażył dwie tabletki i po chwili oddychał już regularnie. Zasnę, pomyślała, potem zbudzę się i wszystko to okaże się złym snem. Wyjdę na podest, i usłyszę oddech Hannah śpiącej w swej zabałaganionej sypialni, z pryszczami na brodzie zalepionymi korektorami. Zawołam: — Wstawaj, pora do szkoły! — Ona jęknie i przewróci się na bok, plecami do mnie, a spod łóżka wysypią się kasety.

Chyba zasnęła: była całkiem naga — poza złocistymi majtkami. Wsunęła w nie dłoń i wyciągnęła klucz. Przez olbrzymi, przewiewny pokój przeszła do samolotu i próbowała włożyć klucz do zamka, ale nie pasował, okazał się za duży. Hannah powiedziała całkiem wyraźnie: Przepraszam, mamusiu, wyszłam z pocztą lotniczą. Val zachrobotła kluczem w zamku.

Ktoś dobijał się do frontowych drzwi. Val wyskoczyła z łóżka i zbiegła na dół. Pospiesznie przeszła przez hol i jednym ruchem otworzyła drzwi wejściowe. Wiatr naparł na nią, prosto w twarz, aż się zatoczyła. Na zewnątrz, obok pojemników, walały się worki pełne śmieci. Jeden rozerwał się; puszki wysypały się na ulicę. Zatrzasnęła drzwi i wróciła na górę.

Drzwi pokoju Hannah były zamknięte.

I właśnie wtedy zrozumiała, że to był sen. Ten cały wieczór się nie wydarzył, Hannah po prostu poszła spać.

Przekręciła gałkę. Zamknęła oczy i z całej siły skoncentrowała się na pragnieniu, by Hannah znajdowała się w środku. Co robisz, mamusiu? Jednym pchnięciem otworzyła drzwi. Wdychała zapach Hannah. Gdy otworzy oczy, córka będzie siedzieć na łóżku. Tylko posłuchaj, jak wieje!

Sypialnia zionęła pustką. Wiatr miarowo poruszał zasłonami, tam i z powrotem. To pewnie wiatr zatrzasnął te drzwi.

Zamknęła okno, zeszła na dół i zrobiła sobie herbatę. Wsypała do kubka mnóstwo cukru — nigdy go nie używała. Siedziała w salonie, słaba niczym inwalidka i sączyła gorący płyn. Jej rozedrgane kolano podskakiwało w górę i opadało w dół. Czuła przeraźliwe zimno, ale Hannah też pewnie strasznie marznie.

Morris zszedł na dół i otulił ją szlafrokiem. Teraz siedzieli razem.

Wreszcie odezwał się: — Jest tak wiele spraw, o tylu rzeczach myślałem.

— O jakich?

— Pamiętasz Exmoor? Tamten deszcz? Skinęła głową.

— To był nasz miodowy miesiąc, a ty, z zaczerwienionymi policzkami, pogwizdując, brnęłaś przez błoto. Taka duża, twarda angielska siksa.

— Pamiętam, że przeniosłam cię przez potok — powiedziała. — Nie chciałeś zamoczyć sobie nóg.

— Zapytałem cię: czy jest coś, czego się boisz?

— Rzeczywiście o to mnie zapytałeś?

— Powiedziałaś: Jedyłą rzeczą, jakiej się lękam, to sprowadzić dzieci na ten świat.

Siedzieli w milczeniu. W pokoju pojaśniało. Rozsunęła zasłony i pogasiła lampy. Nastął perłowy, mglisty poranek. Pogoda się zmieniła; w ciągu dnia będzie coraz więcej słońca. Usłyszeli stukot nadjeżdżającej ciężarówki śmieciarzy, dudnienie uderzających o siebie pojemników, okrzyki krzątających się mężczyzn. Znowu poszła do klozetu; teraz już miała biegunkę. Morris zrobił herbatę. Bez okularów jego twarz wyglądała nago i gumiasto; wargi stały się jakby grubsze.

Przetarł obolałe oczy. — Pamiętasz, jak Theo się zgubił?

Kiwnęła głową. — W Selfridges.— Gdy Theo był mały, czasami zapominała, że go ma. Każdy mógłby go porwać. Wtedy jeszcze nie pracowała; przez cały dzień była przy synku. A jednak wciąż wydawało jej się, że ktoś zostawił jej Theo na przechowanie i później przyjdzie go zabrać. To cud, że malcowi nie przydarzyło się nic gorszego.

Siedzieli obok siebie, ramię przy ramieniu. Opuściła wzrok na wystające z pantofli kostki nóg Morrisa, pokryte granatowymi żyłkami. Jak żyły starca, choć miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat. Jakie delikatne jest ludzkie ciało, krew krąży tuż pod powierzchnią.

— Może rzeczywiście uciekła — zastanawiał się. — Nigdy nie wiedziałem, co ona tam sobie myśli.

Pomyślała: jak wiele rozmów powinnyśmy były odbyć. Przez ostatni rok tylko krzyczałam na nią z powodu jej pokoju. Gdybym wiedziała, że coś takiego się wydarzy, rozmawiałabym z nią o tym, co naprawdę ma znaczenie, i wysłuchałabym jej odpowiedzi. Powiedziałabym jej, że jest mi droższa nad życie. Ludzie miewają podobne myśli, gdy ktoś umrze.

— Jest coś, o co nigdy cię nie zapytałem — odezwał się Morris. — Mówiliśmy o tylu sprawach, a nigdy o tym.

— O czym?

— Czy wierzysz w modlitwę? Nie odpowiedziała.

— Dzieliliśmy łóżko przez dwadzieścia cztery lata, a ja wciąż nie wiem — ciągnął.

Fala gorąca oblała jej policzki. Jakie to dziwne, że czuje się zażenowana akurat czymś takim. — A ty? — zapytała.

Jego rodzice byli religijni — koszerna kuchnia, dobre uczynki. Ta szacowna, przywiązana do siebie para starała się powiązać koniec z końcem w małym mieszkanku w Stamford Hill. Przeraził ich swą decyzją ożenienia się z wysoką, apodyktyczną gojką ze średniej angielskiej klasy. A jednak Morris nie zważał na ich wątpliwości. Swą odwagą zrobił na niej wrażenie. W porównaniu z nim, jej bunt trudno by uznać za poważny: wagary, Akademia Sztuk Pięknych, nic, czego inni by nie robili. On okazał się o wiele głębszy w swej rebelii. Z biegiem lat jego rodzice zmiękli, a umierali najwyraźniej już pogodzeni z nią i z dziećmi, które dał jej ich syn. A jednak nigdy nie wiedziała, ile w Morrisie pozostało z jego religii. I czy jego wyznanie w większym stopniu niż jej wiara dodawało sił?

— Odmawiam modlitwę — mówił dalej. — Ale wiesz, jak to widzę? Jak pozostawianie wiadomości na sekretarce telefonicznej, na wypadek, gdyby ktoś był w domu.

— Zabezpieczasz się na wszelki wypadek. — Nie zdołała zdobyć się na uśmiech, ale przysunęła się bliżej. — Ja tak samo. Żałosne, czyż nie?

Przytaknął ruchem głowy.

Usłyszeli kroki na górze, szum wody w ubikacji. Becky zeszła do salonu.

— Wróciła?

Dwie szmaciane lalki, oklapnięte, w swych nocnych ubrankach, przecząco potrząsnęły głowami.

Dla innych rozpoczął się poniedziałkowy poranek. Na ulicy trzaskały drzwiczki samochodów, włączały się silniki. Val i Morris pozostali nieruchomi, zastygli w czasie. Val zawiozła Becky do szkoły; mała wpadła do budynku bez tchu, pełna tłamszonych w sobie wiadomości. Morris zatelefonował do biura z zapowiedzią, że się spóźni. Val zadzwoniła z tym samym do pracowni. Nie podali przyczyny, nie chcieli wypowiedzieć tych słów na głos, sprawić, by stały się własnością publiczną. Odkładali tę chwilę. Współczucie, szok, rady — jeszcze nie zebrali wystarczająco sił, by stawić temu czoło. Gdy o sprawie nikt inny nie wiedział, mogli udawać, że nic się nie stało.

Val weszła do pokoju Hannah, zgaszyła lampę, rozsunęła zasłony. Potem, w sypialni Becky, rozprostowała kapę. Łosia Mandy pozostawiła na łóżku małej. Pozostanie w domu w poniedziałkowy poranek jeszcze wzmagało atmosferę nierealności. Nie spiesząc się, przechodziła z pokoju do pokoju. Jakby jej kości nagle stały się niesamowicie kruche, nie znajdowała siły, by podnieść przedmioty leżące na podłodze.

Zadzwonił telefon. Theo pytał o nowiny. Znajomi, dzięki Bogu, nie odezwą się, sądząc, że nikogo nie ma w domu. Gdy Morris był w łazience, telefon

odezwał się ponownie. Val podniosła słuchawkę. Avril, asystentka Morrisa, potrzebowała jego rady w sprawie jakichś samochodów, które dostarczono do firmy.

Po chwili zadzwonił Malcolm, kierownik do spraw sprzedaży w firmie Morrisa i jego długoletni kolega. Energicznym głosem przekazał jej jakieś niejasne wiadomości na temat przesyłki, która nie nadeszła. Firma Morrisa zajmowała się instalacją i konserwacją wyposażenia alarmowego — alarmów, czujników, najnowocześniejszych systemów alarmowych. Stworzył firmę niemal z niczego, obecnie miała się świetnie. Wiesz dlaczego, powiedział kiedyś. Bo świat za oknami jest niebezpieczny. Miał obsesję na punkcie włamywaczy; okna na dole zaopatrzyli w kraty. Pomyślała: staramy się odgrodzić od chaosu na zewnątrz, zamykamy nasze domy, zakładamy alarmy. W komputerach kodujemy połączenie z policją. Sądzymy, że zabezpieczyliśmy się.

Morris wyłonił się z łazienki. Na macie leżały rozrzucone listy; żadne z nich nie miało dość energii, by je podnieść. Przyniosła mu kawę. Stał, przeglądając wytyczne na ten dzień. Przywieźć ubrania z pralni. Gazownia. Przegląd techniczny samochodu. Therese zadzwoni z pracowni w sprawie Stow o decyzje co do tapicerki, zagadnie o tereny w Kensington Gardens. Rhoda, pomoc domowa, pojawi się o drugiej, chyba że coś ją zatrzyma. Sprawy narastały wokół nich, a oni zaledwie zdołali umyć zęby.

— Co powinniśmy zrobić? — zastanawiał się na głos Morris. — Co możemy zrobić?

— Ja będę tu, na miejscu. Ty jedź do pracy, sprawdź, czy wszystko jest w porządku. Nie ma sensu, byśmy oboje zostali w domu.

Zapytał, czy sobie poradzi. Odrętwiały wyraz jego twarzy przywodził na myśl jałówkę, władowaną na ciężarówkę i transportowaną w jakieś niewiadome miejsce. Zdjął okulary, przetarł oczy. Czuła łączącą ich więź, a jednak zdawała się być wiele mil z dala od niego. Zostawszy sama, poczuła ulgę.

Ogarnęło ją dziwne znużenie. Cokolwiek przydarzyło się Hannah, tę noc już przeżyła; a nawet połowę poranka. I żyła; co do tego Val nie miała wątpliwości. Gdyby cokolwiek jej się stało, Val poczułaby to. Może nie jest taką prawdziwą, macierzyńską matką, ale jednak matką. Na pewno by wiedziała — coś wokół niej przestałoby istnieć.

Stała przy oknie, wyjrzała na ogród. Trawnik, niczym tapetę z okresu Regencji, pokrywały srebrzyste pasy — Morris kosił go w sobotę. Oboje chętnie zajmowali się ogrodem, woleli robić to sami niż kogoś wynajmować; dzieci wyśmiewały ich pedanterię. — Nic, tylko wycinacie, plewicie i palicie

— drwiła Hannah. — Wsadzacie roślinkę do ziemi i niemal nie czekacie, by zakwitła, tylko zaraz ją wyrwacie.

Val omiotła spojrzeniem huśtawkę, krzewy wzburzone na wietrze. Srebrna brzoza kołysała się tam i z powrotem, kiwała do niej, jakby próbowała ściągnąć jej uwagę na coś, co znajdowało się dalej, z tyłu. Hannah kiedyś schowała się w krzakach. — Przyjdź i znajdź mnie! — nuciła pod nosem w te popołudnia, gdy Val nie było w domu, by zawołać ją na podwieczorek. Pracowała gdzie indziej, w innych miejscach, tworzyła domy dla innych. Ale jednak jej dzieci też dorosły; ten dom dał im dzieciństwo. Hannah nie może się tak łatwo z tego wymknąć; ona wezwie ją z powrotem.

Całkiem odrętwiała, przysiadła na oparciu kanapy. Nie wiedziała, co z sobą począć. Czuł się niczym gąbka — rozmiękła, o ciężała. Spojrzała na dywan. Hannah mówiła, że przypomina jej malinowy mus. Czy Hannah cokolwiek jadła? Czy była w stanie jeść? Na podłodze wały się kartki Daily Mail. Na pierwszej widniało zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki — tej zamordowanej uczennicy. Val odwróciła gazetę zdjęciem do podłogi.

Spojrzała na drugą stronę pokoju, na rodzinne fotografie. Najnowsze, właśnie dopiero co oprawione, było odbitką z miejscowej gazety. Zrobiono je w zeszłym miesiącu, gdy wygrali na loterii. Całą piątką stali przed domem. Val miała oczy zamknięte; akurat w tym momencie mrugnęła. Pamiętała uczucie, które ją wtedy ogarnęło: że jej dzieci już znikają, jeszcze przed zrobieniem tego zdjęcia. Zapamiętała daleki dźwięk alarmu przeciw włamaniowemu. Nagle pomyślała: nigdy nie pojedziemy na Florydę. Już nawet wtedy wydawało się to dość nieprawdopodobne. Spojrzała na swoje zamknięte oczy i poczuła, jak stojąca u jej boku Hannah znika, rozplywa się.

Przesunęła wzrok na portretowe, szkolne zdjęcie Hannah. Zrobiono je przed trzema laty — włosy zaczesane gładko, uszy jeszcze nie okaleczone kolczykami. Wargi rozchylone, jakby dziewczynka miała właśnie coś powiedzieć; na zębach połyskiwały klamry — Hannah przed wstąpieniem w ciemną dolinę dorastania. Z chwilą gdy je oprawili, zdjęcie nabrało wruszającego charakteru utraty, ulotności momentu, który minął. Klik, i dziecko zostało uchwycone, i na zawsze odeszło. Teraz techniką komputerową postarza się osoby zaginione: dziewczynka z przerwą między zębami zmienia się w matronę w średnim wieku. Za pomocą elektroniki dorosła i stała się kobietą, choć nie żyje od dwudziestu lat.

Val poszła do łazienki i zwymiotowała do klozetu. Wychodząc, usłyszała dźwięk telefonu.

Wbiegła do salonu i podniosła słuchawkę. — Halo?

Cisza. Tylko czyjś oddech po drugiej stronie linii.

— Halo! Kto to?

Linia zamarła. Val poszła do pokoju Hannah i położyła się na łóżku. Serce jej waliło. Kto to dzwonił? Czy to Hannah usiłowała się połączyć? Może stwierdziła, że nie ma wystarczającej ilości monet, albo dzwoniła z takiego nowego aparatu i nie mogła odnaleźć właściwego przycisku? Przy niektórych rodzajach trzeba przycisnąć guzik znajdujący się na słuchawce. Nawet Val — zaradnej Val — nie udało się go kiedyś odkryć.

Jeżeli to Hannah, spróbuje ponownie. Może zadzwonić na ich koszt. Ale Hannah, jak zwykle w obłokach, pewnie by nawet o tym nie pomyślała. Val znów poczuła mdłości, uświadamiając sobie, że krytykuje córkę. Pomyślała o ich sporach i kłótniach, zwłaszcza tych z kilku ostatnich lat. Zastanawiała się, czy Morris rozmyśla o tym samym, bijąc się w piersi za te wszystkie razy, gdy krzyczał na Hannah — zazwyczaj o drobiazgi, choćby jak wtedy, gdy nie zakreśliła butelki Perrier i gaz ulatywał z wody. Ujrzała twarz zamykającej się w sobie Hannah; usłyszała trzask drzwi jej sypialni. Miała nadzieję, że mąż nie pamięta tych chwil. Morrisowi daleko było do refleksyjności. Modliła się, by nie stał się takim teraz.

Mijał czas. W gabinecie Val odezwał się dźwięk, potem szum faksu: pewnie materiały od architektów z Kensington Gardens. Nie poruszyła się, leżała, starała się siłą woli sprawić, by drzwi wejściowe otwały się. Mamo, byłam na całonocnym szaleństwie i zasnęłam, i nagle zrobiło się rano, więc poszłam prosto do szkoły. Albo: Cześć, mamo, przepraszam i w ogóle, ja i kilka osób utknęliśmy w windzie na całą noc i technik dopiero co nas uwolnił.

Zadzwonił telefon. Val poderwała się natychmiast, wybiegła na podest.

— Halo?

— Halo, czy zastałam Hannah Price? — kobiecy głos o australijskim akcencie.

— A kto chce z nią rozmawiać? — warknęła Val. — Kto mówi?

— Centrum dentystyczne White Cross. Ma dzisiaj umówioną wizytę o piątej trzydzieści, ogólny przegląd.

— Aha. — Val poczuła spływający spod pach pot.

— Jest drobny kłopot. Dentysta zachorował. Czy moglibyśmy przenieść tę wizytę na koniec tygodnia? — szelest papieru. — Powiedzmy, o piątej w piątek?

— W piątek? Może być — Val zastanowiła się. — Czy to pani dzwoniła wcześniej?

— Wcześniej? Nie.

Val odłożyła słuchawkę. Usiadła na dywanie, na podeście. Spojrzała na telefon — przysadzisty, beżowy — centrum jej wszechświata. Jej zbawca, jej wróg, jej życie. Co mogłaby zrobić, znów zadzwonić na policję? Przecież zawiadomiliby ich, gdyby mieli coś nowego. Mówili coś o zdjęciu, może by umieścić je w gazecie. Ale jeszcze nie teraz. Powiedzieli, że to częste przypadki: kilkunastoletnie córki znikają, a potem wracają do domu.

Marie Pritchett, dziewczynka z gazety, nie wróciła.

Val wstała. Spojrzała na drzwi pokoju Hannah. Plakat Skończyć z doświadczeniami na zwierzętach odstawał. Odlepił się jeden róg, wkrótce całość odleci.

Poszła do gabinetu. Przeczyta faks, zatelefonuje do pracowni, do Therese i otwarcie powie jej, co się wydarzyło. Nie była w stanie pracować. Tamta musi podzwonić po klientach, znaleźć jakieś wymówki.

Podeszła do faksu, wyrwała arkusz, który nadszedł. Przez chwilę patrzyła na treść, całkowicie zaskoczona. To nie od architektów. Tekst nagryzmołony dużymi literami — przez chwilę myślała, że to wiadomość od Becky, ze szkoły.

NIE IDŹCIE NA POLICJĘ. 500.000 FUNTÓW DO PIĄTKU I DOSTANIECIE JĄ Z POWROTEM. ALBO JUŻ PO NIEJ. POWTARZAM: ŻADNEJ POLICJI. CZEKAJCIE!

Rozdział czwarty

Po powrocie do domu zastał Val siedzącą obok telefonu. Jego wysoka, olśniewająca żona jakby zmaląła. Miał wrażenie, że patrzy na wyblakłą, odbarwioną fotografię jej osoby. Usiadł obok, objął ją ramieniem. Nawet nie drgnęła, odrętwiała.

— Może to jakiś żart? — zastanawiał się na głos. — Czyjeś chore poczucie humoru? — A może, przyszło mu do głowy, to Hannah, pod wpływem dziwnego pomysłu, by nimi wstrząsnąć, sama wysłała tę wiadomość.

Drżącymi rękami podała mu faks. Rozprostował kartkę na stoliku do kawy. Jego dłonie zdawały się z wosku, zupełnie jakby należały do kogoś innego.

ALBO JUŻ PO NIEJ.

— Nic jej się nie stało. Nie skrzywdziłby jej — powiedziała głosem tak monotonnym, jakby siedząc koło telefonu, godzinami powtarzała te słowa. — Czy coś takiego kiedykolwiek przyszło ci do głowy?

Zastanowił się. — Czy ja wiem? Nie do końca... Może, ale niedokładnie tak. — Nie potrafił ująć myśli w słowa. Chciał powiedzieć: teraz, gdy to się stało, wydaje się jeszcze bardziej niewiarygodne. Słowo kidnaping majaczyło mu gdzieś na granicy świadomości, zbyt nieprawdopodobne, by mogło do niego dotrzeć. Porwania zdarzały się w książkach. Czy to tak właśnie się odbywało — duże litery na miękkiej kartce faksu?

— Nie skrzywdziłby jej — powtórzyła.

— Oczywiście, że nie. Zresztą, może jest ich więcej. Tak byłoby lepiej, czyż nie? — Mężczyzna — jeden — sam na sam z Hannah — wszystko, tylko nie to. — Chodzi im wyłącznie o pieniądze.

— Jak myślisz, to jacyś terroryści? Może z IRA? Chybaby napisali, przedstawiliby się, prawda? A zresztą, czym zawiniliśmy?

— Kim są ludzie, którzy robią coś podobnego? Dlaczego wybrali nas? Dlaczego ją?

Morris potrząsnął głową. Czy to traf losu, jak ta wygrana na loterii? Wkładasz rękę i wyciągasz dziewczynkę? Ich dziewczynkę. Co sprawiło, że ich córka stała się tak przerażająco wyjątkowa?

— Zauważyłaś, by ktoś obserwował dom? — Poczul się idiotycznie, jakby grał postać ze szpiegowskiego dreszczowca. — Śledził nasze poczynania?

Potrząsnęła głową. — Ale przecież nie ma mnie tu w ciągu dnia.

Dlaczego wybrano właśnie ich? Jaki w tym sens? Państwo Green spod numeru dwadzieścia dwa są o wiele bogatsi, i to wyraźnie. Olbrzymi dom, dwa zaparkowane na podjeździe bmw. Mają córkę w wieku Hannah. I ci

Libańczycy z rogu ulicy. I Schoenbaumowie. A państwo Barlowe — basen, wszystkie te luksusowe cudenka. Jaka choroba rozwijająca się w jego rodzinie spowodowała to nieszczęście? Jakaś tajemna zaraza, niszcząca ich od środka? Co złego zrobili, by uruchomić podobny bieg wydarzeń?

Val siedziała obok niego z opuszczoną głową. Nie wyszczotkowała włosów. Bawiła się kosmykami grzywki; pociągała je rytmicznie, niczym mała zamknięta w klatce. Jesteśmy równie uwięzieni, jak nasza córka, pomyślał. Co, na Boga, teraz zrobimy?

— Co teraz zrobimy? — Val podniosła głowę, twarz wyraźnie jej się postarzała. Ponownie spojrzął na faks. Wydrukowany u góry napis głosił: Zakład kserograficzny RKL. Tottenham. Trzeba udać się tam i zapytać, kto dzisiaj rano coś wysyłał.

— Co im powiesz? — zapytała.

— W zakładzie ksero?

— Nie, na policji.

— No tak, policja — reagował z trudem, jakby doznał rozmiękczenia mózgu. Wiedział, że powinien działać zdecydowanie, że Val oczekuje, by przejął prowadzenie. Zwykle to ona kierowała całością spraw — domu i rodziny. Ale przecież to on jest mężczyzną. Tylko że czuł się, jakby mu usunięto z ciała wszystkie kości.

Trzasnęły drzwi frontowe. Zamarli w oczekiwaniu. W korytarzu zabrzmiały kroki, potem ktoś przemówił do kota.

Rhoda, pomoc domowa. Usłyszeli szelest toreb z zakupami, ruch w kuchni. Val rzuciła okiem na zegar. On jakąś częścią mózgu zarejestrował reakcję żony: już druga piętnaście, a Rhoda powinna zaczynać pracę od drugiej. Zwykle o tej porze nie było ich w domu, nie wiedzieli więc, czy pojawia się na czas. Jak dobrze, że Val potrafi jeszcze zwracać uwagę na takie błahostki! Spojrzała na niego: pewnie myśli o tym samym albo, ona także, przez chwilę sądziła, że to ich córka wraca do domu.

— Nic nie mów! — syknęła.

Rhoda weszła do pokoju, popatrzyła na nich ze zdziwieniem. — Zauważyłam samochody. Co się stało?

— Nic! — głośno odrzekł Morris. Od lat jej nie widywał; ich wzajemny stosunek ograniczał się do pozostawianych w kuchni banknotów. Rhoda ufarbowała sobie włosy na śliwkowy kolor; w każdym razie wyglądała młodziej, niż ją zapamiętał. Była dzielną kobietą, samotnie wychowującą syna. Powinien znać jego imię; chłopiec pewnie jest już dorosły. Ale nade wszystko musi zachować zimną krew.

Patrzyła na nich badawczo, z przekrzywioną na bok głową. — Wyglądacie okropnie.

— Chcesz znać prawdę? Złapaliśmy z Val jakiegoś wirusa. Może coś zjedliśmy?

Na pytanie, czy może im jakoś pomóc, oboje przecząco pokręcili głowami. Po chwili na górze zaszumiał odkurzacz. Sądząc po odgłosach, sprzątała pokój Hannah. Jakie niedorzeczne: jakby nigdy nic przesuwiała odkurzaczem tam i z powrotem, zakładając, że życie pozostało takie jak przedtem. Błaha czynność, ale jakże dodająca otuchy: jeżeli Rhoda odkurza, to Hannah pewnie właśnie coś je, przydarzają jej się normalne, codzienne sprawy.

Czuł, że powinien coś powiedzieć, i nagle poraziło go poczucie winy. Kimkolwiek by byli ci nieznani ludzie, wiedzieli, że on faworyzuje pozostałą dwójkę swych dzieci; że z Hannah łączy go słabsza więź. W jakiś sposób zorientowali się, że jest mu mniej droga, mniej jej wybacza. Wyczuli to jakimś specjalnym radarem; namierzyli ją: tę jego wielką, zbuntowaną córkę, w olbrzymich buciorach, które go tak irytowały — nie dlatego, by jej nie kochał (gdybyż tylko mógł jej to teraz powiedzieć!), ale dlatego, że każdy ojciec pragnie, by jego latorośl prezentowała się z jak najlepszej strony i spełniała pokładane w niej nadzieje.

Val siedziała z pochyloną głową; zupełnie, jakby nie widziała nic poza swymi japonkami. Właściwie nie ubrała się. Rzucił okiem na jej gęste blond włosy. Na ulicy w jakimś samochodzie włączył się alarm; nie do wiary — tam, na zewnątrz, ludzie martwili się, że ktoś może ukraść im stereo z auta.

— Morris, nie możemy siedzieć tu beczynn timer.

Za chwilę usłyszymy dzwonek, pomyślał, i Hannah stanie we frontowych drzwiach. To był tylko test, powie, unosząc brwi. Test, na co? zapyta Morris i wciągnie ją do środka. No, jak bardzo mnie kochacie. Ile jestem dla was warta. Morris zamknie za nią drzwi. Nie pleć głupstw. Wiesz, że doprowadzasz mnie do szaleństwa. Zdejmie płaszcz, czy co

tam miała na sobie. Jaką cenę ma Hannah Price*? Zapyta, chichocząc, wydając ten bulgoczący dźwięk, który ostatnio słyszał, gdy przez telefon rozmawiała z koleżankami.

* Price (ang.) — cena.

Dzwonek. Przez chwilę nie poruszali się. Potem Val pospieszyła do drzwi. Zbyt późno. Rhoda, z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami, wprowadziła do środka policjanta, tego samego, który był tu poprzedniego wieczora. Dzisiaj, zgrzany, zdjął kurtkę.

— Przejeżdżałem obok, więc wpadłem. Macie państwo jakieś wiadomości?

— W istocie — odrzekła Val, i już miała przynieść faks.

Morris powstrzymał ją. Położył jej dłonie na ramionach i posadził w fotelu. Stał tak, by ciałem zasłonić stolik do kawy.

— Owszem. — Odchrząknął. — Wie pan, co ta głupia dziewczyna zrobiła? Została na noc u koleżanki. Jakiejś tam. Nigdy nie pamiętam ich nazwisk. — Roześmiał się. Val patrzyła na niego z uwagą, widział to kątem oka. Spojrzał na policjanta jak mężczyzna na mężczyznę. Jak on się do cholery nazywa? Nie zapamiętał. Szefa miejscowej policji, Jacka Palmera, poznał na niwie zawodowej; poza tym przy różnych okazjach spotykali się w Klubie Rotariańskim. Ciekawe, czy Jack wie o tej sprawie.

Val nie spuszczała z niego wzroku.

— Tak, nie mieliśmy racji, to pan słusznie przewidział sytuację. Te dzisiejsze dzieciaki, co z nimi począć? Czy one w ogóle myślą o rodzicach? — gadał, co mu ślina przyniosła na język. — Siedzimy tu i zamartwiamy się, siwiejemy ze zmartwienia — niech pan tylko spojrzy na moją żonę! Dowiedzieliśmy się dopiero co.

— Poszła do szkoły?

Energicznie przytaknął ruchem głowy. — Po powrocie usłyszysz, co trzeba. No, już ja jej powiem, co myślę o takim postępowaniu! — Te dziwne słowa same wypadały mu z ust, nigdy wcześniej w ten sposób nie formułował myśli. Czuł się niczym czytający z tekstu aktor.

Val ze zdumienia aż otworzyła usta. Krawędź szklanego stolika wbijała się w uda Morrisa, gdy przyciskał się do niego, by zasłonić faks. Papier i tak zwinął się w rulonik. Morris całą siłą woli starał się zmusić młodego, postawnego policjanta do odwrotu. Val milcząco poruszała wargami, najwyraźniej chcąc mu coś przekazać, ale mąż nie zwracał na nią uwagi, i po chwili policjant — jak tam się nazywał — już się żegnał: — Cieszę się z tak pomyślnego obrotu sprawy. Co za bezmyślna dziewczyna. Następnym razem dopilnujcie, by zatelefonowała. — Podeszedł do drzwi, przystanął i odwrócił się jeszcze: — Tam na zewnątrz istnieje świat pełen zła.

Morris skinął głową i zamknął za nim frontowe drzwi. Wrócił do saloniku. Val właśnie mówiła do Rhody: — Czy nie pora, byś przyprowadziła Becky ze szkoły? — A służąca spojrzała na zegarek, złapała torebkę i wybiegła na dwór. Drzwi trzasnęły.

— Morris. — Val wydyszała jego imię, świdrując go wzrokiem. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Sądzisz, że powinniśmy włączyć policję? Ten człowiek... ten ktoś... musimy zrobić, co nam każe. Nie rozumiesz?

— Ale policja mogłaby nam pomóc. W końcu są po naszej stronie! Potrafią wysledzić, skąd tamci do nas dzwonią. Przeanalizować pismo. Tak jak w kryminałach. Nie możemy okłamywać policji. Nie widzisz, że w ten sposób sami stajemy się przestępcami?

— Przestępcami? My, kryminalistami?! Jesteśmy rodzicami. Musimy myśleć wyłącznie o Hannah...

— Właśnie o niej myślę. Potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy. Jak się dowiedzą, że ich okłamaliśmy...

— Niczego się nie dowiedzą — oświadczył stanowczo. — Kochanie... policji zależy na złapaniu przestępców. Ryzyko nie ma dla nich znaczenia. Zastawiają pułapkę, a jak coś pójdzie nie tak, jeżeli coś spieprzą... to co stanie się z Hannah? Pomyśl tylko! — zamilkł. — Zresztą lepiej o tym nie myśl.

— Nie zdołamy zebrać takiej sumy. Nie mamy aż tyle. Nie zostawił nam wskazówek, dokąd mamy pójść, co zrobić. To wszystko wygląda na kolosalny bluff. Nie mamy takich pieniędzy!

— To tylko pieniądze.

Spojrzała na męża. — Hej, Morris, to do ciebie niepodobne.

— No cóż, cała ta sprawa do nas nie pasuje, prawda? Jak na nas, jest absolutnie nietypowa.

Wstał, wyrzwał przez okno. Na ulicy, przed domem Malika jakiś mężczyzna ładował worki na furgonetkę. Widniejący na niej napis: Usługi ogrodnicze, Roger i Heather sprawiał wręcz przyjazne wrażenie, ale teraz nie można już było ufać nikomu. Sterczące z worków gałęzie przypominały ludzkie kończyny. Mężczyzna upchnął worki w furgonetce, potem wrzucił jeszcze łopatę i grabie. Czy obserwował ich dom? Przez jedną noc świat zmienił się w miejsce pełne zła. Pod rosnącym po drugiej stronie ulicy cyprysem zatrzymał się wóz marki John Lewis. Mężczyzna, który z niego wysiadł, przez chwilę stał na ulicy; podrapał się w kroku. Morris nagle pomyślał: wysłaliśmy Rhodę, by przyprowadziła Becky ze szkoły, a trzeba było ją zawieźć. Jedno z nas powinno jej towarzyszyć. Wszystko może się zdarzyć.

Val stanęła przy nim. Patrzyła na Bogu ducha winną, rozświetloną słońcem ulicę — ich ulicę, znaną im od piętnastu lat. Czy dla jego żony też stała się teraz nie do poznania? Poczuli od niej zapach potu; nie umyła się, pomyślał zaniepokojony. Zwierzęta, oto czym tak naprawdę jesteśmy. Udajemy kogoś innego, próbujemy nabrać samych siebie. Spojrzał na kraty w oknach, na podniesione żaluzje. Dzisiaj zamknie je i przekręci klucz; przecież jest w stanie utrzymać za dala od nich całe to zło, jakie kryje się w krzakach, w każdym pojedynczym listku. Price Security: jego nazwisko na alarmie

przeciwwłamaniowym chroni jego własny dom. A jednak poniósł klęskę. Z Hannah — jako ojciec — i zostanie ukarany.

— Teraz jesteśmy całkowicie zdani na siebie — stwierdził na głos.

Morris wszedł do swego gabinetu, zatrzasnął drzwi. Poczł intensywny zapach środka czyszczącego. Rhoda już tu sprzątała, nikt nie będzie mu przeszkadzał. Usiadł przy biurku, wyjął arkusz papieru, potem linijkę i narysował kilka kresek. Ten prosty akt na chwilę dodał mu otuchy — czysty papier, czarne linie. I możliwość redukcji chaosu do prostych liczb — dodać, odjąć, zsumować. Zamknął oczy i wyobraził sobie furgonetkę: boczne drzwiczki rozsuwają się i Hannah wnoszą do domu jak jakiś mebel.

U góry kartki napisał: aktywa.

Jakąs godzinę później przechodził przez hol. Val błąkała się po kuchennym lunatyczka, otwierała lodówkę i ponownie ją zamykała. Może rozważała listę zakupów, ale wzrok miała błędny i poruszała się powoli. Jakie to dziwne: tkwią w domu przez cały dzień, jak gdyby ktoś poważnie zachorował. Ich życie zatrzymało się w miejscu, choć świat na zewnątrz zajmuje się swoimi sprawami. Na górze Rhoda odkurzała pokoje. Z włączonego w salonie telewizora dobiegały dźwięki muzycznego tła „Sąsiadów”.

— Powiedziałaś już Becky?

Potrząsnęła głową. Na dźwięk telefonu oboje aż podskoczyli. Dzwoniono do Val, z pracowni. Następny sygnał: Malcolm chciał sprawdzić pewne pozycje.

— ...uaktualnienie ich systemu telewizji przemysłowej, szesnaście punktów sprzedaży detalicznej... — informował. — ...nadzór nad Aylesbury Industrial Park... przedłożyć ofertę dla kompleksu sportowego, pamiętasz? — mówił dalej, coś o kontraktach dla trenerów psów. Malcolm był najbliższym kolegą Morrisa. Zdawało się wręcz niemożliwe, że nie wiedział, co się dzieje, ale przecież takie sprawy nigdy im się nie przytrafiały. Malcolm był żwawym, łysiejącym mężczyzną, obdarzonym roslymi synami. Prowadził miejscowy klub dla młodzieży; grał w futbol. O ile Morrisowi było wiadomo, nigdy nie dotknęły go żadne życiowe tragedie.

Zadzwońiła też Avril, asystentka Morrisa. Pracowała z nim przez wiele lat. Obdarzona większą intuicją od Malcolma domyśliła się, że stało się coś niedobrego.

— Znowu kłopoty z żołądkiem, kochaniutki? — lubiła się nad nim rozczulać. — Masz taki mizerny głos.

— Nic mi nie jest — odparł.

Val oznajmiła, że powinna wysłać faks do dostawców materiałów i pozabawić mnóstwo innych spraw, ale zdawała się zbyt odrętwiała — ta jego dynamiczna, energiczna żona! Jej bezwład przerażał go. Ich przyjaciółka, Ruthie Silverman, nazwała kiedyś Val super kobietą: dom, praca, dzieciaki, co za energia! Powinnaś zgromadzić ją w słoiku. I gdzie — akurat w chwili, gdy jest potrzebna — podziła się ta super kobieta?

Val siedziała przygarbiona, wpatrzona w telefon.— Sprawdziłeś faks? — zapytała. — Jest dość papieru?

— Sprawdziłem.

Nasz świat skurczył się do faksu i telefonu, pomyślał. Całkiem możliwe, że pójde do sklepu kupić papier, żeby porywacz naszej córki mógł się z nami skomunikować. Może ten świat zawsze był obłąkany, a ja dopiero to sobie uświadomiłem.

— Valerie, kochanie, musimy porozmawiać o pewnych cyfrach.

Tego wieczoru zrelacjonowali sytuację dzieciom, zobowiązując je do zachowania tajemnicy. Morris niechętnie się zgodził, by Becky poznała prawdę — taka z niej gaduła! — ale Val nalegała. Aż przykro było patrzeć, jak jego młodsza córka stara się jak może nie okazać podekscytowania.

— Okropne! — oznajmiła z błyskiem w oczach. — Nie mogę nawet powiedzieć Jude?

— Wykluczone!

Urażona, zacisnęła wargi. — Powinni byli porwać mnie, ja nie mam żadnych egzaminów... — przerwała. — Choć to jeszcze nic poważnego, prawdziwe egzaminy, te na poziomie „A”, czekają ją dopiero w przyszłym roku... Naprawdę nie mogę powiedzieć przynajmniej Jude, jeżeli obieca, że się nie wygada?

— Nie!

Theo zareagował inaczej. Po pierwszym szoku, wydawał się zły na Hannah, jakby to stało się z jej winy. Najwyraźniej bardziej niepokoił się z powodu pozostałych członków rodziny. Tak siedli do namiastki obiadu — rozmrożonej w mikrofalówce mussaki. Morris, nie wiedząc, do jakiego stopnia rodzina upora się z sytuacją, kto się załame, a kto lepiej zniesie stres, czuł się wielce osamotniony. Ale i on sam nie miał pojęcia, jak będzie sobie radził, z minuty na minutę wpadał z jednego krańcowego nastroju w drugi, co napępniało go przerażeniem.

— Nie wyobrażam sobie, jak mógłbyś zgromadzić taką furę pieniędzy — stwierdził Theo. — Spłukałbyś się do nitki.

— Czyż ona nie jest tego warta? — warknęła Val.

— A ja będę musiała iść wtedy do państwowego ogólniaka? — zaniepokoiła się Becky, która od jesiennego semestru miała uczęszczać do szkoły Hannah.

— Czy nikt z was nie pomyśli o tym, co dzieje się z nią? — Val energicznym ruchem otworzyła drzwi zmywarki i zabrała się do układania w niej talerzy z obiadu.

— Może dlatego, że to wszystko wydaje się takie nierealne — próbował wyjaśnić Theo. Ku ogólnemu zdziwieniu wstał od stołu, by pomóc matce. — Jak u Hitchcocka.

— Albo w powieści przygodowej — poparła brata Becky. — W książce, którą właśnie czytam, jedną dziewczynę zamknęli w piwnicy, związali ją...

— Zamknij się! — głos Val zabrzmiał przenikliwie.

Zapadła cisza, zakłócona jedynie trzaskiem klapki, gdy do domu wszedł kot, jedyny obojętny członek rodziny. Trwali tak, każdy zatopiony we własnych myślach.

Milczenie przerwała Becky: — Będzie się strasznie denerwować, nie wzięła ze sobą tego swojego specyfiku na pryszczę.

Val rozpląkała się. Becky także wybuchła głośnym szlochem. Theo pochylił się, ukrył twarz; pogłaskał kota. Morris już wstawał, chcąc ich pocieszyć, gdy zadzwonił telefon.

Zamarli. Z jakiegoś powodu — nikt nie potrafiłby go określić — wszyscy wiedzieli, że to ten długo wyczekiwany sygnał. Morris rzucił się do saloniku i podniósł słuchawkę. Usłyszał dochodzący z oddali szum przejeżdżających samochodów.

— Dostałeś faks? — zapytał kobiecy głos.

— Gdzie jesteś? Co z nią zrobiłaś?

— Nic jej nie jest — powiedział głos. Nijaki, jękliwy. Essex Marshes. Był tego pewien, sam przecież pochodził z Hackney. — A więc zawiadomiłeś policję?

— Nie. — W uszach słyszał bicie własnego serca; i nikły dźwięk sklepowego dzwonka — pewnie telefonuje z budki. — Skąd wziąć pewność, że ją macie?

— Dowiedcie się jutro. A jak wy, poczyniliście przygotowania? No wiesz, co do pieniędzy.

— Do cholery, nie miałem dość czasu! — Stuk podnoszonej słuchawki drugiego aparatu.

— Co to? — zapytał ostro głos.

Ktoś pewnie poszedł na górę, by posłuchać rozmowy. Poczł muśnięcie gorącego oddechu Val, przysuwającej twarz do słuchawki. — Jutro udam się do dyrektora mojego banku.

— Lepiej tak zrób, do cholery!

Val odepchnęła go, wyrwała mu słuchawkę. — Chcę z nią porozmawiać! Muszę wiedzieć, że nic jej się nie stało!

Połączenie zostało przerwane. Val odłożyła słuchawkę. Morris spojrzł na dwie przybliżone do niego twarze — oddech Becky pachniał gumą owocową.

— To była kobieta — stwierdził.

Chwila milczenia. Theo zszedł na dół — to on podsłuchiwał na górze. Kobieta — tego nie brali pod uwagę. Kobieta chyba nie wyrządziłaby krzywdy dziewczynce? Niemożliwe. Val przechowywała biżuterię w szkatułce schowanej pod bielizną. Gdy Morris wszedł na górę, siedziała odrętwiała na podłodze. Pewnie przeglądała błyskotki, zastanawiała się, jaką mają wartość. Teraz czytała coś w starej gazecie, użytej na wyściółkę szuflady.

...matka Alice Felhalm, dwunastoletniej ofiary wypadku samochodowego, podała, że zaledwie kilka godzin przed wypadkiem radośnie bawiły się z córką na śniegu w Victoria Park. Pani Felhalm powiedziała: — Uczyłam ją, jak odcisnąć na śniegu anioła; należy położyć się i ramionami, niczym skrzydłami, przesuwając wzdłuż ciała, w górę i w dół. Gdy się wstanie, na śniegu pozostaje odcisnięty wzór anioła. — Matka ofiary ponownie poszła dzisiaj do parku; na śniegu wciąż widniały pozostawione przez jej córkę ślady. Kontury śnieżnego anioła nadal rysowały się wyraźnie.

Val pochyliła głowę nad komodą.

Następnego ranka Morris zszedł na dół sprawdzić listy. Na macie leżała koperta zaadresowana do Hannah Price. Rozdarł ją. Zawierała bilety na występ Nipple Factory w Underworld Club. Częściowo jeszcze zachowawszy zdolność rozumowania, po adnotacji na odcinku kontrolnym zorientował się, że Hannah użyła karty Visa swej matki. Pospiesznie przejrzał pozostałą korespondencję. Ostatni list, zaadresowany do WP Price zabrał do kuchni i dopiero tam otworzył. Coś z brzękiem wypadło na podłogę. Na poliniowanej kartce wypisano dużymi literami:

PIĄTEK W POŁUDNIE. UŻYWANE BANKNOTY. ŻADNYCH SZTUCZEK. BĘDZIEMY W KONTAKCIE.

Przez chwilę stał nieruchomo, trzymając papier dwoma palcami — wskazującym i kciukiem, jakby miał do czynienia z czymś skażonym. Potem schylił się i podniósł z podłogi mały, błyszczący przedmiot.

Kolczyk z nosa Hannah — dotarło do niego w następnym momencie.

Rozdział piąty

Mógłbyś zacząć od początku? — poprosił Dennis. Patrzył na Morrisa znad okularów.

Ten ponownie przedstawił mu swą prośbę. Podał mu kartkę papieru.

— Zaskoczyłeś mnie — oświadczył Dennis. Przyjaźnili się od wielu lat; razem chodzili do szkoły w Stamford Hill, siedzieli obok siebie w synagodze. Okłamywanie starych przyjaciół jest niezwykle trudne, gdyż ich osoby wiążą się z naszymi rodzicami, z dzieciństwem, z latami, gdy kłamstwo oznaczało nieuniknioną karę.

— To do ciebie niepodobne — dziwił się Dennis — nic a nic. — Spojrzał na leżącą przed nim kartkę. Nastąpiła długa chwila milczenia.

Wreszcie napisał coś swym ciasnym pismem, nie zmienionym od lat. Val twierdziła, że Dennis to wygląda, jakby cierpiał na zatwardzenie. Dotąd Morris zawsze mu współczuł: Dennis poddał się naciskom życia i zajął bankowością; miał chorą na depresję żonę. Teraz jednak, w tym wyłożonym boazerią gabinecie Morris poczuł się mały i wystraszony — Dennis trzymał w dłoniach jego los; gdyby tylko wiedział!

— Poważnie sugerujesz, byśmy pożyczyci ci tę sumę pod zabezpieczenie twojego domu?

Morris przytaknął ruchem głowy. Rozbolał go żołądek — z nerwów, ze strachu. Włożył do ust tabletkę Rennie.

— Mówimy o poważnych liczbach — kontynuował Dennis.

— Muszę kupić nowy towar. I to zaraz. Natychmiast. Powinieneś zrozumieć, zamówienia na taką skalę...

— Posiadasz odnośną dokumentację?

— Z tym będzie problem — przyznał Morris. — Sprawa jest, no cóż, nieoficjalna. Powiedzmy, że zaangażował się w nią rząd pewnego kraju z Bliskiego Wschodu. Mnie tam obojętne, czy przedsięwzięcie zostanie nagłośnione czy nie, ale partycypują w nim jeszcze inne osoby.

— I tak bez uprzedzenia? Powiem ci szczerze, Morris, przyjacielu, twoje metody prowadzenia interesów zaskakują mnie. Sądzisz, że ci ludzie są godni zaufania?

— Nie znasz ich. Oni chcą mieć wszystko na wczoraj. Nie dostarczymy? Znajdą wielu innych chętnych.

— Ale ryzyko — niemałe!

— Daj spokój, Dennis. — Morrisowi kleiło się w ustach; połknął resztę miętówki. — Przecież znasz nasze obroty.

Tamten skinął głową. — I jak to świadczy o świecie, w którym żyjemy? Zajrzyj do gazet, i co tam widzisz?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W głowie Morrisa szalało pytanie, którego nie mógł zadać Dennisowi: w jaki sposób, nawet gdyby otrzymał tę kwotę, zdoła wynieść ją w gotówce? Jak fizycznie zebrać na czas sumę, o jakiej rozmawiali?

— To dla mnie być albo nie być, Dennisie.

— Muszę porozumieć się z centralą. Zapewne zapytają o to samo. Chyba wiesz, że stawiam na szali swoją posadę. A co z wyceną domu?

— Potrzebuję tej forsy natychmiast. Pod koniec tygodnia. Nie ufasz mi?

Dennis wzruszył ramionami, uniósł ręce i głosem a la Fagin zapytał: — A komu można dziś ufać, mój drogi?

Było im coraz ciężej, wręcz nie do zniesienia. Zupełnie jakby Hannah umarła. Jakby zamknięto jej usta, a wiadomości, jakie chcieli jej od siebie przekazać, pozostawały, zawieszzone, w ich głowach.

Zadzwoił telefon. To Emma, ze szkoły. — Czy z Hannah wszystko w porządku?

— Niestety, nie możesz z nią rozmawiać — tłumaczyła dziewczynce Val. — Śpi, chyba złapała grype.

Odkładając słuchawkę, poczuła mdłości. Kłamać o Hannah, to jakby znowu popełniać wobec niej zdradę, czym jeszcze oddalała się od córki, czyniła ją bardziej nieosiągalną. Koniecznie musi wziąć się w garść i wymyślić jakąś historyjkę. Tylko skąd wziąć na to energię?

Telefon podrywał ją niezliczoną ilość razy. Przedsiębiorca budowlany z Islington potrzebował nowych ustaleń, jak ma układać legary. Co za legary? Tapicerzy nie dostarczyli jakichś materiałów. Szum w słuchawce, niczym brzęczenie komarów drażnił uszy. Ale musiała odbierać wiadomości. Siedziała tak w nieskończoność, wpatrzona w czarny aparat — z zamkniętymi oczami potrafiłaby opisać każdy detal lśniącego telecomu triumpha. Od czasów, gdy była młoda i zakochana, nigdy ten sprzęt nie przyciągał jej wzroku tak jak teraz. Nie pamiętała, by kiedykolwiek doznała równie potężnego uczucia intymności, gwałtowniejszego od wszelkich przeszłych namiętności. Gdyż głos, który najbardziej ze wszystkich pragnęła usłyszeć, należał do kogoś całkowicie nieznanego. Jej wroga; obecnie najbliższej jej istoty.

Morris pojechał do banku. Nie mogła wyjść z domu, także zamknięta w pułapce. Spojrzała na leżący w popielniczce kolczyk z nosa. Nigdy dotąd nie przyjrzała mu się z bliska, nie zauważyła motylkowego zapięcia. I pomyśleć tylko: ktoś, kogo nigdy nie widziała, kto do niedzieli zupełnie dla niej nie

istniał, kto mógłby być mijanym na ulicy przechodniem, swym zupełnie przypadkowym czynem wtargnął w samo serce jej rodziny i z nich wszystkich uczynił zakładników. Siedziała odrętwiała, a przerażenie spalało jej wnętrze. Oczywiście, wcześniej poznała już, co to strach, ale nigdy dotąd tak mocno go nie odczuwała. Właściwie nigdy naprawdę się nie bała.

Nogę stołu wyszorowano do czysta — zapewne dzieło Rhody. Po naklejkach poczty lotniczej zostały tylko białe ślady.

W koszarze sennym znajdujesz się pod wodą, próbujesz się wydostać. Miotasz się na ślepo, ale nogi poruszają się wolno, z wielkim trudem. W istocie całkowicie odmawiają ci posłuszeństwa. Wiesz, że musisz tam dotrzeć, i to szybko, inaczej stanie się coś strasznego. I już zaczyna się dziać. A czasu tak mało, woda taka ciężka! Coraz, coraz cięższa... poruszasz się wolniej i wolniej... jaką odległość zdołałaś pokonać? Zaledwie trzy dni...

Trochę później tego samego dnia Morris ponownie udał się do banku. Wykonał kilka następnych telefonów; umówił się na spotkanie z dyrektorem oddziału swej firmy w Watford. Teraz już niemal sam uwierzył we własne kłamstwa. A nawet czuł się jak przestępca. Zarobił mandaty za parkowanie — pojawiły się na samochodzie — on, Morris, zazwyczaj taki uważny. Sama wysokość kwoty, o którą zabiegał, sprawiła, że stał się nieostrożny, a nawet przez krótką chwilę poczuł się całkowicie beztroski. Cóż, raz kozie śmierć, wóz albo przewóz. Zatrzasnął drzwiczki samochodu i nastawił radio głośniej. Ryknęła muzyka. Zdawało mu się, jakby zaczynał rozkładać swe życie na części, jedna po drugiej. Prawie nie zauważał piękna tego słonecznego dnia. Kawiarnie zapełniły się jedzącymi lunch, na ulicach spacerowały kobiety, pchając wózki. Morris zupełnie utracił poczucie czasu, a jednak godziny trzymały go w swych kleszczach. Rozwijały się przed nim niczym pas transmisyjny, na którym wciąż tracił równowagę.

Przed laty Val spojrzała na niego znad książki, którą właśnie była zajęta; gdy ją poznał, wiele czytała. — Jedyne, co usprawiedliwia Boga, to fakt, że On nie istnieje.

Zrozumiał dopiero po chwili. — Tak uważasz?

— Sama nie wiem.

— Przecież tak powiedziałaś. Wskazała na książkę. — Nie ja, Stendhal.

Pojechał do Watford; miał spotkanie w swoim banku. Później zrobił coś, co raczej mu się nie zdarzało: zatrzymał się przy jakimś pubie i zamówił podwójną szkocką. Potem wsiadł z powrotem do samochodu i ruszył do domu; mijał ciche, skąpane w słońcu budynki. A jeżeli to żart? Idiotyczny, makabryczny dowcip, kara za utratę wiary, za to, że nie cierpiałem tak, jak kiedyś cierpieł

moi krewni. Ta historia nie zaczęła się w tym tygodniu; jej źródła należy szukać na początku wieku na Litwie, wśród moich przodków. Ponoszę karę, gdyż przeżyłem, co nie udało się mojemu wujkowi i ciotce. Jak mogłem wierzyć, że mi się upiecze?

Potrząsnął głową, próbował uporządkować myśli. Czyżby zaczynał tracić zmysły? Jak można doszukiwać się związku między nazistami a tym nosowym głosem z Essex? Włączył radio: „...ciało dwunastoletniej dziewczynki...” Wyłączył je. Jechał w stronę Stanmore. Zastanawiał się, czy objechać rondo... zmienić bieg na drugi... zjechać w Ridgeway... przejechać obok posiadłości Silvermanów, sprawdzić, czy już likwidują wybrzuszenie drogi, zwrócić uwagę na zwykłe rzeczy...

Wezbrała w nim furia — fala rozgrzanej do białości nienawiści. Ta kobieta, jak ona śmiała ukraść mu córkę, rabować zarobione przez niego pieniądze; jak mogła uciec się do podobnej przemocy! Przez dwadzieścia cztery lata harował dniami i nocami, by zapewnić swym dzieciom przyszłość; czy ona naprawdę sądzi, że może sobie to wszystko zabrać, ot tak? I wierzy, że jej się uda, że ujdzie jej to bezkarnie?

Zajechał pod dom. Pulsowanie w głowie przybrało na intensywności. Wszedł do środka. Już otwierał usta, by powiedzieć: Zmieniłem zdanie. Zawiadomię policję. I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Val wybiegła z kuchni, gdy podnosił słuchawkę. Tak, ten sam głos.

— Już masz?

— Do piątku nie da rady — odrzekł. — Nie w moim banku... jak mogą mi tak pożyczyć tyle, co wartość domu? Wiesz, co to znaczy? Muszę rozpatrzyć inne możliwości. — Informowanie kompletnie nieznanym osobie o swych zasobach finansowych wydawało się jakoś dziwnie dostarczać tematu do konwersacji. — Muszę otworzyć kilka kont bankowych, jednak zrozum, że...

— Jak ona się czuje? — syknęła Val.

— ...taki depozyt można wyjąć dopiero po upływie pięciu dni roboczych, ale wtedy wyłania się problem z taką gotówką...

— Dobra, dobra. Macie czas do soboty. — Wyłączyła się.

W kopercie, która pojawiła się następnego ranka, znaleźli złote kolczyki — kółko, niedźwiadek, półksiężyc. Kolczyki Hannah, oczywiście, ale Morris nigdy dotąd nie podchodził do córki na tyle blisko, by móc im się przyjrzeć. Teraz, luzem, zdjęte z jej ciała, trzy drobiazgi leżały na jego dłoni niczym klucze do bajki z zakończeniem spowitym w ciemnościach. Otrzymali także wiadomość.

Błagam! Mówią, że jeżeli im nie zapłacicie do soboty, przyślą wam moje kolczyki z drugiego ucha, ale tym razem ich nie zdejmą. Błagam błagam BŁAGAM!

Pismo Hannah.

Kiedy to się zdarzyło? W której chwili została, niczym Persefona, wciągnięta w ciemność? W jakim momencie wyrwano córkę z jej własnej, całkiem banalnej niedzieli i wrzucono do innego wymiaru — do podziemnego, nieznanego świata, krainy wręcz nie do wyobrażenia? Val przecież powinna była odebrać jakiś sygnał — powiew wiatru poruszający papiery na biurku, pisk komputera. Niezwykłe stuknięcie w silniku samochodu, kiedy wracała z pracowni do domu. Jeżeli sama niczego nie wyczuła, czego mogła spodziewać się po niemych maszynach?

— Niczym Persefona — najwyraźniej powiedziała na głos, gdyż Morris zapytał: „Kto? Kto taki?” Zdawał się zaskoczony; może nigdy nie słyszał o Persefonie — szkołę opuścił w wieku szesnastu lat — a może żona wyciągnęła go na moment z tego przerażającego miejsca, które odwiedzali teraz oboje, tyle że osobno, nie mogąc się zmusić do wymiany doświadczeń. Ten ich własny, podziemny świat.

Wiedział, co należy uczynić. Pojechał sześć mil do Herdfordshire i zaparkował samochód na zwykłym miejscu. Przez całe życie zostawiał go tu każdego dnia. Jakże banalne wydawały się te jego dawne zmartwienia! Spojrzał na budynek: Price Security Systems. Od lat nie przyglądał mu się uważnie. Obdrapane cegły; zakratowane okna. Paskudna buda, ale uwielbiał ją. Tyle że właśnie uświadomił sobie granicę swego przywiązania; w duchu gładził palcami ceglane ściany, jakby pieścił policzki kobiety, z którą trzeba się pożegnać.

Przeszedł przez parking, wszedł do pomieszczenia recepcji. Irenę, z papierosem w ustach, zmieniała układ broszurek. Obrzucił je wzrokiem. SECURITY... kiedyś, jeszcze jako chłopiec, w nieskończoność powtarzał jakieś słowo, aż zmieniało się w bełkot. Security... Security...

Pozdrowił Irenę; korytarzem udał się do swego gabinetu. Za szklanym przepierzeniem krzątała się Avril — dobra, macierzyńska Avril o miedzianych włosach, w szklach w rogowej oprawie. Pracowała z nim przez dwadzieścia lat; pod niektórymi względami znała go lepiej niż żona.

Avril otworzyła łączące ich pomieszczenia drzwi. Miała na sobie ten swój szmaragdowozielony żakiet, z broszką w kształcie niedźwiadka wpiętą w kłapę. Na jego widok aż zamarła. — Okropnie wyglądasz, może filiżankę herbaty?

— Czy Malcolm jest gdzieś w pobliżu?

Skinęła głową.

— Mogłabyś poprosić go, kochana, by do mnie wpadł?

Val objęła męża ramionami. Przyłgnęli do siebie w łazience; złączeni, kołysali się rytmicznie. Wokół nich unosiła się para z wanny. Wokół nich rozpadał się ich świat.

— Kocham cię za to — powiedziała wtedy. — Prawdziwy z ciebie mensch. — Prawie nigdy nie używała jidysz. Odsunęła się i spojrzała na niego. Pogłaskała go po lekko łysiejacej głowie. — Czy już ci mówiłam, że cię kocham?

Nie mówiła, w każdym razie od wielu lat. Jakby nigdy nie było na to odpowiedniej chwili. A teraz czas im uciekał; wzięła go w ramiona, i patrzyła na niego wzrokiem takim, jak kiedyś, bardzo dawno temu.

— Poradzimy sobie — oświadczyła. — Już byliśmy biedni, pamiętasz? W latach siedemdziesiątych. — Pocałowała go w czoło. — Wszystko, czego potrzebujemy, to miłość. Wszystko, czego potrzebowałeś, to miłość. Byliśmy szczęśliwi... i znowu będziemy, jak wtedy...

Stojąc na łazienkowym dywaniku, kołysali się, bez słów, mocno przytuleni. Za oknem, w mroku, wiatr poruszał wiadomością przypiętą do drzewa. Gdzieś w dali, za Stanmore, już w innej dzielnicy, miauczał zagubiony kot. I gdzieś, w ciemnościach nocy, ich córka może już śpi. Czeka na obudzenie pocałunkiem ich pieniędzy.

Pieniądze, a cóż to jest? Wzruszasz ramionami — pieniądze to abstrakcja, jak eter. To wiatr w twoich włosach; sen po śnie; zwielokrotniony sen. To przyjemność, wyszarpnięta z powietrza palcami — Kelner! Taksówka! Tak, teraz! Natychmiast. A także — czemu nie? I — co jest, u licha? I świadomość, że w twoim zasięgu znajduje się to, co osiągalne, a w twojej zdolności pojmowania to, co pojmowalne. I do tego możliwości, gdyż wszystko jest możliwe. Nagryzmołony podpis na bankowym czeku. Nic... i wszystko... to, co z tym zrobisz...

Boże, ależ to ciężar. Wypełnia mu teczkę, dwie torby na zakupy. Niosąc równowartość — cenę swej córki, szedł do samochodu objuczony niczym gospodyni domowa. Po powrocie do domu wstawił torby do swego gabinetu. Weszła Val, zamknęła za sobą drzwi. W domu panowała cisza; wolny dzień Rhody. Piątek po południu.

Stali wpatrzeni w torby. Val przyklękła i zajrzała do jednej, starannie unosząc mały palec. Banknoty pięćdziesięciofuntowe, ściśnięte banderolami. Ogarnęła ją fala niemal seksualnego podniecenia. Wyglądały na fałszywe, jak rekwizyty w drugorzędym filmie. I wciąż nierealne, wręcz zmusiła się, by

poczuć ich znaczenie, posiąść tę chwilę. Nie umiała umiejscowić jej w swoim życiu. To klęczenie, te niezwykle zabiegi — to coś zupełnie nowego. Może dlatego, że do tej pory nigdy nie mieli potrzeby sprzedania czegokolwiek wartościowego, niczego, z czym ciężko byłoby się rozstać — biżuterii, jednego z samochodów, komputera, który podarowała Becky w przypiływie hojności. A jednak, gdy mijały minuty — ich tykająca bomba — Val miała uczucie, jakby ściany wokół niej stały się cieńsze, a torby jeszcze cięższe. Stały tam niczym rakowata narośl na zaczynającym już ulegać rozkładowi ciele.

Val i Morris trwali w ciszy domu, czekali na instrukcje. Val nie wyjawiała na głos swych wątpliwości; pragnęła, by ją chronił. Nie powiedziała: nawet gdy ten koszmar się skończy, nasze kłopoty dopiero się zaczną.

Rozdział szósty

W piątek Theo został u nich na noc. Spali niespokojnie, niczym żołnierze przed bitwą pod Agincourt. Hannah zdawała się, nieważka, błędzić od łóżka do łóżka, dodawać im odwagi. Czuli na policzkach jej oddech. Tej nocy, choć jawiła im się bardziej namacalna, pozostawała całkowicie nieosiągalna; niczym miraż rozpływała się i na nowo przyjmowała kształt.

Dzień wstał perłowym, mglistym świtem; z trawnika unosiła się para. W powietrzu wisiała zapowiedź upału. Val przygotowała dzbanek herbaty. Do swojego kubka wsypała kilka łyżeczek cukru. Dotąd, nim nadszedł ten tydzień, nigdy nie słodziła herbaty; teraz jej metabolizm uległ zmianie. Jadła mało, gdyż jedzenie przyprawiało ją o mdłości, ale herbatę piła mocną i słodką, taką, jaką w szpitalu proponują bliskim ofiar wypadku. Zasiadła przy kuchennym stole; czekała. Stuk klapki skrzynki na listy, szelest przypominający dźwięk wydawany przez opadające liście. Poszła po listy — niczego nie dostarczono.

Szuranie stóp na podeście na piętrze; szum spuszczonej w klozecie wody. Na zewnątrz, na ulicy, rozpoczynała się letnia sobota. Trzy ćwierknięcia zdalnie otwieranego samochodu; Lynda z sąsiedniego domu wybiera się do Sainsbury's. Zazwyczaj Val też by się tam udała, by załatwić sprawunki, zanim pojawi się tłum. Jak ślepa krzątałaby się przez cały dzień, nie widząc otchłani rozstępującej się pod jej stopami ani ręki wychylającej się, by złapać ją za kostkę. Tam, w dole... ziemia mogła rozsunać się w każdym momencie i nikt niczego by nie zauważył. Czy to nie nadzwyczajne?

Mijały godziny — dziewiąta... dziesiąta. Niespokojnie kręcili się po domu, nie mogli usiedzieć w miejscu ani zabrać się do jakiejkolwiek sensownej czynności. Val zgrabiła suche liście paproci. Żadne nie ważyło się korzystać z telefonu, by nie blokować linii. List, faks, telefon? Jej dom stał się nagle konstrukcją wzniesioną z lichego materiału, składającą się z samych dziur — niebezpiecznych otworów, przez które mógł w każdym momencie wsączyć się rozkaz, by wyszli ze swego życia i rzucili się w wir niewyobrażalnych działań.

Później, spoglądając wstecz, zapamiętała ten poranek jako czas najbardziej zastygły z całego tego dziwnego tygodnia. Pomimo kosiarki pracującej na trawniku obok — stary grat na benzynę, który od czasu do czasu zatrzymywał się, niczym tknięty jakąś myślą — zdawało się, że cały Londyn znieruchomiał. Czyżby inni także zastygli w oczekiwaniu? Z pewnością wyczuwali tę przestrzeń, którą pozostawiła między nimi Hannah — dziurę w kształcie dziewczynki, wydrążoną w ich świecie. Val usiadła na łóżku Hannah, zastanawiając się, czy to możliwe, by córka wróciła. Hannah zdawała się

wymieciona nawet z tego wysprzątanego pokoju — wciągnięta do odkurzacza, by już nigdy się tu nie pojawić. Val zapaliła kadzidełko, jakby w kościele zapalała świeczkę w intencji córki. Zdmuchnęła płomyk i patrzyła na ścielący się dym. Mocno zacisnęła powieki: jeżeli wrócisz, jeżeli wydarzy się cud i wymienimy cię za stertę zużytego papieru — jeżeli tak się stanie, zawsze będę umiała określić, co masz na sobie. Dlaczego? Bo od tej chwili nigdy nie spuszczę cię z oka.

Podskoczyła na dźwięk telefonu. Theo pierwszy dopadł aparatu. Po chwili odłożył słuchawkę.

— To ona. Pyta, czy jesteście gotowi. Zaraz nadejdzie faks.

Zbici w stadko, wszyscy czworo obserwowali maszynę. Pomrukując, wyrzuciła papier.

Z początku sądzili, że ktoś pozwolił sobie na żart. Rysunek przypominający mapkę poszukiwaczy skarbów, z x zaznaczającym cel. Drobiazgowy szkic — plan parku z krzakami i ścieżkami. Na krzewach niewiele liści. Faks wysłano z Xerox Copy Bureau na Holloway Road. Pod mapką instrukcja: „Pani Price! Przyjedzie pani sama. Nie żartuję: SAMA!!!”

O jedenastej trzydzieści Val jechała Hendon Way. Przy światłach zwolniła. Upał napierał na dach samochodu, nawet przy opuszczonych szybach duchota była nie do zniesienia. Obok Val na siedzeniu pasażera leżały dwie duże plastikowe torby, do których zapakowali pieniądze. Uchwyty toreb związali sznurkiem. Jakże swojsko wyglądały — zwykłe, sobotnie zakupy. Jedna torba mieściła w sobie cały ciężar ich domu; druga pękała objętością firmy Morrisa. Val wciąż nie mogła uwierzyć, że to zrobił, nadal to do niej nie docierało. By zgromadzić tę sumę, sprzedał swoje udziały w firmie; wynegocjował jakąś olbrzymią, skomplikowaną pożyczkę, by założyć tę kwotę, nim nadejdą pieniądze. Nie rozumiała do końca całego manewru; z trudem powstrzymywała się od płaczu: nie dość, że poświęcił wszystko bez wahania, to jeszcze, informując ją o swej decyzji, zachował dobry, jowialny humor. — To tylko pieniądze. — Ten sam Morris, który marudził, gdy dziewczynki nie zgasiły światła.

Strumień samochodów płynął do przodu. Val przejechała sześć mil dzielące ją od Londynu. Czuła się spokojna, niemal pogodzona z losem. Cała ta sprawa nadal pozostawała nierealna. Okup. Zakładniczka. Kto by w to uwierzył! Energia, z jaką Morris zgromadził pieniądze, była ich jedyną realną czynnością w ciągu ostatniego tygodnia — absolutnie surreального — dla Val kompletnie nie do ogarnięcia rozumem; jakby egzystował osobno, poza nią, całkowicie nie do zaabsorbowania. Jak nedorzeczny — bynajmniej nie zabawny — żart;

nawet pieniądze zdawały się nieprawdziwe. Morris starannie poprzykrywał banknoty ścierkami, poupychał je, by nikt nie mógł dojrzeć, co zawierają torby. Na jednej ścierce widniała podobizna Scenie Buildings w Wessex; za drugą, sztywną szmatką w kwiaty, Val nigdy nie przepadała. I pomyśleć, że wkrótce może posłużyć porywaczom do wycierania noży i widelców; jak to możliwe? Zatrzymała się przy światłach. Nagle poczuła potrzebę wychylenia się z okna i zawołania do mężczyzny w roverze, który stał obok niej: — Wybiera się pan na sobotnie zakupy? Ja jadę wykupić córkę.

Skierowała się w stronę Camden Town. Na widok mijającego ją radiowozu zeszywniała. A jeśli ktoś ją śledzi? Jeżeli nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności jakiś policjant, nie mający z nią nic wspólnego, przypadkowo znajdzie się w tym parku? Tamci będą podejrzewać pułapkę. Jak wiele zależało od tego, czy wszystko pójdzie gładko! Nie wolno jej nawet o tym myśleć.

Zatrzymała się; gdy drżącymi rękami rozkładała plan miasta, dłonie, spocone ze zdenerwowania, kleiły się do papieru. I gdzie podział się ten jej przysłowiowy spokój? Wolałaby, by na jej miejscu znajdował się teraz Morris — w końcu to męskie zadanie. Jednak nie — to matczyzny obowiązek. Wobec samej siebie użyła słowa zajęcie; brzmiało mniej formalnie, w większym stopniu pasowało do soboty, bardziej możliwe do wykonania. Odnalazła na planie wysypisko śmieci, także park, i zjechała do Camden Town.

Rynsztoki zapchane odpadkami. Jakiś człowiek zygzakiem przechodził przez drogę, wrzeszczał na samochody. Zatrzymała renault, zgasila silnik. Jezdnia przed nią lśniła porozbijanym szkłem, rozrzuconym niczym wymiociny; ktoś najwyraźniej włamywał się do stojących przy chodniku aut. Zajrzała za ogrodzenie. Już teraz, w czerwcu, wyschnięta trawa sprawiała wrażenie zmęczonej. Niewielki park cieszył się dużą popularnością. Tu i ówdzie leżeli, opalając się, porozbierani ludzie. Pijacy obsiedli rzędy ławek; na podobieństwo nakręcanych zabawek wznosili — unisono — puszki do ust. Na odgrodzonej ze wszystkich stron siatką przestrzeni dzieciaki kopały piłkę, biegały tam i z powrotem, apatycznie, jakby czekając na przybycie Val.

Wysiadła, zamknęła auto na klucz. Przeszła przez bramkę. Pod drzewami, niczym opadłe płatki kwiatów, zalegały śmieci. Na huśtawce dwaj czarni chłopcy unosili się, jeden w górę, drugi w dół. Może ktoś ją obserwuje. Tylko kto? Czy któraś z tych półnagich, leżących na trawie osób? A może ktoś ukryty za krzakiem. Z pewnością ktoś sprawdza, czy jest sama.

Ruszyła ścieżką, czując się okropnie na widoku. Gdzieś daleko zawyła policyjna syrena. Leżąca na trawie kobieta w bikini przewróciła się na plecy i spojrzała na Val.

— Maxie! — zawołała. — Maxie, chodź tutaj!

Jakieś dziecko krzyknęło w odpowiedzi. Słońce schowało się za chmurą. Krzaki zafalowały. Huśtawka wciąż skrzypiała.

— Hej, proszę pani! Tak, o panią chodzi!

Odwróciła się błyskawicznie: wołał mężczyzna na ławce, o twarzy koloru czerwonej cegły.

— Hej, proszę pani, ma pani trochę drobnych?

Zawahała się. Zupełnie dobrze mogłaby jemu przekazać te wszystkie banknoty; mógł to być on, jak każdy inny. Zamknęła oczy. Rozległa się muzyka... Ściągnął już te łachy i wtedy okazało się, że to Hannah, roześmiana i z jakiegoś powodu znowu w postaci dziecka...

Nagle pochłodziło. Park wracał do życia, ludzie okazywali niepokój. Krzaki wydawały odgłos przypominający dźwięk trących o siebie małych rączek. Po drugiej stronie trawnika rytmicznie skrzypiała huśtawka. Na murze widniał napis: PIEPRZYĆ BNP. Val ruszyła w stronę fontanny, jak automat posłuszny poleceniom. Jeżeli zatrzyma się dla zebrania myśli, zawaha choćby na sekundę, ktoś będzie wiedział. Może ich tu nie ma, może jej nie widzą, ale z pewnością dowiedzą się.

Ładna kiedyś fontanna, z wodą zdatną do picia — obciosany kamień, cztery kurki i talerzyki — od dawna była nieczynna. Służące spragnionym części zapchano śmieciami. Val przystanęła, rozejrzała się. Przybywając z czystego, zasobnego domu, wjechała w podziemny świat, na ziemię niczyją, która zabrała, połknęła jej córkę. Spojrzała na dzieciaki bawiące się w wyznaczonej siatką klatce, na tych koszmarnych dorosłych, na milczącą fontannę — obeszła ją i zauważyła wystające ze śmieci pudełko po papierosach.

Usłyszała, jak szepczą. A może to tylko krzaki? Wyciągnęła zgniecione pudełko po benson&hedges. Zupełnie jak grzebiąca w śmieciach nędzarka. Odwróciła się plecami do parku i sięgnęła do paczki. Srebrzysty kluczyk. Czyż nie miała wcześniej podobnego snu?

Kluczyk do skrytki — numer trzynaście. Jakiś żart? Wyjęła złożony świstek papieru, następną wskazówkę w tym koszmarnym poszukiwaniu skarbu. Przeczytała.

Wzięła torby i ruszyła drogą w kierunku pływalni. Po chwili wyłonił się przed nią wiktoriański budynek w kolorze rdzy. ZOSTAW PIENIĄDZE W SZAFCE. Zapłaciła za wstęp i weszła do środka. Oczy zapiekły ją od chloru; wokół rozbrzmiewały echem głosy kąpiących się, pluskała rozpryskiwana woda. Wszędzie kłębił się tłum. W przebieralni nagie kobiety wycierały się ręcznikami, ściągały czepki z głów. Gdy szły do szafek, ich piersi

podskakiwały, trzęsły się pośladki. Tu i ówdzie kępki łonowych włosów. Kobiety zdawały się pozbawione wszelkiej osobowości; żadnej nie rozpoznałaby na ulicy.

Przystanąła na chwilę, czujna niczym lis. Szczęknęły metalowe drzwi, zaszeleściła zasłonka w rzędzie przepierzeń. Czy to nie tamta? U dołu wysunięte stopy. Wystarczy odwrócić się plecami, a wyłoni się głowa, obserwujące ją oczy. Na karku już miała gęsią skórkę.

Czując się jak na scenie, włożyła klucz do zamka szafki numer trzydzieści. Dłoń jej zadrżała, nie udało się; spróbowała jeszcze raz. Drzwiczki otwarły się. W środku leżał ręcznik i kostium kąpielowy.

WŁÓŻ PIENIĄDZE, KLUCZ ZOSTAW W ZAMKU. WEJDŹ DO BASENU I SIEDŹ W WODZIE CO NAJMNIEJ PIĘTNAŚCIE MINUT. JASNE??

Wcisnęła torby do szafki; musiała je upychać na siłę, tyle zajmowały miejsca. Zamknęła drzwiczki, kluczyk zostawiła w zamku. Rozebrała się. Ubrania już nie zmieści. A niech to! Jeżeli ta osoba jest na tyle głupia, to jak ona, Val, może jej zaufać? Napięta do ostateczności, potrafiła wyczuć, czy osoba, z którą ma do czynienia, jest godna zaufania; rejestrowała najdrobniejszą oznakę braku kompetencji. Jeżeli tamci potrafili spieprzyć taki szczegół, mogą zawieść także pod innymi względami.

— Shane! Unieś te cholerne ramiona!

Odgłos biegnących stóp; zmagania z dzieciakami. Wciągnęła na siebie żółty kostium. Za mały, pił ją w kroku. Czy należy do niej? Do tej kobiety? Co za niesamowita intymność — część garderoby ściskająca także jej ciało! Ubranie zawinęła w ręcznik i zabrała ze sobą.

Zasłony, gdy koło nich przechodziła, falowały, jakby na nie dmuchała. Nie odwróciła głowy. Przeszła nad basen, ześliznęła się do wody. Pływanie należało do nielicznych przyjemności, jakie dzieliła z Hannah. Córka była dobrą pływaczką, w wodzie zmieniała się w istotę pełną wdzięku, zaskakując nawet własną matkę. W basenie gotowało się od ciał. Val popłynęła między nimi, kierując się ku głębszemu końcowi. 15 MINUT. Nie potrafiła określić czasu, gdyż zegar zatrzymał się na 4.43. Dla nich czas także stanął, w zesłą niedzielę. Płynęła leniwą, niedbałą żabką. Może zegar stanął w chwili, gdy porwano Hannah; nic by jej nie zaskoczyło, już nigdy.

Zanurzyła się i obserwowała żółtawe, pozbawione ciał nogi innych pływaków. Nad powierzchnią byli istotami ludzkimi: — krzyczeli, rozpryskiwali wodę. Pod nią, odłączeni od wszystkiego, co znajome, stawali się tajemniczymi stworami. Pod powierzchnią, tam na dole, wszystko mogło się

wydarzyć... Znalazła się przy głębszym końcu. Choć broniła się, zdawała się zasypiać kołysana przez falującą wodę, ciepłą jak łzy, niczym łono... Hannah leżała bezpieczna, zamknięta w łonie Val; a minione lata opadały z niej niczym cieniutkie płatki zgniecionego pęku.

Wyszła z basenu i owinęła się ręcznikiem. Nie miała pojęcia, jak długo siedziała wodzie — czas, przez cały ostatni tydzień dokładnie monitorowany, teraz przestał istnieć. Weszła do przebieralni.

Nikogo. Jakby pomieszczenie opróżniono specjalnie dla niej. Na podłodze butelka szamponu marki Henara. Za nią, z tyłu, syczał prysznic.

Val odwróciła się. Szafka trzynaście była pusta. Otwarte drzwiczki zwisały na zawiasach. Na podłodze pozostał ślad mokrych stóp.

Słaniając się, wyszła z przebieralni. Oślepiły ją promienie słońca. Mokry kostium kąpielowy zawinęła w ręcznik i wepchnęła do kosza na śmieci. Gdy szła przez park, zdawało się jej, że na huśtawce wciąż siedzą te same dzieciaki. Skrzyp, skrzyp, w górę, w dół. Chłopiec unosi się, drugi równocześnie opada. I Val pomyślała: weszłam bogata, wychodzę biedna. Ja poszłam na dno, ktoś poszybował w górę.

Czekali cały wieczór. Nic się nie wydarzyło; telefon milczał. Jak to w sobotni wieczór, do ogrodu napływał zapach przypalonego mięsa. Nowi sąsiedzi — dwa domy dalej — których jeszcze nie poznali, wydawali przyjęcie. Jakaś kobieta zaśmiała się przenikliwie. Ale w ich domu panowała cisza. W pokojach elektroniczne zegary odmierzały mijające minuty. Mury wokół nich jakby znikły; tylko zegary połyskiwały, pulsowały, trzymając wraz z nimi straż. Wszyscy czworo czekali, niewidzącym wzrokiem przeglądając kolorowe wkładki tygodników. W pewnym momencie Val podniosła się i zrobiła im gorącą czekoladę, coś, czego nie pili od lat.

Za dziesięć pierwsza usłyszeli taksówkę. Z pomrukiem zatrzymała się na ulicy. Becky pierwsza wyszła na korytarz. Szeroko otworzyła frontowe drzwi. Pozostali tłoczyli się za jej plecami, spychając ją z progu. Val, przyciśnięta do skórzanej kurtki Theo, poczuła zapach jego płynu po goleniu.

Do taksówki podeszła kobieta w białej sukni. Jej wysokie obcasy stukały na jezdni. Zawołała przez ramię: — To cześć! Ale było przyjęcie! — Wsiadła do auta. — I wesołych snów dla Gryzeldy! — Pewnie jakiś żart, bo roześmiała się, znów ten przenikliwy dźwięk. Wreszcie trzask zamykanych drzwiczek i taksówka odjechała.

Val zamknęła wejściowe drzwi; teraz jeden przez drugiego przepychali się w odwrotnym kierunku. W holu przystanęli.

— Nie przyjechałaby taksówką — stwierdził Morris. — Nie sądzicie?

Nikt mu nie odpowiedział. Jak Hannah wróci do domu — pieszo? Wysadzona z samochodu, który potem przyspieszy i odjedzie w noc?

Val nie potrafiła wyobrazić sobie przybycia córki. Przerazało ją to: jeżeli nie potrafi sobie wyobrazić jej powrotu ani siłą swej woli przyspieszyć dokonania się tego faktu, może wcale nie nastąpi? I czy oni wszyscy nie myśleli podobnie?

— Lepiej idź spać — zwróciła się do Becky. Dziewczynka otworzyła już usta, by zaprotestować.

— Pozwól jej zostać — wstawił się za siostrą Theo. — To przecież sobotnia noc.

Jakże normalnie to zabrzmiało! Sobotnia noc — przyjęcia, zabawa. Późne chodzenie spać, odsypianie następnego ranka, jak wszyscy wokół nich — dziwnie dodające otuchy.

Stali tam, patrząc na wewnętrzną stronę frontowych drzwi. Od lat nie przyjrzała jej się dokładnie. Na samym dole obdrapana farba — to na dźwięk dzwonka ich pies, Stanley, zwykł rzucać się na drzwi. Dla niego każdy odwiedzający był wrogiem rodziny.

I nagle przemówiła Becky. Val, z góry spodziewając się, co usłyszą, w duchu poprosiła ją, by zamilkła.

— A co będzie, jeżeli jej nie wypuszczą?

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

Eva, wieczna buntowniczką, fascynowała Jona swą przebojowością. Kiedyś zwierzyła mu się, że niewiele brakowało, by umarła przy urodzeniu, ale krzykiem i szamotaniem obroniła się przed odejściem w zapomnienie. Na początku, gdy kochał ją tak bardzo, że z trudem oddychał, gdyż ból przeszywał mu pierś, a dusza zdawała się rozpadać na kawałki, w tych pierwszych miesiącach sama myśl o jej wojowniczych piąstkach przyprawiała go o łzy.

Ojca nie znała. Jej matka nie wiedziała, kto nim był. Matki, w połowie Polki, katoliczki o imieniu Małgosia, nie widziała od lat. Ostatnio ponoć mieszkała w Solihull z niejakim Rodneyem, czarnoskórym pracownikiem gazowni. — Jeżeli o mnie chodzi, ją też może sobie gazować — skomentowała tę informację Eva.

Wychowała się w coraz to innych pokojach, wynajmowanych w północnym Londynie. Jak mówiła, w łazienkach wciąż natykała się na obcych mężczyzn. Przez jakiś czas mieszkała w sąsiedztwie targu na Chapel Street, po którym biegała swobodnie — niczym dzikuska — podkradając owoce swymi zręcznymi palcami. Te same, nienasycone dłonie chwytaly go w łóżku, a długie, czerwone paznokcie pozostawiały mu rysy na plecach; przywróciła go życiu po głębokim śnie jego młodości.

Jon był nią całkowicie zauroczony; inaczej nie da się określić stanu, w jakim się znajdował. Jego własne, pozbawione radości dzieciństwo upłynęło w Pinner. Podobnie jak Eva, był jedynakiem. W przeciwieństwie do hałaśliwego otoczenia, w jakim ona dorastała, w jego rodzinie nieszczęścia głęboko ukrywano przed światem. Nawet pijaństwo ojca utrzymywano w sekrecie, jakby słowo to nie nadawało się do wypowiedzenia. Kiedyś Jon próbował zaimponować szkolnym kolegom opowiadaniem o pijackich breweriach ojca, ale jeszcze nie zaczął na dobre, gdy uświadomił sobie, jak bardzo słowo „pijatyka” jest niestosowne w odniesieniu do posepnego, milczącego ojca, który całe godziny spędzał przed telewizorem i jedynie od czasu do czasu wyciągał rękę po butelkę whisky. Termin „cudzołóstwo” także wydawał się nieadekwatny do określenia niewytłumaczonych nieobecności ojca w domu i atmosfery napięcia i smutku, jaka panowała po jego powrocie. Nędza Ewy należała do kategorii egzystencji, której charakterystycznymi cechami były nieodpowiedzialność i wrzaski; w jego świecie nad wszystkim dominowały maniery klasy średniej. Pewnego razu powiedział jej: — Wiesz co? Ty jesteś jak centrum miasta, ja przypominam przedmieścia.

Wyrósł na człowieka ostrożnego i uprzejmego, wyczułonego na narzekania matki, na terkotanie jej głosu, gdy machnąwszy ręką, pograżała się we własnych sprawach. Dorastał wrażliwy na los kobiet; trzymał ich stronę. Może właśnie ta cecha przede wszystkim przyciągnęła do niego Evę. Matce pragnął sprawiać przyjemność dobrym zachowaniem. Jedynym zuchwalstwem, na jakie ważył się jako nastolatek, było usunięcie litery „H” ze swego imienia. Jon brzmiało bardziej malowniczo.

Gdy miał osiemnaście lat, matka umarła. Choć pograżony w bólu, poczuł się nareszcie wolny. Do tej pory spełniał życzenia matki. Teraz zajął się tym, o czym marzył od zawsze: zakończył edukację na maturze i został stolarzem. Zrealizował swą wizję egzystencji uczciwej i prostej; pracy pragmatycznej, w stylu Williamsa Morrisa.*

* **Williams Morris (1834-96) — brytyjski socjalista, rzemieślnik, projektant, pisarz i zecer.**

Przez jakiś czas odczuwał zadowolenie. Przemieszczał się po Londynie starą furgonetką marki Transit i jako podwykonawca rozmaitych firm budowlanych dokonywał drobnych remontów. Ale w ostatnich latach rynek mieszkaniowy popadł w stagnację i firmy budowlane bankrutowały, jedna po drugiej. Pracował dalej na własną rękę, głównie dokonując kuchennych przeróbek i aż do ostatniego roku jakoś udawało mu się wiązać koniec z końcem, ale nadszedł dzień, gdy furgonetka przestała nadawać się do użytku.

Wtedy właśnie poznał Evę. Połączył ich pewien banknot, co wydawało się właściwe, gdy patrzył na tę sprawę z perspektywy czasu. Wybrał się na drinka do Spread Eagle w Islington. Natychmiast wpadła mu w oko — krótko ostrzyżone blond włosy, piegowata buzia. Niemal rozświetlała kąt sali. Emanującą z niej energię wyczuwał na odległość kilku jardów. Ona i druga dziewczyna pochylały się nad kawałkiem papieru; chichotały. Wziął swoją szklaneczkę i usiadł obok nich; tak po prostu, poczuwszy przyływ zuchwałości.

Kartka, którą właśnie uniosła w górę, okazała się dziesięciofuntowym banknotem. — Chcesz popatrzeć na sztuczkę, jaką Królowa odstawia na przyjęciach? — zagadnęła go.

— Najpierw pokażę ci moją — odrzekł. On także wyciągnął dziesięciofuntowy banknot — właśnie dostał wypłatę. Złożył na pół portret Charlesa Dickensa i przycisnął do podobizny Królowej. — Widzisz? To John MacEnroe.

Parsknęła i wzięła swój banknot. Pozaginała końce i złożonymi częściami przesuwiała tam i z powrotem. Nie wierzył własnym oczom: penis wślizgiwał się i wypadał z ust Królowej.

— Fantastyczne! — zawołał. — Daj, ja też spróbuję.

Suwał poskładanym banknotem, w przód i w tył. Dziewczęta śmiały się, rozbawione. Zaproponował im drinka.

— Dla mnie wódka z tonikiem — zarządziła Eva i zwróciła się do przyjaciółki: — Czy przypadkiem nie powinnaś już wracać do domu?

Dziewczyna wstała i wyszła.

— No to upijmy się jak należy — zaproponowała Eva i zabrała się do dzieła. Nie zapamiętał, o czym rozmawiali. Jak zahipnotyzowany przyglądał się, jak jego nowa znajoma wysypuje sobie na dłoń prażone orzeszki. Wrzucała je do ust, a potem powoli, jak kot, oblizywała rękę. Usta miała duże, wargi soczyste. Pod podkoszulkiem z elastycznej koronki wyraźnie rysowały się ciemne kontury sutek. Jego matka nazwałaby ją pospolitą, ale jej już nie było, by mu to powiedzieć. Poza tym, czy dobre pochodzenie wyszło matce na dobre?

Tamtej nocy Eva poszła z nim do domu. Miał mieszkanie nad masarnią w Tottenham; jej wysokie obcasy głośno stukały na schodach; jeszcze dobrze nie zamknął drzwi, a już wzajemnie ścigali z siebie części garderoby. Następnego tygodnia wprowadziła się do niego, przybywając ze swym dobytkiem upchanym w porzewiałej toyocie.

Minał rok. Wcześniej prowadził spokojny tryb życia wśród niemych kawałków drewna. Ona spadła na niego niczym huragan. W tamtych pierwszych miesiącach wciąż jeszcze miała pracę w salonie piękności w St. John's Wood. Jakże zazdrościł ciałom leżącym pod jej zwinnymi palcami! Wracała do domu pachnąca perfumami i zmywaczem lakieru do paznokci. Przynosiła ze sobą egzemplarze Voque'a opatrzone napisami „Wyłącznie dla klientów” i wertowała je, rozwalona na łóżku. Zafascynowany słuchał, jak z pewnością siebie i swobodą rozprawia o kuracjach typu Thalgo i specyfikach do twarzy firmy Glyderm; otwierała przed nim krainę kobiecych czarów. Czasami szedł po nią do salonu. Siedział w poczekalni, wśród sztucznych kwiatów i oprawionych w ramki dyplomów i wypatrywał jej sylwetki za przepierzeniem. W nylonowym fartuchu i białych chodakach wyglądała tajemniczo niczym kapłanka. Ale nie znosiła tej pracy; nienawidziła klientek i nudnej rutyny, i nie mogła się doczekać, by się stamtąd wyrwać. Po powrocie do domu znikwała w łazience, myła się cała, spłukiwała z siebie świat pracy i przebierała się na wypad do miasta.

Oszalała go swym zuchwalstwem. Wychodziła z domu, nie założywszy majtek. Łapała go za rękę, wciągała w swój awanturniczy nastrój. — Wytnijmy jakiś numer! — namawiała. — Przebierzmy się za siostry! — Terminująca w świecie piękności, okazała się mistrzynią sztuki charakteryzacji — wkładała perukę, malowała twarz. Odpowiedziała na jakąś tkwiącą w nim głęboko, dotąd uspioną potrzebę buntu. Zabierała go do pubów, gdzie odgrywali scenki według skomplikowanych scenariuszy: ona transseksualistka, on lekarz, który właśnie przeprowadził na niej operację. Cokolwiek przyszło im do głowy. Byle tylko przerwać nudę. Zawsze niespokojna, bębniła po stole paznokciami, kołysała się, podrygiwała i ciągnęła go w następne miejsce. Uwielbiała szokować; szczęśliwa, gdy spowodowała zamieszanie i znalazła się w centrum uwagi. — Wiesz, kim ty jesteś? — zapytał ją kiedyś. — Damską ekshibicjonistką.

Bywało, że przyprawiała go o zażenowanie sposobem, w jaki flirtowała z innymi mężczyznami, by zmusić go do reakcji. Tak naprawdę, wolałby zostać w domu i oglądać telewizję, z Evą owiniętą wokół niego niczym węgorz, bawiącą się jego włosami. Chciał, by czuła się bezpieczna. Uwielbiał rzeźbić dla niej piękne przedmioty — rybę, łabędzia, kuchenny stółek z najjaśniejszego bukowego drewna. Ale przeżywała go „konserwą”, do tego nie znosiła, gdy używał elektrycznej szlifierki i zaśmiecał mieszkanie trocinami. A więc zrezygnował bez oporu — zafascynowany nią, całkowicie pod jej urokiem.

W marcu wyrzucono ją z pracy.

— To ta krowa Adele rozpowiadała wszystkim, że podkradam drobne z kasy. — Rzuciła się na krzesło. — Chcesz poznać prawdziwy powód? Norman czuje do mnie miętę. — Norman, mąż Adele, kierownik salonu. — Zawsze kręci się na zapleczu, gdy jem lunch, niby sprawdza wyposażenie. No cóż, wczoraj próbował mnie obmacywać, więc dostał w pysk.

— Czy mam tam iść... może pogadam z nim?

Roześmiała się. — Ty? — potrząsnęła głową. — Kij im w plecy. I tak nienawidziłam tej roboty. Te wszystkie żydowskie jędze, traktujące mnie jak śmiecia! Myślisz, że zamierzam trwonić życie na wrywaniu im włosów z brody? Nie ma mowy.

Jon próbował zachować pogodę ducha. W końcu to tylko pieniądze, tak jej powiedział. — Co tam forsa! — roześmiał się. Zapewnił ją, że sobie poradzą.

Tylko że od tygodni nie dostał żadnego zlecenia. W kwietniu zalegali z czynszem już dwa miesiące. Wygasł im przegląd samochodu, ubezpieczenie także. Dostali ostatnie napomnienie z elektrowni; tego wieczora usiadł i podał jej puszkę piwa.

— To wszystko, co mamy do picia?

— Trzeba będzie sprzedać samochód. — Objął ją ramieniem. — Rzuciłem okiem na ogłoszenia w Loot. Dostaniemy za gruchota jakieś czterysta funtów.

— No nie, wyśmienicie! — Odepchnęła go. — I co, będziemy chodzić piechotą? — Wstała i wyjęła szminkę.

— Co robisz?

— A jak myślisz? Idę sprzedać moje ciało.

Wyszła z mieszkania, trzaskając drzwiami. Nie ruszył się z miejsca. Nie uwierzył jej, powiedziała tak tylko, by jakoś zareagował. Lubiła go szokować. Powtarzał to sobie, ale wciąż czuł się nieswojo.

Wróciła pół godziny później. Spod kurtki wyciągnęła butelkę wina. — Tylko bułgarskie — tłumaczyła, jakby już samo wyjaśnienie sprawiało, że wszystko było w porządku. — Francuskie stało za wysoko.

— A gdyby cię złapano?

— Ale tak się nie stało, prawda? — Postawiła butelkę na suszarce do naczyń. — Mam rozumieć, że ty nie będziesz pił?

Nagle poczuł przyływ zuchwałości. Odkorkował butelkę. — Mmm, co za beczelne winko — pociągnął nosem — z winnicy po drugiej strony prawa i porządku.

Roześmiała się. — Za tę cenę, to jakby za darmo.

Odgrzał trochę makaronu; to on zazwyczaj gotował, ona była w tym beznadziejna. Później, w świetnych humorach, pojechali do Camden Town. Wieczór był ciepły, na chodnikach roiło się od ludzi. Patrzył, jak inni ustawiają się w kolejce do bankomatu Midland Bank, i pomyślał: złamałem prawo. Mój żołądek wchłonął kradziony towar.

Jaką granicę przekracza się, przyciskając komuś do pleców broń i uwalniając go od gotówki?

— Hej ty! Eva!

Podskoczył. Ale to nie była policja. Tylko Denise, dziewczyna, która pracowała z Evą w zakładzie.

— Brakuje mi ciebie, Eva. Teraz już nikt z niczego się nie śmieje.

— Odwróciła się do Jona: — A jak twoja muzyka? Jakiś nowy zespół?

— Nie robię w muzyce — zaprotestował. Eva szturchnęła go łokciem w bok. — Już nie, nie całkiem.

— No to czym się zajmujesz? — dopytywała się Denise.

— Zabrał się za nieruchomości — poinformowała Eva.

Denise roześmiała się. — Chcesz powiedzieć, że jest włamywaczem?

— Nie — odrzekła Eva. — Inwestorem.

Po odejściu Denise zaatakował Evę: — Czemu skłamałaś na temat mojego zawodu? Wstydzisz się mnie?

— Po prostu moja wersja brzmi bardziej interesująco.

— Nieruchomości? Interesująco? W każdym razie zmusiłaś mnie do kłamstwa.

— Więcej tego nie zrobię, obiecuję.

— Aha, a niby skąd będę wiedział, czy mówisz prawdę? — próbował cały incydent zamienić w żart. Klepiąc się po kieszeni, powiedział:

— Lepiej sprawdzę, czy wciąż jeszcze mam portfel.

Po powrocie do mieszkania sprawa wciąż nie dawała mu spokoju.

— Co jeszcze powiedziałaś Denise? — zapytał. — Czy zawsze okłamujesz innych?

— Nie znosiłam jej. Była jak wrzód na dupie, bez przerwy głądziła o swoim weselu.

— Nie lubiłaś jej, bo miała wyjść za męża?

Zapamiętał tamten wieczór i tamto poczucie dyskomfortu. Eva przekroczyła granicę. Znajdował w tym coś ekscytującego, ale zarazem także niepokojącego. Kłamała — czy jego też mogłaby okłamać? Kradła bez najmniejszych wyrzutów sumienia, i to mając matkę katoliczkę. Może zresztą tak łatwiej, wyklepie się Zdrowaś Mario i zaczyna na nowo.

Robiła jednak jeszcze dziwniejsze rzeczy, którymi naprawdę go zaskakiwała. Zdawała się zdolna do wręcz niesamowitej nienawiści. Powinien był odebrać tamto ostrzeżenie. Pewnego dnia, wkrótce po tyrtk jak się wprowadziła, znalazł bransoletkę splecioną z włosów.

— Co to takiego? — roześmiał się. — Jakieś voodoo?

— Och, to włosy Louise. Taka jedna krowa, wyszła za faceta, z którym się pieprzyłam. Wpadłam kiedyś do niego i zauważyłam jej szczotkę do włosów. Wyciągnęłam kilka i splotłam.

— Po co?

— Nosiłam na lewej ręce, działa jak urok. Osoba umiera. Popatrzył na nią zdumiony. — I co, umarła?

— Nie wiem. Nie dbam o to. — Kliknęła zapalniczką i podpaliła bransoletkę. — Teraz to już bez znaczenia. Mam ciebie. — Bransoletka skurczyła się; serpentyna czarnego dymu uleciała w górę. — A może się mylę?

Próbował zapomnieć o tej jej infantylnej zazdrości. Czasem jednak przerażała go nie na żarty. Wiele miesięcy przed tym, nim to wszystko się wydarzyło, nim ich życie zmieniło się całkowicie, szli sobie Dean Street, do klubu. Właśnie mijali zaparkowane czerwone ferrari. Eve zatrzymała się,

wyjęła pilnik do paznokci i na masce wydrapała ich inicjały: „JE”. Potem odeszła, chwiejąc się na wysokich obcasach botków, roześmiana do rozpuku. — Jak mogłaś? — oburzył się.

— Bez najmniejszego trudu! — Ze śmiechem przejechała pilnikiem po kracie ogrodzenia. — To łatwizna.

Wszędzie wypisywała ich inicjały, splecione „JE”. Byli przecież sami przeciwko całemu światu, poza sobą nie mieli nikogo. — Zdarzyło ci się iść plażą i podnieść kamień? — pytała. — Widziałeś takie dwa skrecone razem robaki? To my. — Los jest cholernie niesprawiedliwy. Dlaczego inni mają forszę, czym sobie na nią zasłużyli? Eva, niczym dziecko przyciskające nos do szyby wystawy, uderzała piąstką w kraty, które zabraniały jej wejścia do środka i zmuszały do pozostania na zewnątrz, na zimnie. Za tymi zaporami żyły bezpieczne, chronione obce istoty: bogacze. W St John's Wood pudrowała im twarze, w szyje wklepywała wygładzający krem; zamykała w solarium jak w grobie, ściągała wosk z nóg niczym korę z gałęzi. Wiedział o tym, bo tak samo dbała o własne nogi. Wysłuchiwała narzekań na nieuprzejmych kelnerów i nieodpowiedzialne sprzątaczkę. Pochylała się nad bogaczkami, wdychała ich perfumy. Uprzywilejowane, rozpieszczane przez życie kobiety. Błyszcząły, jakby je wypolerowano. W swym różowym kitlu spędzała dni na skraju świata, do którego nie miała wstępu, choć jego istnienie utrzymywało ją w stanie nieustającego podniecenia, rozdrażniało ją. Jak bardzo pragnął jej pomóc! Czasami jej rozżalenie niepokoiło go, innym razem napełniało współczuciem. Nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego, ale czuł się odpowiedzialny; jakby to wszystko była jego wina.

Pewnej nocy leżeli w łóżku, wsłuchani w deszcz strumykami ześlizgujący się po szybie okna. Leżeli w łóżku, bo tylko tak mogli się ogrzać. Opowiedziała mu pewną historię: — Gdy byłam mała, mama co tydzień dawała mi kieszonkowe — gwineę. Kazała mi wrzucać ją do specjalnego, umieszczonego na ścianie metalowego pudełka na pieniądze. Twierdziła, że robiąc tak co tydzień, później będę mogła wyjąć je wszystkie na raz i kupić sobie coś naprawdę ładnego. Tyle że to „później” nigdy nie nastąpiło, wiesz? Bo już więcej nie zobaczyłam tych pieniędzy. To był pieprzony licznik elektryczny.

Oczy Jona wypełniły się łzami. — Najsmutniejsza opowieść, jaką kiedykolwiek słyszałem. — Przytulił ją mocno; leżała przy nim sztywno. Odsunął się i spojrzał na jej płaską, amoralną twarz, którą tak kochał. Piegi, kocie oczy. Miała coś słowiańskiego w rysach, chyba po ojcu, jak twierdziła, kimkolwiek był — cudzoziemcem, o którym nic nie wiedziała.

— Pieprzyć ich wszystkich — powiedziała. — Niech ich szlag.

Gdy czuli się szczęśliwi, wszystko było w porządku; ich mały pokój stawał się ich światem. W końcu niektóre rzeczy można dostać za darmo. Kochali się, tańczyli do jej kaset Tamla Motown. Kręciła się po mieszkaniu w nocnej koszuli — zadziwiająco dziewczęcej, z flanelowej bawełny, z kwiecistym szlaczkiem u dołu. Sadzała go na brzegu wanny i wpatrując się bacznie w jego twarz, malowała mu powieki i zmieniała go w kusicielkę. Ale tygodnie mijały, pieniądze się kończyły i ich szczęście zaczęło wyciekać. Niewielki pokój stawał się zbyt ciasny; sprzeczali się. Aż dudniło mu w głowie. Jako mężczyzna, powinien się nią opiekować, a był całkiem bezradny. Nie mogli już wychodzić do miasta; w niektóre dni nie stać ich było na drinka. Nie mieli skąd wracać, więc zostawali w domu. Gdy mieszkał sam, często brakowało mu pieniędzy, ale dopiero teraz, w obecności wiecznie niespokojnej Evy, poznał przytłaczającą nudę biedy — brak rozrywek, brak urozmaicenia.

Czuł się, jakby pozbawiono go męskości; nie kochali się przez cały tydzień. Ranki spędzali w łóżku, nie mając sobie nic do powiedzenia; w godzinach szczytu pokój napełniał się oparami z ulicy. Jakiż pełen energii zdawał się świat na zewnątrz! Czuli się starzy i beznadziejni, jak emeryci. On tak się czuł. Co do niej, sam już nie wiedział. Godzinami przesiadywała przed telewizorem, gasiła jednego papierosa i natychmiast zapalała następnego. Mnóstwo czasu spędzała w łazience, zmieniając kolor włosów — śliwkowy, pomarańczowy, blond — farbą z próbek skradzionych z zakładu. Z ponurą miną sprawdzała w lustrze wyniki swych zabiegów i komentowała: — Wygląda jak gówno. — Znikała, by przefarbować włosy na inny odcień i zostawiała w łazience mnóstwo wygniecionych tubek i poplamionych ręczników. Sama niechlujna, krytkowała go za nieporządek, wściekała się, że kruszy na dywan... Co on z nią pocznie?

Gdy już nie mógł dłużej znieść panującej w mieszkaniu atmosfery, wyszedł z domu i spacerował po głównej ulicy. Pełne klientów sklepy drwiły sobie z niego. Te wystawy kaset wideo, na które nie było go stać, nawet gdyby miał odtwarzacz! Bez pracy, czuł się odseparowany od innych niewidzialnym parawanem. Ocieężały ze znużenia, ledwie zmusił się do zakupu lokalnej gazety i otwarcia wkładki z ofertami pracy. Był bezużyteczny, wyłączony ze wspólnoty ludzkiej rasy; jak samochód, z którego usunięto silnik. Poczłapał do domu. Na schodach owionął go wydobywający się z magazynu masarni smród martwego mięsa.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny pod koniec maja. Właściciel domu przysłał im listem poleconym ultimatum: płaciecie albo wyprowadzacie się. Na nazwisko Evy nadeszły polecenia zapłaty mandatów za parkowanie — gdy

tylko mogła, zawsze używała samochodu, nie znosiła chodzić piechotą. Oba zawiadomienia zgmiotła wraz z torebkami po herbacie i wcisnęła do otwieranego za pomocą pedału pojemnika na śmieci.

— Oszalałaś! — skomentował.

— Pieprzyć ich! — Spojrzała na niego. — To znaczy, jeżeli dasz radę.

Odwrócił się, napełnił czajnik wodą. I z przeraźliwą pewnością pojął: stracę ją.

Przypadek? Zbieg okoliczności? Kto wierzy w takie rzeczy? Eva wierzyła w przeznaczenie; co tydzień czytała ich horoskopy w programie telewizyjnym. Utrzymywała, że ich spotkanie zostało zapisane w gwiazdach — jakaś astrologiczna koniunkcja, której nigdy nie pojął. Jej działanie przyciągnęło ich do siebie.

Przypadek — zanurzona w kapeluszu dłoń wyciąga los loterii. Ręka przytrzymuje toczącą się po trawie kartkę z gazety. Przypadek czy los sprawił to, co zdarzyło się następnego dnia? Był poniedziałek, dzień, który zmienił ich życie, a także życie ludzi jeszcze im nie znanych i tak od nich dalekich, jakby żyli w innym wymiarze czasu.

Był chłodny poranek, a oni snuli się po ulicach i lustrowali wystawione przy redakcjach gazet ogłoszenia: Pokój do wynajęcia. Przyjmę niepalącego pana. Nawet wtedy, gdy nie był bezdomny, kartki te napełniały go uczuciem beznadziei. — Spójrz! — Podążył wzrokiem za wyciągniętym palcem Evy. — Jakie ładne owczarki! — Miała na sobie kurtkę ze sztucznego lamparta i czerwone legginsy. Jej jaskrawe, typu „odpieprzcie się wszyscy” ciuchy wręcz rozświetlała ulicę. Tego dnia była wyjątkowo niespokojna, rozbrykana niczym żreback. Gdy on patrzył na ogłoszenia, ona przeglądała się w szybie. Nie znalazł nic, co nadawałoby się dla nich do zamieszkania.

Mieli jeszcze wszystkiego dwa funty; i nic więcej, dopóki następnego dnia nie odbiorą zasiłku. W samochodzie pozostało im pół baku benzyny, zapłacone kartą Visa, której już nie będą mogli uzupełnić pod koniec miesiąca. Gdyby spłacił minimum... ale dojdą odsetki... głowa go rozboleła. Wydali te dwa funty na kebab. Zabrali jedzenie do niewielkiego parku za Safeways i usiedli na ławce. Ziemia pod drzewami była zasłana śmieciami. Gdy mlasnął z dezaprobatą, klepnęła go po głowie.

— To płatki kwiatów, tępaku.

Uśmiechnął się, zaskoczony. Przecież jest maj; nadejście wiosny wreszcie do niego dotarło. Wszystko przez te cholerne chłody!

— Marzę o upałach — wyznała. — Żeby tak wskoczyć do samolotu i prażyć się na jakiejś plaży. Soki we mnie ożywają. Wsiadajmy do auta i jedźmy do Hiszpanii.

— Kochanie, samochód trzeba sprzedać, nie rozumiesz?

Nie odpowiedziała. W pobliżu skrzypiała huśtawka: jeden koniec unosił się, drugi opadał. Siedzące na niej dzieci kołysały się, jedno w górę, drugie w dół. Powinienem zabrać ją do restauracji, częstować cocktailami, pomyślał. Co ze mnie za mężczyzna?

Siedzieli w nędznym, małym parku, pomiędzy innymi ludźmi, którzy w miejscach publicznych odmierzali godziny swego życia — pijacy, starcy; jakiś samotny mężczyzna przemawiał do małego, złamanego drzewka. Co my, na Boga, poczniemy, zastanawiał się Jon. Za cztery tygodnie będziemy już bezdomni. Ona odejdzie ode mnie. Moje życie rozpadnie się niczym domino; to tylko kwestia czasu, zanim, na ulicy, zacznę sprzeczać się ze słupami lamp.

Nagle, jakby w odpowiedzi na jego rozważania, lodowaty powiew wiatru przyniósł w ich stronę gazetę — rozpadające się, łopoczące kartki. Jon pochylił się, podniósł jedną część. North London Advertiser; co tydzień przeglądał w niej ogłoszenia o pracy.

Eva zainteresowała się zamieszczoną w gazecie fotografią. Czerwonym paznokciem przesuwiała po linijskich drukach pod spodem. — Widzisz, co miałam na myśli, Jonny, mówiąc o niesprawiedliwości losu? Widzisz, o co mi chodzi?

Zdjęcie przedstawiało rodzinę pozującą na tle dużego domu. PRICE'OWIE GÓRĄ! głosił tytuł. Na zdjęciu powyżej: szczęśliwi zwycięzcy losowania Rotary Club Prize Draw z ostatniej soboty — pan i pani Price z Cypress Drive w Stanmore, z dziećmi: Theodore 21 lat, absolwent szkoły filmowej, Hannah 17 i Rebecca 11 lat. Zapytana, co sądzi o nagrodzie, o rodzinnych wakacjach na Florydzie, pani Price wyznała: Nie posiadamy się z radości.

Eva stuknęła w to zdanie paznokciem. — Dlaczego oni? Powiedz mi. Dlaczego jacyś pieprzeni oni? Mają wszystko i jeszcze wygrywają wakacje na tej pieprzonej Florydzie.

— Nie przeklinaj.

— Niby czemu, do cholery? Spójrz tylko na ten dom. Na jego rozmiary! — Zmęta papier po kebabie i rzuciła na ziemię. — Chodźmy, obrabujmy ich! Jak nie będzie ich w domu.

— Aha, więc mamy skończyć w więzieniu.

— My jesteśmy w więzieniu! — Wstała, strząsnęła okruszki z legginsów. — Tak dalej nie możemy, Jon.

— My? To znaczy, ty i ja?

— Właśnie, my. Więc jak będzie, co z tym zrobimy?

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Podnieśli się z ławki. Drżąc z zimna, otuliła się mocniej swoją lamparcią kurtką. On wcisnął gazetę do kosza na śmieci. Odeszli razem, ale po chwili zorientował się, że jest sam. Eva zatrzymała się.

I wtedy ogarnął go strach: czy ona przypadkiem właśnie go nie ocenia, czy nie zamierza odejść. I nie czy, raczej kiedy. Była taka pełna życia, taka energiczna; nieraz zastanawiał się, co w nim widzi. Zapytał ją kiedyś wprost, na co odpowiedziała: — Masz najcudowniejszy tyłek w całej Wielkiej Brytanii. — Palcem musnęła go po pośladku. — I ufam ci. Przydarzyło mi się niejedno, nawet byś nie uwierzył. Jesteś jedyną osobą w całym moim życiu, która okazała mi prawdziwą dobroć.

Usłyszał oddech Ewy: szybki i płytki, jakby przed chwilą biegła. A przecież stała nieruchomo. Wokół panowała cisza oprócz miarowego skrzypienia huśtawki. Nagle podeszła do kosza na śmieci i wyciągnęła zmiętą gazetę. Złożyła ją starannie i schowała do kieszeni.

Całe popołudnie pozostawała w dziwnym nastroju. Po powrocie do domu nie włączyła telewizora. Stała przy oknie, kołysząc się jak uczennica, która chce do ubikacji. W kosmyki włosów powplatała kawałki) czerwonej bawełny. Nie zareagowała, gdy się do niej odezwał. Patrzyła! całkiem przez niego, jakby go tam nie było. Coś knuła — wtedy sądził, że planowała swoje odejście. Poszła do kuchni i zajęła się podlewaniem zielistek — nigdy o tym nie pamiętała, to on nie dawał roślinom uschnąć. Robiła to z roztargnieniem, przy pomocy filiżanki, połowa wody przelewała się przez brzegi doniczek.

Podszedł do niej od tyłu, położył jej dłoń na ramieniu. Podskoczyła. — Nie martw się — powiedział. — Coś wymyślimy.

Odwróciła się. Oczy jej błyszczały. Twarz, rozświetlona od środka, wręcz skrzyła się. Odstawiła filiżankę i uśmiechnęła się do niego. — Nie martw się — powtórzyła jego słowa. — Już wymyśliliśmy.

Poprzedniej nocy, to nie był sen.

Rozdział drugi

Sądysz, że kogoś znasz; tę drugą istotę. Setki nocy spędziliście w swych ramionach, twój oddech mieszał się z jej oddechem. Wchodziłeś w nią, szczytowałeś we wnętrzu ciała, którego wilgotne pulsowanie było zarazem twoim drzeniem. Rozmawialiście, używając milionów słów; poznałeś jej najgłębsze sekrety, dowiedziałeś się, czego wstydziała się w dzieciństwie, co ją żenowało. Pielęgnowałeś ją w chorobie. Patrzyłeś, jak śpi niczym pogrążona w śmierci, na jej twarz z opadłymi kącikami ust. Widziałeś ją w całej brzydocie, bez osłony, gdy płakała, gdy przy myciu zębów spluwała i gulgotała. Żyłeś z nią, znasz osobę, która innym tylko mignęła, myślisz, że wiesz, kim ona jest, i nagle świat rozpada się wokół ciebie.

— Żartujesz. Przyznaj, że żartowałaś — nalegał.

Była druga nad ranem. Eva siedziała na łóżku. Rozprostowywała rozłożone na kolanach zdjęcie. — Słuchaj no, porwiemy ją. Nie tę małą, jest za młoda. Ani brata, oczywiście. Weźmiemy ją. — Wskazała palcem. — Tę.

Rozmawiali już od kilku godzin, a ona wciąż nie nazwała dziewczyny po imieniu. Powiedziała tylko: „Tę”. Popiół z papierosa spadł na fotografię. Zdmuchnęła go. Ręka jej się trzęsła.

— Przecież nie skrzywdzimy jej. Nie zrobimy jej nic złego.

— Niewiarygodne, że możesz nawet pomyśleć o czymś takim.

— W telewizji wciąż pokazują podobne przypadki.

— To nie telewizja, to rzeczywistość. A raczej nie rzeczywistość, bo tego nie zrobimy.

— ...jak ci z IRA i inni. Z seriali policyjnych. Pisze się wiadomość, wycina litery z tekstu w gazecie...

— Eva...

— Ty zorganizujesz metę.

— Metę? O czym ty mówisz? Jaką metę?!

— No gdzieś trzeba...

— Od tego przesiadywania w domu i całymi dniami gapienia się w to pudło zgłupiałaś dokumentnie. Wiem, to moja wina...

— Już mam!

— Chyba śnimy. Połóżmy się, a gdy się obudzimy...

— Oczywiście, nie możemy trzymać jej tutaj. Wiesz co, wsadzimy ją do komórki twego wuja!

Policzki jej poczerwieniały; zupełnie jakby miała gorączkę. Przecież ja kompletnie jej nie znam, pomyślał. Na ulicy, gdzieś dalej, zadźwięczało tłuczone szkło. Poczł się okropnie samotny.

Rzucił okiem na zdjęcie. Matka dziewczynki stała z zamkniętymi oczami, jakby ona także nie mogła uwierzyć w to, co właśnie planowali. W miejscu jej twarzy na gazecie widniały rysy.

— Jedno z nas zostanie z nią. — Eva zapaliła następnego papierosa. — Będziemy się wymieniać.

Spojrzał na nią przez dym, który wydychała. — Nie mogę uwierzyć, że mówisz serio.

Ale właściwie już tak się działo. Próbował powiązać tę osobę tutaj z Evą, jaką znał, i powoli, choć niechętnie, zaczynał zauważać podobieństwo. Jego Eva ukradła legginsy z Kensington Market — nawet teraz miała je na sobie. Jego Eva nie przestrzegała prawa. Zniszczyła czyjeś ferrari. Obciągnęła mu w metrze — w wagonie linii północnej, między Euston a Camden Town; metro jechało dość długo z powodu zamknięcia stacji Mornington Crescent. Ale tamto, to był kawał, erotyczne wyzwanie. Postawione przez jego śmiałą ukochaną. Wszystko, co wydarzyło się do tej pory, można by zaliczyć do kategorii przygody.

A ona wciąż mówiła: — Damy im tydzień na zapłcenie... — podniecała się własnymi słowami, sama się przekonywała do pomysłu, popychana własnym napędem.

— Eva, zamknij się!

Spojrzała na niego. — Nie bądź takim mięczakiem. Chyba jesteś mężczyzną?

Gdy obudził się następnego ranka, nie było jej. I żadnej wiadomości, nic. W kieszeni kurtki nie znalazł kluczyków od samochodu. Poszedł do łazienki i otworzył szafkę. Jej kosmetyki znikły.

Ciężko opadł na krzesło. Czuł się, jakby rąbnięto go w głowę skarpetą wypełnioną piaskiem. Wolno, bardzo powoli, zrobił sobie herbatę z ostatniej torebki, jaka im została. Wsypał trzy łyżeczki cukru.

Poprzedniej nocy, to nie był sen. Mówiła absolutnie poważnie. Wypróbowywała jego miłość, a on ją zawiódł. Teraz znikła z jego życia; wypadła w inny wymiar i zostawiła go.

Chyba jesteś mężczyzną? Stracił jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochał — pokrewną duszę, inicjały „JE” odcisnęły się na jego kościach niczym wryte na skale. Powierzyła mu swą tajemnicę, otwarła przed nim serce. Odkryła mu to, co w niej najgorsze, i jak zareagował? Szokiem i obrzydzeniem.

Przez dłuższą chwilę nie ruszył się z miejsca. Co za mięczak! No tak, nawet płakał. W jaki sposób słabeusz jak on mógł mieć nadzieję na zatrzymanie tak czarującej istoty jak Eva? Przywróciła go do życia tylko po to, by zostawić go martwego. Zasłużył na to; bezużyteczny, bezwartościowy. Nie poruszał się, a odgłosy ulicy dudniły za oknem, aż drżało lustro na ścianie. Każda minuta oddalała ją od niego. Wiedział, dokąd się udała — do Derby, gdzie mieszkał jej dawny przyjaciel Lyle. Ostatnio wiele o nim mówiła. Lyle miał pieniądze, prowadził firmę wynajmu samochodów. Lyle był mężczyzną.

Jon wstał, wyciągnął z kosza na śmieci zużytą torebkę herbaty i zrobił sobie następną filiżankę. A może nie mówiła na serio? Ten pomysł z porwaniem to tylko chwilowe szaleństwo, nagły wyskok. Reakcja na ich szare, nędzne życie. W końcu wciąż próbowała go do czegoś namówić, sugerowała rozmaite rzeczy. Jedźmy do Hiszpanii! Zróbmy to w windzie! Gorączkowo główkowała, jakby złagodzić nudę ich wspólnego życia, swej egzystencji przy nim, nieudaczniku-majsterkowiczu, który nawet nie był już w stanie zaspokoić ją. Wrzucił woreczek po herbacie do śmieci; zaczynało już śmierdzieć w tym pojemniku. Całe mieszkanie stopniowo wydzielalo zgniłą woń, jakby wraz z jej odejściem umarło.

To miał być dowcip. Propozycja-żart, a jego beznadziejna reakcja dostarczyła tylko ostatniego gwoźdźca do trumny. Ależ z niego pedant! Całkowicie pozbawiony awanturniczego ducha! Że też wytrzymała z nim przez cały rok! Nic dziwnego, że zdecydowała się odejść.

Zdawał sobie sprawę ze swej skłonności do użalania się nad sobą. Nawet matka, która go uwielbiała, nieraz mu to wytykała. Koledzy szkolni drwili z niego, nazywali beksą. Rzucił się na łóżko, ukrył twarz w poduszce. Pachniała Evą — jej perfumami o nazwie Ucieczka!

Nieco później tego ranka — zapamiętał porę, bo odgłosy ulicy nieco przycichły — ubrał się i zszedł na dół. Nie miał dokąd iść, ale musiał się przejść. Słońce na dworze wręcz oślepiało. Na wystawie w masarni, na metalowych tackach leżało wilgotne mielone. I kawały mięsa, gołe, jakby właśnie obdarto je ze skóry.

Lyle nie zareagowałby w ten sposób. Ani ci inni faceci, o których opowiadała. Na chodnik padł cień. Jon spojrzał w górę. Napis na tablicy głosił: SKLEP DO WYDZIERŻAWIENIA. Jeden z pomocników masarza wyładowywał z furgonetki zwierzęce tusze — sztywne, blade świnię, porozcinane od gardła do krocza. Jon wskazał na napis. — Tak, to prawda. To przez Tesco, kawałek dalej, oni doprowadzili nas do ruiny — wyjaśnił chłopiec.

Masarz zamykał interes, a on do dzisiejszego dnia nie zamienił z nim słowa. Nawet tu nie wiedzieli, że mieszka na górze. Jaki wielki był Londyn! I jak uda mu się egzystować w tym mieście samotnie? Jak zacznie od nowa, bez niej?

Przez chwilę spacerował po okolicy. Bez Evy u boku, przywartej do jego ramienia, nie umiał zdecydować się, dokąd iść. Bez tych jej uwag o nudziarzach mijanych na ulicy! Przeszedł obok parku, w którym jeszcze wczoraj siedzieli obok siebie. To płatki kwiatów, tępaku! Ona zmieniła jego życie.

Usiadł na ławce. W pobliżu jakiś mężczyzna jadł bułkę z kiełbasą. Pewnie już pora lunchu. — Najwyższy czas! — zawołał nagle zajadający kanapkę człowiek.

— Słucham? — zdziwił się Jon.

— Wiosna. Najwyższy czas.

Wrócił do domu, wszedł po schodach na górę, do mieszkania. Wyjął klucz; dziwne, przecież zamknął drzwi tylko na jeden zamek. Wszedł

do środka. Naga kobieta — miała na sobie jedynie majtki — stała na środku pokoju. Jej kasztanowe włosy połyskiwały. Podszedł do niej i objął ją.

— Byłam tam! — Eva wysliznęła się z uścisku. Ściągnęła perukę, odrzuciła na krzesło. — Widziałam ich!

— Aja myślałam, że ty...

— Jestem spocona jak prosię. — Zdjęła majtki, chwyciła go za rękę i pociągnęła do łazienki. — Zlej mnie wodą od stóp do głów...

Stanęła w wannie. Uniósł gumowy wąż prysznica, skierował na nią strumień.

— Wiesz, dotarłam tam wcześniej rano — prychnęła wodą. — Znalazłam ten dom, jest całkiem jak na zdjęciu, cholernie olbrzymi! Zaparkowałam i czekałam. W peruce i w makijażu czułam się jak jakiś szpieg. O wpół do ósmej pojawił się ten gość — ojciec, wyjechał do pracy. Dwadzieścia po ósmej wyszła mamcia, odstawiona, w kostiumie, pewnie też do roboty. Była z tą małą dziewczynką, chyba odwoziła ją do szkoły. Zaraz odjechały. — Wyszła z wanny, chwyciła ręcznik i wycierała się starannie. — O wpół do dziewiątej dom opuściła ona. Ta nasza, ta duża dziewczucha; niosła chyba podręczniki. Czułam się jak myśliwy, wiesz, o czym myślę? Poszła ulicą, a ja jechałam za nią. Nie zauważyła mnie. Nastolatki nigdy niczego nie widzą. One myślą jedynie o swym wyglądzie. Jechałam za nią główną ulicą, do przystanku, na którym czekała na autobus. I wiesz co? Ja też do niego wsiadłam. Na trzecim przystanku wysiadła przy szkole Świętej Marii, tym wielgachnym budynku o pedalskim wystroju. Oczywiście, to prywatna buda.

I tam weszła — urwała, zadyszana, by zaczerpnąć powietrza.

Obrzucił ją wzrokiem. Wziął ją w ramiona i zanurzył twarz w jej wilgotnych włosach. — Och, Eva, Eva...

— No widzisz? Sprawa ruszyła. Wreszcie zaczęliśmy działać. Jesteś ze mnie dumny? Od początku nie miałam wątpliwości — wystarczyło na nią popatrzeć — że nam się uda! Jest jakaś taka niemrawa, niewyraźna. Pewnie nawet nie weźmie nam tego za złe. Wygląda na taką, co to mogłaby znaleźć się nagle w jakiejś pieprzonej Mongolii, i byłoby jej wszystko jedno! Możemy to zrobić, ty i ja, razem!

Ręcznik, którym była owinięta, osunął się na podłogę. Wilgotną nogą opłotła mu udo; wsunęła mu język do ust. Jedną ręką przytrzymywała jego pośladki, wciskała w siebie, wcierała. Poruszała się do przodu i do tyłu. Poczul, że nabrzmiewa. Zachwiali się, uderzyli o drzwi i upadli na matę. Sięgnęła palcami, rozpięła mu zamek spodni. Leżał na podłodze, z głową wspartą o klozet; ściągnęła mu podkoszulek i językiem przesuwiała w dół klatki piersiowej, coraz niżej. Lizała włosy u dołu brzucha, w miejscu, gdzie rosły najgęściej, smakowała go niczym rozkoszujący się swą zdobyczą kot. Jej ślina moczyła go, sprawiała, że stał się śliski. Włożyła go sobie w usta; drugą dłonią delikatnie ugniatała jaja; z ulgi aż załkał. Przyciskał wilgotną głowę Evy do swego krocza, coraz mocniej.

— Ukochana — wymruczał. — Moja ukochana... Potem leżeli, wilgotni i nadzy, na łóżku.

— Nigdy mnie nie opuścisz, prawda? — wymruczał.

— Jesteśmy współnikami — szepnęła. — Partnerami w zbrodni. Przejechał palcem po jej płaskiej, piegowatej piersi. Nigdy nie znał kogoś takiego jak ona. Ciało miała twarde, chłopięce. Poczul wstrząs — pod jej skórą, pod koniuszkami jego palców zdawał się płynąć elektryczny prąd. Gdy przysunęła się do niego, zadrżał.

— Wróciłam tam, do tego domu, gdy poszła do szkoły — relacjonowała dalej. — Dobrze się rozejrzałam. — Lubieżnie polizała go po uchu. — Obeszłam budynek wkoło. Te dranie mają oranżerię. Zawsze marzyłam o czymś takim... no wiesz, w takim oszklonym pomieszczeniu nic nie ma znaczenia... obojętne, lato, zima, deszcz czy słońce, nic ci nie dokuczy, nic a nic... — Położyła się w poprzek niego, polizała po drugim uchu. Wdmuchiwała mu do środka gorące powietrze, jakby to były jej marzenia.

— A po co zabrałaś kosmetyki?

— Bo wstałam o piątej, wiesz? Żeby zdążyć na czas. Po dotarciu na miejsce musiałam nałożyć barwy wojenne.

— Obiecay, że mnie nie opuścisz. Nigdy.

Uciszyła go, przesuając mu palcem po wargach. Otworzył usta, wessał jej palec wskazujący. Jakimś cudem znów nabrzmiwał. Dosiadła go i uciszyła ustami.

Obudził się gwałtownie. Na schodach rozbrzmiewały czyjeś kroki. Było późne popołudnie; promienie słońca ukosem przemierzały pokój. Na ścianie pokazał się jakiś dziwny cień; to znak „DO WYNAJĘCIA”, ten na ulicy, blokował światło. Drzwi otwały się i do pokoju weszła Eva, niosąc plastikową torbę.

— Właśnie podpisałam umowę — powiedziała. — Wstawaj wreszcie, już czas.

Podniósł się z łóżka. Wyciągnęła z torby jakieś artykuły żywnościowe. — Zdobyłam coś do jedzenia — oświadczyła. — I to. — Otworzyła pudełko, wewnątrz leżała komórka.

Spojrzał na nią zdumiony. — Kupiłaś?

— Wystarczyło mi tylko na depozyt. Ale znam tego gościa w sklepie.

— Po co to nam?

— A jak sądzisz, głuptaku? Żebyśmy mogli do siebie dzwonić.

Tego dnia, 24 maja, z jednego życia przeszedł w inne. Jeszcze niczego nie zrobili, żaden czyn nie zmienił ich w przestępców. Ale w swej świadomości już zrobił krok poza prawo, co wręcz ekscytująco zmieniło świat. Jakby gdzieś, w środku, zastartował w nim silnik. W tych pierwszych dniach, gdy jeszcze nie uczynili nic złego, gdy wszystko nadal pozostawało grą, już same ulice napełniały go ekscytującym drzeniem, jakiego nie czuł, odkąd jako dziecko bawił się w chowanego. Był związany z Evą; należała do niego, a on do niej; wróciły ich pierwsze, namiętne tygodnie. Wspólny sekret zespolił ich seksualnie.

— Trzeba zrobić to szybko, gdy jeszcze mamy mieszkanie, bazę, telefon — oświadczyła. Na zewnątrz nad podestem schodów wisiał płatny aparat. — Idealny, żeby kontaktować się ze sobą. Musimy pomyśleć tylko, jak ją weźmiemy. — Zawsze mówiła weźmiemy. Nie porwiemy. Jak gdyby ta dziewczynka była jabłkiem, które mogli zerwać z drzewa, coś łatwiejszego. I wciąż żadne z nich nie nazywało jej po imieniu. — Nie w drodze do szkoły. Ulice wydają się puste, ale wcale takie nie są. W Stanmore mieszka kupa cholernych podglądaczy zza firanek — znudzone gospodynie domowe, dziewczyny au pair. Pokażę ci.

Pojechali tam następnego dnia. Serce tłukło się w nim jak szalone — a przecież nie robił nic złego! A serce wciąż łomotało. Jakby wreszcie zaczął

fascynująco żyć. Spojrzał na Evę. Włosy przylizane żelem, gładko zaczesane do tyłu — przypominała wydrę. Jaki ostry ma nos, jaka jest bystra. Zresztą oboje byli zwierzętami. Przejechał obok tablicy z napisem „Sąsiedzka straż” i zaparkował dalej, pod cyprysem. Domy stały cofnięte od ulicy — każdy oddzielnie, każdy inny, wszystkie wylaniały się z ogrodów, niczym czterościenne bryły bogactwa. Rzucił okiem na numer osiemnaście: częściowo wyłożony drewnem, przed nim łuk wysypanego żwirem podjazdu. Normalnie minąłby go obojętnie, ale teraz już nie był to zwyczajny dom. Eva nachyliła się ku niemu, szepcząc. Nie było potrzeby, ale i tak mówiła cicho.

— Spójrz, ulica wygląda na pustą, ale zawsze ktoś się tu kręci — na przykład ci od usług. Rozwiązują problemy tych bogatych drani. — Wskazała ręką. Dalej przy drodze jakiś mężczyzna strzygł żywopłot. Podjechała furgonetka firmy Hotpoint i zaparkowała. Czarna kobieta, prawdopodobnie sprzątaczką, szła w ich stronę z torbą na zakupy. Ludzie kręcili się wokół tych domów niczym trutnie wokół wielkich, wyciągniętych ciał królowych pszczół.

Siedzieli w samochodzie i przyglądali się. Normalnie nawet nie zauważyłby tych ludzi, ale dzisiaj było inaczej. Zupełnie jak na jednym z tych rysunków na pudełkach z puzzlami, gdy trzeba policzyć ukryte elementy. Jak już wiedziało się, jak należy patrzeć, sprawa była prosta. Dzieci widzą takie rzeczy; a także przestępcy. Zatrzymała się furgonetka z pralni z napisem „White Horse” i wysiadł z niej mężczyzna. Miał na sobie niebieski kombinezon — wyglądał irytująco urzędowo. Jakieś okno otworzyło się, służąca wytrzepała szmatę; kobieta właśnie zmieniała się w potencjalnego świadka. — Moja mama kiedyś sprzątała u takich ludzi — szepnęła Eva. — Wielgachny dom, jacuzzi, co tylko chcesz. W East Finchly. Pracowała dla nich trzy lata, a nigdy nie powiedzieli jej, że może sobie zrobić filiżankę herbaty. Pewnie nawet nie przyszło im to do głowy. Była pieprzoną niewidzialną istotą.

Spojrzał na dom — ich dom. Kraty w oknach parteru. Aż płonął na myśl o niesprawiedliwości tego wszystkiego. Jakby coś przestawiło mu się w głowie, tamci przestali być dla niego ludźmi, właścicielami domu. Nie dawał im twarzy ani imion. Nie dopuszczał do siebie myśli, że są całkowicie niewinni, może nawet mili. Było już za późno.

Pięćdziesiąt tysięcy — oświadczyła Eva. — Nie zażądamy zbyt wiele. Pięćdziesiąt tysięcy urządzi nas, a oni ledwo poczują.

— Może zaczekaj. My jeszcze... no, my — nie zrobiliśmy tego.

— Ale zrobimy. Widzisz, na naszą korzyść działa element zaskoczenia. Co innego, gdyby była córką słynnego aktora filmowego. Czy jakiejś szychy od

Fiata lub coś w tym rodzaju — a tacy nie będą się niczego spodziewać. Powiem ci, jak już ich rozpracuję.

Patrzył na nią jak urzeczony. Twarz promieniała jej energią i pewnością siebie. Teraz, gdy znalazła cel, zdawała się zyskiwać na inteligencji; ludzie stają się sprytniejsi, uświadomił sobie, gdy zabierają się do czegoś, co ich absorbuje. Wykorzystują każdą komórkę mózgu. Pomyślał o czasach wojny, gdy na każdym skrawku ogrodu, nawet na zachwaszczonych nieużytkach hodowano jarzyny.

Był czwartek. Zamierzali wysprzątać komórkę — stąd przyszedł mu do głowy jarzyna. Szopa znajdowała się na rozległych terenach ogrodów działkowych, daleko za Acton — olbrzymia przestrzeń na wpół opuszczonych działek, na odległych krańcach miasta, otoczona przez fabryki. Eva wystawiła rękę przez okno. — Spójrz, to idealne miejsce! Zwłaszcza w weekendy. Tylko kilku staruchów kopiących grządki, założę się, że wszyscy są prawie głusi. I niedowidzą.

Szopa należała do wujka Charliego, który zmarł w marcu tego roku. Był człowiekiem samotnym; nikt go nie odwiedzał poza Jonem, który uwielbiał tu przychodzić. Wujka także kochał — dobrodusznego mężczyznę, zatwardziałego kawalera, zanim jeszcze stan ten kojarzył się z „kochaniem inaczej”. Charlie wprowadził go w tajniki stolarki; w kącie szopy stał, nakryty płótnem, stół warsztatowy wujka.

Eva zmarszczyła nos. — Jezu, ale tu brud! Pozamiatamy, tam urządzimy jakieś spanie. Potrzebujemy dwóch śpiworów — mamy je, prawda? Na szczęście robi się coraz cieplej.

Sprawa wciąż pozostawała nierealna — bardziej przypominała skautowską eskapadę niż cokolwiek poważniejszego.

— ...i jedną z tych kempingowych kuchenek — mówiła. — czajnik, możemy wziąć ten, który znaleźliśmy w mieszkaniu.

Jon spojrzał na oblepione gliną narzędzia ogrodowe, na puszki z nawozem i środkiem przeciw ślimakom. Rzeczywistość tego, co robili, nie docierała do niego, dopóki Eva, licząc na palcach niezbędne im rzeczy, nie powiedziała do siebie: — No tak, jeszcze ta przepaska na oczy...

Rozdział trzeci

W piątek Eva oświadczyła, że pojedą na Stanmore Broadway. — To niedaleko jej szkoły. Szóstoklasistka z pewnością nie spędza w budzie godzinnej przerwy na lunch. Ja się zawsze urywałam.

— No tak, dobrze wiemy, co ty wyczyniałaś w czasie tej przerwy. Zdumiewające, że nie wyleciałaś ze szkoły.

— Owszem, wyrzucili mnie. Dwa razy.

— Ale to instytucja prywatna. Może je zamykają.

— Jezu, jaki ty zawsze jesteś na „nie”. Chcesz być bogaty, a może ci nie zależy?

— Porwiemy ją tak po prostu, w środku dnia?

— Musimy wycziąć właściwą chwilę. Jak mówiłam, na naszą korzyść działa element zaskoczenia. — Eva sprawdziła swój wygląd w lusterku. Miała na sobie kasztanową perukę. Nawet nieźle jej w niej było — błyszczące, krótko obcięte włosy, zaokrąglone przy brodzie, robiły z niej awangardową kobietę z lat trzydziestych. Ciemne okulary zasłaniały jej oczy. — Mamy szczęście, że dzisiaj świeci słońce, nie uważasz? — Podała mu jego szkła. — Nic o niej nie wiemy, musimy ją poznać. Dowiedzieć się, do czego jest zdolna.

Jon pomyślał, że woli tego nie wiedzieć. Nie chciał, by stała się realną ludzką istotą. Eva przysunęła się i przykleiła mu wąsy. Zlustrowała go, jakoś tak bezosobowo, jakby on także niemal nie był człowiekiem, lecz przedmiotem. W jej oddechu poczuł zapach tytoniu.

Spojrzał w lusterko. — Jesteś genialna.

Siwa peruka, siwe wąsy, ciemne szkła. Nie tylko stał się nie do rozpoznania, ale był nawet przekonujący. Niemal sam się nabrał. Pożyczyła perukę i wąsy od swej przyjaciółki Elaine, zajmującej się szyciem strojów do reklamówek. Jon przyjrzał się sobie dokładnie, odwracając głowę w jedną i drugą stronę. Sprawiał wrażenie kogoś starszego, szacownego, o nie rzucających się zbyt w oczy skłonnościach homoseksualnych. Profesor z Kalifornii. Prawdę mówiąc, ta wersja jego osoby bardziej przypadła mu do gustu.

— Wiesz co? Chyba łatwiej zdobyć się na coś, czego zwykle się nie robi, jak się wygląda na kogoś innego.

Uniosła brwi. — A jak sądzisz, głuptasie, dlaczego kobiety się pacykują?

Pojechali do Stanmore. To wszystko wciąż było dla niego grą, zwłaszcza teraz, gdy występował w przebraniu. Udali się nawet do sklepu z zabawkami i zaopatrzyli się w straszak — plastikowy pistolet, przekonująco ciężki.

Japońskiej produkcji browning HP. Napis na pudełku głosił: Precyzyjne, realistyczne wykończenie.

Zrobiło się południe. Jechali w stronę centrum dzielnicy, do Stanmore Broadway. Z bronią ukrytą w schowku czuł się jak wjeżdżający do miasta, wyjęty spod prawa bandyta. Eva zgasiła silnik. Czekali w aucie zaparkowanym w pobliżu promenady ze sklepikami. Jak tu wszystko lśniło czystością w porównaniu do głównej ulicy w dzielnicy, w której mieszkali! Przed butikami stały zaparkowane mercedesy; sprzedawca wynosił z delikatesów zapakowane specjały. Była tam kafejka i sklepik z bielizną, oaza dla kobiet z mnóstwem wolnego czasu.

Jakże pragnął otworzyć Evie dostęp do tego świata, uwolnić ją z nędznej, monotonnej rzeczywistości ich egzystencji. Mógłby kupić jej kabriolet! Patrząc, jak włosy powiewają jej na wietrze! Mogliby udać się wszędzie, robić, co dusza zapagnie!

Rzucił okiem na jej profil: wysunięta dolna warga — jak dobrze znał tę jej upartą minę. Zbierała siły do wykonania zaplanowanego zadania.

Czas mijał. Ujrzał kobietę wychodzącą z siłowni. Opalona; nieskazitelna fryzura; każdy szczegół jej powierzchowności świadczył o bogactwie, nawet jej jakby wyglansowana irchą skóra. Przynależność do kasty bogatych wręcz wylewała się porami tej zadbanej w każdym calu kobiety, natomiast Eva wyglądała jak ucharakteryzowana. I nagle pomyślał, że ten ich niedorzeczny plan jest całkowicie oderwany od rzeczywistości, nigdy nie da się połączyć tych dwóch światów. Niemożliwe do wykonania.

— Obudź się! — Strzeliła mu palcami tuż przed twarzą. — Patrz! Pojawiło się kilka dziewcząt. Najwyraźniej były uczennicami, choć nie miały na sobie mundurków. W szóstej klasie, jak Eva mu powiedziała, nie noszą szkolnych uniformów. Jakie duże są te obecne nastolatki — nabrzmiałe od hamburgerów i hormonów. Jakby należały do innego gatunku. I tak właśnie musi o nich myśleć — jak o innym rodzaju ludzkich istot. Zdawały się takie mocne! Wyobraził sobie próbę przytrzymania którejś na siłę. Zrobiłaby z niego miazgę.

Jon i Eva czekali, niewidoczni, w samochodzie. Powietrze zageściło się od dymu z papierosa Ewy. Dziewczynki, oparte o słupki balustrady popijały colę z puszek. Stały w grupkach, rozprawiały o chłopakach. Flirtowały. Trzęsły się ze śmiechu, nie wydając dźwięku. Mijały minuty. Ta, na którą czekali, nie pojawiła się. O pierwszej czterdzieści pięć dziewczęta powoli odchodziły, wracały do szkoły.

— Po jakie лихо tu przyjechaliśmy? I co teraz? — zapytał. Coraz bardziej pozostawiał całą inicjatywę Evie, odzegnując się od wszelkiej odpowiedzialności.

— A jak myślisz, głuptasku? Ruszymy pod szkołę. O czwartej.

Pojawili się dobrze przed czwartą, by zapewnić sobie miejsce do parkowania tuż przy bramie. Szkoła dla dziewcząt imienia Świętej Marii mieściła się w dużym, wiktoriańskim budynku, do którego po obu stronach przylegały baraki przewoźne. Zaparkowali; Eva zgasiła silnik. Opuściła szybę. Za nimi nadjeżdżały następne auta — bmw, rangę rowery. Uliczka zapełniła się. Z samochodów wysiadały kobiety, wymieniały uwagi. Czy ich stara, pordzewiała toyota nie rzuca się zbyt w oczy wśród tych wszystkich aut? Eva, nie zwracając na nic uwagi, siedziała z wzrokiem wbitym w bramę szkoły.

Biały pies przytruchtał do ich samochodu i oparł podniesioną nogę o koło. — Oskar! — krzyknęła jakaś kobieta i zaraz podbiegła. — Przepraszam! — rzuciła, odciągając psa.

Eva siedziała niezwykle wyciszona. Spojrzał na jej wystającą dolną wargę. Z profilu wyglądała jeszcze bardziej na cudzoziemkę: niestabilna młoda kobieta z innego kraju. Słowianka? Chorwatka? Połowa jej, ta po ojcu, nawet dla niej samej była obca. Ona nie ma korzeni na tym świecie, pomyślał. Dlatego jest taka niebezpieczna.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Zesztywniała niczym pies myśliwski na odgłos myśliwskiego rogu. Dziewczęta wysypały się strugą przez bramę — najpierw te najmłodsze, bo poruszały się szybciej. Ubrane w niebiesko-białe szkolne mundurki w kwiatki. Wszystkie mają rodziców, do których wracają do domu, pomyślał, zaraz tam będą bezpieczne. Te starsze wychodziły wolniej. Z tyłu, za ich wozem, zatrzaskiwały się drzwiczki samochodów, ożywały silniki.

Ewa szturchnęła go łokciem pod zebra. — Jest tam! — szepnęła.

Dwie dziewczynki zbliżyły się do bramy. Jedną widział na Stanmore Broadway. Druga była ta Ich. Natychmiast rozpoznał ją z fotografii — może dlatego, że gapił się na zdjęcie całymi dniami. Ubrana na czarno, duża, powolna dziewczyna o sylwetce przypominającej kształt gruszki — solidne biodra i nogi. Mnóstwo niesfornych, czarnych włosów. Nosila czarne ubrania, jak w samym środku zimy, i niosła wypchaną podręcznikami, poplamioną hinduską torbę. Przez otwarte okno doleciał do niego jej głos. — ...Mansfield Park... — Jej koleżanka przystanęła i podała jej stertę kartek. Odwróciły się, by rozejść się w przeciwnych kierunkach.

— To cześć!

— Spotkamy się w Underworld?

- Wszyscy się wybierają?
- Aha. Emma, Julia...
- No to widzimy się o dziewiątej!
- Cześć!

Odeszły. Eva przechyliła tylne lusterko, by obserwować Ich Dziewczynę, która podeszła do przystanku autobusowego i stanęła w kolejce.

Underworld?

— To taki klub, kretynku. — Gwałtownie odbiła, by wyminąć ciężarówkę. Broń w schowku zjechała z jednego końca na drugi. — Niedaleko Charing Cross Road. Wybiera się tam dzisiaj wieczorem.

— I chcesz, byśmy porwali ją, gdy będzie tam szła? W drodze do metra, czy jak?

Potrząsnęła głową. — Oczywiście, że nie. Będzie jeszcze jasno, zostalibyśmy zauważeni. A zresztą, ktoś może ją podwieźć. Skąd mamy wiedzieć? Nie. Pójdziemy do klubu. Tam to zrobimy.

Objechała Apex Corner i przyspieszyła na dwupasmowej drodze szybkiego ruchu. Pokazała się tablica: „Centralny Londyn”. Jechała szybko. Jon nie odzywał się. Pod wpływem szoku stał się jakby nieważki.

A więc zobaczył ją. Ją. Ich Dziewczynę, Hannah. Powtarzał w myślach to imię — Hannah. Stała tak blisko ich samochodu, że dostrzegł pryszczę na jej brodzie; nabrzmiące pagórki, które próbowała zamaskować makijażem. Gdy był w jej wieku, także je miał. Gdy mówiła, chowała brodę; on też tak postępował, próbując ukryć krosty. Z brązowo-czarnych kosmyków jej włosów sterczał buntowniczo warkoczyk, taki przepleciony kolorową nitką.

Poczuł ucisk w piersi. — Nie możemy tego zrobić — oświadczył.

Eva jakby nie usłyszała. — Jest piątkowy wieczór, przyjdzie mnóstwo ludzi. Byłam już kiedyś w Underworld. Jest tam ciemno i strasznie hałaśliwie. W tłumie można zrobić wszystko, łatwiej niż na pustej ulicy. — Zatrąbiła na furgonetkę, przyspieszając za nią. — I poza tym, to będzie o wiele lepiej, niż na siłę.

— O czym ty mówisz?

— Podejdiesz do niej, poprosisz do tańca, zagadasz ją. Potem zabierzesz ją na zewnątrz, a tam już będzie czekała w samochodzie. Łatwizna, bułka z masłem.

Gdyby to nie było takie okropne, skwitowałaby jej propozycję śmiechem. Później nawet próbował, ale Eva nie pojęła dowcipu. Zresztą to nie było takie śmieszne; nie było wcale śmieszne.

Znalazł się w Underworld, z butelką becks. Wokół niego falowały rozkołysane ciała; panował straszny tłok. Światła pulsowały. Muzyka bębniła z

olbrzymich głośników, walić was... O ileż bardziej wolałby w tym momencie siedzieć w ich mieszkaniu i słuchać płyt Arta Tatum. Nienawidził dyskotek; chodził tam tylko dlatego, że Eva uwielbiała tańczyć. A dzisiaj Ewy z nim nie było. Czekala na zewnątrz, w ciemnościach, niczym pajak snujący pajęczynę.

Wypatrzył ją. Migala mu między głowami; rytmicznie oświetlana — na zielono, na biało, na czerwono. Po drugiej stronie sali podskakiwała i podrygiwała w takt muzyki. Rozpoznał jeszcze jedną, tę, którą widział przy bramie szkoły; może przyszły tu całą grupą. Większość tancerzy była w jej wieku — w zasadzie on był tu najstarszy. W tym dziwacznym przebraniu nawet o wiele, jak przypomniał sobie nagle. Głowa swędziała go pod peruką. Wiedział, że rzuca się w oczy, i czuł się niezmiernie samotny. Bolało go gardło; najwyraźniej złapał przeziębienie.

Zaczął przeciskać się w jej stronę, przepychał się przez tłum — chyba nic w tym złego? Walić was — a może coś innego? — zaciągał głos piosenkarza. Przysunął się bliżej; pośliznął się na podłodze mokrej od piwa. Teraz widział ją wyraźniej. Mocno podmalowane czarne oczy, rząd migoczących w świetle kolczyków, coś połyskiwało po jednej stronie nosa. Miała na sobie przezroczysty top na opadających z ramion sznureczkach — wciąż je poprawiała. Mimo że umalowana, a może dziwnym sposobem właśnie przez ten makeup sprawiała wrażenie niezdarnej i bardzo młodej. Nie powinnaś tu być, pomyślał. Ktoś może cię stąd zabrać. Aż drgnął, gdy do niego dotarło: to właśnie mój cel.

Piosenka zmieniła się. Da-da-da-daj mi coś... o da-da-da coś... Podrygiwał w górę i w dół, tańczył solo. Wiedział, że wygląda idiotycznie, w tej peruce i w ogóle, ale dziwne, wcale mu to nie przeszkadzało; przebranie odebrało mu osobowość. Da-da-da-daj mi coś... o da-da-da coś... Światła rytmicznie pulsowały na twarzy ich dziewczyny, zmieniając ją jakby w sygnalizator drogowy — stop, idź, stop.

Przybliżył się. Był teraz tak blisko, że niemal mógł ją dotknąć. W zielonym świetle wyglądała jak duch zatopiony w podziemnym świetle; jej oczy migotały jakby przez niego, bez najmniejszego zainteresowania. Dla niej on mógłby być duchem. Jak, na Boga, ma rozpocząć z nią flirt; jak mógłby uciec się do czegoś podobnego?

Zaczerpnął głęboko powietrza i zawołał: — Nie rozumiem ani słowa, a ty?

Nie dosłyszała. Wzruszyła ramionami i skinęła głową.

Krzyknął ponownie: — Słyszałaś tę historyjkę? Gość podchodzi do dziewczyny i oblewa ją kilkoma kroplami wody Perrier.

— Czego? — odrzyknęła.

— Perrier. A potem mówi: Pozwól, że pomogę ci pozbyć się mokrego ubrania.

Uśmiechnęła się uprzejmie. Nie słyszała. Jej twarz zamigotała na zielono.

I właśnie wtedy kichnął.

— Na zdrowie! — krzyknęła i uśmiechnęła się.

I to załatwiło sprawę. Odwrócił się i odszedł, przepychając się przez tłum. Z trudem wydostał się na korytarz wiodący do wyjścia, tam oparł się o betonową ścianę. W płucach mu rzeziło; oczy powilgotniały. Pchnął żelazną poprzeczkę i wyszedł na ulicę. Samochód czekał pod znakiem „Nie zastawiać wjazdu”. Podeszedł, otworzył energicznie tylne drzwiczki i usiadł.

Eva odwróciła się. — A ona, gdzie?

— Zawaliłem sprawę. — Oderwał wąsy; przywarły mu do skóry jak plaster. Przytrzymał je dwoma palcami. Włosy miał wilgotne; ciekło mu z nosa. Obrzydliwość!

— Zawaliłeś? — domagała się wyjaśnień.

— Nie mogłem jej tego zrobić.

— Porwać?

Co jest gorszą zbrodnią od porwania? Wmawianie nieśmiałej, zbyt tejgiej dziewczynie, że jest atrakcyjna.

— Okłamać jej — wyznał.

Zapanowało milczenie. Powiedziała: na zdrowie. Życzyła zdrowia komuś całkiem nieznanemu; jak po czymś takim mógł ją skrzywdzić? Przy końcu ulicy pojawiła się furgonetka z ziemniakami, zaparkowała i czekała.

— Cholera! — zaklęła Eva.

Nagle olśniło go. Chyba oboje postradaliśmy zmysły, pomyślał. Jak w ogóle mogliśmy uwierzyć, że zdołamy porwać obcą dziewczynę — kompletne szaleństwo — i trzymać ją dla okupu? Przecież to nie film. Na ekranie ludzie nie łapią przeziębienia, nie muszą odjeżdżać, bo zaparkowali w miejscu niedozwolonym. Na filmach nastolatkę gra aktorka, której płacą za rolę kilkunastoletniej dziewczyny. I nie musi podciągać bez przerwy ramiączek koszulki.

Eva wysiadła z samochodu.

— Co zamierzasz? — zapytał.

— Ty nie możesz, ale ja, owszem. Wracam za piętnaście minut. — Rzuciła mu kluczyki i wskazała ruchem głowy na furgonetkę z ziemniakami. — Ich już nie będzie. Wróc tu i czekaj na nas.

Nas. Oddaliła się w stronę frontowej ściany budynku. Gdy skręcała za róg, jej twarz przez moment zabłysła mu w karmazynowym świetle neonu: The Underworld. I zaraz jej nie było.

Minęła dłuższa chwila, nim objechał kilka przecznic wkoło — tyle czasu, że stracił całkowicie rozeznanie, co właściwie się dzieje, i na powrót zmienił się w Jona, który próbuje dotrzeć pod dyskotekę, po swoją dziewczynę. Normalność powitała go z otwartymi ramionami. Charing Cross Road była zapchana samochodami jak zawsze w piątek wieczorem i przegapił skręt. Zanurzył się w wąską, jednokierunkową ulicę i utknął za ciężarówką śmieciarzy z dzielnicy Westminster, na którą załadowywano worki z odpadkami z jakiejś restauracji. Potem musiał zatrzymać się za taksówką, z której wysypywali się Japończycy. Jak ona mogła uwierzyć we własne słowa: czekaj na NAS? Co planowała — porwać dziewczynę siłą? Udawać lesbijkę?

Nie zaskoczyła go jej postać, samotnie stojąca na chodniku. Otworzyła drzwiczki i padła na siedzenie pasażera. — Jedź! — syknęła.

— Dokąd?

— Do domu!

Po chwili uświadomił sobie, że nikt za nimi nie jedzie — żaden rozwścieczony ochroniarz czy potargana dziewczyna. Eva była po prostu podekscytowana. Ruszył Tottenham Court Road, zatrzymał się przy pierwszym skrzyżowaniu. Siedziała obok niego, kręciła się niecierpliwie; światło na jej twarzy zmieniło się z czerwonego w zielone.

— Poszłam za nią do toalety — oświadczyła — za nią i jej koleżanką. Zabrały się do poprawiania makijażu przed lustrem, więc weszłam do kabiny i nasłuchiwałam. Ta nasza, Hannah, powiedziała: Widziałas tego starego faceta, tego beznadziejnego?

— Beznadziejnego?

— Aha. I powiedziała jeszcze: Wyglądał naprawdę żałośnie... Próbował mnie poderwać.

Zraniony do żywego, zmienił bieg. Naprawdę tak powiedziała? Eva mówiła dalej. — Powiedziała też: Widziałas, jak tańczył? Patetyczne! Zupełnie jak jakiś księgowy. A on ją polubił. I było mu jej żal!

— Potem stwierdziła, że już ma dość, znudziło jej się, i czy ta druga, Emma, Jemma czy jak tam, wybierze się z nią w niedzielę do Camden Town. Tamta odrzekła, że nie może, bo idzie gdzieś ze swoim chłopakiem, więc ta nasza na to: Cóż, ja pójdę, nawet sama. Niedzielne popołudnia w domu, to jak przebywanie w krainie żywych trupów.

Utknęli za autobusem. Jon spojrział na wystawy sklepowe zapchane komputerami — rzędami ciemnych monitorów. Toshiba. Amstrad. Jak ona mogła nazwać go żalonym? Zalała go fala gniewu. Tańczy jak jakiś księgowy. I pomyślał: to ja ją ratuję przed porwaniem, a ona nazywa mnie nieatrakcyjnym.

— No więc tam to zrobimy, w Camden Town — ciągnęła Eva. — Zaczekam na końcu jej ulicy i pójde za nią do metra. Ty zostaniesz w mieszkaniu. Zadzwoń do ciebie, jak tylko się pokaże. Ustalimy miejsce i przyjedziesz tam! Łatwizna!

Jechał teraz Euston Road. Przechodnie z opuszczonymi głowami przedzierali się przez wiatr hulający wokół budynku Capitol Radio; nawet samochód trząsał się od siły podmuchów. — A co będzie, jeżeli ktoś zabierze ją samochodem? — zapytał. — A jeżeli nie będę mógł zaparkować auta, tam gdzie trzeba? Albo ktoś nas zauważy?

— Nikt niczego nie zauważy. Dlatego Camden Lock jest odpowiednim miejscem. Można by tam umrzeć, i nikt niczego by nie spostrzegł.

Zamilkli. Wolały, by Eva nie wypowiedziała tych słów. Daleko przed nimi, wysoko na niebie zawisnął księżyc w pełni. Szokująco wielki i bliski, jakby przyglądał się im z odległości kilku stóp. Patrzył mu w twarz i wiedział, że on się zmienił. Stał się twardszy. Żalony, tak?

Przejechał przez Camden Town, obok rozświetlonych okien restauracji serwujących kebab, mijał pustoszejące puby. Niepewnie trzymający się na nogach mężczyźni wyłaniali się na ulice, wrzeszczeli na samochody. Wyli w stronę rozświetlonego nieba. Jon jechał na północ, pod zwisającym księżycem.

Rozdział czwarty

Gdv Jon był mały, potrafił się wyłączyć, odciąć od rzeczywistości. Siedział pod stołem, udając nieżywego — niby że jest martwy — i czekał, by ktoś zauważył, co się stało. Nikt nigdy niczego nie zauważał, więc mały w końcu wyłaził z ukrycia. Ale ten czas spędzony w samotności miał dla niego ogromne znaczenie. Mógł stać się kimś innym, wędrować własną drogą. Gdy podrósł, a jego rodzice kłócili się, umiał uruchomić w mózgu ten izolujący sygnał; odcinał się od ich krzyków, wyłączał się i ruszał w podróż poprzez mgliste, jasnioletowe krajobrazy swej wyobraźni. Gdy dorósł, tę samą umiejętność wykorzystywał w metrze, w godzinie szczytu. Doprowadzał tym Evę do szaleństwa, nie mogła znieść, gdy pozostawiał ją samą. Dopraszała się, by ją ze sobą zabierał.

I tak właśnie całkowicie wyłączony siedział w samochodzie zaparkowanym w Camden Market. Przechodnie przeciskali się obok drzwi pasażera; objęli się o maskę. Okna pozostały zamknięte; od reszty świata szczelnie odgradzała go muzyka. Z prawej strony wolno przesuwali się samochody; ulica dławila się ludźmi. Z lewej strony walił tłum. Poczuli się niczym tkwiąca w rzece kłoda, z obu stron oblewana leniwym nurtem wody.

Minęło dziesięć minut. Co chwilę, w przerwach między tłoczącymi się ludźmi, pokazywało mu się na moment pobliskie stoisko — czarny gość sprzedawał kasety. Głowa mężczyzny podskakiwała w górę i w dół w takt muzyki; wylaniająca się między ludźmi, migotała niczym zatrzymana klatka filmu. Przed Jonem stała zaparkowana furgonetka — stary transit — taki ja ta, którą kiedyś miał. Na tylnej szybie widniały naklejki. „Uwolnić Tybet”, głosił napis na jednej. Zdaje się, że ktoś próbował zerwać ją paznokciami. Pod nią, żółta nalepka: „Czyń przypadkowe dobro, twórz bezsensowne piękno”.

Minęło pięć minut. Parkował nieprawidłowo; zaraz funkcjonariusz z drogówki każe mu odjechać. Nagle, całą siłą woli próbował zmusić Evę, by się nie pojawiła, by nic z tego się nie wydarzyło. Bezsensowne piękno. Co to oznaczało; co w ogóle cały ten napis znaczył? Słowa wirowały mu w głowie.

On i Eva, to niemożliwe, to się wcale nie dzieje. Miał wciąż zapalony silnik; wystarczy po prostu włączyć się do ruchu i odjechać. Kasetka kliknęła — stop — i wysunęła się; odwrócił ją i włożył z powrotem. Przekładkowe dobro. Przekładkowy kawałek papieru, popychany po trawie podmuchem wiatru...

I wtedy tylne drzwi otwarły się. Usłyszał głos.

— Nic nie mówiłaś o samochodzie.

— No chodź, Hannah! Oni czekają.

— Skąd znasz moje imię?

Coś uderzyło o samochód. — No chodź, Hannah! — Eva podniosła głos. — Mama mówi, że masz wracać do domu!

— Co? — Nagle dziewczyna krzyknęła: — Na pomoc!

Nikt jej nie słyszał. Przez otwarte drzwi do Jona doleciał gwar rozmawiających w obcym języku ... sprechen itchen..., on hunraca oftin... Nikt nie zorientował się, co się dzieje.

Ożywił silnik. W bocznym lusterku ujrzał, jak Eva wpycha dziewczynę na tylne siedzenie. — Jedź! — warknęła.

— Na pomoc!

Jon cofnął wóz. Włączył się do ruchu. W lusterku widział, jak dziewczyna walczy z Evą. Szarpnęła ją za perukę, która ześliznęła się i została jej w dłoni.

Przycisnął pedał gazu; pasażerki odrzuciło do tyłu.

Mieli ją! Dziewczyna leżała skulona na tylnym siedzeniu, przykryta kocem niczym zniewolone zwierzę. W Afryce unieruchamiają słoniątka za pomocą zastrzyku. Strzykawką Evy była broń; to dzięki niej dziewczyna zamieniła się w kamień. Eva, ściśnięta na tylnym siedzeniu, przyciskała do koca pistolet. Jon wyprzedził autobus i teraz jechał przez Chalk Farm. Stało się; zrobili to. Nie mógł wciąż uwierzyć. Jedyłą realną rzeczą zdawało mu się własne przeziębienie — czuł się coraz gorzej; gardło miał zapchane flegmą.

Jakiś dźwięk — chrząknięcie — doleciało spod koca. — W porządku, kochaniutka — powiedziała Eva uspokajająco. — Nie ruszaj się, a wszystko będzie dobrze. — Kochaniutka? Eva nigdy dotąd do nikogo tak się nie zwracała. — Nie stanie ci się krzywda. Oczywiście, jeżeli będziesz robić, co ci się każe — zaciągała jak mała dziewczynka, przemawiająca do swej lalki. Najwyraźniej przećwiczyła to przed lustrem.

Obejrzał się przez ramię. Koc się nie poruszał. Dziewczynę pewnie sparaliżował strach. Jechał w kierunku Acton, szarymi, pustymi ulicami, jak to bywa w niedzielne popołudnie. Eva oczywiście miała plan, ale on, nie wierząc, by naprawdę ważyli się na porwanie tej dziewczyny, nie przyswoił go sobie. Mimo panującego tego dnia chłodu, na działkach w niedzielę kręci się najwięcej ludzi. Co będą robić do zapadnięcia zmroku?

Spojrzał w lusterko. Eva z powrotem założyła perukę. Poprawiła ją, zapaliła papierosa. Ukryta pod kocem dziewczyna zakaszłała, krztusząc się dymem.

— Wiesz, E... — urwał w samą porę. Umówili się, że nie będą mówić do siebie po imieniu. A także, że nie wolno mu się oglądać; dziewczyna nie powinna zobaczyć jego twarzy, nie można dopuścić, by kiedyś mogła go zidentyfikować. Bo Evę widziała tylko w przebraniu, o mocno zmienionym

wyglądzie. Musi sobie teraz to wszystko przypomnieć, słowa, których właściwie nie słyszał — zupełnie jakby w samolocie przysłuchiwał się instrukcji bezpieczeństwa, a tu nagle na pokładzie wybucha pożar i należy kierować się według wskazówek. Oczywiście, nie mógł zapytać Evy, nie przy dziewczynie. Muszą sprawiać wrażenie, jakby nie mieli żadnych wątpliwości co do swych zamiarów.

O czym ona myśli, pod tym wybrzuszonym kocem w szkocką kratę? Dokonali fizycznego aktu przemocy. Wepchnęli kompletnie nieznaną osobę do swego samochodu; złamali zasady ludzkiego zachowania. Dziewczyna broniła się; wołała na pomoc! Ale ponieważ on sam niczego nie zrobił — to Eva zmagala się z nią — tylko zwyczajnie siedział za kierownicą i prowadził samochód jak normalna osoba, w normalny dzień, wciąż czuł się ze wszystkiego wyłączony. Pomimo drobiazgowych przygotowań, cała ta rzecz wydawała się zbyt dziwaczna; jeszcze nie dotarło do niego, co właściwie robili.

Jechał Harrow Road, mijał zamknięte, zakratowane sklepy. Nagle przez drogę przebiegł pies; Jon gwałtownie odbił w bok. — Oj! — stłumiony okrzyk wydobył się spod koca. Pewnie uderzyła się o klamkę drzwi.

— Przepraszam — powiedział. I przypomniał sobie: Zabierzemy ją na działki. Jeżeli w pobliżu ktoś będzie się kręcił, zaczekamy do zmierzchu... Była piąta piętnaście. Czerwiec. Nim zapadną ciemności, miną ze dwie godziny. Będziemy się wymieniać... jedzenie... klucz do kłódki... klucz do głównej bramy...

Teraz już ją mają, to duże, rozpaczliwie łapiące oddech stworzenie. Czekał na ich dni już wydawały się ciągnąć nieskończenie. Co ona czuje? Co u licha z nią poczną?

Kichnął. Żadnego „na zdrowie” spod koca.

«Jak się okazało, udało im się wprowadzić ją do szopy bez najmniejszego kłopotu. Tylko nieliczni ludzie pracowali na działkach, wszyscy daleko. Szopa stała na skraju, z dala od innych, otoczona zarośniętymi nieużytkami. Jon podjechał pod sam budynek, rozpadającą się komórkę, i zaparkował bokiem, zasłaniając widok. Eva wypchnęła dziewczynę z wozu. Jon próbował pomagać, ale nie potrafił zmusić się do położenia dłoni na jej ciele, jeszcze by ją przeraził. Z zawiązanymi oczami, potykając się, wpadła do środka, a Eva posadziła ją na stołku.

Dziewczyna nie odzywała się. Głęboko oddychała — jej pierś podnosiła się i opadała. Siedziała cicho jak myszka, jak wystraszony królik. Eva zajęła się porządkami; powyjmowała zakupy, wyciągnęła słoik neski i rolkę papieru

toaletowego. Wciąż miała spiętą, pełną koncentracji minę małej dziewczynki, ustawiającej mebelki w domu dla lalek.

— Co ze mną robicie? — zapytała dziewczyna. Siedziała, przyciskając kurczowo do siebie tę swoją poplamioną atramentem hinduską torbę. — Kim jesteście? Ja chcę do domu.

— Nie możesz. Jeszcze nie — oświadczyła Eva.

— To jakiś kawał, prawda? — dziewczyna zwróciła się do Jona. — Ty jesteś Ewan, tak?

— Ewan, kto to taki? — zapytał Jon.

— Jesteś bratem Emmy, na pewno. Słuchaj no, przykro mi z powodu tej prywatki Tanyi. Nie mówiłam serio. Tak naprawdę, wszyscy cię polubili. Możemy już z tym skończyć? Mama i tatuś będą szaleli.

Siedziała, ściskając kolana, na stołku tak małym, że wyglądało, jakby zaraz miała z niego spaść. Spod niebieskiego, jedwabnego szalika ciasno obwiązanego wokół głowy widać było napięte usta. Gruba dolna warga zaczynała już drżeć. Jakby dziewczynka, której kazano bawić się w chowanego, nagle zorientowała się, że wszyscy poszli do domu.

— To nie gra, kochaniutka — powiedziała Eva. — Ale nic ci się nie stanie, jeżeli będziesz posłuszna.

Na dworze rozpadało się, krople deszczu dudniły na falistej blasze dachu. Dziewczynka mocniej ścisnęła torbę. — A co to takiego? Gdzie ja jestem?

— W bezpiecznym miejscu — odparła Eva. A Jon miał ochotę poklepać dziewczynę po kolanie, dodać jej otuchy, ale nie odważył się; a nuż by ją wystraszył. Kiedyś jako chłopiec przyniósł do domu ranną myszkę i głaskał ją tak czule, że zwierzę zdechło ze strachu.

— Co chcecie mi zrobić? — zapytała dziewczynka.

— Nic — odrzekł Jon. — Nic, naprawdę, jeżeli twoi rodzice spełnią nasze żądania.

— Dopadną was! Znajdą mnie! Mój tata jest bardzo ważną osobą, zna mnóstwo osób! Pójdzie na policję...

— O nie, tego nie robi — powiedziała Eva.

— On prowadzi własną firmę, pracuje dla niego pięćdziesiąt osób, mógłby pstryknąć palcem...

— Jest bogaty, co? — zaciekawiła się Eva.

— Pewnie! Może wynająć prywatnych detektywów, helikoptery, c& tylko trzeba!

— Taki bogaty? — Eva spojrzała na nią uważnie.

— On wszystko może! Znajdzie mnie!

Zapadła cisza. Jaki hałaśliwy był ten deszcz! Jakby w dach uderzały kamyki. Eva oparła się o ścianę, spojrzała na Jona. Bawiła się kosmykami swej kasztanowej peruki, nawijała je na palec, jak prawdziwe włosy. Wolałby, by ją zdjęła. Siedział na zwiniętym materacu i przyglądał się jej: zwięzione źrenice; widać intensywnie zbierała myśli.

W małej szopce, gdy tkwili w niej wszyscy troje, niewiele było miejsca, a jeszcze nawet nie rozłożyli kempingowego łóżka. Nad odgłosami deszczu górował przyśpieszony oddech dziewczyny. Obgryzała paznokcie. Chciał się do niej odezwać, ale nie wiedział, jaki przybrać ton: czy pocieszać — zgodnie z jego naturalnym instynktem, czy surowym głosem zmusić ją, by zastraszona, siedziała cicho. Niebo za oknem przybrało szarą barwę popiołu, jakby już zapadł zmierzch.

Eva wyciągnęła chustę z torby na zakupy. — Przymocujmy ją.

Wyjął młotek i gwoździe; Eva przytrzymała chustę przy oknie. Uniósł młotek i odwrócił się do dziewczyny. — Zaraz zrobię trochę huk. Ale nie bój się. — Czuł się jak lekarz, tłumaczący pacjentce, że za chwilę trochę ją zaboli. — My tylko zawieszamy zasłonę. — Wbił gwoździe; dziewczyna drgnęła. — Potem zapalimy lampę i zrobię kawę. Dobrze?

Eva skrzywiła się na jego słowa. Co takiego powiedział? Dziewczyna sięgnęła do torby, pogrzebała w niej. — Mogę zapalić? — zapytała.

Jon skinął głową, ale zaraz połapał się, że ona go nie widzi. — Oczywiście.

Na ślepo szukała w torbie, wyjmowała rozmaite przedmioty: chusteczki higieniczne, portmonetkę ze zdjęciem Garfielda. Jej rzeczy osobiste wyglądały żałośnie. Jakby należały do ofiary wypadku samochodowego. Wyciągnęła książkę w miękkiej oprawie, „Słownik sztuki i artystów”; potem paczkę marlboro.

— Podam ci ognia — zaproponował i zapalił zapałkę. Dwie palaczki w tej małej komórce, czym będziemy oddychać? Rzucił okiem na książkę. — Widzę, że lubisz malować?

Przytaknęła ruchem głowy, wypuszczając dym. — Trochę pacykowałam — przyznała. — Jak jeszcze coś widziałam.

Tą uwagą tak go zaskoczyła, że aż się roześmiał. Eva rzuciła mu wściekle spojrzenie. Zapalili lampę olejną. Od razu w szopce zrobiło się przytulnie. Wiedział, co Eva myśli: do cholery, nie powinno tu być zbyt miło! Podsunęła dziewczynie podstawkę doniczki i poprowadziwszy jej rękę, wskazała, gdzie może strzepywać popiół — pod tym względem nagle zrobiła się strasznie pedantyczna. Potem ostrym tonem zażądała: — Wyjmij to z nosa.

Dziewczyna zamarła. — Co?

— Kolczyk. Daj mi go.

Moment przytulności minął. Dziewczyna zadrżała.— Dlaczego? — zapytała. — Co zamierzasz mi zrobić? — Najwyraźniej uznała, że planują wobec niej coś niesamowitego, strasznego i bolesnego, jak zdejmowanie biżuterii pacjentowi przed operacją. Mocno zaciągnęła się papierosem.

Eva wyjęła go jej z ręki, zgasła. — Pospiesz się — rozkazała.

Może dziewczynie przyszło do głowy, że chcą ją okraść. Przytrzymała torbę między kolanami, by zwolnić ręce, i pogrzebała przy nozdrzu. Dłonie trzęsły jej się tak gwałtownie, że potrzebowała dłuższej chwili na wyjęcie szpilki. — Tylko mi powiedz, na co wam to.

— By udowodnić, że cię mamy — poinformowała ją Eva. — Twoim rodzicom.

— Nie wolno wam! Proszę! Oni wpadną w panikę!

Na to Jon: — Więc zapłacą nam, by cię odzyskać. Proste.

Odwróciła się, na ślepo, w jego stronę. — A co się stanie, jeżeli nie będą mogli zapłacić, co wtedy? A jeżeli nie będą chcieli? — głos jej się załamał. — Muszę do toalety, proszę. Chcę do domu!

Patrzył na nią bezradnie. Dwie ciemne plamy pojawiły się na opasce, niczym krew przesiąkająca przez bandaż.

Łzy wydobyły się spod materiału, spłynęły po policzkach.

Inni działkowicze już dawno odeszli, w strugach deszczu odjechali do swych domów rowerami lub samochodami. Nadeszła godzina siódma. Otwarli drzwi szopy — na zarastających ścieżkę łykowatych liściach szczawiu bębnił deszcz. Eva zaprowadziła dziewczynę do toalety — przenośnego wychodka w pobliżu biura działek. Jon odprowadzał je wzrokiem — przygarbiony koc na czterech nogach. Parasol, dopisał do listy rzeczy, które okazały się niezbędne. Piwo. Paśla do zębów. I jeszcze nocnik. Co za śmieszne słowo; nie używał go od czasów dzieciństwa. Będą go potrzebowali w czasie dnia. Naczynie umieści się w opartej o tylną ścianę szopy szafie, niewidocznej z innych działek. Wujek Charlie trzymał w niej narzędzia, dopóki dach nie zaczął przeciekać. Nocnik. Jakie żenujące. Wcześniej nie pomyślał o tej stronie przedsięwzięcia; o sprawach praktycznych. Nawet w myślach posługiwał się eufemizmami, unikał słowa porwanie. W szopie szeptem omawiali z Evą dalsze plany, ale trudno było o nich rozmawiać w obecności dziewczyny, a nie mogli zostawić jej samej ani na chwilę, jeszcze zerwałaby opaskę. Odczuł ulgę, gdy Eva nic nie wspomniała o związaniu dziewczyny, ale może nie należała na ten wariant tylko dlatego, że zapomnieli kupić sznur. W szopie znaleźli jedynie kłębek postrzępionego szpagatu.

Jon zaoferował się zostać na tę noc; prześpi się na piankowym materacu, a dziewczyna na łóżku kempingowym. Eva zgodziła się. — Ja tu nie zostanę! — szepnęła. — Te pająki!

Jedno z nich musiało wracać do domu, po części z powodu niewystarczającej ilości miejsca w szopie, a poza tym samochód zaparkowany tu przez całą noc mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Choć wokół stały jedynie fabryki, ktoś mógłby się zainteresować. Co ważniejsze, następnego ranka należało załatwić zaopatrzenie i wysłać żądanie okupu. Eva wyciągnęła z dziewczyny numer faksu rodziców i numery telefonów. — Zostaw to mnie — szepnęła do Jona. — Wszystkim się zajmę.

Przyprowadziła dziewczynę z powrotem, wzięła kluczyki do samochodu; przystanęła przy drzwiach. Czyżby zamierzała go pocałować? — w końcu przeprowadzili swój plan! Zrobili to! Czyż nie była podekscytowana? Ale chyba przy dziewczynie poczuła się nieswojo; po prostu wyszła.

Odgłos silnika ucichł. Hannah sięgnęła do torby po papierosy. — Co się dzieje?

— Zostanę tu z tobą na noc — wyjaśnił. — Nie bój się. Jestem zupełnie niegroźny.

— Nie boję się.

Aha. — Nie wiedzieć czemu rozczarowany jej odpowiedzią, zareagował ostro: — W twoim wieku nie należy palić. To bardzo dla ciebie szkodliwe. Całe twoje ubranie śmierdzi dymem.

— Wiem. Od niej też czułam. — Wsunęła papierosa z powrotem do paczki. — Później zapalę. — Sięgnęła palcami do pudełka. — Zostały tylko dwa. Muszą wystarczyć na cały wieczór. Co będziemy robić?

Wiedział, o co jej chodzi. — Jeść. Mam trochę konserwowej szynki i fasolkę...

— Jestem wegetarianką.

— No to fasolka.

— Która godzina?

— Siódma trzydzieści.

— Oni niedługo zaczną się martwić. Będą obdzwaniać moje przyjaciółki — podniosła głos. — Jak mogliście im to zrobić? Będą przerażeni.

— Ale ty się nie boisz.

— Ciebie, nie. Za to ona przeraża mnie jak diabli.

I mnie, pomyślał. Zrobiła coś, na co ja sam nigdy bym się nie zdobył. Dlaczego? Bo przez całe życie nigdy nie miała nic do stracenia.

— Kim wy jesteście, wasza dwójka? — zapytała dziewczyna. Jej wojowniczość zaskakiwała go, nie spodziewał się podobnej reakcji. Przypuszczał, że będzie przestraszona — i bez wątpienia była, ale odważnie próbowała za wszelką cenę ukryć strach. — Po co to robicie?

— O czym mówisz? — nie zrozumiał.

— No... dla kogo zdobywacie pieniądze? Przecież nie jesteście z IRA, prawda? A więc co wami powoduje?

Zamyślił się. — Nie mamy konkretnego celu.

— Jak to?

— Sami jesteśmy dla siebie celem, nikt inny. Robimy to dla siebie.

Wypuściła przytrzymywane w płucach powietrze. — Jakie to żalosne! I nie wstyd wam? Chcecie obrabować moją rodzinę tylko dlatego, że potrzebujecie pieniędzy? Dlaczego?

Zapanowała cisza. Deszcz jakby zelżał, a może po prostu rozmawiali teraz głośniej. — Tak właśnie postępują ludzie: kradną — oświadczył. — Radia z samochodów, poufne informacje giełdowe. Poczytaj sobie pierwszą lepszą gazetę — zdarza się to przez cały czas.

— Żadne wytłumaczenie; to naprawdę żalosne.

Zajął się torbą na zakupy. Dziewczyna niewątpliwie wyczuła go, nie widziała go jako porywacza — zresztą, kto się nadaje do tej roli? To nagłe odsłonięcie słabości jego charakteru zmieszało go. Kto tu właściwie sprawuje kontrolę?

Rozerwał torbę, wyjął bochenek pokrojonego na kromki chleba i otwieracz do konserw. Mieli też banany i Kit-Katy. Jedzenie kojarzące się z prowiantem dla chłopców, pasującym do plecaka i świeżego powietrza, odpowiednim na wędrówki. Ojciec i syn usiedliby razem, rumiani i bliscy sobie. Tyle że ojciec Jona był zbyt zajęty bzykaniem swej sekretarki, by zabrać syna na wycieczkę. Ogarnęła go fala rozzalenia nad sobą. Kłótnie rodziców — przyciszone głosy przenikające przez ścianę; mętne deklaracje ojca, skrzypnięcie drzwiczek szafki z alkoholem. Przypomniął sobie zdjęcie rodziców tej dziewczynki. Oni wyglądają inaczej, pomyślał. Założę się, że są szczęśliwi.

Tyle że teraz już tacy nie byli.

Coś mówiła. — Dlaczego wybraliście akurat mnie?

— Tego nie mogę ci zdradzić. — Nie wolno mu podawać jej żadnych szczegółów.

— My nawet nie jesteśmy bogaci. Większość rodzin moich przyjaciółek ma o wiele więcej pieniędzy. Dlaczego ja? To nie w porządku.

Dokładnie tak samo marudziła Eva. — Nic nigdy nie jest w porządku. Życie nie jest sprawiedliwe, nie wiedziałas o tym?

— O Boże. Masz zamiar głądzić tak bez końca? Nie wystarczy, że jesteśmy tu zamknięci?

— Nie denerwuj się, proszę — próbował ją uspokoić. — Mamy przed sobą długie czekanie.

— Dlatego jestem rozdrażniona. — Na chwilę przycichła. — Długie to znaczy ile?

Nie miał pojęcia, ale należało sprawiać wrażenie pewnego siebie. Eva wiedziałyby, jak sobie poradzić. Już mu jej brakowało. I ich szerokiego, ciepłego łóżka. — To zależy od twoich rodziców.

— Jak znam ojca, prawdopodobnie zapłaci wam, byście mnie zatrzymali.

— Co takiego?

— Ciągłe się sprzecząmy. Bez przerwy ma do mnie pretensje: jestem niechlujna, bezczelna, nie pomagam przy zmywaniu... paskudnie go traktuję, i ta moja okropna muzyka. Zdecydowanie woli Becky — ta mała, cwana suka wie, jak nim manipulować.

Jon patrzył na nią zdumiony. — Chcesz powiedzieć, że nie będzie mu zależało na odzyskaniu cię?

Usta widoczne poniżej opaski wykrzywiły się. — Ha, Ha! I macie mnie na zawsze!

— Tak myślisz?

— On już dopilnuje, bym czuła się winna. Jak zawsze! Jest w tym dobry. — Dolna warga nagłe zadrżała. — Nie dbam o to. Chcę do domu! Chcę oglądać Sąsiadów.

Kichnął głośno i pomyślał: ja też.

— Nawet nie wiem, jak masz na imię — rozzaliła się. — No, nie.

— Ale ty znasz moje. Skinął głową. — Hannah.

— To nie w porządku — chlipnęła. — Proszę, puść mnie do domu.

Gdy skończyli jeść, była dopiero ósma czterdzieści pięć. W fazie planowania, porwanie wydawało się czymś wielce dramatycznym, w istocie jednak nie potrafił sobie wyobrazić, jak naprawdę będzie, gdy to zrobią. To.

Pochłodziło. Na dworze cicho szumiał deszcz. A oni zupełnie jakby na małym, drewnianym stateczku, takiej Arce Noego dla dwojga, znaleźli się całkiem sami na bezkresnym oceanie. Zdumiewające, jak łatwo można się poczuć odciętym od reszty świata. Z trudem udało mu się rozłożyć łóżko kempingowe — staromodne, z pordezewiałymi żelaznymi nóżkami, które należało wsunąć w rurki z materiału; miał je od dziecka, należało jeszcze do

jego ojca. Hannah leżała na nim, przykryta kraciastym kocem. Na dworze jakiś ptak wyśpiewywał swą pieśń — tony płynnej melodii opadały w dół — jakże wolnym, w porównaniu z nimi, był stworzeniem! I do Jona dotarło: jestem takim samym więźniem jak ona. Od czasu do czasu z daleka dochodziły odgłosy metra linii Jubilee. Gdy uniósł szal na oknie, by sprawdzić, czy już pociemniało — wciąż było dość jasno — w oddali mignęła mu pędząca, oświetlona stonoga.

— Ciekawa jestem, czy byli w stanie zjeść moją porcję obiadu — zastanawiała się na głos Hannah.

— Twoi rodzice?

Przytaknęła ruchem głowy. — Założę się, że moja siostra nie miała z tym najmniejszych trudności. Małe proszę. Ale oni? Raczej nie.

I nagle pojął ogrom zła, jakiego się dopuścili. Wyrwał tę dziewczynę z jej życia, którego rozpoczęte zadania pozostały nie skończone. Zatrzymał jej zwykłą, codzienną egzystencję — zupełnie jakby potrącona przez samochód straciła przytomność. Ale nie zdarzył jej się wypadek; on zrobił to z premedytacją. I po raz pierwszy pomyślał o jej rodzicach, tak naprawdę. On, Hannah i Eva wiedzieli, co się wydarzyło; w tej sprawie nie różnili się. Ale rodzina ze zdjęcia — jaki koszmar musi przeżywać w tym momencie? A minie jeszcze wiele godzin, nim otrzymają jakąkolwiek wiadomość. Gdyby tylko Eva mogła pospieszyć się i nawiązać z nimi kontakt, zakończyć ich rozpacz — lub zmienić ją w inny rodzaj strachu.

Hannah leżała nieruchomo. Z zasłoniętymi oczami, więc nie wiedział, czy śpi, czy wciąż czuwa. Denerwująca sytuacja! Nie widząc wyrazu jej oczu, nie mógł wyczuć, o czym dziewczyna myśli. Gwałtownie zmieniała nastrój. To denerwowała się, to płakała. Po prostu dzieciak. Porwano ją; i to on, niewiarygodne!, był porywaczem. Żadne z nich nie wiedziało, jak się zachować. Na filmach kidnaperyzy byli brutalni, a ich ofiary, skrupowane, trzęsły się ze strachu. Zdarzało się nawet — niech Bóg broni! — że odcinano im kawałki ciała. Patrząc na nieruchomy koc, zastanawiał się, jak daleko posunęłyby się Eva. Ona przeraża mnie jak diabli.

Wyobraził sobie Evę, jak pochylona nad szczotką wyciąga z niej włosy i chowa do kieszeni. Jej zwinne, zręczne, szczupłe palce splotły je w bransoletkę, związały, nawlekając na nie czerwony jak koralik.

Hannah odwróciła się w jego stronę. — Czym się zajmujesz, gdy nie robisz tego, co teraz? A może robisz to przez cały czas?

— Nie.

— A więc kim jesteś? Wolno mi zapytać? O czym do licha mamy rozmawiać?

— A ty, co robisz? — odpowiedział pytaniem. — No, w szkole.

— Jestem w przedostatniej klasie. — Nagle jęknęła: — Za trzy tygodnie mam testy sprawdzające.

Powinienem być pójść do college'u, pomyślał. W szkole uchodził za dość zdolnego. Przestał się uczyć tylko po to, by ukarać ojca, by wyrwać się spod jego wpływu. — Masz szczęście — zauważył.

Zaśmiała się ochryple. — Szczęście? Naprawdę? Tego akurat słowa nie użyłabym w tej sytuacji.

— Mam na myśli... — przerwał.

— A co będzie, jak nie zdam? Żeby dostać się w przyszłym roku do Sussex, muszę mieć co najmniej jedną ocenę „A” i dwie „B”.

— Co jest w Sussex?

— No przecież uniwersytet.

— Szkoda, że nie poszedłem na uniwersytet. I nie studiowałem historii. — Kłopot w tym, że przy Evie nie było mowy o nauce. Wciąż mu przeszkadzała; im bardziej zatapiał się w książce, tym bardziej się stawała zła. A nawet, gdy podczas sprzeczki o coś całkiem innego atakowała go o jakąś jego dawną dziewczynę, dziko zazdrosna o jego przeszłość — całkiem skromną, to nawet podarła wtedy Moby Dicka i wyrzuciła przez okno. Książkę z biblioteki.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Dość zdolny... By być uczciwym — a w tej szopie nic innego mu nie pozostawało — jego zdolności można by określić najwyżej jako średnie. Zapewne, gdy odszedł ze szkoły, już następnego tygodnia żaden z nauczycieli nie pamiętał jego wyglądu. Ot, taki niczym nie wyróżniający się chłopiec.

Niewyróżnianie się niczym — zaleta w przypadku przestępcy, pomyślał. Wręcz niezbędny warunek przy tej profesji.

Nagle przypomniał sobie swój największy wyczyn ze szkolnych czasów. Jeszcze w podstawówce. Skonstruował zegar słoneczny — ręce miał zręczne — a pod spodem napisał wiersz.

Czas płynie wolno

Czas płynie jakby gnał

Czas będzie trwał i trwał i trwał.

Miał siedem lat. Jego nauczycielka, pani Mason, przeczytała wiersz na głos. — To niezwykle głębokie, Johnny — pochwaliła z uśmiechem.

Jakże żaloszny był ten jego wyczyn. Do tej pory nawet o nim nie pamiętał.

Me bądź żaloszny, powiedziała Eva. I Hannah też użyła tych słów.

Czego jeszcze dokonał, co można by nazwać znaczącym? Usunął „H” ze swego imienia. I to. To było coś. O tak, to na pewno było coś.

Ogarnęło go gwałtowne pragnienie wyrecytowania swego wiersza Hannah. Ale ona nie odzywała się. Siedziała przygarbiona i obgryzała paznokcie. Mógłby skarcić ją, powiedzieć, by przestała, ale w końcu to nie jego sprawa.

A nawet wypadłoby idiotycznie w tej sytuacji.

Sprawdź mnie. — Hanna pogrzebała w torbie i wyjęła „Słownik sztuki i artystów”. — Będziemy mieć coś do roboty.

Otworzył książkę i pochylił się nad lampą, by lepiej widzieć tekst.

— „Signorelli” — przeczytał.

— No... włoski malarz — urwała. — Zdaje się uczeń kogoś sławnego. Nie pamiętam, czyj.

— „Uczeń Piero Della Francesca.” Kto to?

— Nie wiesz? A byłeś kiedyś we Włoszech?

Potrząsnął przecząco głową i zaraz przypomniał sobie, że ona go nie widzi. — Nie — rzekł. — Za to byłem w Hiszpanii; dwukrotnie.

— On należy do moich ulubionych. Jego fantastyczna praca, zatytułowana „Narodziny” wisi w Galerii Narodowej. Byłeś tam?

— Nie.

— Wracajmy do Signorelliego. ...1441-1533... jego geniusz najwyraźniej widać w słynnym cyklu fresków w Katedrze w Orneto, na których artysta przedstawia swoje wizje życia, śmierci, zmartwychwstania i potępienia... — Urwała. — Czujesz się winny z powodu tego, co zrobiłeś?

Nie odpowiedział. — „Seurat, Georges.” — kontynuował.

— Suera — poprawiła. — On malował kąpiących się, używał techniki kropek. — Dotknęła dłonią brody. — Jak ja tutaj będę się myć? Czytaj dalej.

— „Urodzony w 1859. Eksperymentowanie formą, kolorem i kreską było częścią poszukiwań za istotą porządku, którym poświęcił całe życie...” Dalej jest o tych kropkach. „Według teorii dywizjonizmu, każdy kolor składa się z maleńkich cząstek idealnie czystego koloru, które także odbijają barwę światła.” Tego kawałka nie rozumiem.

— Wiesz, mam w domu taki specyfik, Oksykrem. Do smarowania pryszczy — przerwała. — Zresztą, tak naprawdę nie dbam o to, przecież się nie widzę.

— Potarła oczy przez opaskę. — Gdyby nie była taka ciasna, to nawet sprawiałaby mi przyjemność. No wiesz, że nie mogę zobaczyć, jak okropnie wyglądam.

— Wcale tak nie jest.

— Najgorzej, jak zobaczę się przypadkowo — na przykład w szybie wystawy. Gdy nie jestem przygotowana.

— W twoim wieku wszyscy mają takie problemy. Ja kiedyś martwiłem się, że jestem zbyt blady, taki wymoczek.

— A więc tak wyglądasz?

Uśmiechnął się, a potem, przypomniawszy sobie, że ona nie widzi go, roześmiał się. W towarzystwie osób niewidzących trzeba swe reakcje wyrażać na głos, pomyślał. — Nie, nie jestem blady ani wymoczkowaty. Jestem szczupły i wyjątkowo przystojny. — Mógł pozwolić sobie na żarty, ona i tak nie widziała jego twarzy.

— To nawet zabawne — zauważyła. — Znam cię w zupełnie odmienny sposób niż inni.

— Rzeczywiście — roześmiał się ponownie. — Znasz mnie takiego, jakim naprawdę jestem.

Zapadło milczenie. Wstał i unióśł lekko chustę; nareszcie zapadły ciemności. Gdzieś daleko czekał pies. Od szamotaniny przy Camden

Market jakby upłynęło całe życie; zdawało się niemożliwe, by był to ten sam dzień. Odwrócił się, spojrzał na Hannah. Leżała na boku, twarzą do ściany. Wolałby, by nie przestali rozmawiać.

— Wcale nie są okropne, wierz mi, te twoje pryszczki. Wiem, co mówię, przecież je widziałem. Ale postaram ci się o ten środek. Wpiszę go na listę.

— ...tylko czasem, gdy tańczę, zapominam o swoim wyglądzie. Jakbym się całkiem zmieniła.

— Ja tańczę beznadziejnie.

— Naprawdę?

— Tak, według ciebie jak księgowy.

— O czym ty mówisz? — Obróciła się do niego twarzą.

Opamiętał się. Czy ma wyznać, że się widzieli? Zresztą, to bez znaczenia, w końcu był w przebraniu. — To ja byłem tym gościem w piątek w Underworld. Tym kichającym.

Usiadła wyprostowana. — Ty?!

— Na pewno mnie pamiętasz — powiedział z goryczą. — Opowiadałaś przyjaciółce, jaki jestem nieatrakcyjny. I że tańczę jak jakiś księgowy.

Zapadło długie milczenie. Na dworze zahukała sowa. — Rzeczywiście, przypominam sobie, że ktoś coś do mnie wołał. Miał szpakowate włosy. Ale potem niczego nie mówiłam, nawet nie widziałam cię tańczącego.

— Przecież obgadywałaś mnie w toalecie.

Potrząsnęła głową. — Rozmawiałam o wybraniu się do Camden Lock, to pamiętam. I z Emmą porównywałyśmy podbródki — która ma większy. To wszystko.

Jon przeżuwał to, co usłyszał. Powoli zaczynało do niego docierać: Eva wszystko wymyśliła. Widziała, że on się waha, że ma wątpliwości, czy to zrobić. No więc postarała się rozzłościć go na dziewczynę, wymyśliwszy idiotyczną uwagę, która zraniła jego idiotyczną dumę.

Najgorsze, to ta jego małostkowość. I fakt, że Eva tak świetnie go rozgryzła. To suka! Suka! O tak, znając ją, nie miał wątpliwości, że uciekła się do takiego manewru. To miało sens.

Poczuł ogromne zmęczenie. Rozłożył piankowy materac. I właśnie w tym momencie dotarła do niego pewność: ona naprawdę kradła tę forszę z salonu piękności. Może Norman i był na nią napalony, ale tę historyjkę o spoliczkowaniu go wymyśliła. Podobne kłamstwo całkiem do niej pasowało; bardzo prawdopodobne. Tak jak historyjka o Hannah.

Musi ufać Evie; muszą ufać sobie nawzajem. Nagle pomyślał: nie wiem nawet, jaki jest jej prawdziwy kolor włosów. Przez cały rok spaliśmy w jednym łóżku, a ja nie zapytałem. Czego jeszcze o niej nie wiem? Ta sprawa złączyła ich ostatecznie. Tu nie chodziło o drobną kradzież; to prawdziwa zbrodnia. A zbrodnia bardziej zbliża niż seks, jest przerażająco intymna. A on nie był na nią przygotowany. Przed dzisiejszym dniem jego najgorszym występkiem było zgłaszanie się po zasiłek, gdy równocześnie zarabiał na lewo. Ale czyn, na który się ważyli, był prawdziwy do bólu — zbyt realny, by go zaakceptować. Musi wziąć się w garść, stawić czoła rzeczywistości: już niedługo zaczną ich szukać policja; kto wie, trafią do więzienia. Hannah może uciec. Eva może go zdradzić. W chaosie, jaki się przed nim roztaczał, wszystko wydawało się możliwe. Na każdy odgłos jadącego samochodu sztywniał i modlił się w duchu, by auto się nie zatrzymało. Tak zapewne czują się przestępcy — przez cały czas, a właśnie stał się kryminalistą. Ogarnęły go wyrzuty sumienia: sprawił straszliwy ból nieznanym, niewinnym ludziom. Wkrótce, jeżeli sprawy potoczą się zgodnie z planem, będzie jeszcze odpowiadał za ogromną kradzież. Do tego nie miał pojęcia, jak zachowa się Eva. I ten ostatni aspekt przerażał go niemal tak jak wszystkie pozostałe.

Hannah leżała skulona, w pozycji embrionu. Zapragnął usłyszeć jej głos. Próbował, rzeczowo omawiając praktyczne sprawy, uspokoić zarówno siebie jak i ją. — Zaraz zaprowadzę cię do toalety. Na dworze jest kran, będziemy mogli się umyć. Niestety, nim pójdziemy spać, będę musiał zamknąć nas od środka. — I pomyślał, że trzeba będzie też okno zabarykadować na tyle

solidnie, by nie wyrzała, gdy on zaśnie. — Po zgaszeniu światła będziesz mogła zdjąć opaskę. Pasuje?

Nie odpowiedziała. Jego słowa zdawały się wyrzeć na nią przeciwny od zamierzonego efekt. Spod koca zaczęły wydobywać się ciche, jękliwe odgłosy. Płakała.

Rozdział piąty

Następnego ranka okazało się, że Hannah złapała od niego przeziębienie. Absurdalne, ale poczuł się winny. Przyjacielski nastrój z poprzedniego wieczora zniknął. Siedziała na łóżku i wycierała nos wilgotnymi kawałkami papieru toaletowego.

— Kiedy przychodzi ta okropna kobieta? Przydałby mi się karvol.

— Ona wcale nie jest okropna.

— Aha, porywając mnie, spełniła dobry uczynek? — Obficie wysmarkała nos. — Mówisz tak, bo to twoja żona lub przyjaciółka. Do tego jest ładna i szczupła i nie ma pryszczycy. Ale ja wiem swoje, wystarczy ją usłyszeć. Gdybyś zamknął oczy i posłuchał, gdy coś mówi, wiedziałbyś, o co mi chodzi. Ma głos jęśliwy i ostry, i nie kryje zachwyty nad własną osobą. Cholerna świruska!

Zamknął oczy i natychmiast pod powiekami pojawił mu się gładki niczym atlas brzuch Evy i jej ciemne, nabrziałe sutki. Zalała go fala gwałtownego pożądania. — Miała okropne dzieciństwo — próbował tłumaczyć. — Jej matka wciąż zmieniała kochanków. W końcu wyszła ponownie za męża i mężczyzna, którego poślubiła, molestował Evę. No wiesz, wyrządził jej krzywdę.

— Biedaczka! A więc mnie spotyka to w rewanżu za tamto?

— Potem dostała się do rodziny zastępczej.

— Żadne wytłumaczenie. Wujek i ciotka mojego taty zginęli w Oświęcimiu. Sześć milionów ludzi takich jak on zagazowano w tych przeklętych obozach. Ale on nie uważa, by to dawało mu prawo do zamykania innych w szopach — przerwała, by zaczerpnąć powietrza. — Ty jesteś o wiele miłszy od niej. A co ona w tobie widzi? Poza tym, że pewnie jesteś szczupły i przystojny. Choć nie mogę cię zobaczyć, wyczuwam, że jesteś atrakcyjny. Może właśnie dlatego, że nie widzę. Czy ona za coś cię lubi, czy tylko chodzi o seks?

Jon aż przerwał rolowanie materaca. To samo pytanie sam sobie zadawał. Kto wie, może odpowiada Evie, bo robi zakupy i gotuje; bo rozpuszcza ją i pozwala jej sobą kierować? Kiedyś oświadczyła, że jest inny niż wszyscy mężczyźni, jakich kiedykolwiek znała; delikatny i wyrozumiały, nie upija się i nie bije jej, i nie chodzi mu tylko o jej ciało.

A może tak właśnie było?

— Wiesz, kogo ona mi przypomina? — ciągnęła Hannah. — Lady Makbet. Przerabiamy to w ostatniej klasie. Jakbyś chciał wiedzieć, dzisiaj rano mam nawet dwie lekcje z tego tematu.

Ucichła. Z daleka dochodził szum pędzących drogą samochodów. Niedługo szkoły zapełnią się uczniami, ale jeden pulpit pozostanie pusty. Niedługo

fabryki zarobą się od ludzi pracujących w nich od lat — przez całe życie — by zarobić niewyobrażalną ilość pieniędzy, taką jaką on zamierza niczym ropę z ziemi wyciągnąć z tej nastolatki. Dziesięć mil stąd, w Stanmore, dwoje rodziców przeżywa emocje, jakich on nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

Otworzył drzwi. Nastął wilgotny, zamglony poranek. Na działkach aż dźwięczało od śpiewu ptaków. Jak pięknie tu, jak niewinnie! Pomimo wszystko serce mu rosło na powitanie słońca. Pajęczyny rozciągnięte między chwastami zarastającymi działkę wuja połyskiwały jakby kroplami rtęci. W pobliżu nie widać było żywego ducha — poniedziałek, i jeszcze za wcześnie.

Wyprowadził Hannah na dwór — wyniosła swój kubek z herbatą — i posadził ją na przewróconej do góry dnem wannie. Dziewczyna już trochę przybladła; wyłoniła się z komórki niczym cielątko przeznaczone na rzeź, które trzymają w ciemnym pomieszczeniu. Ponieważ dobrze wiedział, że fizycznie nigdy by jej nie skrzywdził ani, jak przypuszczał, nie zrobiłaby tego Eva — po prostu grali w niebezpieczną grę, o wysoką stawkę, i raczej wycofaliby się, niż spełnili jakąkolwiek groźbę — czuł się mniej winny, niż to sobie wcześniej wyobrażał, i był wdzięczny Hannah za jej zachowanie, które można by uznać za normalne rozdrażnienie nastolatki. Cieszył się też, że w nocy spała tak głęboko — nawet jej chrapanie nie dawało mu usnąć. Czuł się z nią zżyty; w końcu poznał intymne funkcje jej ciała, czego nie dostąpił nawet w stosunku do najbliższych przyjaciół. Gdy tak leżał koło niej w tej małej szopce, miał świadomość łączącej ich więzi — jego uwięziona dziewczyna, jego niewidomy Czerwony Kapturek.

Spoglądał na liście szczawiu z trudem wydobywające się spomiędzy ostów. Nocny deszcz odświeżył je; niemal słychać było, jak szeleszczą, rosnąc. Zaraz po poznaniu Ewy zaproponował jej: — Ucieknijmy i zamieszkajmy pośrodku lasu. Ja będę robić dla nas meble, ty możesz hodować jarzyny... — urwał. Eva, zajęta malowaniem paznokci, spojrzała na niego z politowaniem: — To naprawdę żalosne. — Tak samo, jak powiedziała potem Hannah.

Przełknął łyk herbaty. — Muszę cię jakoś nazywać. Tylko jak? — zastanawiała się Hannah.

Przypomniawszy sobie chłopca, którego podziwiał w szkole. — Eliot.

— Ten T. S.?

— Co? A, tak.

— „Jałowa ziemia”. To właśnie tu, gdzie jesteśmy, czyż nie? Gdzieś pośrodku ziemi niczyjej. — Pociągnęła nosem. — Ale gdzie to jest? Nawet przeziębiona, czuję zapach ciasteczek.

On także poczuł tę woń. Od strony nawietrznej, za bryłami magazynów wznosiła się fabryka ciastek Peak Freans. — Na to pytanie ci nie odpowiem. Nie jestem taki głupi.

Wysoko na niebie zaszcebiotał skowronek. Jon wypatrzył drżący punkcik. Ta jałowa ziemia niczyja, zagubiona na skraju miasta, otoczona pozbawionymi okien budynkami przemysłowymi i fabrykami, wywierała na nim dziwne wrażenie. Blżej nich wznosiły się niewielkie budki, sklecone z rozmaitych materiałów — drzwiczek samochodowych, okiennych ram, blachy falistej i plastikowych płyt. Pieczołowicie zbite z resztek i odpadków egzystencji ludzkiej, oddawały cześć zdolnościom, jakie już niewielu posiadało, skromnym umiejętnościom, które podziwiał i którymi sam też mógł się pochwalić. I zostali z Hannah wyrzuceni w tym zagubionym mieście slumsów. Ale tu brudno! Te pająki! Tak mówiła Eva. Nie znosiła majsterkowania; wolała kupować, przede wszystkim przedmioty błyszczące i nowe, pragnęła luksusu. Ale on znajdował to miejsce kojącym. W samym środku olbrzymiego i obojętnego miasta on i Hannah znikli we własnym, tajemnym krajobrazie. Mieli przed sobą wiele takich dni.

Spojrzał na zarośniętą chwastami działkę wuja i postanowił przekopać ją i obsiać. Na samą myśl o pracy przeszedł go dreszcz rozkoszy.

Hannah kichnęła.

— Na zdrowie!

— Nie bądź hipokrytą — skarciła go ostro i wysiąkała nos.

Późnym rankiem pojawiła się Eva. Ubrana w błękitną bluzę i czarne legginsy wyglądała świeżo i miejsko, niczym urzędniczka przybywająca na swoją zmianę — bo przybyła na swoją zmianę.

— Zadzwońłam i upewniłam się, że są w domu. Potem wysłałam im faks. I kolczyk z nosa. — Z szopy dobiegł odgłos kichnięcia. — Wszystko idzie zgodnie z planem. Jutro okaże się, czy nas nie wykołowali i nie powiadomili policji.

— Skąd będziemy wiedzieć?

— Z gazet, tępaku.

— I co wtedy zrobimy?

Przemilczała. Miał nadzieję, że odpowie na jego pytanie. W jednej z odległych fabryk przemówiły megafony. Aż zeszywniał. Policja ewakuuje teren... ustawia blokady na drogach... otaczają nas... z trudem zmusił się do powrotu do rzeczywistości. Eva wyjmowała sprawunki z samochodu. Gdy się pochylała, jędrne, drobne pośladki lśniły pod obciskającą je lycrą. Pomyślał:

oszukiwałaś mnie, włożyłaś w usta Hannah słowa, których ona nigdy nie wypowiedziała. Ale nie odezwał się.

Przywiozła swojego walkmana i kasety. Weszli do szopy i dali je Hannah; przesuwając palcami po kasetach, usiłowała domyśleć się tytułów. — Co to?

— Sting. Madonna.

— Rety, Madonna! Czy nie dość znęcacie się nade mną, trzymając mnie tutaj?

— Zamknij się! — wrzasnęła Eva. — Pozwalasz jej na takie gadanie? — zwróciła się do Jona.

— Możesz zabronić mi wszystkiego innego — nie poddawała się Hannah. — Ale nie powstrzymasz mnie od mówienia.

— Powiedziałam, zamknij się!

— O co ci chodzi? — zaskoczyło go, że Eva denerwuje się bardziej niż on.

— Młoda damo, ty lepiej zachowuj się przyzwoicie — powiedziała groźnie Eva.

— A to niby czemu? — oburzyła się Hannah. — Przecież to wy zachowujecie się niewłaściwie.

Zapadła cisza. W oddali, na trasie linii Jubilee z łoskotem przeleciało metro. — Dlaczego nie związałaś jej rąk? Wyjdiesz, to zaraz zdejmie opaskę.

Wskazał na deski, którymi zabił okna. — Nic nie zdoła dostrzec, nie zorientuje się, gdzie jest. A gdy pukam do drzwi, z powrotem zasłania sobie oczy. Taki wypracowaliśmy system.

— Nie ufam jej — oświadczyła Eva.

— Myślisz, że ja ufam tobie? — Hannah podniosła głos. — Rozmawiałaś z moimi rodzicami? Powiedziałaś im, że nic mi się nie stało? No, może nie do końca. Jak długo mam tu tkwić?

— Tak długo, jak okaże się to konieczne. Owszem, wiedzą, że jesteś cała i zdrowa. Ale żadnych sztuczek — jasne? — bo pożałujesz. — Zwróciła się do Jona: — Dlaczego ty masz zamknięte oczy?

Wysłuchiwał się w jej głos. Hannah miała rację — był monotony, jękliwy. Zwykle koncentrował się na poruszających się wypukłych wargach Ewy; zwykle widział tylko jej urodę. Spojrzał na Hannah; jej widoczne pod przepaską usta drżały.

Czas na niego. Zastanawiał się, jak te dwie dziewczyny dogadają się ze sobą. Eva ścierała glinę z buta. Już wyglądała niespokojnie. Co ona robi?

Podala mu kluczyki do samochodu. Gdy zapalał motor, przypomniał sobie: odkąd porwali Hannah, nawet się nie dotknęli.

Nie był przygotowany na efekt, jaki wywrze na nim ten czyn, ten rzeczywisty świat, gdy już w niego wkroczy. Jadąc w stronę Tottenham tamtego słonecznego poniedziałku, zdawał się jakby wyłączony, cały odrętwiały, jak po długiej podróży samolotem; czuł się jak cudzoziemiec, który mruży oczy oślepiony jaskrawym blaskiem słońca, wyłoniwszy się z innej strefy czasu. Jechał powoli, w pewnej odległości za autobusem. Ale równocześnie był czujny; jego ciało zmieniło skład, jakby po transfuzji krwi. Stał się inną istotą. Był kimś innym: przestępcą. Prowadził ostrożnie, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Wreszcie zaparkował samochód i klucząc, wyszedł na główną ulicę; zdawało mu się, że wszyscy na niego patrzą. Nawet wiszące na wystawie masarni kielbasy kołysały się jakby oskarżycielsko. Nic dziwnego, że Eva była roztrzęsiona, teraz wiedział, jak się czuła. Bo dopiero gdy stanął twarzą w twarz z normalnym światem, uderzyła go okropność ich czynu. Zupełnie jak podczas lekcji chemii, którą zapamiętał: otwarli słoik z kryształkami i właśnie wtedy, w kontakcie z powietrzem, kryształki zmieniły barwę.

Telefon na podeście milczał. Nikt nie czekał za drzwiami mieszkania. Wszystko wyglądało normalnie; promienie słońca rozjaśniały poupychane na suszarce naczynia. Wydało mu się, że nie było go tu przez miesiąc — przez całe życie. Mężczyzna, który żył w tym mieszkaniu, stał się kimś obcym, kogo już nie rozpoznawał. Zajął się drobnymi czynnościami. Czuł się dziwnie, szukając wśród bielizny Ewy majtek dla Hannah, tyle że teraz wszystko stało się dziwaczne. Minęła druga po południu, a on dopiero znalazł dość sił — zupełnie jak inwalida — by napełnić wannę. Później, wycierając się do sucha, spojrzął w lustro. Ze szklanej tafli patrzył na niego istny wymoczek — zmierzwiłone, brązowe włosy, cofnięty podbródek, gładka, pozbawiona owłosienia klatka piersiowa. Trzydzieści dwa lata. Nieznajomy młody mężczyzna, właśnie w trakcie wyciągania pięćdziesięciu tysięcy funtów od kompletnie obcych osób. Wyciąganie brzmiało lepiej od kradzieży, bardziej abstrakcyjnie. Z drugiej strony kojarzyło się z ekstrakcją zębów.

Poszedł do centrum ogrodniczego z zamiarem kupna nasion. W pobliżu pojawili się dwaj policjanci — młodzi, w samych koszulach. Krew zadudniła mu w uszach. Przeszedł obok nich, odwracając wzrok w stronę wystawy. W sklepie przyjrzał się torebkom z nasionami — fasola mamut aquadulce, marchew nantes. Jakaś kobieta za jego plecami opowiadała przyjaciółce: — ...obląła go benzyną i zostawiła, by spalił się na śmierć. — Wziął pierwsze z brzegu torebki. Podchodząc do kasy, nie miał wątpliwości — wszyscy wiedzą, co on zrobił. Klienci stali odwróceny do niego plecami, udawali, że oglądają

geranium, ale wiedzieli. Policja już została powiadomiona; właśnie otaczają teren działek. Maluch w wózku spacerowym popatrzył na niego ze szczerym zainteresowaniem; jasnoniebieskie oczy sięgnęły jego duszy.

Pospiesznie wrócił do mieszkania. Koszula, mokra od potu, lepiła mu się do ciała. Nagle uświadomił sobie, że musi wracać do szopy, do Hannah. Już nie mógł się doczekać. Bo tylko tam, wśród niewinnej roślinności zdoła odnaleźć choć trochę spokoju.

Zdumiewające, jak ludzkie istoty potrafią się przystosować. Drobne, rutynowe czynności pozwalają na przywyknięcie do normalnie niemożliwej do zaakceptowania sytuacji. I po kilku dniach wydaje się, że życie zawsze było właśnie takie.

Bowiem dni przebiegały według ustalonej rutyny: Eva z rzadka pojawiała się na działkach; nienawidziła tego miejsca. Nie potrafiła egzystować wśród błota i chwastów, mierziła ją „kempingowa” prowizorka. Trzymała się z daleka, wykonywała inne zadania. Jon i Hannah pozostawali sami przez te długie, letnie dni, gdy wysoko nad ich głowami skowronek wyśpiewywał swe trele; w te krótkie, letnie noce, zakłócanie szczekaniem psów, dobiegającym z daleka, z tych ulic niemożliwych do wyobrażenia — zamieszkałych przez normalnych ludzi.

Przystosował się także do faktu, że Hannah musi nosić na oczach opaskę. Spał w ciągu dnia, gdy wokół kręcili się ludzie; wstawał w nocy i zabierał ją na spacer w ciemnościach. Prowadził ją po wysypanych żużlem ścieżkach, między kapustą a fasolką. Czasem on też zamykał oczy i dawał się kierować innym zmysłom. Urwał gałązkę mięty i podsunął jej pod nos. — Powąchaj. — W czasie dnia, z miejsca, w którym wznosiła się fabryka Heinza, wiatr przynosił ostry zapach zupy curry; gdy wiało od fabryki Peak Freans, Jon wyczuwał woń ciasteczek.

— Dotknij tego — powiedział, gdy siedzieli w szopie. Podsunął jej wypolerowany kawałek drewna. Cisową deskę, z której wuj zamierzał zbić skrzynkę. — Liczy sobie wiele setek lat. A dotknij tych otworów na kołki — wtedy jeszcze nie mieli gwoździ. Pomacaj słoje, nigdy nie są chłodne. — Wiedział, że ją zanudza, ale wreszcie miał — choć zniewolone — audytorium. — W drewnie tkwi ciepło. Pomyśl tylko, ile dłoni dotykało tego kawałka.

Miał dziwne uczucie uwolnienia się. Ciął sosnowe deski — zrobi z nich półki — i polerował je. W przeciwieństwie do Evy, Hannah nie skarżyła się na nieporządek. — U nas mama jest pedantką — zwierzyła mu się. — Wciąż ma do mnie pretensje o mój pokój — poskarżyła się. I zaraz przycichła. —

Ciekawa jestem, czy dalej będzie taka, gdy wrócę. Jeżeli w ogóle wrócę do domu.

Późnym popołudniem wychodził skopać działkę, pousuwać osty — wrywał długie, białe spirale korzeni i odrzucał jak najdalej. Za ogrodzeniem wyły fabryczne syreny, a szczęśliwcy posiadający pracę odkładali narzędzia i pozostawiali działki ich ciszy. Jon i Hannah, zniknąwszy z powierzchni ziemi, zostali sami na całym świecie. Tylko raz, późnym popołudniem, wyprostowawszy się nad kawałkiem kopanej ziemi, Jon ujrzał w pobliżu starego człowieka, który stał i obserwował go.

— Trzeba skopać dwa razy — zauważył stary. — Nie wystarczy tak, jak to robisz; chwasty znów wzejdą.

Jon rzucił okiem na szopę. Czy Hannah ich słyszy? Czy zawoła? Ale nic się nie wydarzyło. Tamten przyjrzał się glebie.

— Wy, młodzi, pragniecie natychmiastowych rezultatów, no nie? I wiesz, czego ty chcesz?

— No, czego? — zapytał Jon, marząc, by intruz sobie poszedł.

— Czegoś za nic.

I tak mijały dni, a humory Hannah też się zmieniały. Czasem wściekała się na niego za to, co musi przez niego przechodzić, za to, co wyrządził jej rodzicom. Jak mógł, przecież nic mu nie zawinili?

— Ile jestem warta? — dopytywała się wciąż. — Ile muszą zapłacić?

W końcu powiedział jej.

— Pięćdziesiąt tysięcy funtów — powtórzyła. — Ale z was świnię. Niby dlaczego mielibyście dostać te pieniądze, dlaczego macie mieć coś za nic? Jak ja spojrzę im w oczy?

— To nie twoja wina.

— Bez wahania zapłaciliby za Becky. Panna Cholerny Zepsuty Bachor. Wszyscy kochają Becky. O tak, za nią zapłaciliby bez zmrużenia oka. Albo za Theo. Jest chłopcem. Uważa się za Bóg wie co, za dar zesłany z niebios. Mamusia uwielbia go. Na osiemnaste urodziny kupili mu garbusa. Ciekawe, czy mnie kupią samochód — głos jej się załamał. — Teraz już nie, prawda? O Boże, czemu ja tak nadaję na nich do ciebie? Widzisz, jaka jestem okropna?

Pogłaskał ją po ramieniu. Aż podskoczyła. Czasami jeszcze zapominał, że ona nie widzi. Dziś miała na sobie jego szary sweter i tę samą długą czarną spódnicę, którą nosiła przez cały czas. Siedziała tam, ta duża dziewczyna o tłustej cerze bez makijażu. Jakże jednostronna była rozmowa z kimś, czyich oczu się nie widziało; to, że nie znał wyrazu jej twarzy, stawiało go zarazem w

korzystnej jak i niekorzystnej sytuacji. Nie widząc, zdawała się głębiej wyczuwać sprawę. Próbował dotrzymać jej kroku, zaciskając powieki.

— Gdybym tylko była bardziej jak moja mama — pożaliła się. — Szkoda, że nie jestem blondynką. Ona nawet w dzinsach wygląda cudownie. Przy niej czuję się jak bryła. Chciałabym być ładna.

— Ależ jesteś. — Oczy miał wciąż zamknięte. — I miła w środku. Przez ten czas zdążyłem to zauważyć. I taka dzielna. Założę się, że na twoim miejscu oni nie zachowywaliby się tak odważnie. Kogo obchodzi wygląd? Może zawsze powinniśmy mieć oczy zamknięte, wiedzielibyśmy, jacy ludzie są naprawdę.

Pomyślał o Evie. Był czwartek. Nawet się nie dotknęli, nie mówiąc o kochaniu się, niemal przez cały tydzień. Zaczynało do niego docierać, jak ważny w ich układzie był seks; tylko uprawiając miłość, naprawdę zbliżali się do siebie. Ich splecione ciała wiodły własne życie. I pomyślał, że po prostu zajmowali się wytwarzaniem ciepła, odganianiem samotności.

— No chodź — zwrócił się do Hannah. — Wracajmy do roboty. — Otworzył książkę. — „Caravaggio.”

— Włoch, tysiąc pięćset ileś...

— 1571-1610 — podpowiedział.

— Urodził się jako nędzarz, ale nagle los mu się odmienił. Tak jak twój, tyle że on miał talent. Widzisz, zlecono mu wykonanie malowideł dla... mniejsza z tym, w Kaplicy Contarelli. U szczytu sławy zabił w bójce człowieka...

— Wspaniale! Mów dalej.

— ...dramatyczne zastosowanie światła... — zachęcana przez niego uspokoiła się. Znow stali się niemal przyjaciółmi.

Jego nastrój także ulegał zmianom. Czasem w tej małej szopie znajdował nadzwyczajny spokój — przy niewidzącej dziewczynie, z którą stawali się sobie coraz bliżsi — w końcu oboje przechodzili przez najbardziej niezwykle doświadczenie w życiu, którego nikt inny nie byłby w stanie zrozumieć czy z nimi dzielić. Ale czasami wpadał w panikę. Co się wydarzy? Nawet jeżeli wszystko pójdzie gładko, jak on się z tym upora? Już teraz poczucie winy przyprawiało go o mdłości. I jeszcze inne, głębsze: strach. Był naprawdę przerażony. Jak sądził, bał się bardziej niż Hannah, i to w każdym momencie od czasu szamotaniny w Camden Market. Gdyż jej nie czekała kara.

Piątek nastał zimny i wietrzny. — Czy twoi rodzice są religijni? — zapytał.

— Moja mama została wychowana jako członek Kościoła anglikańskiego, ale nigdy nie praktykowała. Ona modli się przy ołtarzu mody. — Na zewnątrz drzwi szafy trzasnęły na wietrze. — Było wiele szumu, gdy wychodziła za tatę.

Jego głęboko religijni rodzice z przerażeniem przyjęli zamiar syna poślubienia kogoś spoza własnej wiary.

— On wciąż jest religijny?

— Twierdzi, że nikomu nie uda się przestać być Żydem. Choćby niewiadomo jak się starał. Modli się przy ołtarzu poczucia winy. Pewnie uważa, głęboko w duszy, że to wszystko się dzieje, by go ukarać.

— Za co?

— Za przetrwanie.

Umilkli. Na dworze strzeliły drzwi. — Moje włosy są paskudne w dotyku — zauważyła. — Chciałabym je umyć.

— A mój ojciec to sam się ukarał, stając się alkoholikiem.

— Co złego zrobił?

— Nie mam pojęcia, ale wierzyłem, że przeze mnie. — O tym nigdy nie powiedział Evie; nie prowadzili tego rodzaju rozmów. — Nie widziałem go od lat. Uczynił mamę taką nieszczęśliwą, że po jej śmierci już z nim nie rozmawiałem. Przeniósł się gdzieś na północ. Tak naprawdę myślę o nim w czasie przeszłym.

— A więc ty też go karzesz.

Zamyślił się nad jej słowami. — Chyba był nieszczęśliwy, bo w nic nie wierzył.

— Dla ciebie najlepiej byłoby pójść w jego ślady.

— Dlaczego?

— No bo jeżeli nie wierzysz w Niego, On nie może widzieć, co robisz...

Przez szczeliny w ścianach szopy przedostał się podmuch wiatru. Jon zapalił zapałkę, zamierzał zagotować wodę na herbatę. Płomień zamigotał. Hannah badała swoje palce — wciąż to robiła, po tych wszystkich dniach w ciemnościach. Wybrała jeden i zaczęła obgryzać.

— To nasza ostatnia noc — zauważył. — Nabuzujmy się jak należy.

— Tak jak kiedyś twój ojciec?

— Nie. Nie zaraz tak jak on...

Rozdział szósty

Co jest? — zapytała Eva. — Co się stało?

— Nie możemy tego zrobić.

Dziwne, ale nie rozzłościła się. Obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem, jakby miała przed sobą osobnika zapóźnionego w rozwoju. — Wyglądasz na zmęczonego. Masz kaca?

Skinął głową. Poprzedniego wieczora wypili z Hannah butelkę Martini Blanco. Nie chciał o tym myśleć, wolał niczego nie pamiętać. Rozpaczliwie zapragnął zwrócić jej wolność.

— Słuchaj no, kochaniutki — ciągnęła Eva. — Jest sobota, nasz ostatni dzień. Trochę się denerwujemy, wiesz, o czym mówię? — Przejechała mu palcem po udzie. — Zachowaj spokój.

Siedzieli w samochodzie, obok szopy. Ze świeżo skopanej ziemi sterczały widły, których używał. Mógłby pochować tam Hannah i nikt nigdy by się nie dowiedział.

Próbował sobie wmawiać, że zaraz obudzi się i to wszystko okaże się snem. Żadnego przestępstwa, żadnej kary. Otworzy oczy i ujrzy znajomą tapetę z plamą pod sufitem. Usiądzie na łóżku i jego największym zmartwieniem okaże się niepokój czy nie zaparkował samochodu na zakazie.

Och, gdzież podziała się słodycz niewinności! Egzystencja sprzed ostatniego tygodnia jawiła mu się teraz skąpana złotym blaskiem. Nic już nie zdoła przywrócić tamtego czasu, przekroczyli punkt możliwości powrotu. Jego życie dzieliło się na Przed i Potem. I z tą świadomością przyjdzie mu zmagać się już zawsze, jak tym, którzy muszą nauczyć się żyć z chronicznym bólem.

— Po prostu ją wypuścimy — zaproponował. — Otwórzmy kłódkę na drzwiach i zmywajmy się. Zróbmy tak!

Eva zignorowała go. — No to na mnie czas — stwierdziła. — Mam mnóstwo do zrobienia... — Zaczęła odliczać na palcach: — mapa... kostium kąpielowy... — Odwróciła się do niego twarzą. — Życz mi szczęścia.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Siedział w szopie, obok Hannah.

— W porządku — odrzekła. Przeraził się, nie zdawał sobie sprawę, że mówi głośno.

— Przepraszam — powtórzył.

— Trochę na to za późno.

Odezwała się komórka. Oboje aż podskoczyli.

Dzwoniła Eva. Jej głos to huczał, to zanikał niczym fale odpływu — coś zakłócało odbiór. — Udało się — oświadczyła. — Mam forszę. Do zobaczenia.

Z wypuszczeniem Hannah musieli poczekać do zmroku. Do tej pory nie mieli nic do roboty. Popołudnie ciągnęło się bez końca. Zdawało się dłuższe niż cały poprzedni tydzień. Eva wpadła do nich na chwilę, zaczerwieniona i roztargniona. Czuć ją było chlorem. Powiedziała, że czekając na basenie, popływała sobie, inaczej ściągnęłaby na siebie uwagę. Widziała matkę Hannah wchodzącą do wody w żółtym kostiumie, który jej zostawiła w szafce.

— Mam w bagażniku... — poinformowała go szeptem. — Co do centa, policzyłam. — Potem oddaliła się, by zawieźć łup do mieszkania. Zgrzyt dźwigni biegów, i już jej nie było.

Godziny mijały leniwie. Popołudnie nabrało tej niespokojnej atmosfery pustki, charakterystycznej dla godzin poprzedzających wyjazd w daleką podróż, gdy bagaże stoją już spakowane i nie wiadomo, co zrobić z pozostałym czasem. Jon zabrał się do grabienia, ale nawet tak proste zajęcie wydawało mu się zbyt wyczerpujące. Zanurzył się w permanentnym mroku szopy i położył się obok Hannah. Na uszach miała słuchawki walkmana, skutecznie tłumiące zgrzytliwą muzykę. Jon nawet próbował zainteresować ją jazzem, ale z niewielkim skutkiem. Rozbolał go brzuch. Nic nie pomagało przekonanie, że przecież powinien już odczuwać ulgę.

Zamknął oczy. W ciemnościach rozległ się głos Hannah.

— Przybądź, ślepiąca nocy, zasłoń kataraktą litościwego dnia czule źrenice.

— Co to takiego?

— „Makbet”. Otrząśnijcie sen z siebie, tę maskę śmierci...*

— Pierwsze co zrobię, to wezmę kąpiel.

* W tłum. Józefa Paszkowskiego. Dalsze cytaty także w tym przekładzie. **Boże, czuję się taka brudna!**

Ja też, pomyślał.

Gdy się obudził, zrobiło się już całkiem ciemno. Ktoś stuknął do drzwi. Zerwał się i po chwili niezdarnych zmaganiach uporał się z kłódką. Ujrzał Evę, a za nią zawisły na niebie księżyc.

— W porządku — powiedziała. — Zbieramy się.

Potem, w samochodzie żadne z nich się nie odzywało. Jechał Północną Obwodnicą, po obu stronach drogi drzemały oblane matową poświatą budynki. Było pół godziny po północy. Hannah i Eva siedziały z tyłu, tak jak w czasie drogi z Camden Lock — jakieś tysiąc lat wcześniej. Pokręcił gałką radia „...żołnierz w Północnej Irlandii... zwłoki młodej dziewczyny... Celtic Rangers...” Wreszcie trafił na muzykę: country. „Twoje fałszywe serce...” — zawodził przeciągle kobiecy głos.

Dojechali do Apex Corner. Wysoko nad nimi zamajaczył napis: Al Hatfield ...Ml Watford. Nawet o tej porze samochody z szumem pędziły szerokim objazdem, ale przydrożny Burger King był zamknięty, butiki przy promenadzie straszyły opuszczonymi żaluzjami. Nie istnieje nic bardziej anonimowego od dużego ronda; dlatego je wybrali. Zaparkował obok zaciemnionego sklepu o nazwie: „Po prostu łazienki”.

— Co się dzieje? — zapytała ostro Hannah. Zdawała się znów kimś całkiem obcym; zupełnie jakby zatoczyli krąg i wrócili do samego początku. Jakby właśnie skończyły się wakacje, gdy ludzie, znów ubrani stosownie do podróży, nieswojo kręcą się po lotnisku. Tak właśnie się poczuli, tyle że jeszcze o wiele dziwniej. Zamierzali zostawić Hannah przy wiodącym pod rondem wybetonowanym przejściu dla pieszych. Ale gdy już dojechali na miejsce, przeraził się. Jak mogą ją tak po prostu zostawić? Zdawało mu się to bardziej brutalne od samego porwania. Co będzie, jeżeli po tym wszystkim, co przeszli, Hannah zostanie zamordowana w drodze do domu?

Opuścił szybę. Powietrze zalatywało spalinami. Tuż obok ich samochodu zaczynały się stopnie schodów opadających w gardziel podziemnego przejścia. Na ścianach krzyczały graffiti: „Shane to ćwok”. Nawet woń samochodowych spalin nie zdołała osłabić smrodu uryny. „MB i GM to dwa lesery.”

— No już! — syknęła Eva.

Włączył silnik. — Przy stacji Edgware jest postój taksówek — oświadczył. — Tam ją zostawimy.

— Taksówka! — zakpiła. — Pięknie! A może dać jej jeszcze prezent na pożegnanie?

— Uważam, że chociaż tyle możemy zrobić.

Zaparkowali przy drodze za stacją. W oddali czekała taksówka z zapalonym znakiem. Na Edgware nie widać było nikogo. Wysiadł i otworzył tylne drzwiczki. Hannah wygramoliła się, przyciskając do siebie swoją poplamioną torbę na ramię. Jak powinien się zachować — uścisnąć jej dłoń? Etykieta towarzyska nie przewidywała tej specyficznej sytuacji.

— Odlicz do dziesięciu — nakazała jej Eva. — Potem możesz zdjąć opaskę. Dobrze? — urwała. — Będziemy cię obserwować.

Czymże ona jej grozi? — zastanawiał się Jon. — Pewnie nawet sama nie wie.

Położył Hannah dłoń na ramieniu. — Uważaj na siebie. — Stała na chodniku. Zimny wiatr unosił jej czarną spódnicę; przytrzymała ją ręką. — Uważaj na siebie — powtórzył. I zmieszał się: co też ja gadam? W takiej

sytuacji? Hannah nie odpowiedziała. Napis na wystawie sklepu za jej plecami głosił: „Pospiesz się, ostatni dzień.”

— Przepraszam — powiedział jeszcze i wsiadł do samochodu.

Gdy wreszcie dotarli do domu, zrobiła się druga. Jon ledwie zdołał dowlec się na górę; Eva złapała go za rękę i przeciągnęła przez frontowe drzwi. Jednym szarpnięciem zasłoniła okna, uklękła i spod łóżka wyciągnęła dwie duże torby na zakupy, jedną z napisem „Top Shop”, drugą z „French Connection”. Objęła je ramionami i tuliła niczym niemowlęta.

Między niedokładnie zasuniętymi kotarami pozostała szpara; mieszkańcy z naprzeciwka mogliby zajrzeć do środka. Starannie zaciągnął zasłony Eva klęczała na podłodze i wyciągała zwitki banknotów, obwiązane papierowymi banderolami. Nierealne jak pieniądze na filmie. Przypomniał sobie chwilę, gdy zobaczył Evę pierwszy raz: siedziała w pubie i chichocząc, oglądała dziesięciofuntowy banknot.

— No chodź, weź sobie trochę — zachęciła go z uśmiechem. Wpychała banknoty pod podkoszulek.

Zdumiony patrzył na pieniądze, nie dowierzając własnym oczom. — Ileż ich jest! Nigdy jeszcze nie widziałem tyle forsy!

— Masz na myśli pięćset tysięcy? — Rzuciła mu figlarne spojrzenie i wepchnęła następny plik za pasek dzinsów.

— Ile?

— A tyle, pół miliona.

Zamilkł. Na dole, ulicą przejechała karetka, zawyła syrena. — Co powiedziałaś?

— Czyż nie sprytna ze mnie dziewczynka? Pamiętasz, jak ona przechwalała się, jaki to jej tatuś jest nadziany? Pomyślałam więc — dlaczego, do cholery, nie?

— Ale umówiliśmy się...

— Masz zamiar narzekać?

Pół miliona funtów. Ciężko usiadł na łóżku.

— Pół pieprzonego miliona — potwierdziła. — Nie dostanę całuska?

Oniemiały, patrzył na torby. Będzie musiał kompletnie się przestawić — niemal czuł, jak mózg zgrzyta mu niczym zacinająca się maszyna. Do tej pory pięćset tysięcy funtów było dla niego czymś nie do wyobrażenia.

— Hej, jesteś tam? — strzeliła mu palcami przed oczyma. Spojrzał na nią z przerażeniem. — Jesteś niesamowita.

— Prawda? — Rzuciła się na niego, swymi chudymi, silnymi ramionami objęła go za szyję. — Kochasz mnie teraz? — Przycisnęła twarz do jego policzka. Wyczuł tytoń w jej oddechu. Od niej też czułam powiedziała Hannah.

Palce Evy pojawiły się przy zamku jego spodni, szarpnęły w dół: wsunęła mu dłoń do dzinsów. — Numerek chyba tu wchodzi w grę? — szepnęła.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

Głęboki sen Hannah trwał dwanaście godzin. Obudziła się dopiero w niedzielę po południu. Odzyskała wzrok — jak cudownie połyskiwały Jej plakaty! Słoneczny blask iskrzący na zwierzątkach ze szkła raził ją w oczy. Zniknął zwykle otaczający ją nieporządek. Pokój wysprzątano i dopiero teraz zauważyła, jak wiele drobiazgów z jej dzieciństwa wciąż tu pozostało. Bałagan z jej niedawnej przeszłości wymieciono, względnie ułożono na biurku. Pomieszczenie na powrót zmieniło się w pokój z jej młodości, wciąż była dzieckiem, bezpiecznym w kokonie kołdry ozdobionej podobiznami zwierząt z dżungli. Z dołu dochodziło pobrzękiwanie garnków... odgłosy niegdysiejszych niedzielnych lunchów. W tamtej epoce, zaraz po obudzeniu się wsiadała na rower i wyruszała na poszukiwanie Theo i jego bandy; wiedziała, gdzie się chowają... w zabitej deskami szopie na placu zabaw, tuż za huśtawkami... Kiedyś uwięzili ją tam, zabarykadowali drzwi i odjechali na rowerach... z wielkim trudem udało jej się wydostać... chłopcy potrafią być tacy okrutni...

Ponownie otworzyła oczy i uświadomiła sobie, co się dzieje. Cała rodzina zasiadła do stołu, by święcić jej powrót do świata żywych z krainy, która mogła okazać się doliną śmierci. Rzuciła okiem na budzik: druga trzydzieści. Leżała pod kołdrą, rozpaczliwie pragnąc, by jeszcze nie przyszli na górę, by nie domyślili się, że już się obudziła. Gdyby zamknęła oczy, znów otoczyłaby ją ciemność, ale uniosła powieki i mrok wycofał się. Już teraz, po godzinach snu, wydarzenia z poprzedniego tygodnia zdawały się tak nieprawdopodobne jak przygody, które przytrafiają się we snach — gdyby tylko potrafiła je zapamiętać... plac zabaw, huśtawki... Ja to w bajkach bywa — ukłucie igły, długi sen, bohaterka budzi się i znajduje wszystko zmienione. Spojrzała na plakat z Jamesem Deanem. On także umarł, dawno temu, jeszcze przed jej przyjściem na świat. Ale wciąż reagował na jej spojrzenie, poprzez dym z papierosa patrzył na nią zwięzionymi oczyma. On rozumiał zmianę, jaka w niej zaszła.

Poczuła woń gotowanych potraw; dawno zapomniany zapach pieczeni wołowej z dzieciństwa. W odległej epoce, gdy jej matka była prawdziwą mamą i cały dzień przebywała w domu, w niedzielę gotowała lunch... wiele lat temu, gdy leżała w łóżeczku, ojciec czytał jej rozmaite opowieści, podobnie jak podczas długiego snu zeszłego tygodnia pogrążona w ciemnościach leżała i słuchała mężczyzny, który jej czytał... Zmartwychwstanie... Dzień Sądu.

Mężczyzna ten opowiadał jej o swym dzieciństwie, o rzeczach, o których nigdy nikomu nie mówił. Rozmawiali całymi godzinami, w ciemnościach wyjawiając swe tajemnice, i teraz to on zdawał się bliższy jej życia, bardziej z nią związany niż rozbrzmiewające na dole głosy jej rodziny.

Nie potrafiła się zmusić, by wstać. Zwinięta w ciepłe, leżała na przypominającym łono matki łóżku. Jaki miękki ten materac! Stopy nie zwisają z krawędzi. Mogła obracać się z boku na bok i żadna poprzeczka kempingowego łóżka nie uwierała ją w biodro. Jak wygodne są rzeczy, które tak beztrudno uważała za oczywiste. Jej własne, miękkie łóżko. Jej wzrok.

Najprościej będzie nie ruszać się. Także radość poprzedniej nocy, gdy wysiadła z taksówki, wydawała się taka łatwa. W otwartych drzwiach cztery oświetlone sylwetki. I jej wołanie: — Hej, czy ktoś zapłaci za taksówkę? — Szuranie jej stóp na podjeździe, gdy biegła w ramiona matki. Uściski, łzy, śmiech.... Gorąca czekolada, gorąca kąpiel, dyskretne pytania... po raz pierwszy od lat poczuła się otoczona zwykłą miłością, która przecież istniała przez cały czas, niczym lita skała pod rumowiskiem nieporozumień.

Skrzypnęły otwierane drzwi, do środka weszła Becky. Niosła łosia Mandy. — Wiedziałam, że tylko udajesz — oznajmiła.

— Naprawdę spałam.

— Wstawaj, bo ja umieram z głodu. Mama ugotowała prawdziwy lunch, wszyscy na ciebie czekają.

Z lekkim poczuciem winy uniosła kołdrę.

Becky posadziła łosia na łóżku. — Możesz ją sobie wziąć z powrotem.

Hannah spojrzała na niezgrabną, szarą zabawkę. — Już go nie chcę.

— To nie jest on. To ona.

Hannah podniosła łosia i podała siostrze. — Ja już jestem za stara na maskotki. Możesz ją sobie wziąć.

Gdy Hannah schodziła na dół, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę aparatu na podeście. Usłyszała głos Tanyi: — Cześć! A więc czujesz się już lepiej?

— Tak, już dobrze.

— Co to było, grypa? Nie wychodziłaś z łóżka przez cały tydzień?

— Mniej więcej. — Tanya nie wiedziała! Nikt nie wiedział. Hannah niemal urosła z podekscytowania. Jak to im powie w poniedziałek! — A wiesz, leżałam w zaciemnionym pokoju...

— Ja też tak robię, jak mam migrenę.

— Jeszcze tylko muszę przyzwyczaić się do chodzenia.

Tanya roześmiała się. — Witaj w świecie żywych. Zobaczymy się jutro.

Dostawałaś dość jedzenia?

— Bałaś się?

— Wyrządzili ci jakąś krzywdę? Uderzyli cię?

— Związali cię?

— Jak chodziłaś do klopa?

— Becky!

— Co robiłaś przez cały czas?

Wręcz bombardowali ją pytaniami — zadawali ich więcej niż poprzedniej nocy, gdy czuła się zbyt zmęczona, by wiele im opowiedzieć. Znalezienie się w centrum zainteresowania okazało się zarówno kłopotliwe jak i przyjemne. Dawniej oznaczało krytykę i narzekania: Twój pokój! Twoje ubrania! Teraz każda chwila poprzedniego tygodnia nadzwyczaj interesowała wszystkich czworo członków jej rodziny, zgromadzonych wokół stołu. Nawet Theo obrzucał ją spojrzeniami równie pełnymi napięcia jak wtedy, gdy zauważył na ulicy ten motocykl, harleya davidsona. Ojciec pokroił mięso. Hannah wzdrygnęła się, kiedy wilgotna, krwista wołowina się wygięła i opadła na półmisek. Wszystko stało się nagle takie wyraźne, jak po wyjściu z kina na jasne światło dnia.

— Ona naprawdę miała broń? — dopytywała się Becky. — I były tam pająki?

— A więc twierdzisz, że trzymali cię w szopie — powiedział ojciec, podając jej talerz. — Zauważyłaś coś więcej?

Hannah skinęła głową. — Okno zabite deskami. Pomieszczenie wyglądało na komórkę na ogrodowe narzędzia.

— Jak długo trwała jazda, by dotrzeć na miejsce? Masz jakieś pojęcie co do lokalizacji?

— Czasami słyszałam pociąg.

— Pociąg? — zdziwiła się matka.

— I syrenę fabryczną.

— Opisałaś tę kobietę — przypomniała Val. — Może pamiętasz jeszcze jakieś znaki szczególne?... Jakie to wszystko dziwne, niczym rodem z Agathy Christie. Nigdy nie mówili do siebie po imieniu?

Hannah zaprzeczyła ruchem głowy. — Powiedział mi, że nazywają go Eliotem, ale to nie było jego prawdziwe imię. Spróbuję sobie przypomnieć jak najwięcej dla policji. Może oni potrafią poskładać to w jakąś całość.

Rodzice wymienili spojrzenia. Jeszcze nie zrozumiała, dlaczego. Potem głos zabrał Theo.

— Potrafię to sobie wyobrazić. — Przesunął dłonią przed oczyma. — Ujęcie przy Camden Lock, rozpychające się tłumy, bardzo w stylu Chabrola, potem kobieta w czerwonej peruce...

— To nie film — zaprotestowała Becky. — To było o wiele bardziej ekscytujące.

— To przypominało film — powiedziała Hannah. Tyle że wcale tak nie myślała. Już raczej ten lunch kojarzył jej się z akcją na filmowym planie — usta poruszające się w jej kierunku, głosy rozbrzmiewające echem, kolorowe jarzyny nagromadzone na jej talerzu. Jakie to dziwne, móc widzieć, co bierze się do ust.

Ojciec wyglądał jakoś ociężale, jakby był opuchnięty. Na wymizerowanej twarzy matki wokół ust pojawiły się zmarszczki. Może były tam już dawniej, ale Hannah wcześniej ich nie zauważyła; właściwie od lat nie przyglądała się rodzicom uważnie. — A co z wami? — zapytała. — To o was się martwiłam. Ja wiedziałam, że ze mną wszystko jest w porządku.

— Nieważne — odrzekła matka. — Nic się nie liczy poza tym, że wróciłaś.

— Ale czuję się okropnie. Tyle zapłaciście. — Nabiła na widelec marchewkę. — Pięćdziesiąt tysięcy funtów, jak zebraliście taką kwotę?

Odpowiedziało jej milczenie. Wreszcie przerwał je Theo: — Pięćdziesiąt? To nie było pięćdziesiąt, ale pięćset tysięcy.

— Pięćset tysięcy funtów? — Nie mogła uwierzyć.

— Theo... — zaczął ostro ojciec.

— Daj spokój, tato. — Theo opróżnił kieliszek do dna. — Nie wiedziałaś, że zapłacili za ciebie pięćset tysięcy? Aż tyle, tylko za ciebie.

Matka cmoknęła z dezaprobatą. — Theo, to nie pora... Chłopak odrzucił z czoła swe długie, czarne włosy. — Rodzice są kompletnie splukani. Tata musiał sprzedać udziały w firmie.

Hannah nie mogła opanować drżenia. Nie było jej zimno, w pomieszczeniu panowała duchota. Pozostałości lunchu znikły ze stołu. Matka przekreśliła gałkę zwalniającą rolety na oknach, by nie dopuszczać do środka słońca. Czy my, ludzie, nie jesteśmy zabawni? Tak zażartowała kiedyś. Tyle wydajemy na zbudowanie oranżerii, a potem jeszcze o wiele więcej na zainstalowanie rolet, by z powrotem zmienić ją w pokój. Jednak tego popołudnia nikt się nie śmiał. Było w tym coś złowieszczonego, jakby Val za wszelką cenę pragnęła odgrodzić rodzinę od świata na zewnątrz, by nikt nie mógł ich usłyszeć. Ojciec zdjął ze stołu Amy — domową kotkę — i postawił ją na podłodze.

— Kawa, kochanie? — zapytała ją matka.

Tato sprzedał własną firmę! Stworzył ją z niczego, włożył w nią pracę całego życia. Co on teraz pocznie?

— Dziękuję. — Hannah wzięła filiżankę; naczynie zabręczczało o talerzyk.

— Kawę dla ciebie, Theo? — zaproponował ojciec.

To ona to wszystko na nich ściągnęła, ona jest odpowiedzialna. Me martw się — powiedział — to tylko pieniądze. Pół miliona funtów. Zrujnowała go; to jej wina.

Ojciec odchrząknął. — O niczym nie powiemy policji.

— Jak to? — zdumiała się.

— No bo i po co, i tak nic nie wiesz. Pamiętasz tyle, co nic.

— Ależ tato, może jeszcze coś sobie przypomnę...

— Słuchajcie no, wszyscy — zwrócił się do całej rodziny. — Tę sprawę zachowamy dla siebie, tak postanowiliśmy z matką.

Hannah przeniosła wzrok na matkę. Ta siedziała pochylona, z twarzą ukrytą w dłoniach. Palcami naciągała w dół kąciaki oczu. Spojrzała na ojca. — Zgadzam się. Byłam przeciwna, ale teraz zmieniłam zdanie.

— Zwróciła się do Hannah: — Gdyby wyrządzili ci jakąś krzywdę, to co innego.

— Chcesz, by wszyscy się na nas gapili? — przekonywał ojciec. — By cały świat interesował się czymś, co go nie dotyczy? Ludzie współczuliby nam i szeptali o nas za plecami; a może chciałabyś, by twoja przygoda znalazła się w gazetach?

Hannah poczuła mdłości. — Znaczy się, wstydzicie się mnie, tego, co się wydarzyło?

— Nie bądź niemądra, kochanie — napomniała ją matka. Pociągnęła kosmyk grzywki. — Po prostu nie chcemy, by obcy pchali się pod nasze drzwi...

— Mogłaby sprzedać swoją historię do Daily Mail — entuzjasmowała się Becky. — Zapłaciliby nam mnóstwo forsy.

— Zamknij się — warknął Theo.

— Malcolm wie, oczywiście w zaufaniu — oświadczył ojciec. — To on pożyczył mi lwią część tej kwoty, akurat szczęśliwie się złożyło, że w zeszłym tygodniu sprzedał jakąś nieruchomość i mógł mi pomóc. I trzeba będzie powiedzieć twojej dyrektorce... załatwić coś w sprawie szkolnych opłat...

— A co będzie ze mną? — zaniepokoiła się Becky.

— Z pewnością coś wymyślimy. — Hannah wystraszona patrzyła, jak matka wciąż szarpie końce grzywki; ostatnim razem robiła to, gdy babcia Wilson przechodziła operację raka jelita. — Babci też nie mamy mówić? — zapytała.

— Nikomu, to nasza tajemnica — odrzekła matka.

— Będziemy musieli przyzwycząić się do pewnych poważnych zmian — dodał ojciec. Amy wskoczyła na stół i ponownie zsadził ją na podłogę. — Mama i ja opracowujemy plany na przyszłość. A zmierzmy się z nią wszyscy razem, i tylko my, sami. — Kotka znowu wskoczyła na stół. Tym razem zignorował ją. — Liczy się tylko to, że wróciłaś do domu cała i zdrowa. Nic poza tym nie ma znaczenia.

Matka zawtórowała mu kiwnięciem głowy, och nie — pociągnęła się za grzywkę.

Następnego dnia dyrektorka Hannah, pani Beestock zaprosiła ją do swego gabinetu. Zapytała ją, czy zechce skorzystać z usług szkolnego psychologa. — Oczywiście, w największym zaufaniu. Hannah potrząsnęła głową.

— Podobno zachowałaś się nadzwyczaj odważnie — pochwaliła ją pani Beestock. — Jednak z tego, co czytałam o zakładnikach — na przykład w Bejrucie — możesz jeszcze doznać szoku — nazywają to opóźnioną reakcją czy jakoś tak. Pamiętaj więc, proszę, jeżeli będziesz mnie potrzebować, jestem do twojej dyspozycji.

W przerwie na lunch otoczyły ją Tanya, Emma i Julia. Chciały dowiedzieć się, czemu pani Beestock ją wezwała.

— Och, chciała ze mną porozmawiać o zaległościach w nauce. — Hannah oderwała wieczko z jogurtu.

Straciły zainteresowanie jej osobą. Julia opowiedziała im o przyjęciu, na którym była w sobotę wieczorem, jak niuchali dragi przez szklaną rurkę i oglądali stare horrory na wideo. Hannah pomyślała: wystarczy, że otworzę usta, i zapadnie cisza. Mogłabym powiedzieć: W zeszłym tygodniu nie byłam chora. Zostałam porwana. Z zasłoniętymi oczami spędziłam sześć dni, zamknięta w komórce.

Narastało w niej poczucie nieograniczonych możliwości; mogła powstrzymać ich gadanie, sprawić, by wypuściły z rąk łyżeczki. Jedząc jogurt, wyobrażała sobie, jak patrzą na nią oszołomione. Wystarczył przypadek, by nad nimi górowała. Jeszcze przed tygodniem czuła się taka nieudolna — wielka i pryszczata, bez chłopaka; wyłączona z tajemnic, jakie z chichotem sobie powierzały, z wiedzy, jaką Emma posiadała w sprawach seksu. I oto jednym skokiem wysunęła się daleko przed nie — a nawet więcej, wyszła całkowicie z orbity ich wrażeń, przeniesiona w przestępczy świat dorosłych, który one znały jedynie z gazet. Odkąd go doświadczyła, to one stały się dziecinne.

Tyle że sprawy nie układały się tak przyjemnie, jak to sobie wyobrażała. Z tkwiącego w niej sekretu, niczym kwas z akumulatora sączyła się korodująca

ciecz. Na lekcji angielskiego próbowała skupić się na pożyczonych od Tanyi notatkach — słowa fruwały jej przed oczami niczym komary. Ironia Jane Austen... podobieństwa i przeciwności... Jak może na powrót stać się uczennicą, zasiadającą przy zasmarowanym atramentem pulpicie? Wyjrzała przez okno. Przypomniała sobie niedzielę sprzed ośmiu dni: ostatni dzień jej dzieciństwa. Wtedy, idąc do metra, wyobrażała sobie, jak znika z powierzchni ziemi... Przepadnę i nikt nie zauważy... Jakie wydawało się to proste! I jak żałośnie infantylne.

O czwartej zadźwięczał dzwonek. Spakowała torbę i wyszła za szkolną bramę. Na ulicy, w samochodzie siedziała matka.

— Co ty tu robisz? — zapytała Hannah.

— Przyjechałam po ciebie.

— Nie jestem małym dzieckiem! — Rozejrzała się wokół, by sprawdzić, kto je obserwuje.

— Od tej pory, kochanie, nie spuszczę cię z oczu.

Przez kilka dni traktowano ją nadzwyczaj delikatnie, jakby dochodziła do siebie po poważnej operacji. Nikt nie gonił jej, by pomagała przy zmywaniu, by skupiła się na nauce. Ojciec traktował ją z czułą troską, jakiej nie pamiętała od lat. Leżała na swym łóżku odseparowana od reszty domowników i obserwowała przesuwające się po tapecie promienie słońca. Nawet Becky została pouczona, by jej nie przeszkadzać. Czuła się równocześnie odizolowana i w centrum uwagi, niczym członek rodziny królewskiej lub podróżnik, który powrócił z odległej, dotąd nikomu nie znanej krainy o niezwykłym, dziwacznym krajobrazie, a nie przywiózł żadnych zdjęć. Choćby nie wiem jak próbowali, nikt z jej bliskich nie potrafiłby zrozumieć, przez co przeszła. Jediną zdolną do tego osobą był mężczyzna, którego głos i obecność towarzyszyły jej w szopie; tylko on wiedział, co przeżywała. Czy wciąż czuł to samo, gdziekolwiek się teraz znajdował?

Zamknęła oczy; dźwięki dochodziły do niej teraz wyraźniej: syk otwieracza do konserw, przebijającego wieczko, zgrzyt zapalki i ciche strzelanie kuchenki gazowej. Jak on chrząkał, gdy zabierał się do czytania tekstu z jej książki; jak nucił pod nosem, płuczac garnuszki w plastikowej misce... jak pogwizdywał przy piłowaniu drewna...

Zapachy... woń spoconych pach, gdy przechylał się przez nią, by sięgnąć na półkę... taniego mydła, kojarząca się z hotelem... zapachy jej ciała, które z pewnością czuł, tak były intensywne... duszące perfumy tej kobiety, gdy pojawiała się w komórce.

Dotyk przedmiotów, ich materialność... zdolność użycia zamiast oczu koniuszków palców, tak jak ślimak używa swych rożków... dotyk nylonowego śpiwora, gdy zanurzała w nim twarz, mocząc go łzami... jego dłoń, sucha i mocna, gdy naprowadzał jej rękę na uszko porcelanowego kubka...

Dlaczego nie spróbowała zobaczyć jego twarzy? Może coś opiszesz?, prosiła matka. Przecież nocą mogła wziąć latarkę i poświecić na niego. Jakaż była słaba! Z początku paraliżował ją strach: nawet jeśli on się nie obudzi, zorientuje się. Ta okropna kobieta też się dowie. Wystarczy tylko leżeć bez ruchu, a nic jej się nie stanie. Z czasem zrozumiała, że on by jej nie skrzywdził, ale wtedy już pograżyła się w dziwnym otępieniu. Leżała bezwładna i niczym gąbka wchłaniała, co dzieje się wokół niej. Zapadła głębiej we wspomnienia; cofnęła się, a przeszłość wysunęła się do przodu. Ale nikt by tego nie zrozumiał. Oni używali do określenia przeżyć doznanych w krainie zbrodni słów typu: przerażające, ekscytujące, uciekali się do wielkich słów, nie rozumiejąc, że nic nie zostaje wielkie na długo.

Powinna była wydobyć się z inercji i dla dobra rodziców zlokalizować miejsce, w którym ją trzymano. Zdejmiesz przepaskę, kochaniutka, a już jesteś martwa, groziła tamta kobieta. I Hannah posłuchała. Co za tchórz! W komórce poznała wiele prawd. Choćby tę, że wcale nie jest taka zadziorna, jak jej się wydawało. Łatwo o bunt w bezpiecznym schronieniu własnego domu; zupełnie inaczej wyglądają sprawy, gdy czuje się przyciśniętą do żeber broń. Prawdziwy bunt to coś więcej niż noszenie kolczyka w nosie. Powinna była wykorzystać swą pomysłowość, chociażby obluźować jedną z desek zasłaniających okno, a udałoby jej się zobaczyć numer rejestracyjny wozu. Wtedy rodzice zadzwoniliby na policję i kto wie, może odzyskaliby pieniądze. Nie obwiniali jej. Nikt jej o nic nie winił. Ale to tylko pogłębiało jej własne poczucie winy.

Leżała w wannie. W tym tygodniu wciąż się kąpała. Przykryła pianą włosy łonowe, przypatrywała się powstałemu na powierzchni wody kożuchowi. Prawdziwy powód tkwił o wiele głębiej. Trudno jej było się do tego przyznać, nawet sobie samej.

„Wydaje mi się, jakbym znał cię od zawsze — powiedział. — Czy to nie dziwne?”

Tak naprawdę czuła się winna, bo nie potrafiłaby go wydać.

Ześlizgnęła się pod wodę. Nie chciała o tym myśleć. Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, co oni teraz robią, on i ta kobieta. Zamieszkali w Hiszpanii? Popijają w Ritzu szampana? Wciąż nie mogła uwierzyć, że ukradli taką furę pieniędzy. Kwota była tak olbrzymia, że stała się abstrakcją, poza wyobraźnią. Zwykli rabusie dokonują aktów fizycznej przemocy, włamują się

do samochodów i budynków. W jej domu żadne okno nie zostało rozbite, nic nie wyniesiono. Zmieniła się atmosfera — w powietrzu cicho szumiał niepokój; rodzice spędzali dużo czasu za zamkniętymi drzwiami, szepcząc ze sobą i prowadząc rozmowy przez telefon. Udało jej się wyłapać: „sprzeda renault”. Matka przeważnie pozostawała w domu, co czyniło go jakby bezpieczniejszym niż zwykle. O tak, numer osiemnasty przy Cypress Drive pozostał ten sam — pełne słońca, wyłożone dywanami pokoje, rury bulgoczące, gdy ktoś brał kąpiel. Wciąż miała wygodny dom, w którym spędziła dzieciństwo; bezpieczeństwo przedmieścia, przeciwko któremu tak się ostatnio buntowała — Stanmore! Co za nuda! — a teraz, dzięki Bogu, odgradzało ją od brutalnego świata na zewnątrz.

Tak przynajmniej wydawało się jej w czasie tygodnia rekonwalescencji; dopóki nie wybuchła bomba.

W piątek wieczorem Theo przyjechał do rodziców na obiad. Ojciec przestał już być praktykującym Żydem. — W końcu wszystkiego się już nauczyłem, czyż nie? — zwykł dowcipkować. Nalegał jednak na wspólny piątkowy posiłek. Pojawił się Theo, aż blady ze zmęczenia po całym tygodniu montażu filmu o palcach. Matka przygotowała kurczaka, a dla Hannah risotto z jarzyn. W przeszłości w mikrofalówce odgrzewała dania z Marks and Spencer, ale w tym tygodniu zrobiła zakupy w miejscowym warzywniaku. Hannah przyszło do głowy pytanie, którego jednak nie zamierzała zadać na głos: Czy to dlatego, że chcesz być idealną matką, czy już nie stać cię na Marks and Spencer?

Tego wieczora matka kroїła cukinie niczym prawdziwa gospodyni domowa. A nawet upodobniła się do takiej wyglądem: ciężko opadające blond włosy spięta na karku klamrą, założyła dres. Mimo rozchodzącej się po domu przytulnej woni gotowania, sama gospodyni sprawiała wrażenie spiętej i jakby nieobecnej. Szorstko poleciała Becky nakrycie stołu, potem nagle, nieporadnie przytuliła ją do swego boku. Do whisky męża zamiast toniku dołała wody sodowej. A co było jeszcze bardziej zaskakujące, Morris wypił trochę, nim cokolwiek zauważył.

Podczas jedzenia Hannah obserwowała ojca. Patrzyła, jak swoją porcję kurczaka starannie kroї na małe kawałki, potem nabija je na widelec. Stało się dla niej oczywiste — po intensywności, z jaką to robił — że przygotowuje się do wygłoszenia przemówienia. Dotąd jeszcze nic nie wspominał o finansowej stronie wydarzenia; nie zmuszał rodziny do oszczędności, nawet o wiele rzadziej niż dawniej przypominał o gaszeniu światła. I ani słowa na temat zmian w firmie. Pewnie więc uznał, że Hannah już wystarczająco doszła do siebie, by usłyszeć prawdę.

Gdy opróżnił talerz, odchrząknął. — Mogę prosić o jednego? — zwrócił się do Theo o papierosa, czym już wystarczająco zaniepokoił Hannah, choć i tak nie przygotował ją na to, co nastąpiło. Potrzeba niezwykle rozwiniętej wyobraźni, by nie dać się zaskoczyć okropnym wieściom; efektu wypowiedzianych na głos słów nie da się przewidzieć, choćby godzinami powtarzać je w myślach.

— To nie będzie łatwe dla żadnego z nas — zaczął. — Nie zamierzam zawracać wam głowy szczegółami. Spędziliśmy z matką cały tydzień na podliczaniu tego, co nam zostało, za wszelką cenę próbowaliśmy znaleźć wyjście z sytuacji. Niestety, musimy działać szybko. — Zwrócił się do Theo: — Na twoim mieszkaniu ciąży dług hipoteczny, ale jak mógłbym pozbawić własnego syna dachu nad głową?

Theo nie odrywał wzroku od papierosa, którego palił. — No więc co sugerujesz?

— Chcieliśmy uniknąć podjęcia pewnej decyzji, teraz jednak zdaje się to niemożliwe.

Becky wybuchła płaczem — niewątpliwie pod wpływem oficjalnego tonu ojca jak i jego słów. Morris przysunął sobie popielniczkę.

— Na litość boską, powiedz im wreszcie! — straciła cierpliwość matka.

Aż podskoczyli, gdy Amy trzasnęła klapką kocich drzwiczek.

— Dzisiaj rano zadzwoniłem do Blenheim and Neaves, przyślą nam kogoś. — Ojciec wydał wargi, wypuszczając dym, potem zgasił papierosa.

— Kogo? — zaciekała się Becky.

— Musimy sprzedać dom — włączyła się matka. — Bardzo mi przykro.

— Potrzebujemy kapitału — tłumaczył dalej ojciec. — Zresztą i tak nie będzie nam łatwo... — Po chwili przerwy mówił dalej: — Wystawią go na aukcji pod koniec miesiąca.

Rozdział drugi

Gdzie się podziewałeś? — Eva uniosła wzrok. Kuciała na podłodze wśród folderów agencji nieruchomości. — No, popatrz na to! — Wskazała na zdjęcie. — „Odnowione w najdrobniejszych szczegółach, luksusowe mieszkanie z trzema sypialniami, rzut kamieniem od King's Road" — to Chelsea! „Wyłożona marmurem łazienka, jacuzzi”!

Jon ukląkł na podłodze i przyjrzał się zdjęciu. — Nic nie trzeba odnawiać — zauważył. — A ja chętnie zająłbym się przeróbkami, lubię tę robotę.

— Oszalałeś? Chcesz stać na drabinie cały wysmarowany pieprzoną emulsją? — Wskazała na następny arkusz papieru. — „Penthouse duplex” — duplex, czyli dwa poziomy — „panoramiczny widok... kuchnia z wyspą... dwie łazienki” — dwie! Jedna dla ciebie, jedna dla moi. — Odepchnęła jego dłoń. — Uch, te twoje ręce!

— To tylko ziemia.

— Znów tam byłeś?

— Musiałem posadzić fasolę.

Wybuchła śmiechem. — Fasolę! Mamy pół miliona funtów, a ty sadzisz fasolę! Możemy kupować fasolę. Stać nas na nabycie tej pieprzonej fasoli tyle, by starczyło na całe życie. Nawet takiej ze szczerego złota.

— Nie o to chodzi. — Jak mógł, choć w przybliżeniu, wyjaśnić tę sprawę? Postanowił przedstawić ją od innej strony, bardziej dla niej zrozumiałej. — Ktoś mógłby się zainteresować, dlaczego po pobycie na działce przez cały tydzień, nagle przestaliśmy się tam pojawiać. Komuś wydałoby się to dziwne.

Udobruchana, skinęła głową; ułożyła broszury w stertę. — To teraz obejrzyjmy sobie to — wskazała palcem — i to. Ależ z ciebie nudziarz, mógłbyś chociaż coś powiedzieć. Gdzie chciałbyś mieszkać — w Chelsea? A może w St John's Wood, gdzie szpanowałabym między starymi krowami o udach nadgryzionych cellulitisem?

Nie odzywał się, bo nic nie przychodziło mu do głowy. Do tego panika niczym sznur ścisnęła mu gardło.

— A jak wyniesiemy się trochę dalej — choćby do Zielonej Strefy — za te same pieniądze dostaniemy dużo więcej. Do Finchley czy Harrow... — Zachichotała. — Albo Stanmore. — Trąciła go łokciem w bok.

— Stanmore! Kapujesz?

Podniósł się z podłogi. — Kapuję. Chcesz herbaty?

Poszedł do kuchni, przeciskając się między kartonowymi pudłami. Sony, Whirlpool, Toshiba — puste opakowania piętrzyły się w kuchennym

pomieszczeniu. Powciskane między nimi leżały warstwy białego styropianu, wcześniej otulające nową mikrofalówkę, telewizor, wideo. Nie mógł ich wyrzucić, bo przecież czeka ich przewodniczka i trzeba będzie wszystko zapakować ponownie. Był piątek; mieszkanie zapełniło się owocami ich tygodniowej orgii wydawania. Poprawka — jej wydawania. On kupił tylko kilka jazzowych CD. Ale Eva! Nie podejrzewał istnienia w niej podobnego głodu. I jakiego nienasycenia! Oszołomiony, przemierzał z nią działły magazynu Johna Lewisa. Przystanęli tylko pod windami; kręciła się niespokojnie i nagle chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę schodów. Po prostu nie mogła się doczekać. Chciała mieć wszystko natychmiast. Już. Patrzył na nią jak zaczarowany, zaskoczony jej doskonałą orientacją. — Musimy znaleźć telewizor z nicamem.

— Co to takiego? — zdziwił się.

— Cyfrowe stereo, głupku. — Chwyciła go pod ramię, zaciągnęła na Oxford Street. — A jedyne miejsce na zakup bielizny, kochany, to Fenwicks. — Przez wszystkie minione lata czytywała magazyny ilustrowane, zbierała informacje o sprzętach, o projektantach mody, przez cały czas marzyła o rzeczach znajdujących się poza jej zasięgiem. W innych okolicznościach poczułby wzruszenie.

Podeksytowana i najwyraźniej pozbawiona wszelkiego poczucia winy promieniowała zadowoleniem. Pierwszego dnia wróciła do domu obładowana torbami firmowymi z Bond Street. Rozebrała się do swej nowej bielizny i wciągnęła go na siebie. Ułożona pod nim, na szeleszczącym łożu bibuły leżała ze swymi cienkimi ramionami wysoko nad głową. Nie pieściła go; po prostu oddała się, drżąc, gdy szczytował. Jej uda ścisnęły go, a ręce, nad głową, gniotły kulkę z bibuły. Potem zasnęła, zaróżowiona i nasycona wśród lśniących firmowych toreb.

Dla niej ta sprawa była po prostu wielką przygodą, największą w całym jej życiu. Coś jak hazard na wielką skalę, gra, z której wyszli zwycięsko. Nie zawracała sobie głowy tymi, którzy przegrali, nie wiedzieć czemu zdawała się przekonana, że te pieniądze należały się jej. Przez dwadzieścia osiem lat zmagiła się z losem, cierpiała. Życie było takie niesprawiedliwe; dlaczego jedni mają mieć wszystko, a drudzy nic? — Teraz nasza kolej — oznajmiła, a następnego ranka poszła do salonu piękności w pobliżu Selfridges i zafundowała sobie cały zabieg — masaż, czyszczenie twarzy, woskowanie i inne. — Leżę tak sobie, patrzę na zajmującą się mną dziewczynę i mrugam do niej. Miałam ochotę powiedzieć: ja też to kiedyś robiłam.

— Ale nic nie powiedziałaś, prawda? — Jonowi mocniej zabiło serce. —
Bądź ostrożna, na miłość boską!

— Myślisz, że jestem idiotką?

Nie była głupia; wręcz zadziwiająco mocno stała nogami na ziemi. Nigdy wcześniej nie widział jej takiej, ale też nigdy nie znajdowali się w podobnej sytuacji. Już wcześniej przemyślała dokładnie, co zrobią z pieniędzmi. W ciągu tygodnia otwarli osiem rachunków w kasach oszczędnościowo-budowlanych, cztery na jej nazwisko, cztery na niego i umieścili na nich lwią część pieniędzy. Nalegał, by robili to osobno, zbyt denerwował się w jej obecności. W Abbey National stał przed małym okienkiem. Panienska — Stella, jak głosił identyfikator — dwukrotnie przeliczyła banknoty, zwilżając kciuk przy pomocy maleńkiej gąbki. Uniosła na niego wzrok i z powrotem opuściła. Pod pulpitem ma przycisk! Zaraz go naciśnie! Przecież mężczyzna stojący za nim z pewnością zorientował się, że to nie jego pieniądze. Gdy wyszedł potem na słońce, przystanął, spodziewając się, że ktoś wyłoni się z cienia i położy mu dłoń na ramieniu.

W ten piątkowy wieczór na kolację wybrali się do zachodniej części miasta, do Chinatown. Postawiono przed nim talerz skwierczących krewetek. Eva nie przestawała szczebiotać; może wyglądali jak zwykła młoda para omawiająca plany na przyszłość? Nabił krewetkę na widelec. Nie należała do niego; nawet krewetka o tym wiedziała, skurczona w niesmaku. Kelnerzy stali w pobliżu, obserwowali ich.

— Nie masz ochoty? — zapytała Eva. Wzięła krewetkę w palce i wsunęła między swe błyszczące czerwone wargi. — Mmmm... — Oliwa pociekła jej po brodzie.

Jeden z kelnerów szepnął coś kierownikowi sali. Ten uniósł słuchawkę telefonu.

— Co z tobą? — Eva wpatrywała się w niego zdziwiona.

— Nic. Po prostu boli mnie żołądek.

Kierownik odłożył słuchawkę. Teraz szedł w ich stronę. Jon zeszywniał. Tamten minął ich stolik i wdał się w rozmowę z ludźmi siedzącymi trochę dalej.

W drodze do domu samochód co chwilę gasł. — Zobaczysz, jak będzie się nam jeździć tym porsche — rozmarzyła się Eva.

— Musimy być ostrożni. Przecież nie chcemy, by zaczęli nas podejrzewać.

— Kto?

— Przyjaciele — odrzekł. — Sąsiedzi.

— Nie mamy żadnych.

Rzeczywiście, nawet nie znali swoich sąsiadów; ulica była kompletnie anonimowa. Zapewne ktoś zajmuje mieszkanie nad Radio Rentals, ale widział tylko cienie przesuwające się za zasłonami. A co do przyjaciół, odkąd poznał Evę, jego nieliczni koledzy znikali jeden po drugim. Przypuszczał, że większość z nich nie lubiła jej; uważali, że wywiera na niego zły wpływ. Ona też najwyraźniej z nikim nie była blisko, nie miała przyjaciółek; z kobietami nie dogadywała się najlepiej. Jedyni mężczyźni, jakich znała, to jej dawni kochankowie — z tego co wiedział, raczej nieprzyjemni i brutalni — z którymi już dawno zerwała wszelkie kontakty. Zdawała się polegać wyłącznie na nim. Dwa robaki pod kamieniem to my. Czasami zastanawiał się nad tym jej brakiem przyjaciół, tyle że akurat teraz ich odosobnienie okazało się zaletą. Ale i tak musieli uważać.

Po powrocie do domu powiedział: — Chyba powinniśmy mieszkanie wynająć, nie kupować. Jeszcze nie teraz. Lepiej, by nikt się nie zastanawiał, skąd zdobyliśmy tego rodzaju pieniądze.

— Co z tobą? Przez cały ten parszywy tydzień nic, tylko narzekasz. To miała być zabawa. I to ja muszę wszystko załatwiać — zamawiać tę pieprzoną restaurację, zdobywać cholerne foldery z wakacjami. I jeszcze rozgryzać zasady działania wideo.

— To takie skomplikowane. I po co komu takie zaprogramowanie dziesięciu kanałów na następne dwanaście miesięcy? Idiotyzm!

— Jakby ci pozwolić na kupno tego, co cię najbardziej rajcuje, wybrałbyś nowy zestaw ścierek. Żeby tylko nikt niczego nie zauważył. Ale z ciebie mięczak, Jon... — urwała. — Czemu wciąż masz zamknięte oczy?

Ma głos jękliwy i ostry. Ogarnęło go przemożne pragnienie pojechania do Stanmore. Choćby tylko postać w ciemności przed tym domem, poobserwować okna. Tylko sprawdzić, czy Hannah bezpiecznie dotarła do domu.

— Nie mogę sobie poradzić z tym pieprzonym gratem. — Naciskała guziki pilota, próbowała nastawić telewizor. Stół, który sam zbił z dębowego, pociętego w poprzek słoików drewna — jego ulubiony stolik do kawy — był zawalony pilotami. Połowę wolnego czasu zajmowało im czytanie broszur z instrukcjami obsługi. Gdyby Eva była we właściwym humorze, powiedziałaby jej, że sprzęty, których tyle nakupiła, wymykają się jej spod kontroli.

— A ja mówię ci tylko, że powinniśmy zachować ostrożność. Zamarli. Ktoś wchodził po schodach. Wymienili spojrzenia. Kroki minęły ich drzwi; to zapewne ktoś, kto mieszka w mieszkaniu nad nimi. Podczas tego błysku wzajemnego zrozumienia zastanawiał się, czy ona także boi się przez cały

czas... Czy ona również nigdzie nie czuje się bezpieczna. Nie miał odwagi zapytać, na wypadek gdyby przytaknęła.

— Nie wolno nam się sprzeczać — oświadczył. — Inaczej po co było to wszystko?

— Nie sprzeczam się. — Pochyliła się w jego stronę, wbiła mu paznokcie w szyję.

— No! — szarpnął do tyłu głowę. — To boli.

Wciąż zmieniała nastrój; huśtawka jej humorów niepokoiła go. Ona przeraża mnie jak diabli, powiedziała Hannah. Przez kilka ostatnich dni Eva przypominała suchą jak pieprz trawę gotową w każdej chwili stanąć w płomieniach. Przez to sypiał źle — dręczyły go niespokojne sny, po których budził się gwałtownie. Śniło mu się, że Eva podchodzi do niego na ulicy, wyjmuje pilnik i rozpruwa go od twarzy po krocze. Patrzył w dół i widział wylewające się wnętrzności. Tap-tap stukały jej buty na wysokich obcasach, gdy odchodziła.

I tej nocy było tap-tap... kroki na schodach... stuk-stuk... pukanie do drzwi. Obudził się, zlany potem. To na ulicy uderzała o mur obluzowana przez wiatr tablica z napisem „DO WYNAJĘCIA”.

Następnego dnia, w sobotę pojechał na działki. Eva chciała, by towarzyszył jej do salonu samochodowego, ale stwierdził, że inni działkowicze powinni widzieć go przy pracy, i pospiesznie wyszedł. Musiał się od niej oderwać; tak bardzo go osaczała, tak wiele żądała. Życie w niesamowitym pędzie wymykało mu się spod kontroli. Wciąż nie potrafił uporać się z czynem, który popełnił. Do tego zdawało mu się, że się dusi — choć nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego. Wolał nie zastanawiać się głębiej. Tylko zmęczeniem fizycznym, gdy kopał do znużenia, udawało mu się opanować panikę.

Przybył na miejsce, wysiadł z samochodu. Było szare popołudnie; w nocy padał deszcz. W oddali kręciło się kilka osób. W cieplarniach powiewały plastikowe okna. Podeszedł do swojej szopki i stanął jak wryty. Na ziemi ujrzął świeże ślady stóp.

Prowadziły do komórki. Ktoś stał pod oknem, próbował zajrzeć do środka, rozdeptał glinę. To nie jego ślady; pozostawił je ktoś w olbrzymich butach. Policyjnych.

Nie mógł oderwać od nich wzroku. Poczul, że blednie. Gdzieś daleko zawyła syrena.

Jon wszedł do komórki, zamknął drzwi i usiadł. Przypominał gryzonia; szczął zębami. Gapił się na opartą o ścianę łopate. Wyglądała groźnie, jakby gotowała się do zadania mu ciosu w głowę. W szopie było ciemno, deski wciąż

zasłaniały okno. Usunął oba łóżka i inne ślady ich pobytu, ale teraz te jego zabiegi zdawały się żałośnie nieadekwatne. Jak mógł uwierzyć, że uda się im uniknąć kary?

Mijał czas. Wciąż trwał tam, odrętwiały, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. A więc policjanci byli tu i węszyli wokół komórki. Osaczali ich. Gdy w gazetach nic nie napisano, nie pojawiła się żadna wzmianka o odnalezieniu się ofiary porwania, poczuł lekką ulgę — nie widząc sprawy w druku, niemal mógł uwierzyć, że nic się nie wydarzyło — ale w głębi serca wiedział, że to bez znaczenia. Policja dalej będzie prowadzić dochodzenie. To tylko kwestia czasu. Na pewno go dopadną. On i Eva popełnili poważne przestępstwo, do którego nie zostali przygotowani, nie uczono ich, a w każdym razie jego, jak popełnia się zbrodnię. Niektórzy łamią prawo, inni nie. Dorastał z takim przekonaniem. Tyle że to oczywiście nieprawda. Zbrodniarz jest takim samym człowiekiem jak każdy inny, tylko inaczej widzi świat — negatyw tej samej fotografii. Choćby paczka karvolu wciąż stojąca na półce — zapomniał ją usunąć. Dla nikogo innego nie miała znaczenia, ot zwykłe kapsułki do udrożnienia nosa. Ale on wiedział: to obciążający dowód. A ślady na zewnątrz — w przeszłości, tej utraconej, której nigdy już nie odzyska — byłyby po prostu śladami stóp.

Nie ruszał się, próbował wziąć się w garść. Mógł wskoczyć do samochodu i ostrzec Evę, ale być może policja już przybyła do mieszkania. Co robić? Wsiąść do auta i odjechać gdziekolwiek, jak najdalej stąd? Jechać, dopóki nie opróżni baku. A co potem?

Podniósł się i wyszedł z komórki. Nie rozglądał się; skoncentrował się na zamku kłódki na drzwiach. Po uporaniu się z nim, z opuszczoną głową poszedł do samochodu. Właśnie otwierał drzwiczki, gdy usłyszał głos.

— Obserwowałem cię...

Odwrócił się. Stary — ten sam, z którym rozmawiał przed tygodniem — wskazywał ręką na świeżo skopaną grządkę.

— To twoje kopanie, spójrz no tylko, widzisz? — Mężczyzna pochylił się z trudem i podniósł z ziemi kawałek czegoś zielonego. — Ten mały drań, to ziemny bez. Znowu wyskakuje, widzisz? A wiesz dlaczego? Bo go nie wyrwałeś; trzeba wykopać każdy kawałek korzenia. I wypalić to świństwo. — Podał Jonowi plastikowy pojemnik ze środkiem chwastobójczym. — Cokolwiek się pokaże, popsikaj tym. Inaczej, nim się rozejrzysz, znów się rozpleni. Jak w innych ogrodach. Wiesz, o czym mówię?

Jon nie spuszczał wzroku z buciorów starca. — Zaglądałeś tu już wcześniej...?

Odjechał do domu. Wiedział, że powinien odczuwać ulgę, ale wciąż był roztrzęsiony. Jeszcze nie przyszedł do siebie po pierwszym szoku. Parkując samochód, uświadomił sobie, że nigdy nie zazna spokoju. Co z tego, że to nie policjant pozostawił te wielkie ślady. Dzisiaj nie przyszli, więc pojawią się jutro, za tydzień, za miesiąc... za rok, kiedyś, nigdy.

Zamknął samochód na klucz, zrobił rundkę wokoło i wyszedł na główną ulicę. Podmuchy wiatru wciąż igrały ze śmieciami w rynsztoku. Na chodniku walała się wyciągnięta z kasety taśma; owinięta o słup lampy, drżała w blasku słońca. Gdyby tak mógł zwinąć teraźniejszość, wepchnąć ją z powrotem w przeszłość i przewinać! Żeby to było takie proste — zacząć od nowa!

Przeszedł pod oknem masarni. Wątroba wystawiona na tacach kapała się we krwi. Nigdy nie będę mógł cofnąć tego, co zrobiłem, pomyślał. Hannah odzyskała wolność, ale Eva i ja — my już nigdy, do końca życia nie będziemy wolni.

Gdzie się podział stolik do kawy? — zaniepokoił się.

— W spiżarni. Spójrz, Jonie, czyż ten nie jest wspaniały? — Przejechała palcem po nowym stole. Marmurowy blat z zielonymi żyłkami wsparty na mosiężnych nogach. W czasie jego nieobecności wybrała się do Hampstead, pooglądać sobie mieszkania. Zauważyła ten mebelek w sklepie i — bingo! — Tylko wyobraź go sobie w naszym nowym domu!

— Ale co z moim, to pierwszy stolik, jaki sam zrobiłem — zmartwił się Jon. — Dębinę znalazłem w Epping Forest. Nie podoba ci się?

— Są na nim ślady od papierosów.

— Twoich papierosów. — Obrzucił ją wzrokiem. Nie wolno im się kłócić. Teraz za dużo mieli do stracenia.

Postanowił nie wspomnieć jej o swej panice na działkach. Mogłaby się wystraszyć nie na żarty. Z drugiej strony ryzykowałby, że go wyśmieje. A nie był teraz gotów stawić czoła żadnej z tych reakcji.

W poniedziałek nie mógł już dłużej wytrzymać; pojechał do Stanmore. O tej porze — wczesne popołudnie — Cypress Drive była całkowicie opustoszała. Czarne wstążki cienia kładły się przez ulicę, równie stałe jak drzewa, które je rzucały. Cyprysy miały w sobie coś z cmentarnej ciszy; nawet z samochodu potrafił ją wyczuć.

Wolno przejechał pod numerem osiemnastym. Ani śladu życia — nic nie wskazywało na dramat, który rozegrał się w środku. Jedynie przed domem ustawiono tablicę.

„SPRZEDAŻ DOMU NA AUKCJI PUBLICZNEJ”.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział pierwszy

Czasami, w pociągu, Val przyglądała się małym domkom, przemykającym za oknem i znikającym na zawsze; wpatrywała się w nie i zastanawiała, kto w nich mieszka, czym ci ludzie się zajmują, skąd ich się wzięło aż tylu. W Brytanii mieszkało mnóstwo ludzi, których nigdy nie spotka, niemożliwością było poznanie ich wszystkich. Jak spędzali czas, dzień po dniu? Co robili?

Cóż, stopniowo uczyła się odpowiedzi na to pytanie: stoją w kolejkach. Tym właśnie się zajmują. Na dworze zaczął się słoneczny październikowy poranek; sklepy kąpały się w złotym świetle. Jednak tu, na poczcie, nikt nie okazywał niepokoju. Klienci czekali w kolejce cierpliwie, zarówno wtedy, gdy jakaś staruszka nie mogła doszukać się książeczki emerytalnej, a później młódka z dwójką rozwrzeszczanych maluchów w kolorze kawy dopominała się o list polecony. Od dymu papierosów Val zawilgotniały oczy. Ci ludzie okazywali wręcz anielską cierpliwość! Był poniedziałkowy poranek, więc kolejka rozciągała się aż do wejścia. Czekający pokasztywali, przestępowali z nogi na nogę i wpatrywali się w wystawę kartek pocztowych, głoszących: „Szczęśliwej Roczniczy, Mężu!”. Ale nikt nie domagał się kierownika, nie dociekał, czemu dwa okienka pozostały zamknięte, i w ogóle co to za usługi?

Val przyszła po zasiłek rodzinny. Od lat jej noga nie postąpiła na poczcie, aż do niedawna. W przeszłości Therese lub jakaś inna z zatrudnionych w pracowni dziewcząt chodziła z paczkami na pocztę. Ona sama była zbyt zajęta. Ale teraz znowu jest gospodynią domową, starającą się utrzymać budżet domowy na jak najniższym poziomie; potrzebowała tych pieniędzy, bo nie zносиła prosić Morrisa o gotówkę.

W końcu dotarła do zasmarowanej szyby okienka, do tego stopnia wzmocnionej plastykiem, że mężczyzna z drugiej strony ledwie był widoczny. „Tam na zewnątrz istnieje świat pełen zła” — powiedział tamten policjant. Cóż, teraz i ona się w nim znalazła. Urzędnik przeliczył pieniądze, wysunął przez szparę. Powkładała banknoty do portfela. Miesięcznie czterdzieści funtów i osiemdziesiąt pensów — taka okazała się urzędowa wartość Hannah. Val ogarnęło szalone pragnienie, by odwrócić się w stronę kolejki i oznajmić: — A według nas ona jest warta pół miliona.

Skierowała się do supermarketu po drugiej stronie ulicy. Okna sklepu zasłonięto workami pampersów; był to jeden z tych podmiejskich magazynów, które zawsze wydają się zamknięte, nawet gdy są otwarte. Ale mieścił się w jej

dzielnicy, tylko tu mogła dotrzeć pieszo. Samochodu używał Morris. Potrzebował auta, by dostać się do pracy. Mieszkali na krańcach miasta, między Harlesden a Kensal Rise. Autobusem mogłaby dojechać do Sainsbury's w Kilburn, ale kursowały z rzadka, do tego potem trzeba było dźwigać torby do domu. Jak inni radzili sobie, przemieszczając się transportem publicznym? Przez dwa ostatnie miesiące stopniowo i ona nabierała tej umiejętności, ale ten czas spędzony na deszczu! Łomotanie serca, gdy biegnąc ulicą, drętwiała na widok autobusu przejeżdżającego obok i znikającego w oddali! Ile czasu potrzebowała teraz na wszystko!

Odkąd sprzedała swojego renault, jej mapa Londynu zmieniła się. Dawna znajomość systemu dróg jednokierunkowych, miejsc do parkowania i sprytnych skrótów z Baker Street do Knightsbridge, z Notting Hill na Hamstead, wprawność w omijaniu korków i śmiganiu bocznymi uliczkami odchodziła w zapomnienie wraz z innymi umiejętnościami. Coraz rzadziej wspominała tę codzienną, dostarczającą energii grę w kotka i myszkę ze strażą miejską. W przeszłości autobus był dla niej tylko zawalidrogą, przeszkodą, za którą trzeba było się wlec, lub błyskającym jej światłami arogantem, gdy poruszała się przeznaczonym dla niego pasem. Teraz, jako posiadaczka karty na publiczne środki lokomocji, zaczynała orientować się w trasach i stacjach metra, zaznajamiała się z Wierszami w metrze i reklamami agencji sekretarek.

Gdy trafiały jej się dobre dni, czuła się, jakby znów znalazła się w samym środku nurtu życia. Już stała się bardziej uległa, stopniowo dołączała do stada. Teraz nie rozmawiano ze sobą tak wiele, jak w czasach, które zapamiętała, biletów już nie kontrolował konduktor z gwizdkiem. Obecnie w zarzuconym śmieciami metrze porządku pilnowały wszyszkowidzące kamery. Ale w swe dobre dni przekonywała samą siebie, że to, co dzieje się wokół, jest częścią skomplikowanego wzoru ludzkiej egzystencji, nawet pudełka z Burger Kinga i cały ten kram; dołączała do ludzkiej rasy. W złe dni — nie, nie może się do nich przyznać, nawet przed sobą. Na to nie może sobie pozwolić.

Szukała na półkach kakao. Becky po raz pierwszy poszła do nowej szkoły i Val ogarnęły złe przeczucia. Choć od lat już nie piekła ciasta, postanowiła przygotować czekoladowy placek na podwieczorek. W końcu to pierwszy dzień Becky w miejscowym ogólniaku, trochę dalej przy głównej ulicy. Poza zwykłym niepokojem związanym z nową szkołą, dziewczynka czuła się pokrzywdzona, gdyż Hannah pozostała u Świętej Marii; pani Beestock orzekła, że przeniesienie jej stamtąd po tym, co przeszła, mogłoby zakłócić tok jej nauki w trakcie maturalnej klasy i pomogła przy załatwianiu stypendium z fundusz socjalnego. Nie tylko nie spełniły się marzenia Becky, by dołączyć do siostry,

na dodatek przeniesiono ją do liceum państwowego, musiała więc wrócić do szkoły dziesięć dni wcześniej od Hannah. — Ona ma dłuższe wakacje, to niesprawiedliwe! — jęczała.

Niesprawiedliwość niesprawiedliwością, jednak tym narzekaniem sprawiła przykrość siostrze i z trudem osiągnięta delikatna równowaga przepadła, zastąpiona trzaskaniem drzwiami i stłumionym szlochem. Potem Hannah puściła muzykę na cały regulator i sąsiedzi z piętra wyżej załomotali w sufit. Teraz, w tym małym mieszkaniu z osobnym wejściem trzeba było liczyć się z innymi mieszkańcami budynku — nowe doświadczenie dla dziewczynek wychowanych w beztrudnej swobodzie oddzielnie stojącego domu. Och, jakie to wszystko okazało się skomplikowane! Val omal nie krzyknęła: — Ścisz tę cholerną muzykę! — Gdybyż tak mogła wrzeszczeć na nią jak kiedyś, w ich dawnym życiu, gdy traktowała Hannah jak normalną nastolatkę. Ale teraz było to niemożliwe. Jako jedną z wielu szkód wyrządzonych przez ostatnie wypadki Val uznała swą nieumiejętność oszacowania zachowań Hannah, ustalenia granicy między zwykłymi niepokojami nastolatki a zaburzeniami psychiki po doznanym urazie. Nie miała więc wyjścia, traktowała ją wyjątkowo delikatnie, na co Becky reagowała oskarżeniami o faworyzowanie starszej siostry, i wtedy... i wtedy...

Val włożyła paczkę kakao do koszyka. Nie udało jej się znaleźć gorzkiej czekolady. Nie sprzedawano tu podobnych rzeczy, choćby takich jak świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy czy nie solone masło. Sklep oferował produkty, o których wcześniej sądziła, że już od dawna się ich nie jada: mleko skondensowane, sardynki w konserwie i kartony soku pomarańczowego o długim okresie trwałości — według Becky smakował jak siuski. Skończył się oszołamiający róg obfitości z Marks and Spencer, nonszalanckie wrzucanie przedmiotów do kosza; minęły bezpowrotnie dni, gdy większość spraw traktowało się jak oczywiste, codzienne luksusy bogaczy — tylko że Val nigdy nie czuła się bogata. Od wielu lat w ogóle nie myślała o pieniądzu. Były dla niej abstrakcją; po prostu cyframi wypisywanymi na czeku. Kto wie, może na tym właśnie polega przynależność do klasy zamożnych.

Szła ulicą, dźwigała torby z zakupami. Tu nawet opakowania firmowe były liche; produkty po obniżonej cenie świadczyły o kruchości egzystencji. Ta nieznamiona dwójka uznała ją za bogatą. Idąc, rozglądała się. Wciąż doskwierało jej uczucie, że tamci nadal ją obserwują; działanie zła, które dotknęło ich zupełnie przypadkowo, nie mogło przecież zniknąć ot tak sobie poprzez zwykłe przekazanie pieniędzy. Rozsądek podpowiadał jej, że jej wrażenia nie mają wiele wspólnego z logiką; oni zrujnowali ich rodzinę,

doszczętnie ich ogołocili. I na tym koniec. Dostali, czego chcieli. Ale dla jej rodziny sprawa się nie skończyła, dopiero się zaczynała. A że to tamci byli za to odpowiedzialni, więc wciąż znajdowali się w pobliżu; nie mogła się ich pozbyć. Owiewali jej plecy oddechem zła.

Z Morrisem nie potrafiła poruszać tych problemów. Na niej leżała odpowiedzialność za utrzymanie rodziny razem, zachowanie pewnej równowagi. Morris zareagował zaskoczeniem na jej rezygnację z pracy.

— Nie możesz, kochanie — oświadczył. — Zwariujesz.

— Muszę być w domu z powodu dziewczynek.

— Ich? A więc one zwariują.

Ją samą również przerażała intensywność jej emocji, ale musiała się im się poddać. Były zbyt mocne, by mogła się oprzeć. Stała się jeszcze jedną matką, która pozwoliła, by jej córkę porwano. Zawiodła, nie zapewniła swemu dziecku bezpieczeństwa. Jak więc mogła kontynuować swe dawne życie? Z dnia na dzień straciło wszelką wartość. Val dała się pokierować matczynym instynktom i zaczynała znajdować tę zmianę wielce zadawalającą. W końcu cóż znaczyły te jej wszystkie projekty w porównaniu z własnym potomstwem? Aż zdumiewało ją, jak niewiele warta zdawała się teraz jej praca, jak błyskawicznie z niej zrezygnowała, wyrzekła się kariery. Zamknęła pracownię, zaprzestała działalności. Dokończenie ostatnich zleceń zostawiła w gestii Therese, po prostu przecięła węzły, których nie umiała rozwikłać: zupełnie jakby umarła. Wszystko to uczyniła beztrąsko, przepelniona uczuciem

szlachetnej radości. Może ona także doznała szoku o opóźnionym działaniu?

Spakowała swoje dawne życie i zamknęła w magazynie, tak jak meble, które umieścili w przechowalni w Colindale. Całą przeszłość zostawiła za sobą. Oto ona, gospodyni domowa, robi zakupy w poniedziałkowy poranek wraz z innymi, wyruszającymi do miasta o tej porze dnia — tymi bardzo starymi i bardzo młodymi. Wśród nich snuli się także mężczyźni, którzy już dawno stracili wszelką nadzieję na pracę. W przeciwieństwie do Morrisa, pochodziła z zasiedziałej rodziny rolników — jej pradziadek był farmerem w Derbyshire — i teraz postanowiła zostać prawdziwą matką, a choć niektórzy nie potrafiliby wyobrazić jej sobie w tej roli, ona sama przykładała się, jak mogła. Musiała. Oczyma wyobraźni widziała, jak gotuje zupę na kościach z kurczaka, a nawet — wręcz nie do wyobrażenia! — ceruje. Oczywiście, rzeczywistość nawet w przybliżeniu nie przypominała tych wyobrażonych scen, ale w co gorszych momentach obraz ten podtrzymywał Val na duchu.

Crewkerne Road ciągnęła się w nieskończoność między szeregami edwardiańskich bliźniaków, przeważnie podzielonych na mieszkania. W dużej

mierze zamieszkałych przez Azjatów. Ulica jak tysiące innych, domki przypominające te, jakie oglądała z okien pociągów. Malcolm, kierownik Morrisa do spraw sprzedaży, właściciel kilku nieruchomości w tej okolicy, wynajął im to samodzielne mieszkanie za nominalną sumę. Na parterze znajdował się frontowy pokój z oknami wychodzącymi na domy naprzeciwko, także kuchnia i maleńka przestrzeń jadalna. By mogli zasiąść do posiłku we czworo, drzwi trzeba było zostawić otwarte — wtedy przy stole mieściło się czwarte krzesło. Na górze mieli dwie sypialnie i łazienkę, bezustannie zajętą, gdyż był tam jedyny w domu klozet. Na tyłach budynku dysponowali maleńkim ogródkiem, oddzielonym od części przypisanej sąsiadom z góry. Był to kawałek zdeptanego trawnika o rozmiarach klombu przy ich domu w Stanmore, ale przynajmniej mieli własny skrawek zieleni. Na narzekania Becky Val zareagowała beztroskim tonem, jaki ostatnio przyjmowała. Przynajmniej mamy ogród. Przynajmniej jesteście zdrowi... Przynajmniej żyjemy... przynajmniej... przynajmniej... Policzcie to, co nam się udało, i wykorzystajcie jak najlepiej. Włożyła klucz do zamka wejściowych drzwi; przypomniała sobie artykuł z gazety, który przyciągnął jej uwagę następnego dnia po zniknięciu Hannah: Uczyłam ją, jak odcisnąć anioły na śniegu; należy położyć się na piecach i ramionami, niczym skrzydłami, przesuwając wzdłuż ciała, w górę i w dół... Otworzyła drzwi. W mieszkaniu panowała cisza.

— Hannah?

Poczuła przyływ paniki. Była jedenasta dwadzieścia. Hannah nie wychodziła z domu bez dokładnego poinformowania, gdzie się udaje — jedna z nowych zasad postępowania. Val odstawiła zakupy i przystanęła u podnóża schodów.

— Hannah?

Coś przemknęło obok jej nóg. Podskoczyła. To kot. Weszła schodami na górę, pchnęła drzwi do sypialni Hannah i Becky.

Zasłony zasunięte. W ciemności ledwo zdołała wyłuskać wzrokiem sylwetkę przykrytej kołdrą Hannah. Przez chwilę czuła ulgę, ale zaraz oblała ją fala irytacji. Hannah obiecała wstać wcześniej i posprzątać w pokoju; Becky już skarżyła się na bałagan zachodzący na jej część. Val obrzuciła spojrzeniem panujący tu chaos. Robimy dla niej to wszystko — mogłaby przynajmniej utrzymywać swoją połowę pokoju w porządku! I powinna właśnie pracować nad zakończeniem wypracowania o Arystofanesie na lekcję z cyw-klas na przyszły tydzień; Val akurat przeczytała „Żaby”, mogła więc pomóc córce.

Nie wolno jej się złościć. Inaczej Hannah natychmiast wybuchnie: „O tak, to wszystko moja wina!” Hannah odznaczała się wrażliwością. Jeszcze nim to

wszystko się wydarzyło, gdyby Val poradziła jej nie zjadać się czekoladą, Hannah zajęczałaby: — Uważasz, że jestem gruba! O to ci chodzi, prawda? — Lub: — Bo mam pryszczki! Wiem! — Ale teraz równowaga została zachwiana. Zepchnięta z kursu przez olbrzymi ciężar ostatnich wydarzeń. Być może Hannah godzinami wyleguje się w łóżku nie z powodu normalnej bierności nastolatek, lecz w wyniku nieuchronnego procesu dochodzenia do siebie. A nawet pod wpływem głębokiego szoku o opóźnionym działaniu. Val nie mogła o to zapytać, jej troska zostałaby uznana za krytykę i Hannah zareagowałaby wybuchem. Och, jakie to trudne! Tego ranka przeczytała w gazecie artykuł o weteranach z Wietnamu: winili wojnę za wszystko, co od tamtego czasu nie udało im się w życiu. Pomyślała: to już trzy miesiące od porwania; jak będzie wyglądało życie nas wszystkich za rok? Czy ciężar tego wydarzenia zmaleje, czy już zawsze jego cień będzie zakłócał naszą przyszłość?

Pulsowanie w głowie znów się odezwało. Ostatnio ona i Hannah miały migreny. Przekroczyła leżące na podłodze części garderoby

i popatrzyła na śpiącą córkę. Spod kołdry wylaniało się tylko blade czoło Hannah. W szarym półmroku pokoju połyskiwało jak duch. Nic nie miało znaczenia poza tym, że jej córka wróciła do niej. Hannah, niczym w krainie cudów, została dostarczona z podziemnego świata na słoneczny blask. Kogo obchodzi bałagan w jej pokoju? Żadna cena nie wydawała się zbyt wysoka, nawet ta, którą zapłacili. Choćby nawet trzeba było zapłacić jeszcze więcej...

Hannah stała w drzwiach, ziewała. Szeroko otwarła oczy. — Co robisz?

— Piekę ciasto. — Val łyżką ucierała masło z cukrem. Od razu rozboleła ją ręka; już zapomniała, ile wysiłku wymaga ta czynność. — Chcesz coś na śniadanie?

— Nie, dzięki. — Hannah napełniła wodą czajnik.

Jakaż ona duża w tej małej kuchni. Ledwie się tu obie mieściły; musiały się obok siebie przeciskać. Hannah miała na sobie koszulkę nocną z napisem „Dość Kwaśnych Deszczy” i lotnicze, szare skarpetki

— w samolotach British Airways rozdawano je wraz ze słuchawkami. Jakże beztrudno wsiadały niegdyś do samolotów zdążających do Pizy czy Nowego Jorku!

— Chcesz kawy? — zapytała Hannah, drapiąc się po głowie. Tydzień po porwaniu obcięła krótko włosy. Val w duchu uważała to za błąd; lśniące, gęste sploty zdobiły córkę, teraz fryzura sięgająca brody nadawała jej twarzy przyciężkich, żydowskich cech. Ale jakie ona, Val, ma prawo do kwestionowania motywów Hannah? Podejrzewała jakby rodzaj samoumartwiania. Dziewczynka zrezygnowała także z noszenia biżuterii —

żadnego kolczyka w nosie ani tych małych, w uszach, których Val i Morris tak nie znosili. Starła się przypodobać im się, próbowała być dobrą córką.

Sięgnąwszy po dzbanek z kawą, Hannah wskazała ręką na ścianę.

— Wiesz, co mi przypominają te kafelki? Żyły przerośnięte żylakami.

— Są okropne, prawda? — Val ugniatała masło. Bieda zmusza do egzystencji określonej cudzymi gustami. W nędzy nie ma nic malowniczego. Te jej wyobrażenia, jak to ona, matka z krwi i kości, krząta się po kuchni prostej chaty, okazały się zupełnie oderwane od rzeczywistości. Bieda to niemożliwość wyboru i brak możliwości; konieczność tkwienia w mieszkaniu z oddzielnym wejściem i lichymi ściankami działowymi, z tapetą w deseń wiórów i garniturem tanich mebli w holu. Gdy przybyła tu po raz pierwszy, widok tego miejsca sprawił jej,

przy jej zawodowym doświadczeniu, wręcz dotkliwy ból. Gdyby mogła pójść za głosem instynktu, zerwałaby co tylko się da i urządziła mieszkanie od nowa, ale nie byli u siebie; wszystko tu należało do Malcolma.

Hannah zamilkła. Val pragnęła ją pocieszyć, po raz setny zapewnić, że to nie jej wina. To oni, nie Hannah, powinni czuć się winni; żadne z nich nie zostało poddane równie okropnemu doświadczeniu. Szkoda, że nie wybrali mnie zamiast mojej córki, pomyślała. Ta sprawa tak bardzo zaciążyła na Hannah; dziewczynka najwyraźniej zmagала się w wieloma krańcowo różnymi emocjami; musiała uporać się z ciężarem wdzięczności, poczucia winy i zobowiązań. W zeszłym tygodniu Val pomogła jej przy pisaniu wypracowania o E. M. Forsterze i jedno zdanie utkwilo jej w pamięci: łatwiej dawać niż przyjmować.

Val wbiła jajka do miski. Pragnęła uspokoić Hannah, że to miejsce jest tylko chwilowe, taki przystanek między jedną epoką a drugą, i niedługo przeniosą się w jakieś przyjemniejsze otoczenie. Zabiorą swoje meble z magazynu i Hannah znów dostanie własny pokój. Niestety, po tym, co Morris powiedział jej poprzedniego wieczora, ogarnęły ją wątpliwości. Ich sytuacja finansowa pogorszyła się. Morris postanowił omówić tę sprawę z Theo, który, jak dotąd, nie poniósł większego uszczerbku. Wciąż miał mieszkanie i ukochanego garbusa z rozsuwanym dachem.

— O co chodzi? — Hannah wpatrywała się w nią z uwagą.

— O nic.

Hannah podsunęła jej garnuszek z kawą. — Muszę zdobyć pewną książkę z listy lektur.

— Świetnie. Pójdziemy do księgarni.

— Nie, nie ma sensu. Pożyczę od Tanyi albo innej koleżanki.

— Ale one mieszkają tak daleko. — Rzeczywiście, wszystkie przyjaciółki Hannah mieszkały w okolicy Stanmore, dojazd do nich autobusem potrwałby godzinami.

— Nie muszę kupować — upierała się Hannah. Nie chciała, by na nią wydawali. — Zobaczą, czy nie ma jej w bibliotece.

— To będziemy musiały podpisać jakieś deklaracje. Załatwić kartę biblioteczną. Pójdę z tobą.

— Nie trzeba, poradzę sobie sama.

— Wolałabym jednak...

Obie wiedziały, co miała na myśli. Chciała towarzyszyć Hannah na każdym kroku, byle tylko nie spuścić jej z oczu. Przez ostatnie trzy miesiące ich wzajemny stosunek ogromnie się zmienił. Trzęsa się nad Hannah, a okazując swą troskliwość nieporadnie i w niewłaściwych chwilach, irytowała córkę. Wtedy ona obrażała się, reagowała ostro i zaraz niezręcznie przepraszała. Obie stały się nagle przesadnie kobiece, do tego zmuszone wciąż przebywać razem. W jakiś tajemniczy sposób brak przestrzeni jeszcze intensyfikował ich płęć. Do tego Val zmieniła się w nieznośnie nadopiekuńcza matkę.

Hannah stała przy oknie, wyglądała na dwór. Ogrodzenie rzucało cień na należący do nich prostokąt trawy. Moja biedna córeczka — pomyślała Val. — Ma siedemnaście lat. To nie mogło się wydarzyć w mniej odpowiedniej chwili. Akurat buntowała się przeciwko nam, próbowała umocnić swoją niezależność, a tu masz: przytrafia jej się coś takiego. A teraz siedzi w tym domu niczym w pułapce, a ja nie mogę się zdobyć, by spuścić ją z oczu, zupełnie jakby miała sześć lat.

Wlała przygotowane ciasto do blaszanej formy, a miskę podała córce. — Masz, wyliz sobie. Zawsze to robiłaś, gdy byłaś mała.

Hannah skrzywiła się. Ale wzięła naczynie.

Nie mogę doczekać się Florydy, a ty? — rzuciła Val. — Słońce na Boże Narodzenie...! Przynajmniej będziemy mieć porządne wakacje.

Hannah nie odpowiedziała. Szły główną ulicą. Najpierw planowały odnaleźć bibliotekę, potem pójść po Becky do szkoły.

Val zastanawiała się, czy taktowne było wspomnianie o Florydzie. Przecież najwyraźniej wszystko to zaczęło się od ich fotografii jako zdobywców nagrody. Ale chciała rozweselić córkę, wspominając coś pozytywnego. Do Hannah coraz trudniej udawało im się dotrzeć. Do tego dziewczyna utyla, co nie wróżyło niczego dobrego. Może sprawy przybiorą lepszy obrót, gdy wróci do szkoły.

Tamte letnie wakacje dłużyły się w nieskończoność. Każda rzecz, na jaką mieliby ochotę, łączyła się z wysokimi kosztami. Zdumiewające, jak wszystko sprowadzało się do pieniędzy, gdy się ich nie miało. Jej pogodne sugestie, by we trzy zrobiły sobie piknik na Hampstead Heath czy odwiedziły Tate Gallery, były kwitowane uprzejmym brakiem entuzjazmu. Jej córki chciały spotykać się z przyjaciółkami, ale teraz mieszkały zbyt daleko od nich — do Stanmore miały jakieś pięć czy sześć mil, a Val nie dysponowała samochodem. Zresztą większość ich szkolnych koleżanek wyjechała na wakacje.

Przy końcu ulicy minęły Elitę Remoulds, cmentarzysko opon samochodowych. Val przekroczyła przez strugę sączącego się na chodniku oleju. Hannah wlokła się za nią, jak to miała w zwyczaju, jakby chciała zdystansować się od rodziny. Morrisa zawsze to wściekało: gdy oni zwalniali kroku, Hannah także. Val cofnęła się, dołączyła do córki. Mamy tylko siebie, pomyślała. Nauczyłyśmy się chociaż tyle.

— Ciekawa jestem, jak Becky sobie radzi — zastanawiała się na głos. — Pewnie czuje jak w szpitalu przed operacją. — Hannah mruknęła coś w odpowiedzi, pewnie rzuciła jakąś nietaktowną uwagę, Val jednak wolałaby z jej strony bardziej ożywioną reakcję. W ciągu pierwszych tygodni po powrocie Hannah starała się być miła i pomocna, zachowywała się, jak umiała najlepiej. Czasami nawet, próbując znaleźć jakąś jaśniejszą stronę wydarzenia, Val zastanawiała się, czy ta cała przygoda w ostatecznym rozrachunku nie opłaciła się, gdyż zwrócono jej tak dobrze wychowaną córkę. Ale teraz... pod wieloma względami było jeszcze gorzej niż przedtem, a ona nie ważyła się o nic strofować córki, nawet zapytać, o co jej chodzi. W milczeniu przeszły obok firmy BB Taxi Service i jednego z tych sklepów na rogu, które z powodu niemal całkowicie pustych półek kojarzyły się z Trzecim Światem i prowizorką, jakby właściciele dopiero co tu przybyli lub właśnie pakowali się do wyjazdu.

Dotarły do głównej ulicy — długiej, zakorkowanej wlokącymi się samochodami arterii. Mijały sklepy: Geekay Styles oferujący wieczorowe suknie z lureksu; zaraz potem Al-Rahim Fancy Goods — na wystawie płowiąły zawiniątka wyblakłych rajstop, budziki pyszniły się podobiznami Najświętszej Marii Panny. Dalej budka z jarzynami z pagórkami słodkich ziemniaków, wreszcie centrum kosmetyków afro i peruk, gdzie z haczyków zwisały welony ludzkich włosów. — Zaczynam się przyzwyczajać do tej dzielnicy — oznajmiła Val. — Nie sądzisz, że jest bardziej interesująca od Stanmore Broadway?

Hannah coś mruknęła w odpowiedzi.

— Wiesz, nigdy nie przepadałam za naszym domem tak bardzo jak tatuś — ciągnęła Val. — To on go wybrał. Ja wolałabym coś starego, z atmosferą.

— Mnie się podobał.

— Przecież mówiłaś, że jest okropnie podmiejski!

— Naprawdę?

— Uważałaś tamtą okolicę za nudną, marzyłaś o zamieszkaniu w miejscu bardziej popularnym wśród młodzieży — roześmiała się. — No cóż, tu właśnie tak jest.

— Sądzisz, że myślałam o czymś takim?

— Nie. Tylko żartowałam. — Niezręcznie ścisnęła ramię córki. — Próbuje cię rozbawić. Czy coś się stało, kochanie? To znaczy — coś jest nie tak?

Hannah potrząsnęła głową. Wlokła się ze wzrokiem wbitym w chodnik. Jakże ociężały wydawał się jej profil! Krótco ostrzyżone włosy sterczały niczym wysunięta półka. Serce Val wezbrało współczuciem. Nigdy nie pozna rozmiaru cierpienia swego dziecka podczas tamtego, utraconego tygodnia. Ogarnęła ją fala nienawiści do tych dwojga, którzy ukradli im coś więcej niż dom. Zabrali normalną, buntowniczą młodość jej córki. Wybierając Hannah, obrabowali ją z naturalnego rozwoju. Złożyli na jej barki ciężar nie do wyobrażenia dla nikogo innego — rodziny czy przyjaciół — i w ten sposób wypchnęli ją w obcy, oddzielny świat. Jak samotna musi się czuć!

— No to jesteśmy — oznajmiła Hannah.

— To jest biblioteka? — Brudny budynek z lat sześćdziesiątych, okna zaklejone plakatami. Masz problemy z właścicielem twojego domu? Wykopmy rasizm z futbolu. Weszły do środka. Val już od lat nie była w miejskiej bibliotece. Zapamiętała panującą tam ciszę, lekko zatęchłe powietrze. Oświetlone niczym biuro zatrudnienia pomieszczenie nadzorowały kamery; ich soczewki patrzyły im prosto w twarz. Nosisz wirusa HTV? Nie! — pomyślała zaraz Val. — Nie noszę. Nie zauważyła żadnych książek, za to na półce z kasetami wideo rzucały się w oczy: „Zabójcza Broń 2” i „Henry: Portret seryjnego zabójcy”. Na podłodze wały się broszury. Jakiś rastafarianin siedział pochłonięty kolumnami ogłoszeń w Loot.

— Gdzie są książki? — zapytała szeptem córkę.

Znalazły kilka półek z książkami, ale te były oznaczone napisem „Uchodźcy” i „Problemy Kobiace”. Val podeszła do bibliotekarki. — Szukamy pozycji pod tytułem „Narodziny komedii greckiej”. Gdzie możemy ją znaleźć?

— To jest jakaś odmiana kabaretu?

Stojąca za jej plecami Hannah prychnęła. Val zdenerwowała się. — Nie, chociaż do kabaretu to tutaj już bardzo blisko. Słyszałaś w ogóle o Arystofanesie?

— O kim?

— On chyba gra w tym niewielkim pubie w pobliżu Kensal Rise.

— Mamo! — Hannah odciągnęła ją.

— Mniejsza z tym — stwierdziła Val. — Pójdziemy do księgarni.

— Tu nie ma żadnych księgarni — szepnęła Hannah. — Oprócz tych z porno.

Wyszły na zewnątrz. — Dokąd zmierza ten świat? — dziwiła się Val.

— Tak zawsze było. Tylko ty nie zwracałaś na to uwagi. Krytykuje! Val poczuła ulgę. — Przecież nie żyłam w kompletnej izolacji!

— Ależ tak. Spotykałaś się tylko z takimi, co to chcieli mieć co rok nową kuchnię firmy SieMatic.

Val poczuła absurdalną radość. Dogadywały sobie! Choć na chwilę wszystko zdawało się powracać do normalności. Weszły do sklepiku z gazetami, by kupić komiks dla Becky. — Chcesz jeden z tych twoich beznadziejnych magazynów? A może weźmiemy jakieś moje czasopismo, przyda mi się darmowa próbka kremu przeciw zmarszczkom.

— W porządku.

Rozejrzały się po stojakach. Żadnych lśniących okładek — ani śladu Interior czy Vanity Fair. Żyły teraz w innej Brytanii, której mieszkańcy czytali People's Friend, broszury z krzyżówkami i przeróżne, zdumiewające programy telewizyjne i informatory telewizji satelitarnej. Dzisiaj akurat znajdowała tę rzeczywistość ożywczą, gdyż jakby zbliżyły się do siebie z Hannah — normalna matka i córka, potrzebujące się nawzajem.

I w jednym momencie wszystko przepadło. Jak czekały pod szkołą. Olbrzymi budynek — jej mała córeczka tam, w środku! O czwartej tłumy młodych ludzi o przerażającym wyglądzie wysypały się przez bramę — duże czarnoskóre dziewczyny, prawdopodobnie w wieku Becky, ale wyglądające jak dorosłe kobiety; biali chłopcy o fizjonomiach starców, którzy wychodząc na ulicę, natychmiast zapalali papierosy. Panował ogłuszający hałas. Nagle w tłumie pokazała się Becky. Taka drobna w swoim nowym, brązowym mundurku.

Podeszła bliżej, z twarzą bez wyrazu. — Chodźmy — mruknęła.

Poszły dalej ulicą, skręciły za róg. Gdy tylko szkoła znikła im z pola widzenia, Becky wybuchła płaczem.

— Było strasznie! Nie chcę tam chodzić! Chcę do Świętej Marii! — szlochała. — Chcę być z moimi przyjaciółkami!

Hannah drgnęła jak ukłuta.

Val próbowała pocieszyć córkę: — Kochanie, jestem przekonana, że...

— Wyśmiewały się z mojego sposobu mówienia, że niby szpanuję! Te wielkie dziewczuchy napadły na mnie w toalecie i ciągnęły mnie za warkocze! — odskoczyła od próbującej ją objąć Val. — Chcę do domu! Chcę chodzić do Świętej Marii! Nie chcę tu być!

Val rzuciła okiem na Hannah. Twarz starszej córki nie wyrażała żadnych emocji.

Po powrocie do domu nawet ciasto czekoladowe nie zdołało pocieszyć Becky. Ta jej zazwyczaj odporna, pełna temperamentu córka zjadła zaledwie kawałek. Hannah zostawiła swoją porcję na talerzu. Val nie umiała ich pocieszyć; przygarbione siedziały przed telewizorem. Do tego żadna z nich nie mogła nawet zostać sama, bo dzieliły pokój.

Kilka minut później zadzwonił telefon. Morris najpierw zapytał o Becky, ale ona tylko gwałtownie potrząsnęła głową — nie chciała rozmawiać z ojcem. Potem oznajmił: — Zwolnili Avril.

— Co takiego?

— Była ze mną przez osiemnaście lat.

— Nie mogli! — oburzyła się Val.

— Dzisiaj rano miała wrócić z wakacji. Poszedłem do jej biura, patrząc: wstawili tam kserokopiarkę.

— Och, Morris... Co mogłabym powiedzieć?

— Nic. — Głos miał oschły, bezosobowy.

— Kochany...

— Wrócę późno. Wybieram się do Theo, muszę porozmawiać z nim o tym, co omawialiśmy.

— Na pewno nie będę ci potrzebna?

— Nie. Lepiej gdy pogadam z nim jak mężczyzna z mężczyzną. Odłożył słuchawkę. Dlaczego nie chciał jej w to włączyć? Jego głos brzmiał tak chłodno. Spojrzała na dziewczynki; siedziały, oglądając telewizję z wystudiowaną koncentracją. Nawet nie odważyły się zapytać, co się stało. Jej biedne dzieci. Jej biedny mąż — jej żartobliwy, sentymentalny, o zmiennych nastrojach mąż zamknął się w sobie. To wszystko było takie skomplikowane. Dlaczego nieszczęście nie zbliżyło ich do siebie? W pierwszych dniach wyobrażała sobie, że to, co się stało, połączy ich mocniej. Radzą sobie,

trzymają się razem, tworzą zespół... W pierwszych dniach przyłgnęli do siebie ...Och, kocham cię za to...

Wyszła na dwór i usiadła na schodach. Ogród, położony od południa, miał słońce przez cały dzień. Jeden z tych drobiazgów dodających otuchy, na jaki zwróciła im uwagę, gdy się wprowadzili. Spójrzcie, możemy tam siedzieć i opalać się!

Ale nie okłamała Hannah co do ich dawnego domu: nigdy tak naprawdę go nie lubiła. Teraz brakowało jej tylko tamtego ogrodu. I oranżerii, o której marzyła przez całe życie; dobudowali ją zaledwie dwa lata temu. Tęskniła za drzewkiem cytrynowym, które właśnie po raz pierwszy zaowocowało; było jeszcze zielone, gdy przyszło im sprzedać dom. Spojrzała na zdeptany trawnik. Na ogrodzenie z zachodzących na siebie modrzewiowych desek, jeszcze wydających woń kreozotu. Przerazało ją, że nic nie zrobiła w tym ogrodzie, absolutnie nic.

Pieniądze, cóż to takiego? — oświadczył i przytulił ją. — To tylko pieniądze.

Hannah i Becky wyszły na dwór. Odcinek Lokatorów pewnie się skończył. Zapytały, czy mogą iść do sklepu; zapewne, jak podejrzewała, Hannah skończyły się papierosy.

— Usiądźcie przy mnie — poprosiła. Wskazała na niebo — błękitne, zarysowane smugami mgieł sklepienie. — Spójrzcie — przynajmniej niebo mamy za darmo.

— Jezu! — wzdrygnęła się Hannah. — Jakbym słyszała jakiegoś smutnego pieśniarza folk z lat sześćdziesiątych.

Val roześmiała się. — Kiedyś byłam hippiską. Pełną nadziei i ideałów.

— Założę się, że tato nigdy taki nie był.

— Nie był hippisem czy nie był pełen nadziei? — Klepnęła stopień schodów. — Siadźcie przy mnie na chwilę, moje kochane maleństwa...

Ale one potrzęsnęły odmownie głowami i odeszły.

Rozdział drugi

Avril padła ofiarą przeprowadzanej racjonalizacji. Avril, przyjaciółkę, sojuszniczkę, osobistą asystentkę Morrisa „wyracjonalizowano” z posady. W poniedziałek Morris zadzwonił do Iaina Capshawa, nowego dyrektora, ale ten cały ranek zajęty miał spotkaniami. Rozwścieczonemu Morrisowi w końcu udało się na korytarzu dopaść Malcolma.

Po przejęciu firmy nowi właściciele zatrzymali Malcolma jako dyrektora do spraw sprzedaży; nawet oni potrafili dostrzec jego umiejętności. Poprosił Morrisa do swego gabinetu. — A więc nie powiedzieli ci — zauważył tonem pełnym ubolewania. — To naprawdę nie w porządku. Słuchaj, za godzinę mam spotkanie z Iainem, zmyję mu głowę. Oczywiście zwali całą winę na centralę, na tego wymoczka, jak mu tam, no wiesz.

— Avril nie zasłużyła sobie na podobne traktowanie — skarżył się Morris. — Ani ja.

Zadzwonił telefon. Malcolm uruchomił brzęczyk zawiadamiający sekretarkę. Był bardzo zajęty, ale dla Morrisa, starego przyjaciela, zawsze znajdował chwilę czasu. Ich wzajemny stosunek uległ jednak zmianie, odkąd Morris sprzedał swe udziały ich konkurentom, firmie Rest Assured Security, i stracił kontrolę nad przedsiębiorstwem, a nowy zarząd skutecznie pozbawił go wszelkiej władzy, przenosząc go do szarej i skromnej krainy zwanej Doradztwem. Nowy naczelny, młody, z impetem pracy do przodu karierowicz Capshaw oznajmił mu, że oczywiście, będą dalej korzystać z jego usług. — To pańska wiedza i umiejętności sprawiły, że Price Security stała się tym, czym jest obecnie — orzekł z protekcyjnym uśmiechem. Tak więc Morris przestał być szefem Malcolma; to Malcolm był jego przełożonym i Morris miał obowiązek składać mu sprawozdania, a w ramach ogólnej inspekcji i modernizacji firmy polecono mu przygotować kwestionariusz dla klientów, według niego zupełnie bezużyteczny i dziwaczny. W ramach naszych starań, by oferować klientom jak najskuteczniejsze i konkurencyjne usługi, prosimy szanownych państwa o poświęcenie nam pięciu minut waszego czasu i wypełnienie następującej ankiety...

— Wiesz, czym się zajmuję? Marnuję czas — poskarżył się Morris.

— Poszedłem w cholerną odstawkę — zaśmiał się z goryczą. — Chyba zdajesz sobie sprawę, co to takiego konsultant? Ktoś, kogo nigdy nie pytają o zdanie. — Poczul w ręce ukłucie bólu. Dusznica! Jeszcze tylko brakuje mu ataku serca! — My płynęliśmy ostrym kursem, Malc, ale nasz statek był przyjazny, zgodzisz się ze mną? Nie pozbywaliśmy się pracowników, a

dlaczego? Bo byli lojalni, należeli do rodziny. I jak zwolnienie Avril — nie mówiąc już o innych — wpłynie na ogólne morale? — Ci z Rest Assured przyciągnęli ze sobą jedną dziesiątą własnego personelu — transatlantyckie klony, wymądrzające się menedżerskim żargonem. Nic dziwnego, że rozboleło go serce. Może powinien złożyć wizytę swemu lekarzowi. — Nikt już nikomu nie wierzy, boją się o swoje stołki, i nie znoszą identyfikatorów i tej całej szopki związanej z wydajnością...

Zadzwoił telefon. Malcolm podniósł słuchawkę, zasłonił mikrofon dłonią. — Wybacz, stary, mam pilną rozmowę.

Morris wrócił do siebie. Jemu już nie zdarzały się pilne telefony.

Podczas letnich miesięcy pomieszczenia biurowe otrzymały nowy wystrój; ściany przytulnych, choć niewątpliwie nieco niechlujnych korytarzy wyłożono tapetą, pod sufitami zainstalowano mocne oświetlenie. Nie zapomniano także o klimatyzacji; miejsce nabrało przyciszonej i bezosobowej atmosfery hotelu konferencyjnego. Za oknami rozciągał się znajomy krajobraz Hertfordshire, ale wewnątrz budynek zmienił się nie do poznania. Tu już nic nie należało do niego. Czuł się jak uprzejmie tolerowany odwiedzający, niczym trzymany z litości stary służący. Odeszła nawet dawna recepcjonistka, ćmiąca papierosy jak komin Irenę, która pracowała w firmie od zawsze i знаła daty urodzin wszystkich pracowników. Jej domena, foyer, obecnie strefa o surowym zakazie palenia otrzymała marmurową posadzkę. Irenę zastąpiła telefonistka, która po podniesieniu słuchawki nieodmiennie recytowała: — Rest Assured Security, tu Jodi, w czym mogę pomóc? — i ogłuszała petenta Vivaldim. Za biurkiem siedział ochroniarz, jeden z licznych, wymieniających się młodych ludzi o pozbawionych wyrazu twarzach, których nikt nie znał, bo pracowali w różnych porach dnia. Dlaczego nosimy identyfikatory? — zastanawiał się Morris. I zaraz sobie odpowiedział: bo tu już nikt nikogo nie zna.

Usiadł wygodniej za biurkiem i rzucił okiem na kwestionariusz. W ramach naszych starań... Wyjrzał przez okno, które wychodziło na parking. Jego dawne miejsce do parkowania, oznaczone Dyrektor naczelny, zajmował teraz kabriolet bmw Iaina Capshawa. Metaliczna zieleń połyskiwała w promieniach słońca niczym pancerz żuka.

Jedna z nowych dziewczyn z księgowości zapukała do drzwi i weszła z herbatą. Gdyby była to Avril, powiedziałaaby: „Pierwszy dzień Becky w szkole, kochane biedactwo!” Ta, którą identyfikator przedstawiał jako Kimberly — cóż za imię? — podała mu herbatę w plastikowym kubku.

— Gdzie mój garnuszek?

— Przepraszam — oznajmiła nosowym głosem. Cockney lub Australijka. Coś w tym rodzaju. — A ma pan taki?

— Oczywiście — rzucił opryskliwie. — Z podobizną Snoopy'ego. Obiecała zbadać sprawę i odeszła. Klucze w ręce ustało, ale teraz rozboleł go żołądek. Zastanawiał się, co wiedziała o nim; i co powiedziano nowemu personelowi. Oficjalnym powodem ustąpienia ze stanowiska był stan jego serca i zalecenia doktora, by zwolnił tempo — wyjaśnienie przyjęte z zaskakującym brakiem zainteresowania. Przez wszystkie te miesiące nieraz zastanawiał się, czy Malcolm przypadkiem nie powiedział komuś prawdy. On sam nie przyznał się do porwania nikomu, nawet Avril, starej i zaufanej przyjaciółce. Jakoś nie ufał Malcolmowi — nieraz na korytarzu zdarzało mu się zauważyć dziwne spojrzenia, jakimi go obrzucano, i czasem zdawało mu się, że wszyscy wiedzą i plotkują za jego plecami. Wałkowali tę sprawę i współczuli mu. Och, co za wstyd! Dopuścił, by ukradziono mu własną córkę; bezradny i słaby dopuścił do zniknięcia, w kilku torbach na zakupy, bezpiecznej przyszłości swej rodziny. Jak prawdziwy mężczyzna mógł pozwolić na coś takiego?

Pod powierzchnią tych wszystkich wątpliwości czaiło się przerażające uczucie, które udało mu się zidentyfikować dopiero po jakimś czasie, tak głęboko zakopało się w podświadomości. Przekonanie, że został wybrany na cel, że siły zła wypatrzyły go przez swoje wizjery. Rozmowa z Val nie wchodziła w grę; żona uznałaby go za paranoika. Były sprawy, które rozumiałby tylko inny Żyd.

Nie potrafił się zwierzyć swemu bratu Davidowi. W ciągu tamtego okropnego tygodnia rozważał możliwość poproszenia go o pożyczkę — brat poważnie inwestował i miał mnóstwo pieniędzy — ale Morris nie mógł się na to zdobyć. Bracia, od czasu gdy jeszcze byli chłopcami, mocno ze sobą rywalizowali. David byłby ostatnim człowiekiem na świecie, przed którym Morris obnażyłby duszę. Brakowało mu rodziców. Matce mógłby wyznać, że według niego, w pewnym, głębszym sensie zasłużył na to, co go spotkało. Pamiętał jej przepełnione goryczą monologi, gdy otulała go w łóżeczku do snu, jej ciemne, znękane oczy podbite pomarszczonymi plamami ciemnego brązu, a także jej uniesione w powietrze dłonie na znak, jakby tylko ją wtajemniczono w niewyobrażalną tragedię życia. Ona by zrozumiała.

Nocami dręczyły go gwałtowne sny. Lekarz przepisał mu pigułki na sen o wzmocnionym działaniu, ale tylko głębiej wpychały go w koszmar. Ostatnio budził się roztrzęsiony ze zdenerwowania. Nie przyznał się Val; po co miał ją martwić? Starali się jakoś pozbierać, robić dobrą minę do złej gry. — Nie jest znowu takie małe — oznajmiła, gdy przeprowadzili się do nowego mieszkania.

— Spójrz na tę dużą przybudówkę z tyłu! A ogród leży od południa. — I dodała: — Gdy zaczynaliśmy, byliśmy biedni; wtedy udało nam się, prawda?

Ale tak naprawdę Val nigdy nie zaznała biedy; była wykształconą kobietą z solidnej, nawet majątnej rodziny. Nie poczuła tego strachu. Poza tym dwadzieścia lat wcześniej byli młodzi i ambitni, jak ich rówieśnicy; razem wytyczali swoją drogę na świecie. Teraz zabrakło mu energii i nadziei; to zupełnie co innego, gdy zaczyna się od nowa po raz drugi. Nawet ich przyjaciele, po pierwszym tygodniu okazywania im wsparcia, powoli odpadali. Po części z powodu ich przeprowadzki, no i zrezygnował z członkostwa w klubie golfowym; stare więzy zostały rozerwane. Ale było w tym coś więcej: po obu stronach poczucie zażenowania. Ludzie nie wiedzieli, co powiedzieć; zupełnie jak wtedy, gdy do rodziny zawita śmierć. Jakie poważne zaniedbanie ze strony Morrisa ściągnęło biedę na jego rodzinę? Ponadto to wszystko, co kiedyś robili razem z innymi parami — z Bernie i Adele, z Haroldem i June — sprawy, które jakże beztrósco przyjmowali za oczywiste, łączyły się z wydawaniem pieniędzy. Wspólne wakacje; wypadki do zachodniej dzielnicy na przedstawienie, a potem przekąskę. Teraz już nikt do nich nie telefonował z żadną propozycją.

Wypadli z rytmu wspólnej z rówieśnikami egzystencji, wepchnięci na powrót w studenckie wysiłki o przetrwanie, przy tym pozbawieni energii niezbędnej, by sobie poradzić. Oczywiście, przyjaciele zachowywali się mile, próbowali pomagać, jednak zostawały zobowiązania... Choćby taki Malcolm — nie tylko był teraz szefem Morrisa, ale i gospodarzem jego domu. Obciążył ich minimalnym czynszem, tylko na tym tracił, co wystarczyło, by Morris czuł się fatalnie, mając wobec niego zobowiązania. Do tego będzie musiał go poinformować, że Becky oblała wannę, wrzuciwszy do niej jakiś metalowy przedmiot... wbudowana, emaliowana wanna... trzeba ją będzie wymienić... Och, bolała go głowa, rozboleła serce...

To tylko pieniądze, powiedział wtedy, trzymając żonę w ramionach. Wokół nich unosiła się para. Ile warta jest córka?... więcej niż wszystkie bogactwa świata... Ale nikt nie znał powagi sytuacji, nawet Val... nikt nie wiedział, jakim życie stawało się koszmarem. Val nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczył na jej dochody. Oznajmiając, że porzuca pracę, dobiła go, ale czyż mógł protestować, gdy zdawała się taka zagubiona? Jakby w głębi duszy żywiła przekonanie, że skradziono jej córkę, by ją ukarać za poświęcenie się pracy zawodowej. Dopuszczając, by to się wydarzyło, sama popełniła zbrodnię. Rezygnacja z kariery miała być aktem zadośćuczynienia. Jak mógł właśnie on,

ze wszystkich ludzi na świecie, podważyć jej argumenty? Jeszcze pogorszyłby sytuację. A teraz miał ucierpieć jego syn...

— Dobrze się pan czuje? — Dziewczyna wciąż stała przy nim, przypatrywała mu się.

Gwałtownie uniósł głowę. — Wszystko w porządku.

— Znalazłam pański garnuszek — powiedziała z uśmiechem. Ładna: jasnobrązowe włosy, zaróżowione policzki. Postawiła naczynie z herbatą i wyszła z pokoju. W powietrzu pozostawiła świeży, kwiatowy zapach perfum.

Dranie! — pomyślał Morris. — Gdybym tylko dostał ich w swoje ręce. — Wrzucił kostki cukru do garnuszka i pomieszał herbatę z takim wigorem, że rozprysła się na biurko. — Oni niszczą przyszłość mojego syna; rujnują wykształcenie mojej córki.

Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Val. — Jak tam Becky, jak jej poszło? Mogę z nią porozmawiać? — W tle usłyszał głosy z telewizji.

— W szkole... dobrze... ale teraz... no... nie ma jej tu. Powiedział jej o Avril. Zdawała się zaszokowana, ale jakże odlegle zabrzmiał jej głos — roztargniony, jakby zastanawiała się nad czymś innym. Nagle pomyślał: czy my się naprawdę znamy? Wymienili kilka uwag i rozłączył się.

Przez ostatnie kilka miesięcy Val przeszła metamorfozę. Jego bystra, dowcipna, utalentowana żona — ta piękna kobieta, z której był taki dumny — zmieniła się w wiecznie zatroskaną kurę domową, niespokojną i roztargnioną. Siedzenie przez cały czas w domu nie wychodziło jej na dobre; za bardzo nie wiedziała, czym się zająć. Próbowwała dodawać rodzinie otuchy, zwracać uwagę tylko na jasne strony ich egzystencji, ale robiła to bez przekonania. Oczy miała rozgorączkowane, szkliste. Z natury nie była matką. Brakowało jej pędzenia po M1, spotkań, wyjścia na świat. W mieszkaniu przypominała pochwycone w pułapkę zwierzę. Nie umiała znaleźć sobie zajęcia. Tak jak zresztą i on. Po pracy zwykł z przyjemnością wypełniać czas dłubaniem w ogrodzie, majsterkowaniem. W nowym miejscu mogli jedynie oglądać telewizję. Do tego nie wolno im narzekać. Tyle rzeczy nie nadawało się do wypowiedzenia na głos; mieli obowiązek nawzajem się chronić. Po raz pierwszy w ciągu dwudziestu czterech lat w ich małżeństwo wtargnęła cisza.

Nie dało się już dłużej zwlekać z wizytą u Theo. Po pracy wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Londynu. Jechał przez Stanmore, swoją dawną drogą do domu. Nie widział go, odkąd wyprowadzili się pod koniec czerwca; żadne z nich tam nie wracało. Celowo trzymali się z daleka, ale teraz zapragnął zobaczyć, co tam się dzieje. Dom kupili jacyś Arabowie; wiedział, że przeprowadzono remont. Jednak podczas zjazdu z Stanmore Hill bez trudu

wśliznął się w przeszłość i na chwilę uwierzył, że nic się nie zmieniło. Jest ciepły wrześnieowy wieczór, a on, jak zawsze, jedzie do domu. Becky i Hannah pewnie oglądają telewizję; leżą na brzuchu wśród porzucanych czasopism... W ogrodzie kwitną marcinki, tworząc plamę jasnego fioletu na tle krwistych helenek. Służąca Rhoda pewnie już poszła do domu, a on może nawet zastanie Val, jej renault stoi zaparkowany na podjeździe... A ona, rzuciwszy na podłogę torby z zakupami od Marks and Spencer, hałasuje w kuchni i nawołuje dziewczęta, by jej pomogły... Albo stoi w oranżerii, z głową przekrzywioną na ramię, marszcząc brwi na widok ołowicy... Szura donicami, przestawiając je, nigdy do końca nie zadowolona... syk skraplacza, gdy podlewa paprocie... Dziewczynki są młodsze, bawią się w ogrodzie; jest też Theo, rowerkiem jeździ po trawniku... ich śmiech odbija się echem w padających ukosem promieniach słońca...

Zaparkował auto, zgasił silnik i patrzył. Dom tonął w błocie. Teren niegdyś będący ich frontowym ogrodem, zajmowały sterty materiałów budowlanych. Na podjeździe ustawiono kontener na gruz i przenośny wychodek. Nigdzie ani śladu czyjejś obecności. Od strony holu, w miejscu wyburzonej ściany bocznej, na poziomie parteru wznosiła się nie dokończona przybudówka.

Wysiadł z auta i podszedł bliżej. Przez otwór zionący w jednej ze ścian budynek niczym otwarty grób zdawał się wchłaniać zimne powietrze. Morris przeszedł wzdłuż muru, balansując na ułożonych na grzędawisku deskach. Część ogrodu na tyłach domu zachowała dawny wygląd: ta sama kępa marcinków i huśtawka dzieci, z wyłysiałą plamą ziemi pod spodem. Ale cała reszta tonęła w chaosie. Zajrzał przez okno do oranżerii — zerwana podłoga, aa środku wykopany dół; pod ścianą meksykańskie kafle Val, w większości potłuczone; otwór w ziemi zabezpieczony plastikową płachtą. Dopiero po chwili olśniło go: zaczęto budowę basenu.

Basen, o rany! — Theo podsunął mu butelkę piwa. — Nie wiedziałem, że Arabowie pływają. Sądziłem, że to niezgodne z ich religią.

Morris usiadł. Przez kilka tygodni nie odwiedzał Theo, głównie z powodu braku zaproszenia. Syn miał swoje własne życie. Mieszkanie w Clerkenwell — pobielona, pusta przestrzeń, ściany obwieszane kinowymi plakatami — zostało zaadaptowane z dawnych pomieszczeń fabrycznych; z Farringdon Road dochodziło dudnienie jadących tamtędy ciężarówek. Drzwi do pokoju, w którym Theo zajmował się montażem filmów, stały otworem; Morris dostrzegł stojące tam urządzenie, wielki szary komputer iluminowany niczym świątynia.

— Pijemy prosto z butelki, czy tak? — upewnił się.

Theo przytaknął ruchem głowy. — W końcu jesteś mężczyzną, prawda? — Odchylił głowę do tyłu i pił.

Na jabłku Adama miał kilkudniowy zarost; Theo jakby nigdy nie golił się do końca. Morris pomyślał: mój syn, mój pierworodny. Poczł przyplływ miłości.

— Jak leci? — zapytał Theo. — Jak tam mama?

— Radzi sobie. Znasz matkę.

Ta wykrętna odpowiedź najwyraźniej zadowoliła Theo. Morris zastanawiał się, jaki wpływ na syna miało ostatnie wydarzenie. Na swój sposób Theo, w swym egocentryzmie, działał na ojca odświeżająco. Po domowej atmosferze przesyconej dotkliwym poczuciem winy i niepokojem, przyście tu przypominało wydobyć się na świeże powietrze. Młodzieniec, snujący się tu w tej swojej czarnej, skórzanej kurtce był jedynym członkiem rodziny, który z całej tej katastrofy wyszedł dosłownie bez szwanku. Jak dotąd.

— Mam kilka fantastycznych wiadomości — zaczął Theo. — Mój kumpel, Jordan, dostał zlecenie z Kanału Czwartego na film dokumentalny o konikach kasowych. Organizuje już ekipę produkcyjną i chce, bym zajął się montażem. — Uśmiechnął się, co nie zdarzało mu się często. — Miłe, prawda?

Morris odstawił butelkę. — Obawiam się, że może okazać się niemożliwe.

— Czemuż to? — Theo odrzucił włosy do tyłu, zmarszczył czoło, j Hannah kiedyś skarżyła się, że brat jest rozpuszczony; że ojciec na j wszystko mu pozwala. I że to nie fair.

Morris zaczerpnął powietrza i zaczął wyjaśniać: — Wierz mi, drogi chłopcze, uczyniłbym wszystko, by cię o to nie prosić.

— O czyni ty mówisz? — Theo sięgnął po papierosy.

— Przecież wiesz, że za dom dostaliśmy trzydzieści tysięcy poniżej wartości rynkowej. Sprzedając na aukcji, podejmuje się takie ryzyko.

A wtedy nie mieliśmy wyboru. Niestety, ta strata kompletnie zakłóciła moje obliczenia. Musiałem sprzedać udziały o wiele taniej, niż zamierzałem. I wiesz, co zrobiłem? Zaciągnąłem następną pożyczkę, poza tą od Malcolma, no i tą z banku, którą muszę spłacić pod koniec miesiąca.

— Nic o tym nie wspomniałeś.

— A po co miałem martwić was wszystkich? Czy wynikłoby z tego coś dobrego? I jest jeszcze ta pierwsza, podstawowa pożyczka, rozumiesz? Do tego liczyłem na dochody twej matki... — głos mu się załamał. — I co się dzieje? Czuję na karku oddech Dennisa. Czy sądzisz, że chciałbym w coś takiego wciągać własnego syna? Musisz jednak wziąć na siebie część naszych kłopotów.

Theo wypuścił dym z papierosa. — Mam sprzedać samochód?

Morris potrząsnął głową. — Nie, chłopcze, potrzeba czegoś więcej. — Gdzieś blisko rozdzwoniły się dzwony kościoła. Kościół w środku takiego odludzia? — Chyba wiesz, jak mi przykro. Nie mam wyjścia, muszę poprosić cię o sprzedaż tego urządzenia do montażu.

Zapadł już zmrok, gdy Morris dotarł na Crewkerne Road. Przez chwilę nie wychodził z samochodu. Po raz pierwszy zauważył, jak bardzo ta ulica, te ciężkie budynki z cegły przypominają Arnthorpe Road, na której dorastał. Mógłby równie dobrze siedzieć przed domem swego dzieciństwa w Stamford Hill. A więc zatoczyłem pełne koło, pomyślał. I zaczynam je od nowa. Moje dzieci muszą nauczyć się walczyć tak jak ja. Może to i nie takie złe. Może dotąd wszystko przychodziło im zbyt łatwo.

Spojrzał na oświetlone okna na parterze, wykusz wychodzący na wybetonowany plac przed domem. Zasłony zaciągnięte; za nimi rodzina pewnie oczekuje jego powrotu. Zaszemrało radio... ruch wciąż ożywiony na wiadukcie Westway...

To nie koniec świata — pomyślał. W końcu ilu absolwentów szkoły filmowej posiada własne urządzenie do montażu? A jakoś sobie radzą; nawet w takiej sytuacji. On sam zaczynał od niczego, biedny chłopak ze Stamford Hill. Jego droga na szczyt wiodła od posady zwykłego sprzedawcy, chodzącego od sklepu do sklepu z próbkami elektronicznych urządzeń i przesiadującego samotne noce w hotelowych holach. Wyszedł na swoje poprzez determinację i upór, nie godząc się na spędzenie życia w charakterze niewolnika stałej pensji, byle pionka. Gdy poznał Val, budował właśnie własną firmę — już wtedy zatrudniał trzy osoby w biurze nad pralnią Sketchleya na Crouch End.

Ale to urządzenie Theo otrzymał w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny. Miało być kluczem do bramy przyszłości... syn ze łzami w oczach podziękował im za swoje wymarzone Lightworks i nawet zabrał ich do miasta na curry; ich własny syn, który nigdy nigdzie nie zapraszał rodziców, uważając ich za parę żenujących ramoli, uniósł kieliszek i wzniosł toast za ich zdrowie, i nic a nic nie dbał o to, że wszyscy wokół gapili się na nich; powiedział, jakoś tak dziwnie oficjalnie: — Zapamiętam waszą hojność do końca życia...

Morris wysiadł z auta. Otworzył drzwi do holu. Cisza.

— Halo, to ja!

Val pewnie zastanawia się, jak Theo przyjął wiadomość. Należy mu Scotcha — zauważył, że teraz kupowała małe butelki whisky — jedna z tych pozornych oszczędności praktykowanych przez biedaków.

— Jest ktoś w domu? — Żadnych zapachów gotowania; dziwne.

Wszedł do saloniku. Val siedziała tam, sama. Uniosła wzrok. Jakby się skurczyła. Przez chwilę nie odzywała się, tylko bawiła się grzywką, zupełnie jak w ten okropny wieczór przed kilkoma miesiącami.

— Co się stało? Gdzie dziewczynki? — zaniepokoił się.

— Na górze. — Zamknęła oczy, odsunęła włosy z czoła. — Hannah właśnie coś mi wyznała.

Serce zatrzymało mu się na moment. — Co takiego?

Chwila ciszy. Wszystkie inne kłopoty rozplynęły się: przyszłość syna, nowa szkoła Becky, niepewność, czy sobie poradzą. Żadna z tych rzeczy nie miała już znaczenia.

Coś okropnego przydarzyło się Hannah. I uświadomił sobie, że wiedział o tym przez cały czas; i tylko czekał...

— Powiedz mi, Val, co to takiego?

Uniosła głowę, spojrzała mu w oczy. — Jest w ciąży.

Zauważył szklanekę w swej dłoni — Val podała mu whisky. Odstawił alkohol na stół. Na górze panowała cisza, zupełnie jakby nawet pokoje wstrzymały oddech.

— Ten człowiek tam, w komórce? — zapytał w końcu. — Ten, który ją porwał? On to zrobił?

Val przytaknęła ruchem głowy. Wbiła wzrok w dywan,

— Chcesz powiedzieć, że ją zgwałcił?

Val założyła włosy za uszy. Nie odpowiedziała.

— Została zgwałcona? — zapytał ponownie. — Och, moje biedne maleństwo.

Uniosła głowę. — Nie. Tak myślałam, ale to nie stało się tak. Może łatwiej by było znieść... — urwała. — Me. Co ja mówię!

— Co zaszło?

Odwróciła się twarzą do kaloryfera. — Odbyli ze sobą seks, tak to ujęła. A teraz spodziewa się dziecka.

Na dworze pohukuje sowa. Pograżona w ciemnościach wiem, kiedy przychodzi noc; to już szósta. Znajdujemy się głęboko w lesie; odizolowani, wśród drzew, choć słyszę szum miasta. Gdy spacerujemy, wyczuwam wokół przestrzeń, ale także, dalej, drzewa, lasy ciągnące się wiele mil. Jesteśmy bardzo, bardzo daleko. Ponieważ odebrano mi zdolność patrzenia, zamknęłam się w sobie. Eliot mówi mi, że on też zamyka oczy; robi to coraz częściej. Kręci się po szopie i rozpoznaje przedmioty, dotykając je czubkami palców. Dotrzymuje mi towarzystwa. Wraz ze mną zanurzył się w ciemność — prawdziwy mrok. Rozmawiając po ciemku, opowiedzieliśmy sobie o sprawach,

o których nigdy nie wspomnieliśmy nikomu. Cali jesteśmy uszami. Nigdy nie poznałam go w sposób, w jaki znają go inni — nigdy go nie rozpoznam — ale moja niemożność widzenia go czyni nas wolnymi; myślę, że znam tajniki serca tego mężczyzny.

Kilka dnia temu wyrecytował mi wiersz, który napisał, gdy był dzieckiem.

Czas płynie wolno

Czas płynie jakby gnał

Czas będzie trwał i trwał i trwał.

I tak tu właśnie jest.

Dzisiejsza noc, jak mówi, to nasza ostatnia. Jutro odejdę. Pijemy rozlane do kubków Martini Bianco. Pod spódnicą mam na sobie majtki jego dziewczyny; z rozciągliwej koronki, ale i tak zbyt obcisłe. Szczupła suka! Wyprał moje majtki i rajstopy. Poznał zapachy mego ciała, czyż to nie dziwne? On, nieznajomy? W pierwszych dniach nienawidziłam go za to, co czyni, za więzienie mnie tutaj, ale teraz moje uczucia zmieniły się gwałtownie, jak na huśtawce. Przeszliśmy razem przez tak wiele, stał mi się bliski — jak i ja jemu, to działa w obie strony. Oboje jesteśmy więźniami, a jednak w jakiś dziwny sposób odzyskaliśmy wolność. Stopniowo, wraz z przyzwyczajaniem się do ślepoty, zrzuciłam z siebie dręczące mnie problemy; cóż mnie teraz obchodzi mój wygląd, tu nie osaczy mnie odbiciem z lustra.

Wczoraj — chyba to było wczoraj — powiedziałam: — Nie cierpię moich pryszczycy. Nienawidzę tych moich warg zupełnie jak z gumy; takie same ma mój tatuś.

A on na to: — Wcale nie są jak z gumy. Kiedyś mężczyźni będą szaleli na ich punkcie. — Czyż to nie miłe z jego strony? Czuję się, jakbym została odarta ze wszystkiego, a on stwarza ze mnie kobietę. Powiedział też: — Uważasz, że masz grube uda. Niedługo ktoś cię pokocha i wiesz, co powie? Ze to najcudowniejsze uda na świecie. Widzisz to?

— Przecież nic nie widzę — odrzekłam ostro, by ukryć odczuwaną przyjemność.

Rozmawiamy o kobiecie, której majtki noszę. — Nigdy nie byłem tak oszołomiony, nie aż tak — mówi. — Ona mnie olśniła. To miłość, rozumiesz, a miłość jest ślepa.

Nie powiedział nic więcej, nagle przypomniał sobie, gdzie jest i z jakiego powodu. Często zapominamy o tym oboje. Bo w pewien sposób razem w tym tkwimy. Oboje jesteśmy wystraszeni. Jutro wszystko się skończy — a raczej zacznie — i myślę, że on boi się tak samo jak ja. Nic już nie będzie jak dotąd — dla niego i tej krowy, a także dla mojej rodziny. Jestem tego warta?

Czasem czuję się winna i całkowicie bezwartościowa; ale przychodzi mi także do głowy, że każde życie, nawet moje, jest warte więcej od rubinów. A bywa znów, że podczas tej straszliwie dłużej się ciemności wydaje mi się, że jestem poczwarką w kokonie śpiwora; gdy wydobędę się na zewnątrz, stanę nie do rozpoznania — może wyłoni się mól? Potwór? Dorosła kobieta? Nie wiem, gdyż nie ma oczu, które spojrzałyby na mnie z lustra — istnieje tylko jego wzrok.

Na dworze pohukuje sowa. Jest chyba bardzo późno. Wypijam resztki z garnuszka i podsuwam mu go na wyciągniętej przed siebie ręce. Plusk płynu z butelki i mój garnuszek jest cięższy. Z powrotem stawiam go na kolanie.

— Przypomniałam sobie jeszcze jeden limeryk.

— No to mów — nalega. Opowiedzieliśmy sobie wszystkie dowcipy, jakie znamy.

— Żona archidiakona z South Mimms... — urywam.

— Mów dalej!

— To trochę obrzydliwe! — Oddycham głęboko. — Żona archidiakona z South Mimms. Musiała również zająć się czymś. A że diakona tego. Dużo było całego. To po hymnach czynnie żyła z nim.

Śmieje się. — Od kogo się tego nauczyłaś?

— Od Julii. A ona od brata.

— Julia to ta, która zawsze zaczyna posiłek od puddingu, na wypadek końca świata?

— Właśnie. — On wie wszystko o moich przyjaciółkach. Julia robiła tak, gdy była mała; przepadała za puddingiem. Twierdzi, że już jej przeszło, ale sama widziałam, gdy jadała lunch.

Przez chwilę milczymy. W powietrzu czuć wilgoć; dzień był gorący, leniwy. Siedzę jak zwykle plecami wsparta o ścianę; krawędź turystycznego łóżka wbija mi się w uda. Z zewnątrz napływa zapach bujnie rozwijającej się roślinności.

— Jak to jest uprawiać seks? — pytam. — Powiedz mi, jakie to uczucie.

— Gdy po raz pierwszy dotknąłem piersi dziewczyny, było tak ciemno, że ledwie widziałem jej twarz. Zdarzyło się to na zabawie w Potters Bar. Należy do mojego przyjaciela Neville'a. — Poznałam także jego przyjaciół. Opowiedział mi o rodzicach i o chłodzie panującym w ich domu, o zegarze z kukułką i o linoleum. Nie mówi mi, gdzie ten dom się znajduje, nie jest aż tak głupi. Nie dostarcza mi takich zwykłych informacji, ale poznałam sprawy, które mają znaczenie. Z zamkniętymi oczami potrafię wyraźnie wyobrazić sobie jego dom; umeblowałam każde pomieszczenie.

— Mów dalej — nalegam.

— Położyłem ręce na jej staniku. Potem zobaczyłem, że ponad moim ramieniem wypatruje swych przyjaciółek. Jakby chciała im powiedzieć: spójrzcie, co on wyczynia. Nie powinienem był otwierać oczu... — Wyczuwam, że podnosi kubek do warg — zupełnie jakby zainstalowano we mnie radar. Słyszę odgłos przełykania.

— Jak to jest? — chcę się dowiedzieć. Chcę swobodnie wkroczyć w tę krainę, daleko przed moimi koleżankami. Już i tak wyszłam z ich życia.

— Ten akt może okazać się wszystkim albo niczym — mówi. — Jego moc jest przerażająca, ale także może minąć bez pozostawienia najmniejszego śladu.

— Jak to?

— Tak jak... no wiesz, pijackie pieszczoty. Nawet nie zapamiętuje się jej twarzy — urywa. — Kiedyś — no wiesz, jeszcze przed nią — przez kilka miesięcy mieszkałem z pewną dziewczyną. Było późno, a całe ubranie włożyłem do pralki. Pamiętam, co myślałem: jeżeli będziemy się kochać, to nie zasnę, wytrwam do końca cyklu, dopóki ciuchy się nie wypiorą. Potem włączę suszenie i będę miał ubranie gotowe na rano. Tyle to dla mnie znaczyło. Ale z czegoś takiego na świat może przyjść dziecko. Przerażające, prawda?

— Ale nie jest tak zawsze?

— Nie — powiedział po chwili. — Nie zawsze.

Gdzieś daleko szczeka pies. Już niemal świt. Wyczuwa się zapowiedź upału, przyroda otwiera się do życia. Czas nie ma znaczenia; bywa, że przesypiam pół dnia, a nie śpię pół nocy. Ale niedługo zostanę z powrotem wrzucona w życie. Czuję się, jakbym czekała na daleką podróż. Chcę wrócić do domu — to oczywiste — ale jestem też przestraszona. I pijana. Zakręciło mi się w głowie.

— Sama zobaczysz — mówi.

— Emma już wie, ale nie chce mi powiedzieć, jak to jest.

— Emma to ta, która już to zrobiła?

— Tak.

— Lepiej prześpijmy się trochę — proponuje. Pyta, czy chcę do toalety, odpowiadam, że nie. Gasi lampę olejową; słyszę ciche „pyk”. Ściągam opaskę z oczu i otwieram je. Ciemność jest koloru idealnej czerni. To jeszcze nie ranek; środek nocy. W głowie mi szumi.

Pytam: — A co stanie się jutro... jeżeli... ?

On wie, co mam na myśli. Jeżeli ktoś zastawi pułapkę. Jeżeli nie dadzą mu tych pieniędzy. Te wszystkie dramatyczne możliwości, jak w thrillerze. Z ciemności dochodzi mnie jego głos: — Ona o tym nie wie, ale powiem ci. Cokolwiek by się nie wydarzyło, pozwolę ci odejść.

Słyszę dźwięk rozsuwanego zamka jego śpiwora, potem szelest, gdy się rozbiera. Wysuwam się z obcistych, cudzych majtek, zdejmuję spódnicę. Naciągam podkoszulek po same kolana i rozsuwam zamek śpiwora. Nylonowa materia paruje ciepłem, wygrzewałam ją siedzeniem przez cały dzień. Słyszę, jak on, na podłodze, porusza się, próbując ułożyć się jak najwygodniej. Przypomina mi Stanleya, gdy mościł się w swym koszyku. Przejechał go samochód. Eliot słyszał o nim. Powiedział mi, że całe życie marzył o psie, a ja zastanawiam się na głos, czy to ma sens, jeżeli one w końcu umierają?

— Branoc — rzuca. Na ramieniu czuję delikatny dotyk jego palców. Odnalazł moją dłoń. Potrząsa nią, jakoś tak oficjalnie. Oboje wybuchamy głośnym, śmiechem — w ciemnościach uśmiechem nie da się wyrazić uczuć, to niemożliwe. Potem cofa dłoń. — W tych okolicznościach zabrzmiałoby to głupio — mówi — ale będę za tobą tęsknił.

Cisza. Wsłuchuję się w jego oddech, czekam na delikatny wydech z warg — takie uf, jakby właśnie zakończył jakiś językowy łamaniec. Robi to podświadomie, zaraz potem oddycha głębiej. Nie wie, że wydaje ten dźwięk — wiem tylko ja, i te znane mi już, a jednak obce kobiety, z którymi sypiał.

Dźwięk nie nadchodzi; on wciąż oddycha płytko. Nadal nie śpi, nie porusza się. Ciekawa jestem, o czym myśli. Leżę z otwartymi oczami. W głowie kręci mi się od alkoholu. Doskwiera mi obolałe miejsce z tyłu głowy, tam gdzie skórę uciskał węzeł opaski. Gdzieś w oddali wyje syrena. Jej dźwięk odbija się echem, płynie przez otaczający nas las, przemyka między pniami drzew, które oddzielają nas od tego, co ma nastąpić. Jutro znów się zobaczę, to wszystko pewnie w jakiś sposób mnie zmieniło — inaczej, jaki by miało sens?

Nabieram powietrza. Wypowiadam słowa, ale nie ustami. — Naucz mnie. — Oczywiście, nie mówię tego na głos, nie odważyłabym się. Ale on wie, nawzajem znamy nasze myśli. Na pewno wie, bo oddech cichnie i zaraz słychać dźwięk rozsuwanego zamka śpiwora.

Schodzę z rozkładanego łóżka i kładę się obok niego. Ręką odnajduję jego śpiwór, otwarty niczym wypatroszona ryba. Leżę obok niego, połową ciała na materacu, połową na podłodze. Przyciąga mnie do siebie. Niezgrabnie — jest strasznie ciasno — otaczam go ramionami. Ma na sobie podkoszulek i szorty; jest zadziwiająco szczupły. Wyczuwam sterczące łopatki. Czuć go potem, tak jak mnie. Zanurzam twarz w jego włosach i kołyszymy się, obejmując się dla dodania sobie nawzajem otuchy. Nie całujemy się; tylko mocno przytuleni leżymy w ciemnościach.

Jak długo to trwa — nie wiem. Gładzi mnie po włosach. Przez chwilę odczuwam wstyd — te moje tłuste włosy, nie myte od tygodnia. Oddechem

ogrzewa mi szyję. Podwinał mi się podkoszulek, ale on nie dotyka mnie tam, w dole, tylko gładzi po włosach i po czole. Przez cały ten tydzień jego ciało było dla mnie abstrakcją — wyczuwaną i słyszana. Teraz, w moich ramionach, stało się rzeczywiste. To, co się dzieje, wydaje się całkiem naturalne po tym, przez co przeszliśmy. Tydzień temu, w innym życiu weszłam w podziemny świat i to wszystko się zaczęło. Inna Hannah wybierała się do Camden Lock, inna odsuwała zamek leżącej obok mnie spódnicy.

Czas mija. Cienkie igielki szarości pojawiają się między zasłaniającymi okno deskami. Wciąż nie widzę jego twarzy. Głaszczę go po policzkach, jakbym była niewidoma, palcami wyczuwam ostry garb nosa i długie rzęsy we wklęsnięciach pod zamkniętymi oczami. Wyczuwam jego krzepki korzeń, przyciśnięty do mego uda — oboje udajemy, że go tam nie ma.

Ale moje ciało zaczyna się rozgrzewać; w gardle mi zaschło. Otwieram się niczym mięsisty, tropikalny kwiat. On też jest gorący — mokry od potu. Nasze nosy zderzają się, gdy ustami muska moje wargi.

Po chwili wypowiadam to na głos. — Naucz mnie — szepczę.

Bierze moją dłoń i prowadzi w dół. Potem zatrzymuje się. — Me mogę — szepcze mi do ucha. — Me powinienem.

— Pokaż mi, jak to jest — odpowiadam także szeptem, tuż przy jego uchu, wciągając w nozdrza zapach jego włosów. — Po tym wszystkim chyba jesteś mi coś winien. Pokaż mi, jak to jest.

I on spełnia moją prośbę.

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział pierwszy

Miał okropne sny, dręczyły go koszmary. Coraz bardziej odsuwał moment pójścia do łóżka. Siedział w saloniku i wpatrywał się w dachy Kensington, podczas gdy Eva nuciała pod nosem w łazience. A gdy zamykał oczy, sny wzbierały mu w gardle, dławiąc tchawicę. Zeszłej nocy śnił znów o szopie. Była przestronna, przewiewna i wyłożona dywanami. Wyciągnął obydwa śpiwory i zakopał je w ziemi; próbował uciec, ale gdy odwrócił się, zobaczył, że gleba się unosi, jakby się pod nią ruszały. Obudził się, z trudem łapiąc oddech. W mieszkaniu było gorąco — w tym luksusowym bloku, choć styczeń mieli wyjątkowo ciepły, centralne działało pełną parą; nie dało się uchylić okna, nie pozwalały na to podwójne szyby.

— Przyjdiesz do łóżka? — Eva stanęła przy drzwiach, otulona swą jedwabną szatką. Zakołysała biodrami i posłała mu uśmiech. Jej szpiczasta, mała, kocia twarz była opalona, jak zresztą całe jej ciało. Zapisała się do siłowni w Chelsea i spędzała tam całe godziny, gimnastykując się lub leżąc pod lampą. Dawała się teraz obsługiwać, tak jak kiedyś ona obsługiwała innych. Wyglądała na zadbaną i elegancką; i na bogatą. Była bogata. On także.

Wskazała ręką na pokój. — Wiesz, czego nam tu potrzeba? Obrazów.

— Aha, pewnie myślisz o tym niesamowitym Piero Della Francesca.

— Co takiego?

— Włoskie malarstwo — wyjaśnił. — Stare.

— Nie chcę nic starego.

— Na niego nawet nas nie byłoby stać. Przejechała palcami po tapecie. — Ładna, nie uważasz? Jedwabna, wytłaczana. Zasłony też były z jedwabiu; rozsunięte i przymocowane sznurem zakończonym frędzlami. Siedzenia krzeseł, podróbek Sheratonu, wyściełała taka sama jedwabna materia.

W pierwszych dniach zdawało mu się, że znalazł się w niewłaściwym mieszkaniu, trafił do rezydencji jakiegoś pomniejszego dyplomaty czy w podobne miejsce. Kiedyś dokonywał przeróbek w takim pomieszczeniu. Pomimo luksusowych mebli i zwisającego z sufitu żyrandola wciąż było tu pusto, jakby jeszcze się nie wprowadzili.

— Kłopot w tym, że nie wolno nam wbijać gwoździ w ściany — stwierdził.

Weszła do sypialni. Podniósł się i pogasił lampy. Pozbierał porzucane na dywanie czasopisma. Choć pokój był duży, przemierzając go tam i z powrotem, czuł się niczym zwierzę w niewoli. Znajdowali się na czternastym piętrze —

właściwie trzynastym, choć nie nazywano go tak — pod nimi rozpościerał się Londyn, a on wciąż czuł się jak w klatce. Meble dostali wraz z mieszkaniem i nic tu do końca do siebie nie pasowało; ileż miejsca pozostało między kanapami a ścianami. Te przestrzenie zaskoczyły go.

Było coraz gorzej. Mijały kolejne miesiące, już siedem od tamtego czerwca, i miał nadzieję, że będzie w końcu lepiej, ale teraz coraz częściej bolała go głowa, jakby jakiś ciężar przyciskał mu czaszkę. Niewielu miewali goście, ale nawet przy tych nielicznych siedział spięty i tylko czekał, by sobie poszli. Denise, dziewczyna z salonu piękności, wpadła na drinka ze swym świeżo poślubionym mężem.

— Och, co za wspaniałe mieszkanie! — zachwycała się. — Jak wam się udało je znaleźć?

Eva wsunęła dłoń Jonowi pod pachę. — Przecież mówiłam, że on robi w nieruchomościach. — Ścisnęła mu ramię. — Czyż nie jestem szczęściarą?

Milczał, przez cały czas czekając, kiedy Eva zdradzi ich jakimś nieuważnym chlapnięciem. A potem narzekała, że jest nudny, że nie ma przy nim rozrywki. Czyż nie powinni dobrze się bawić? Czyż nie osiągnęli celu?

Położył się do łóżka. Było mosiężne — zawsze o takim marzyli i dlatego wybrali to mieszkanie. Po jednej stronie ustawił swój dębowy stół, po drugiej ten nabyty przez Evę, z marmurowym blatem.

Zręczne palce Ewy powędrowały w dół jego uda; pogładziły skórę za moszną. Szepnęła mu do ucha: — Jonny, czy nie powinniśmy o czymś porozmawiać?

Leżał cicho, bez ruchu. — O czym?

— O czymś, co zaczyna się od p.

— Przystępcy?

— Masz obsesję na tym punkcie. — Przesunęła palce w dół brzucha. — Wiesz co? Powinieneś trochę utyć, stajesz się naprawdę chudy. — Przytuliła go. — P jak potomstwo, głuptasie. — Knykciami palców musnęła go po policzku. — Nie sądzisz, że już pora? Mamy pieniądze, miejsce do życia. Jak urośnie, można będzie przenieść się do jakiegoś domu z ogrodem. I wiesz co? Nie dbam nawet o rozstępy. Zawsze mówiłeś, że chciałbyś mieć dziecko.

Urodzi się skażone. Zdeformowane niczym ofiara radioaktywności jądrowej. Zapatrzył się w ciemność. Nie miał żadnych złudzeń — splodzone przez nich dziecko urodzi się skażone.

— Dobrze, czemu nie — odrzekł.

— No, no, to ci entuzjazm!

Zacisnął powieki i objął ją ramieniem. — Wybacz.

— Wiesz co? Ostatnio naprawdę zachowujesz się dziwnie. Siedzisz to po ciemku. Wczoraj wieczorem wręcz mnie wystraszyłeś...

— Uważasz, że powinniśmy się pobrać?

— Patrzcie, jaki romantyczny!

— Chcę, byś była szczęśliwa.

Reagował jak automat. Wciąż dręczyły go te jego wizje. Pogłaskał jej zaokrąglone biodra. Pomyślał: mamy krew na rękach. Zamknął oczy i pozwolił, by odnalazła go, po omacku, swymi ślepych palcami.

Następnego dnia wyszedł z domu. Pomyślał: leniwi bogacze czy leniwi biedacy, wszyscy mamy za dużo wolnego czasu. Na dole we foyer lampy świeciły się nocą i dniem, malowidło na ścianie przedstawiało płamę karmazynu. Ze swego stanowiska za pulpitem ochroniarz, a zarazem portier pozdrowił Jona skinieniem głowy. Na jego widok Jon poczuł się nieswojo. Portier na pewno ich rozgryzł, wiedział, że są intruzami; ktoś taki musiał się zorientować. Nie pasowali do mieszkających tu osób. Buciory Jona stukały po marmurowej posadzce. Gdy minął mężczyznę przy pulpicie, ten uniósł słuchawkę i wystukał numer.

Dzień był szary, ciepły; mieli najcieplejszy styczeń, odkąd prowadzono rejestry temperatury; przyroda stanęła na głowie; zamieszła w klimacie. Nawet w telewizji omawiano tę sprawę. Ulica zdawała się wyciszona zamożnością mieszkańców — po drugiej stronie olśniewająco białe budynki z oknami poprzecinanymi prostokątami przeciwwłamaniowych krat przypominały torty weselne. Chodniki — puste, zupełnie jak w Stanmore. Bogaci, zaczynało do niego docierać, rzadko przesiadują w domu. Nieustannie przebywają w jakimś innym miejscu. Nikt tu nikogo nie znał; jakby wszyscy byli cudzoziemcami.

Kensington nie należało do jego ulubionych dzielnic, nie czuł się tu swojsko, ale Eva uznała, że okolica posiada klasę. Może czuła się tu bezpieczna, zamknięta w tym anonimowym bloku ze strażnikiem więziennym na dole. Jonowi doskwierała bezradność; nawet gdyby mógł zrobić użytek z paczuszki gwoździ, nie kupiłby ich w sąsiedztwie, gdyż w miejscowych sklepach sprzedawano belgijskie czekoladki i eleganckie stroje. Miejsce to nie miało nic wspólnego z jego przeszłością. Czasami odnosił wrażenie, że po prostu śni, że za chwilę obudzi się nad masarnią i wszystko powróci do normalności. Nawet tamte schody wspominał z rozczuleniem — brązowe linoleum, nieznane numery telefonów, które ktoś nabazgrał na podeście. I wróci do swego życia, do kolejki na pocztę, do czasów, gdy jedynym ogniwem łączącym go ze światem zbrodni było oburzenie z powodu popełnionej przez Evę kradzieży butelki bułgarskiego wina.

Włożył kask, siadł na yamahe i odjechał z rykiem motoru. Poczł się lepiej. Niebezpieczeństwo požądania czegoś tkwi w możliwości spełnienia marzeń. Cóż, w tym wypadku akurat dostał, czego zawsze pragnał. Uwielbiał swój nowy motor. Tylko pędząc nim z miejsca na miejsce osiągał poczucie bezpieczeństwa. Rozwinąwszy prędkość, przyciskając pedał gazu, uciekał przed swymi demonami. Doganiały go przy światłach, potem oddalał się jak najszybciej, a one znów pędziły za nim.

Wciąż czuł się wstrząśnięty wizją dzieci, która nękała go poprzedniego wieczora. W miejscu, w którym powinny znajdować się oczy, miały gładką, białą skórę. Gdyż grzesznicy zgina, pochłoną ich ognie piekielne. Zgrzeszył, popełnił kilka ciężkich grzechów, a powątpiewanie w karę było jednym z nich. Hannah, zaledwie siedemnastolatka, świetnie rozumiała jego dylemat. Oferowała mu swe ciało, swoją mądrość. A on wykorzystał ją — co za staroświeckie wyrażenie!, tylko tak jednak potrafił określić swój czyn.

Popędził w górę kensingtonskiej Church Street. Jak Eva może wierzyć, że ujdzie nam to na sucho, pomyślał. Wcześniej czy później, nawet po latach nasz czyn dopadnie nas. Jak to było, ta ludowa piosenka, której kiedyś zwykł słuchać, zajęty w stolarni? „I ryby będą latać, morze wyschnie z gorąca, a skały rozplną się w promieniach słońca.” Przyroda stanęła na głowie. Lato w styczniu, planety zmieniły szyk... wszystko podobno z powodu dziury ozonowej...

Pojechał na działki. Miejsce ziało pustką. Nic dziwnego, wtorkowy ranek zimą. Teraz nawet wolałby, gdyby wokół znajdowali się jacyś ludzie; ich obecność przydałaby ogródkom normalności, której on też stałby się częścią.

Zsiadł z motocykla, wsparł maszynę na podnóżku i ściągnął kask. Po bokach ścieżki wschodziło jaskółcze ziele, kwitł już mniszek. Spojrzał na swoją grządke, na kawałek, na którym w jego śnie ziemia się unosiła. Na glebie między łodyżkami brukselki wiły się pędy gwiazdnicy pospolitej, przypominające delikatny wzór narzuty na łóżko.

Musiał wyrwać się z mieszkania. Tylko tutaj, z dala od Ewy i przytłaczającego luksusu Kensington w głowie mu przejaśniało. Na działce dawno już usunął wszelkie ślady po Hannah. Przed miesiącem w końcu rozebrał szafę, przedmiot jej największego zażenowania; połamał deski i spalił na ognisku.

Jednak wciąż tu była. W ciągnącym się nad działkami zapachu zupy curry. Nadal przebywała w szopie, układała się na łóżku kempingowym, nerwowo zmieniała pozycję nóg zasłoniętych czarną spódnicą, ściągała wargi, unosząc do ust garnuszek z herbatą. Istniała w skurczu żołądka, jakiego doznawał na

wspomnienie ich ostatniej wspólnej nocy... skóry jej ud pod jego dłoń, włosów na jej łydkach... Me golłam się od zeszłego tygodnia... cóż, nie spodziewała się tego, czyż nie? Gdy zamykał oczy, czuł jej język z ciekawością wślizgujący mu się do ust. Po tym wszystkim, czy nie jesteś mi czegoś winien?

Kopał ziemię z wielkim zaangażowaniem. Wbijał widły w ziemię i wyciągał ziemniaki. Wyłaniały się, łyse niczym nagie ciała. Gliniasta ziemia lepiała się wokół nich, gdy je ekshumował. Posadził te ziemniaki, gdy Hannah siedziała w szopie; powstały w wyniku jej uwięzienia.

Evie nie zależało na ziemniakach, pragnęła dziecka. Przez ostatnie miesiące zmieniała się. Teraz, gdy już mogli wychodzić, bywać w każdym miejscu w Londynie, ona nie przejawiała chęci. Przeciwnie, wolała siedzieć w domu. Dokonaną zbrodnią odcięli się od normalnego świata; ta jego szalona awanturka stała się pozbawioną samodzielności kurą domową, w mieszkaniu chodziła za nim krok w krok, a gdy zdarzyło się — nieczęsto — że zadzwonił telefon, umierała z przerażenia. Strach, niewypowiedziany słowami, leżał teraz między nimi. Chował się za falującą zasłoną, gdy otworzyli okno; tkwił za drzwiami, w ciszy wyłożonych dywanami korytarzy, w syczącym oddechu zamykającej się windy. Unosił się we własnym milczeniu.

Jon zapamiętał, że wracając do domu, o tym właśnie myślał. Tę zmianę w Evie po prostu spowodował strach. Zarzucała mu nudziarstwo, ale ona jeszcze mniej nadawała się do rozrywki. Chciała, by się pobrali i mieli dzieci. Mogliby wprowadzić się do domu jak każda normalna para i odciąć się od tego, co zrobili; rozumiał ją doskonale.

Gdy wrócił, była w kuchni. Rzucił torbę na stół.

— Rany! — Przejrzała ziemniaki. — Mają chyba jakąś chorobę. Spójrz no tylko. — Wyjęła jeden, ostrożnie trzymała go między palcem wskazującym a kciukiem.

— Zawsze są takie. To pewien rodzaj narośli.

— Fe, tu ślimak! — Wrzuciła ziemniaka z powrotem do torby. — Wolę te od Marks and Spencer, sprzedają już oczyszczone.

Wszedł do saloniku. Pomieszczenie przypominało teatralną dekorację: dwie złociste kanapy, jedna naprzeciwko drugiej czekały, by na nich usiąść.

— Chryste, jak tu gorąco. — Uchylił ruchomą część okna.

— Termostat się zaciął — oznajmiła, idąc za nim. — Mówiłam ci. Ten facet od napraw nigdy się nie pojawia.

— Przecież płacimy za to — powiedział zrzędliwie, tonem przyjmowanym przez ludzi bogatych. — Ta opłata za obsługę to rozbój w biały dzień. Dzwoniłaś do pana McCormacka, do zarządcy domu?

— Numer jest bez przerwy zajęty.

Jon powędrował wzrokiem po dachach okolicznych domów. — Kiedyś życie było proste, pamiętasz? Wrzucało się dziesiątkę, i już! — Uśmiechnął się. — Jak to twoje kieszonkowe, biedactwo ty moje. Może powinniśmy je nazywać licznikowym.

— Co takiego?

— Jak to twoja mamusia kazała ci dokarmiać licznik, nie pamiętasz?

— Aha... — urwała. — No tak.

Spojrzał na nią. Nie uciekła przed nim wzrokiem, wyzywająco patrzyła na niego, unosząc brwi. Po chwili odwróciła się i wróciła do kuchni. — Jestem strasznie głodna.

Przez jakiś czas nie ruszał się z miejsca. Potem wszedł do kuchni. — Eva!

— No, co byś zjadł?

Chwycił ją za ramię. Zrobiła unik, odsunęła się.

— Kłamałaś, prawda?

Otworzyła lodówkę, przykucnęła przy niej. — Rolada z łososia. — Wyjęła paczuszkę i przeczytała napis na etykietce: — Najdelikatniejszy łosoś szkocki, zawinięty w cienką warstwę szpinaku.

— Kłamałaś z tym licznikiem.

— Niby czemu? — Wyjęła następną paczuszkę. — Kielbaski z Lincolnshire z czosnkiem.

Spojrzał na czubek jej głowy. Teraz nosiła dłuższe włosy. Farbowała je na blond, ale już widać było brązowe odrosty.

— Wiesz co — zaproponowała — mogę nawet utłuc te twoje kwitnące ziemniaki. Kielbaska i tłuczone kartofle.

— Kłamałaś o tym liczniku, żeby mi było ciebie żal. — Nie dodał: bym bardziej cię kochał.

— Nie bądź głupi. — Odepchnęła go i odkręciła kurek z wodą. Napęłniła zlew. Wsypała ziemniaki; ziemia uniosła się na powierzchnię warstwą czarnego osadu.

Obrzucił spojrzeniem jej plecy — szczupłe ramiona w zielonej podkoszulce — gdy krzątała się przy zlewie. Tamtej nocy mocno trzymał ją w ramionach. Najsmutniejsza opowieść, jaką kiedykolwiek słyszałem. Przyrzekł sobie wtedy, że nigdy jej nie opuści.

Obierała ziemniaki, w wodzie uderzały o siebie. — Powycinam te chore miejsca — powiedziała, nie odwracając się.

Pomyślał: jej nigdy nikt nie kochał. Nikt nie okazał jej miłości, dlatego nigdy nie miała przyjaciół; dlatego musi kłamać.

Na zawsze zapamiętał tę chwilę w kuchni; coś w nim wtedy drgnęło. I dotarło do niego: wszystko rozumiałem odwrotnie. Zanim to się wydarzyło, przedtem, w Tottenham obawiałem się, że ją stracę. A było całkiem inaczej. To ona bała się, że straci mnie.

— Włącz czajnik, głuptasku — poprosiła. — Niech będzie z ciebie jakiś pożytek.

Jon nie poruszył się. Ukradła te pieniądze, by mnie zatrzymać, pomyślał. Przez cały ten czas usiłowała kupić moją miłość.

Eva odwróciła się. Mokrym palcem dotknęła jego policzka. — Ty głuptasku — powiedziała.

I wiedział, zrozpaczony, że ona ma rację.

Krew sączyła się z rany w boku Chrystusa. Farba połyskiwała świeżością, jakby zbrodnię popełniono przed godziną. Jednak twarz Ukrzyżowanego nie zdradzała żadnych emocji. Oczy miał zamknięte, jakby spał. Szkoła nieznanego mistrza z roku 1493.

Za Jonem, po drugiej stronie sali stał strażnik. Jon wyczuwał jego spojrzenie sunące za nim, gdy przechodził od obrazu do obrazu. Zatrzymał wzrok na malowidle na desce: mężczyzna wymiotował diabłami: całe ich tłumy wypychały się jedne przez drugie z jego ust, z trudem wydostawały się na światło dnia. W tle wznosiły się skały, kryjówki diabła, miejsca, w których mógł schować się, przykucnięty, tak jak kucał w przestrzeni za kanapami w mieszkaniu Jona. Fra Angelico... Signorelli jakiś tam... Hannah najpewniej je znała. Grzech i cierpienie... gdziekolwiek spojrzeł, postacie skulone u podstawy krzyża. Zakrywały twarze dłońmi, omdlewały z żalu. Tylko Jezus pozostawał spokojny.

Wiesz, czego nam tu potrzeba? Obrazów. Zszedł na dół, do sklepiku. Tyle że nie zamierzał kupić obrazu do mieszkania. W ogóle nie chciał tam wracać. Zainteresował się książką: „Sztuka Renesansu”. Na okładce podobizna Madonny z Dzieciątkiem. Maria patrzyła na niego z uniesionymi brwiami, jakby zdziwiona, że liczy na wybaczenie.

Kupił tę książkę dla Hannah, zapłacił kartą kredytową. Minęło siedem miesięcy, a on wciąż nie mógł się przyzwyczaić do beztróskiego wydawania pieniędzy. Eva śmiała się: — Powinieneś siebie zobaczyć, jak wyjmujesz gotówkę z bankomatu — jak stoisz przy nim możliwie najbliżej na wypadek, gdyby cały ten pieprzony świat zapragnął zobaczyć twój pieprzony, mały pin. — Mógłby jej wyjaśnić, że podpisywanie karty kredytowej nie było takie złe — czysta abstrakcja, ale co do namacalnych pieniędzy... gdy jeszcze ciepłe,

szeleszczące banknoty wysuwały się ze szpary, czuł się jak złodziej. I był złodziejem.

Wyszedł na dwór. Wczoraj kopał ziemniaki w samej koszuli. Jednak przez noc temperatura spadła. Przez Trafalgar Square ciągnął lodowaty wiatr. Nałożył rękawice i wsiadł na motor. Pomyślał: znalazłem się w pułapce z kobietą, której nie znałem. Gdybyś zamknął oczy, powiedziała Hannah, i posłuchał, gdy coś mówi... Odjeżdżając z rykiem silnika, pomyślał jeszcze: Eva już nie napawa mnie lękiem. Tak naprawdę, to mi jej żal. Poczul w oczach łzy z żalu nad samym sobą, a może wilgoć znalazła się w nich za przyczyną wiatru. Był zbyt odrętwiały, by poznać różnicę. I wciąż ta uporczywa myśl: razem w więziennej celi, Eva i ja. Zbrodnia niczym narodziny kalekiego dziecka związały nas na całe życie.

Musi zobaczyć Hannah, przekonać się, że wszystko z nią w porządku. Może na widok normalnej dziewczyny, dalej wiodącej zwykle życie, jemu też uda się powrócić do pewnej normalności. Trzeba podjąć decyzję, taką, do jakiej był zdolny rok wcześniej, gdy jeszcze należał do ludzkiej rasy. Popędził na północ, przez Hendon. Dwadzieścia po trzeciej. Minął Apex Corner, w dole dostrzegł kanion — ziejący otwór prowadził do przejazdu poniżej. Jako nastolatek interesował się książkami z dziedziny kryminalistyki: mordercy często wracają na miejsca swych zbrodni, przyciągani jakąś chorą fascynacją. On także wiele razy jeździł do Stanmore, kręcił się po ulicach w nadziei, że przypadkiem ją zobaczy.

Podjechał kawałek Cypress Drive i zwolnił. W ciągu ostatnich miesięcy dom rozbudowano, a ogród na froncie został wybetonowany, jakby w celu zatarcia wszelkich śladów przeszłości. Dziś parkowały tam trzy samochody. Przy którejś z wcześniejszych wizyt miał okazję rzucić okiem na nowych właścicieli; wyglądali na mieszkańców Bliskiego Wschodu. Tego popołudnia nie było tam śladu życia. Zrobiła się trzecia czterdzieści pięć.

Pojechał dalej, do św. Marii i zaparkował w pobliżu bramy szkoły. Upewni się, że nic jej nie jest i da jej książkę, przyda jej się w przygotowaniach do egzaminu. Za kilka miesięcy Hannah przystąpi do egzaminów końcowych. On będzie dla niej jedynie zmotoryzowanym posłańcem, z twarzą ukrytą za plastikowym wizjerem. Będzie nikiem, błyskiem bez twarzy.

Niemal słyszał uderzenia własnego serca. Dziewczęta wysypywały się przez bramę — te małe, w znajomych niebieskich mundurkach, te większe, z szóstej klasy, ubrane dowolnie. Mijały minuty. Drzwiczki trzaskały, samochody odjeżdżały. W innym życiu był tu z Evą, tamtą dawną, która znikła na zawsze. Siedzieli tu, planowali. Jacy naiwni wydawali mu się teraz, gdy patrzył na nich

z perspektywy czasu! Zrobiło się dziesięć po czwartej. Zaplombowany w swym kasku, obserwował cicho paplające ze sobą dziewczęta. Widzicie tego mężczyznę? On porwał Hannah Price. Mineły jego motor. Mieszka w Kensington, dzisiaj po południu zablokowano tę dzielnicę. Krzewy wystające nad murem zakołysały się na wietrze. Z drugiej strony czaili się przykucnięci policjanci. Wiecie, oni zawsze wracają na miejsce zbrodni, jak pies powracający do swych wymiocin.

Czwarta dwadzieścia. Wszyscy się rozeszli. Miał już odejść, gdy trzy dziewczyny wyszły ze szkolnego budynku. Poznał tę rudą; tamtej nocy była w Underworld. Tanya? Emma? Już nie pamiętał.

Wyszedł im naprzeciw, niosąc paczkę. Odrobinę podniósł wizjer. — Przepraszam, mam przesyłkę dla Hannah Price.

Dziewczynki przystały. — Hannah? Spojrzały jedna na drugą, — Dla Hannah? Skinął głową.

— Już tu nie chodzi.

— Co takiego?

— Opuściła szkołę w zeszłym semestrze — poinformowała go ruda.

Zawahał się, ale zaraz zapytał: — A dokąd odeszła? Gdzie mogę ją odnaleźć?

— Mieszkają w Harlesden — powiedziała wysoka. — Crewkerne Road.

— Pod którym numerem?

— Cicho! — Ruda szturchnęła koleżankę łokciem, pokręciła głową. Odeszły pospiesznie, oglądając się na niego przez ramię.

Jon wsiadł na motor. Pokręcił rączką, przywołał maszynę do życia. A więc odeszła. To on spowodował odejście Hannah z tej szkoły — to całe zamieszanie! Musiała opuścić przyjaciółki, przerwać ostatnią klasę. Za trzy tygodnie mam testy sprawdzające. Pewnie przenieśli ją do szkoły mieszczącej się bliżej nowego miejsca zamieszkania.

Jechał ulicami przedmieścia; jedna po drugiej zapalały się lampy. To on, jak jakiś daleki, zły dyktator nacisnął guzik i na drugim końcu świata eksplodowała bomba. Ten chaos, te zniszczenia! Sprzedany dom, dziewczyna zabrana ze szkoły. Niewinni ludzie rozpierzchli się jak maleńkie mrówki, próbując odbudować swe życie.

Zrobiło się ciemno, gdy dotarł na Crewkerne Road. Pod uliczną lampą stał wrak spalonego samochodu. Trzy psy, najwyraźniej mocno czymś zainteresowane, przebiegły przez jezdnię. Zgasił silnik. Rzędy połączonych ze sobą, skąpanych w sztucznym świetle domów ciągnęły się w nie zdefiniowaną dal.

— Hej, panie, niech nas pan przewiezie!

— Fantastyczny motor, jak szybko może gnać? Jon spojrział w dół. Otaczali go mali chłopcy.

— Ile kosztuje?

Towarzyszący im pies obszczekiwał koła. Jon próbował wysiłkiem woli zmusić ich do odejścia, wszystkich co do jednego. Wolnym krokiem nadchodziło kolejnych dwóch wyrostków. Uskoczyli przed nadjeżdżającym samochodem i podeszli do motocykla.

I właśnie wtedy usłyszał kobiecy głos: — Becky!

Odwrócił się błyskawicznie. W pewnej odległości zauważył oświetloną postać w otwartych drzwiach domu.

— Pamiętaj o Standard!

— Dobrze. — Dziewczynka oddaliła się w podskokach. Towarzyszyła jej druga, większa.

— I wracaj prosto do domu! — zawołała jeszcze matka. Drzwi zamknęły się.

Jon pochwycił paczkę i przeszedł za dziewczynkami na drugą stronę ulicy. Obie chyba miały na sobie szkolne mundurki. Weszły do sklepiku na rogu. Zbliżał się ostrożnie. Opuścił wizjer i patrzył przez szybkę.

Becky wybierała słodycze. Pana Cholernie Zepsuty Bachor, według słów Hannah. Mignęła mu za szybą. Wyglądała bardziej dorośle niż na zdjęciu, niemal na dojrzałą kobietę. Jej klatkę piersiową zdobiły dwie niewielkie wypukłości. Nie miał odwagi spojrzeć na Hannah — teraz, gdy już ją odnalazł. W tym odwlekaniu znajdował pewien luksus. Przyglądał się wystawie — wyblakłe na słońcu egzemplarze Viz i Twój Ślub. Poczuł ulgę: widzicie, Hannah nic złego się nie stało. Jest normalną dziewczyną, wraz z siostrą wybierają w sklepie słodycze.

W polu widzenia pokazała mu się ta druga. To nie Hannah, ale duża, czarna dziewczyna w szkolnym mundurku. Szturchnęła Becky łokciem i wskazała na jakieś czasopismo.

Po chwili wyszły ze sklepu, niosły papierowe torby. Żując, poruszały szczękami. Jon próbował wziąć się w garść. Podeszedł do nich bliżej i podniósł wizjer, tylko odrobinę. — Rebecca Price?

Przystanęła. Ładna dziewczynka — blondynka, usztywnione żelem włosy; w uszach złote kółka. Twarda, arogancka mina. Wyciągnął w jej kierunku paczkę.

— Mam przesyłkę dla twojej siostry.

— Co mam z tym zrobić? — zapytała.

— Oddać jej.

— Kiedy? — Obrzuciła go zimnym spojrzeniem. Na brodzie dostrzegł plamkę pryszczu.

— Od razu.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Ona już nie mieszka w domu. Wbił w nią wzrok. — Jak to?

Włączyła się czarna dziewczyna: — Wyprowadziła się. Ona...

Becky kopnęła ją w kostkę. — Zamknij się, Joelle. — Cofnęła się. — O niech to, do cholery, zapomniałam o Standard. — Odwróciła się na pięcie i pospiesznie wróciła do sklepiku. Jej koleżanka podążyła za nią.

Obserwował je przez szybę. Zbite razem, coś szeptały. Patrzyły na niego. Odrzucił do tyłu głowę.

Mocno trzymając paczkę, pobiegł ulicą. Głowa mu pękała; zdjął kask. Hannah odeszła ze szkoły. Odeszła z domu. Co u licha się wydarzyło? Gdy ciężko oddychając, dotarł na drugi koniec ulicy, ujrzał swój motor leżący na boku.

— Hej, wy! — wrzasnął, ale chłopcy rozplynęli się w ciemnościach. W oddali, za murem zabrzączało rozbijane szkło.

Rozdział drugi

Mężczyzna może znieść wiele, ale wszystko ma swoje granice. I choć ta wymówka, całkiem marna, co do czego zresztą Morris nie miał wątpliwości, nie rozgrzeszała go z tego, co zaszło owego gorącego, wiosennego dnia i powtarzało się przez wszystkie następne tygodnie, zdanie to wciąż, jakby podświadomie, pojawiało mu się pod czaszką. Mężczyzna może znieść wiele, ale wszystko ma swoje granice.

Zimy właściwie nie zaznali. Ciepłe jak zupa styczeń i luty pozostawiły ludziom nieprzyjemne uczucie, że przyroda podstępnie pozbawiła ich zasłużonej kary — trzęsienia się z zimna. Należna światu równowaga uległa zakłóceniu — cebulki wypuszczały kwiaty w listopadzie, a zdeorientowane ptaki wędrowne ociagały się z odlotem. Potem, znienacka, zdecydowanym krokiem nadeszła wiosna, zimna niczym stal, mroząc pąki i wybuchając burzami: wichur strącał dachówki, przewracał wiaty autobusowych przystanków. Zupełnie bez sensu. Klimat, podobnie jak rodzina Morrisa, zdawał się utracić fundamenty. Jak mówiono, z powodu dziury ozonowej. Sami jesteśmy sobie winni.

I nagle, całkiem niespodziewanie, narodził się idealny dzień. Był początek maja i blask słoneczny wpadał przez okno gabinetu. Morris siedział za biurkiem, podliczał kolumny cyfr. Zwykle, rutynowe szacowanie prac prowadzonych w nowym budynku, a jednak sprawiało mu swego rodzaju przyjemność. Kolejne zsumowane liczby i — patrzcie, one mają sens! Jak przypuszczał, zadowolenie, jakie daje arytmetyka, można by porównać z satysfakcją czerpaną ze stolarki — dopasowuje się części, listwa wchodzi w listwę, wszystkie łączą się w jedną całość.

Przez ostatnie miesiące jego stosunek do pracy zmienił się. Wraz z pogłębiającym się chaosem rodzinnego życia, biuro coraz bardziej zaczynało przypominać schronienie. Praca nie stawiała przed nim żadnych wyzwań. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej ten brak wymogów znajdował wielce upokarzającym. Teraz jednak cieszył się z takiego obrotu spraw, przekonany, że nie umiałby skoncentrować się na czymś poważniejszym. I pomyśleć, że kiedyś radził sobie z całą gamą problemów wynikających z prowadzenia tej firmy! Teraz okazała się jego kryjówką. Czuł się jak podstarzały oportunist, cień dawnego siebie, ale znajdował pewien spokój w tej egzystencji człowieka pracującego „od — do”. Wspomniał Clarence'a z działu spedycji, dawno już przez nowe władze odstawionego na zieloną trawkę. Clarence'a z jego krzyżówkami i niekończącymi się monologami o połowach tropikalnych ryb...

Morris oderwał się od biurka i zaniósł dokumenty do powielarni, mieszczącej się w dawnym pokoju Avril. Zastał tam Kimberley — szukała czegoś w teczce z dokumentami. Pachniała perfumami mocniejszymi od ciepłego, atramentowego zapachu maszyn. Ubrana w dżinsy i żółty podkoszulek, z jasnobrązowymi, związanymi na karku włosami przypominała kwitnącą zdrowiem uczennicę.

— No, zejdzcie ci na tym chyba do rana — zauważyła na widok papierów, z którymi przyszedł. — Może zostaw je, sama odbiję.

Podziękował jej. Jako jedyna z młodszych pracowników zdawała się mieć dla niego czas. Ta krzepka, wysportowana dziewczyna zwierzyła mu się z przynależności do drużyny siatkówki. Tak, siatkówki! Przyjechała z Nowej Zelandii, co by wszystko wyjaśniało. Solidne, staroświeckie wartości. Mens sana in corpore sano. Taką dziewczynę jak ona każdy chętnie powitałby jako synową, pomyślał.

O dwunastej trzydzieści przeszedł naprzeciwko, do księgowości. Kimberley była sama, ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w monitor. Uniosła wzrok. — Wiesz, fotokopiarka się zacięła. Bobs obiecał ją naprawić, ale teraz wyskoczył na lunch.

Na biurku dostrzegł kilka urodzinowych kartek. — Kiedy masz urodziny? — zapytał.

— Dzisiaj.

— Dzisiaj, i nikt cię nigdzie nie zaprosił?

— Dopiero wieczorem.

— Dopiero wieczorem!

— Mniejsza o to. — Kiedyś jej nosowy głos irytował go, teraz wydawał mu się czarujący. Wskazała na monitor. — Teraz to muszę zrobić podręczną kasę dla Margot.

— W taki dzień będziesz zajmować się podręczną kasą? Powiedziałaś: Margot? A któż to taki?

— Moja nowa szefowa. Przyszła do nas w zeszłym tygodniu.

— Kobieta z głosu podobna do Betty Davis?

— Do kogo?

— Masz wiele do nadrobienia — zauważył. — Moja droga, zapomnij o Margot. Idziemy na lunch.

Zabrał ją do Bluebell Wood, w te zalesione tereny na obrzeżach Watford; po drodze zaopatrzyli się w sandwicze i butelkę szampana. Gdy wysiedli z wozu, aż westchnęła z zachwytu na widok błękitnej mgły otulającej pnie drzew.

— O rany! Spójrz, zupełnie jakby świat stanął na głowie; jakby niebo upadło na ziemię.

— Kiedyś przyprowadzałem tu moje dzieciaki, gdy były małe. Wspinały się na tamto drzewo. — Wskazał ręką.

Jaka delikatna zieleń, te liście nad jego głową! Ścisnęło go w sercu. Usłyszał dźwięk dziecięcego śmiechu.

— Jeszcze nie widziałam angielskiej wiosny — przyznała. — Przyjechałam tu dopiero w czerwcu zeszłego roku — było zimno jak u mnie w domu. Udało mi się oszukać zimą, uciec przed nią.

— A czy wiesz, że ona oszukała nas? Wcale nie przyszła! Zabrali piknikowe prowianty i ruszyli przez las. Kimberley szła zygzakiem, przechodziła z jednej strony ścieżki na drugą, starając się nie podeptać dzwonek. Od ich zapachu Morrisowi zakręciło się w głowie. Między drzewami niosła się ptasia pieśń; czuł, jak rozgrzewa go słońce. Nagle ogarnęło go uczucie — tak dawno zapomniane, że przez dłuższą chwilę nie umiał go zidentyfikować.

Usiedli na trawie. I olśniło go: to uczucie szczęścia! Wysoko na niebie rozległ się pomruk tłoków silnika samolotu — pewnie z lotniska w Elstree. Dźwięk jego własnej młodości, niewinnych, letnich dni.

— Wyobrażam sobie Nową Zelandię jak to miejsce tutaj — powiedział. — Jakby zatrzymane w latach pięćdziesiątych. Żadnych zbrodni, zero narkotyków. Mnóstwo przestrzeni do parkowania...

— Racja — roześmiała się. — Dlatego ja wyjechałam. — Potrząsnęła głową. — Właściwie miałam inne powody; tata zmarł, gdy byłam mała, a w zeszłym roku odeszła mama, więc poczułam się... bez zobowiązań.

— Kochałaś rodziców?

— Oczywiście. Oczywiście. Jakie to proste.

Odkorkował szampana. Zapiszczała, podstawiała plastikowe kubki.

— Gdzie mój garnuszek? — zażartował. — Pamiętasz? Skinęła głową. — Jak stary zrzęda.

— To strach przed rozstaniem — tłumaczył na pół żartobliwie. — Uwielbiałem ten garnuszek... A więc, moja droga, wszystkiego najlepszego. Ile skończyłaś lat?

— Dwadzieścia cztery. — Łyknęła szampana. — Pieprzona księgowość! Tak naprawdę, to zamierzam stąd odejść i szkolić się na pielęgniarkę. Mogę ci się przyznać, w końcu już nie jesteś szefem. I czy to nie fajowo, tak pójść sobie na wagary?

Przytaknął ruchem głowy. Zaleta tej niby pracy tkwiła w tym, że nikt nie zauważył jego nieobecności. Jego, kogoś, kto kiedyś mógł ich wszystkich powyrzucać na zbity pysk. Roześmiał się głośno.

— Z czego się śmiejesz? — zdziwiła się.

— Z niczego; ze wszystkiego i z niczego.— Obserwował ją, gdy piła. Duża, zdrowa dziewczyna o zaróżowionych policzkach. Promieniowała młodością, tryskała życiem. — Wiesz, gdzie powinnaś się teraz znajdować? Z przystojnym, młodym człowiekiem w kabriolecie bmw.

— Z łanem? Daj spokój. — Otworzyła torbę z sandwiczami. — Nazywamy go Panem Oślizgłym.

Ucieszył się. — Naprawdę? A mnie?

— Morris.

Wyraz szacunku czy zwykły brak zainteresowania? Jakie to miłe, przypomnieć sobie ciekawość. Odczuwać cokolwiek.

Podowała mu sandwicza. — Dla ciebie pieczeń wołowa. — Sama wbiła zęby w kanapkę z serem i selerem.

— Moja córka też jest wegetarianką. — I zaraz pomyślał: nie zmusi się do przełknięcia kawałka polędwicy, ale nie dba o to, że niszczy rodziców. — Śmieszne, na czym to młodym zależy.

— Ej, nie odgrywaj takiego starucha.

— Czuję się stary.

Ostrożnie umieściła sandwicza na kolanie. — Mnie podobają się starsi mężczyźni. Uwielbiałam tatę. — Opróżniła kubek do dna. — Przy tobie czuję się bezpieczna.

— Patrzcie ją, bezpieczna! Nic takie nie jest.

Szturchnęła go łokciem. — Hej, przestań! W końcu nie jest tak źle. — Podsunęła mu swój kubek. Napełnił go, potem ścisnął butelkę między kolanami.

— To mówisz, że przywoziłeś tu swoje dzieciaki? — dopytywała się, przeżuwając kanapkę. — Dobrze się bawiliście?

— Chcesz wiedzieć prawdę? Pamiętam tylko, że Theo, to znaczy mój syn, przyprawiał Hannah o płacz. Drażnił się z nią, namawiał, by wspięła się na drzewo, a ona po prostu nie dawała rady. Rzuciła się na niego z pięściami, on oddawał jej mocniej i rozpętywało się piekło. Widzisz to miejsce między drzewami? — Wskazał ręką. — Mój klub golfowy, mój były klub. Pamiętam, jak marzyłem, żeby całe dnie móc spędzać na grze. Wiesz, co daje gra w golfa? Poczucie sensu życia. Myślisz sobie: żeby tylko zawsze tak mogło pozostać... — Urwał. — No tak, to był okropny rok.

— Słyszałam o twojej córce.

Spojrzał na nią zdumiony. — Naprawdę?

— Oczywiście. Wszyscy wiemy. Nikt nic nie mówi, jak to w brytyjskim stylu. Wiem, że została porwana. Jednego dnia Malcolm zebrał nas i poinstruował, żebyśmy nie rozmawiali na ten temat.

— Tak było?

Skinęła głową. Pochłonęła drugą kanapkę i otarła dłonie o dzinsy.

Nie przejął się aż tak, jak by to sobie wyobrażał. A nawet odczuł ulgę, mogąc porozmawiać o tamtym wydarzeniu. — Zapłaciliśmy więcej, niż kiedykolwiek mogliśmy sobie wyobrazić — przyznał.

— Co masz na myśli? Wyczyścili was do cna?

— Owszem. — Zaczerpnął powietrza. — Ale wydarzyło się coś jeszcze. Moja córka zaszła w ciążę. Nie zgwałcono jej, nic takiego nie zaszło. Tyle że mężczyzna, który ją porwał, zrobił jej dziecko.

— Żartujesz! — Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Wymawiając te słowa na głos, sprawił, że nagle stały się wręcz namacalne, jakby należały do kogoś innego. — Ale wiesz, co działo się potem? Ona wyprowadziła się z domu.

— Dlaczego? Kiedy?

— W listopadzie zeszłego roku.

— Ale z jakiego powodu?

— Bo nie mogła spojrzeć rodzicom w oczy, podobno dlatego. Żona i ja myśleliśmy, że przeżywała okropne chwile, a tu nagle okazuje się, że wcale tak nie było. Rozumiesz?

— I tak to mogło być okropne.

— Ale wszystko nabrało innego znaczenia.

— Dla was czy dla niej?

— Po prostu się zmieniło.

— Pomagaliście jej?

— Czy jej pomagaliśmy? Moja żona, owszem. Ale Hannah nie potrafiła przyjąć pomocy.

— Głupia dziewczyna. Czyż nie potrzebowała was bardziej niż kiedykolwiek indziej?

— Tak by się wydawało. Ja też bym tak uważał. Tyle że nic nie jest takie proste.

— Dla mnie, przeciwnie, sprawa jest oczywista. — Wbiła zęby w jabłko; trysnął sok. Jakaż ona pełna życia! — Uważam, że powinna okazać

wdzięczność rodzicom, którzy tyle za nią zapłacili. Przynajmniej starać się być miłą.

— Myślisz, że chociaż spróbowała? Moja własna córka — już raz ją utraciłem, i co się dzieje? Tracę ją ponownie.

— Dokąd się udała?

— Do Notting Hill. Masz ochotę wysłuchać całej historii?

— No pewnie. Mów. — Wytarła brodę z soku.

Pomyślał chwilę. — No więc wprowadziła się do byłej dziewczyny mego syna. Do mieszkania na Notting Hill. A potem urodził się ten malec, Tobias.

— Jest szczęśliwa? Widujesz ją?

— Czasami.

— Czasami jest szczęśliwa czy czasami ją widujesz?

— Jedno i drugie. — Odłożył kanapkę; nie był w stanie jej dokończyć. — Przeważnie jeździ tam moja żona. — Ktoś już siedział tu przed nimi; zdradzały to przygniecione dzwonki. — Jest taki termin na to wszystko: „efekt domina”. Mój syn właśnie wtedy otrzymał pierwsze zlecenie, montaż filmu dokumentalnego do telewizji — kręcił jego kolega — ale trzeba było akurat sprzedać urządzenie do montażu, no a dalej poszło już lawinowo i tyle...

— Co takiego?

— Syn pewnej nocy upił się i rozbił samochód. A potem, w lutym, policja przyłapała go z kokainą w kieszeni. Mój syn narkomanem!

— Bo miał trochę kokainy?

— Był przestępcą! Co mogłem zrobić? Wpłacić za niego kaucję, i tyle. — Czubkiem buta poruszył pogniecione listki. — A moja młodsza córka ma teraz trzynaście lat, uczęszcza do lokalnej szkoły i wiesz, czego się tam uczy? Palenia papierosów, chodzenia na wagary i ordynarnego pyskowania do matki.

— No tak, ale w końcu jest nastolatką, pewnie zachowywałyby się tak samo, nawet gdyby nic się nie wydarzyło.

— To ty też przeklinałaś? Roześmiała się. — Jak jasna cholera.

Potarł bok nosa. — Sprzedałem dom jakimś Arabom. Rozumiesz, Arabom... jako Żyd, jestem do nich uprzedzony, nic nie mogę na to poradzić... czasami wydaje mi się, że tamci mnie złamali — ci ludzie, to całe zło. Zniszczyli moją rodzinę.

— Daj spokój, nie rób z siebie takiej ofiary. — Ponownie napełniła mu kubek. — No dobrze, zbankrutowałeś. Masz nieślubnego wnuka. I co z tego? Wciąż żyjesz. Pojawił się zdrowy bobas. Napijmy się za to. Najwyraźniej ostatnio ci tego brakowało. Zresztą, to moje urodziny.

Wypili szampana do ostatniej kropli. Kimberley podniosła się z trawy. Pociągnęła go za ramię. — No chodź, zagramy w golfa. — Wyciągnęła wystający ze sterty liści patyk, znalazła kasztan — ciemny, z jednej strony miękki, leżał tu od zeszłej jesieni. Roześmiana, wzięła zamach kijem.

— Nie, nie tak! — Wstał, chwycił patyk, ramieniem otoczył jej plecy. — Wyprostuj się, o tak... ręce razem... dobrze... — Wyczuł ruch jej łopatek; gdy się obracała, sprzączką stanika ucisnęła go w ramię. — O tak... i zamach!

Patyk, cienki, raczej gałązka niż kij, złamał się już za następnym zamachem. Morris spojrzął na kawałek, który pozostał jej w ręce. — Smutna, prawda? Ta historia mego życia.

Wybuchła śmiechem i padła na ziemię. Leżała na plecach, z ramionami uniesionymi w górę. Od miesięcy nie słyszałem niczyjego śmiechu, pomyślał. Opadł na ziemię obok niej — znów rozboleły go stawy

— i położył się na plecach. Patrzyli w górę, na drzewo kasztana; poprzez baldachim liści prześwitywał zdecydowany błękit nieba. Serce zabiło mu mocniej. Od iluż to tygodni nie kochali się z Val? Od pięciu — nie, chyba dłużej. Ani ona, ani on nie mieli siły i ochoty na seks. Skradziono im nie tylko pieniądze. I pomyślał: dlaczego moja żona nie potrafi zrozumieć, jacy moglibyśmy być szczęśliwi, choćby tak leżąc obok siebie? Ale nic już nie było takie proste.

Spojrzał na profil Kimberley. Oczy miała zamknięte. Obok niej rozwijały się posrebrzane pędy paproci. Spojrzął na jej ucho. Pokryta puszką małżowina, zaróżowiona od słońca; a w niej tajemne spirale i wydrążenia... cały miniaturowy świat. Zafascynowany, nie mógł oderwać wzroku. Dziewiczy płat, nie przebity, nie okaleczony kolczykami. Wzruszenie ścisnęło mu krtań.

Zamruczała: — Na co tak patrzysz?

— Chcesz wiedzieć? Na paprocie. Przypominają małe szydełka. Obserwuję, jak się otwierają. Czy wiesz, że pokrywa je futerko? — urwał, a po chwili powiedział cicho: — Nie, to twoje ucho, patrzę na twoje ucho. Nigdy nie widziałem niczego równie doskonałego.

— Najzwyklejsze w świecie. Mam jeszcze drugie.

Nad ich głowami rozśpiewał się ptak; melodia wznosiła się i opadała. Coś w nim wezbrało; oczy zapiekły go od łez. Pochylił się ku niej — nie mógł się powstrzymać — i pocałował ją w koniuszek ucha. Pod wargami poczuł chłód; wessał delikatne ciało, przytrzymał w ustach.

Przetoczyła się do niego. Przygniatane jej biodrami dzwonki wydawały cichy, wilgotnawy syk. Zdjęła okulary i położyła na trawie.

— Ty biedny, stary draniu. — Obdarzyła go uśmiechem.

I po raz pierwszy od wielu miesięcy trzymał w ramionach drugą ludzką istotę.

Rozdział trzeci

Becky otworzyła lodówkę i wyjęła Fruit Corner. — Wiesz, Joelle w zeszłym tygodniu podejrzewała, że jest w ciąży.

Val spojrzała zdumiona na córkę. — Ależ ona ma tyle lat co ty! — Joelle, duża, dobroduszna dziewczyna, już uginająca się pod ciężarem kobiecości, była najlepszą przyjaciółką Becky.

Dziewczynka zdjęła wieczko z pojemnika z deserem. — Już jest wszystko w porządku. To tylko okres jej się spóźnił.

Powędrowała z powrotem do drugiego pokoju. Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Jej szkolne przyjaciółki przyszły oglądać serial Sąsiedzi.

Val, przykucnąwszy, zajęła się czyszczeniem piekarnika. Becky uwielbiała szokować ją i Morrisa skandalicznymi opowieściami ze szkoły — ciąży, sprawdzanie, czy uczniowie nie przynieśli ze sobą broni, narkotykowe sesje w toaletach. Jednak równie niepokojące były fakty: ciągłe zmiany nauczycieli, ograniczenia w liczbie personelu pedagogicznego, brak zajęć sportowych. Na ostatnich zawodach pływackich ratownik musiał wyciągać z wody trójkę dzieci z klasy Becky, bo okazało się, że w ogóle nie umieją pływać.

Z saloniku dochodziły głośne okrzyki i śmiech. Gdy przychodziły przyjaciółki Becky, mieszkanie wydawało się bardzo małe. W dawnym domu Val mogła umknąć przed nastolatkami; tu pozostawało jej jedynie wycofanie się do sypialni na górę, względnie zajęcie się czymś w kuchni.

Szorując dno piekarnika, rozmyślała o ochronnym parasolu zamożności i po raz tysięczny zastanawiała się, czy przeniesieniem Becky do dużej szkoły państwowej przyspieszyli utratę jej dziecięcej niewinności, czy to po prostu zwykła kolej rzeczy. Becky zawsze była twardsza od Hannah, bystrzejsza i bardziej zdolna do manipulowania innymi.

Becky pojawiła się w kuchni, wyjęła z lodówki butelkę coli.

— A czy mama Joelle wie? — zapytała Val. — I twoja koleżanka chyba powinna się zabezpieczyć. Poza tym trzynastcie lat to za wcześnie na sypianie z chłopcami.

— Uważasz, że ma zaczekać, aż skończy siedemnaście, i wtedy zajść w ciążę?

— No wiesz, touche. — Co?

— Widzę, że nie uczą cię francuskich wyrażeń.

Becky oddaliła się. Dzień był gorący, jak to bywa z początkiem czerwca; minął niemal dokładnie rok od porwania Hannah. Val otarła czoło wierzchem dłoni. Czasami zapominała, że jest matką nastoletniej matki, a Hannah stała się

częścią statystyki, która kiedyś przerażała ją tytułami z gazet. Minione miesiące dostarczyły Val wiedzy o sprawach, o których wcześniej jedynie czytywała w Daily Mail, dowiadywała się z felietonów „Dlaczego, och, dlaczego” i z przerażających filmów o „Pokoleniu X”. Theo utrzymywał się z zasiłku. Poprzez niego zawarła boleśnie bliską znajomość z labiryntem systemów zapomóg, kart rejestracji bezrobotnych i temu podobnych. A także z przepisami dotyczącymi własności, z raportami policyjnymi i wszelkimi rekwizytami przestępstw powiązanych z narkotykami. Jej przystojny syn, ukochane dziecko swego ojca! Poprzez Hannah poznała żaloszny stan opieki społecznej i całą gamę wybiegów potrzebnych do wynajęcia komunalnego mieszkania. Hannah i Tobias zamieszkali w dzielnicy bloków w Notting Hill. Aż do tego roku lokatorzy mieszkań komunalnych stanowili dla Val zupełnie inną kategorię ludzi; jedyną znaną jej osobą, zajmującą podobne mieszkanie była Rhoda, ich pomoc domowa, ale w końcu i ona wykupiła je na własność.

Ściągnęła gumowe rękawice. Spojrzała na kafelki. Przypominają żyły przerośnięte żyłakami, tak określiła je Hannah. Rozpaczliwie tęskniła za córką. Becky stała się takim buntowniczym stworzeniem! Przeprowadzanie następnego dziecka przez okres dorastania, zwłaszcza gdy robiło się to już dwukrotnie, okazywało się ponad siły. Poza tym, przy tamtej dwójce na ogół nie było jej w domu, wtedy pracowała i wynajmowała innych do zastąpienia jej przy tych trudnych obowiązkach.

Jak powiedział Morris, unosząc ramiona: dzieci to same zmartwienia. Becky ostatnio obnosiła się z zaciętą, pełną zdobytej wiedzy miną. Stała się zuchwała i... prostacka. W zeszłym tygodniu oświadczyła, że w wieku szesnastu lat zamierza skończyć ze szkołą i zostać kosmetyczką. Kosmetyczką. Theo najwyraźniej zrezygnował z filmu, twierdził, że i tak nie jest w stanie zdobyć potrzebnego dofinansowania i spędzał czas na kręceniu się wokół kafejek w Soho, w towarzystwie ćpających, żerujących na swych dziewczynach nieudaczników. A Hannah, która w tym tygodniu powinna była przystąpić do egzaminów końcowych, jakie właśnie zdawały jej dawne koleżanki, i myśleć o studiach dziennikarskich na uniwersytecie w Sussex, utknęła w zasmarowanym graffiti budynku, sama z dzieckiem. Obrabowano ją z beztroskich studenckich lat, z niezależności, z rozrywek, odebrano jej pierwsze miłości. Przyszłość Hannah porwało dwoje przestępców i uszło im to na sucho. I jak tu poradzić sobie z podobną niesprawiedliwością?

Nic dziwnego, że Morris jakby postarzał się o dziesięć lat. Dopiero tego ranka zauważyła, że całkowicie posiwiął. Ich małżeństwo to następna sprawa, którą im zrabowano — proces ten przebiegał powoli i boleśnie, nie dało się go

nie zauważyć. Morris zmienił się. Ten jej sentymentalny, zmysłowy mąż, który dawniej nieraz zawstydział dzieci, publicznie trzymając ją za rękę i przechwalając się ich szczęściem — para, która potrafi razem się śmiać, potrafi razem żyć — zmieniał się w mdłego, uprzejmego obcego człowieka. W mężczyznę, który dzielił z nią łożę, ale nie dotykał jej; smutek stwardniał w nim niczym cysta obrosła grubą ochronną warstwą. Przestali się kłócić; nawet gniew okazał się zbyt intymny. W ciągu ostatnich kilku tygodni stan ten jeszcze się pogorszył; on zdawał się bardziej zajęty niż zwykle. Może także rozmyślał o tej rocznicy. Był to jeden z wielu tematów, których nie poruszali.

Przeszła przez pokój Becky — panował tu taki sam chlew, jak kiedyś w sypialni Hannah. Przypomniała sobie żarty Morrisa z czasów Stanmore: jak ktoś musi wejść do pokoju Hannah, najpierw powinien się zaszczepić.

Nie wyobrażała sobie, by teraz mógł powiedzieć coś podobnego. Przystanąła — tapeta przed nią rozplynęła się jak we mgle; oczy wypełniły jej się łzami — jej, Val, która nigdy wcześniej nie płakała.

Gdy Morris wrócił z pracy, oznajmiła: — Dziś rano poszłam odwiedzić Hannah i Tobiasa. Zabrałyśmy małego do parku.

— Jak się mają?

— Ona najwyraźniej świetnie sobie radzi z dzieckiem. O wiele lepiej, niż mnie się to kiedykolwiek udawało!

Morris zabrał swój Evening Standard do ogrodu. Val poszła za nim. Z otwartego okna w sąsiednim domu dudniła muzyka rap.

— Ucieszyłaby się, gdybyś ich odwiedził.

— Przecież widuję ich. — Zdjął okulary i przetarł oczy.

— Ale już dawno tam nie byłeś. — Zamilkła, potem dłonią zburzyła mu włosy. — Wiesz, dziś rano myślałam o tym żydowskim przysłowiu, które mi powiedziałeś.

— Dzisiaj rano? Jakie?

— Nie dzisiaj, dawno temu. Dziś rano tylko je sobie przypomniałam. — Ostatnio z trudem przychodziło im się dogadać. Brnęła dalej: — O tym, dlaczego głowa siwieje, a włosy łonowe wciąż pozostają brązowe.

Drgnął. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— No bo tak sobie myślę, czy przypadkiem nie stąd biorą się wszelkie kłopoty — dotknęła swej głowy — a przyjemności tkwią tam, w dole? Jak brzmią te słowa w jidysz?

Pomyślał chwilę. — Mekheye i tsoras — powiedział i otworzył gazetę. Jednak tylko udawał, że ją czyta, nawet nie włożył okularów.

Zastanawiała się, czy dotarło niego, że już tak długo nie uprawiali seksu. Dwa miesiące. A ostatnim razem nabrali ochoty po obejrzeniu w telewizji Deszczowej piosenki.

— Wszystko w porządku? — zaniepokoiła się.

— W jak najlepszym. — Założył okulary, odwrócił stronę gazety.

— Wydajesz się trochę...

— Nic mi nie jest. A dlaczego zależy ci, bym odwiedził Hannah?

— Ależ nie nalegam — zaprotestowała. — Nie o to mi chodzi. — Czasami żałowała, że Morris nie pije, i to bez umiaru. Mogliby razem się ululać. — Po prostu — sama nie wiem. Może pojechalibyśmy tam w ten weekend. Jest tak ciepło i słonecznie, wyjazd za miasto wszystkim by nam dobrze zrobił.

— Nie mogę. — Odwrócił następną stronę. „Wandale niszczą cmentarz zwierząt”. — Zamierzałem ci powiedzieć, wyjeżdżam na ten weekend.

— Jak to?

— Mamy spotkanie w Derby. Przyjeżdżają Niemcy, czeka nas prezentacja. — Odwrócił stronę. — Będę musiał zostać na noc.

Patrzyła na jego siwe, rzadniejące włosy. Zdawał się poświęcać całą uwagę reklamie okazji w domach towarowych Comet. Ogarnęła ją fala radości. — Wspaniale!

Spojrzał na nią. — Niby dlaczego?

— Że cię wysyłają... — Urwała. Niezbyt taktowna uwaga — och, ciągle trzeba uważać! Miała na końcu języka: że wciąż uważają cię za kogoś ważnego.

— To tylko na sobotni wieczór — wyjaśnił. Twarz mu poróżwiała; pewnie od słońca.

Posłała mu uśmiech, ale nie zauważył tego; w tej samej chwili opuścił wzrok na gazetę.

Jakie to dziwne uczucie budzić się w pustym łóżku. Wprawdzie już od wielu tygodni jakby właściwie go tam nie było, teraz jednak fizyczna nieobecność Morrisa wstrząsnęła nią. Dzień wstał piękny, już zapowiadał się upalnie. Gdy się ubierała, ogarnęło ją to samo niezwykle uczucie, jakiego doznała w dniu, gdy robili sobie zdjęcie — rodzina rozpada się wokół niej, znika z jej życia, i ona, Val zostaje sama. Tym razem tak było naprawdę; Becky nocowała w domu przyjaciółki. Przy Val nie było nikogo.

Trochę zaskoczył ją fakt, że Morris nie zostawił jej numeru telefonu hotelu w Derby. W przeszłości, gdy podróżował służbowo, zawsze o tym pamiętał, a jego zwyczaj częstego dzwonienia do domu, by choć chwilę z nią porozmawiać, stał się tematem rodzinnych dykteryjek.

Ogarnął ją smutek. Oddalali się od siebie; już się ze sobą nie komunikowali. A te wszystkie banały, które odnosili do innych przechodzących małżeńskie kłopoty par, gdy rozmawiali o nich z wyższością w poczuciu bezpieczeństwa własnego związku, wszystkie te trywialne uwagi można by zastosować teraz w ich przypadku. Jakby nosili czyjeś ubranie, pijące pod pachami, a jeszcze nie do końca zużyte.

Może nigdy już nie będą do siebie pasować. A może to tylko dzwonek alarmowy, wynik stresów i przeżyć poprzedniego roku? Ona także oddaliła się od męża, to działało w obie strony. Przed rokiem, gdy tamto się wydarzyło, oboje zachowali się godnie. Prawdziwie niszczycielskie okazały się dopiero następne miesiące, długi, ciężki okres bez nadziei na przyszłość. Poczucie winy, żal, problemy z dziećmi. Przytłaczająca atmosfera klaustrofobii. Okno ich sypialni wychodziło na ulicę, na wznoszące się po drugiej stronie domy z czerwonej cegły — samochody, betonowe podwórka, paskudny widok o każdej porze roku. Teraz, sama, nie musiała przed sobą ukrywać: nienawidzi tego miejsca. Nie znosi nędznego mieszkanka z pozbawionymi wdzięku malutkimi pokojami i plastikowymi klamkami, bez jednego zielonego liścia w polu widzenia.

Wcisnęła się w dzinsy. Nie wolno jej dać się ogarnąć pesymizmowi. Wiedziała: poddasz się, to całkiem zatoniesz. Postanowiła wybrać się do centrum ogrodniczego i kupić geranium. Postawi je na parapecie frontowego okna, jako symbol nadziei.

Wyruszyła niewiele później. Becky miała wrócić dopiero w porze lunchu. Przeszła obok cementarzyska opon i szła dalej główną ulicą. Nigdy nie zapomni, o czym rozmyślała w to gorące, niedzielne przedpołudnie: o czasach, gdy pracowała i była zbyt zajęta, by spokojnie usiąść i poczytać. Teraz, choć nie pracowała już od roku, wciąż nie miała czasu na takie sprawy jak czytanie książek czy kupowanie geranium. Samo życie dawało jej dość zajęcia, wpelzając w każdy zakątek jej dnia — sprzątanie, naprawianie sprzętów, by obyc się bez wzywania drogich fachowców, i godziny czekania na publiczny transport, gdy chciała odwiedzić Hannah i Tobiasa czy pojechać do Windsoru do matki, która teraz, gdy Val stała się wolniejsza, nie wiedzieć czemu zdawała się potrzebować jej więcej. Tak oto żyły niepracujące zawodowo kobiety. W jaki sposób u licha udawało jej się kiedyś znajdować czas na pracę?

O tym właśnie myślała, idąc główną ulicą obok zajezdni autobusowej i biblioteki, ostatnio nieczynnej przez trzy dni w tygodniu — oczywiście zawsze, gdy Becky się tam wybierała. Val zapamiętała ten poranek równie wyraźnie jak niedzielę sprzed roku, dzień zniknięcia Hannah.

Skręciła w lewo, teraz schodziła w dół. Po lewej wyłonił się budynek kościoła — bryła z czerwonej cegły, świątynia w stylu zielonoświątkowców. „Jezus nas zbawi”, głosił napis. Czyżby?

Drzwi kościoła stały otworem i wierni zaczęli wysypywać się na ulicę. Wszyscy czarnoskórzy, wystrojeni jak biali z okazji wesela: kapelusze, kremowe suknie, dwuczęściowe kostiumy z jedwabistych materii w maki. W przeszłości podobne widoki podnosiły Val na duchu, teraz jednak poczuła się odizolowana, nie tylko z powodu koloru swej skóry, lecz także przez swą samotność. Rodziny, na które patrzyła, zdawały się takie szczęśliwe, tak dobrze wychowane! Bogobojne małe dziewczynki w białych skarpetkach, ze wstążkami we włosach.

— Pani Price?

Odwróciła się. Obok niej zatrzymała się matka Joelle. Spotkały się kilka razy przy okazji rozmaitych szkolnych wydarzeń. Przystojna, ubrana w tradycyjnym stylu kobieta — toczek i odpowiedni kostium, działała na Val onieśmialająco; nie na tę dawną, lecz obecną Val. Obok niej stali jej córka Joelle i syn.

— Jak się miewa Rebecca? — zapytała matka Joelle.

— Wczoraj poszła na party. — Val odwróciła się do Joelle: — Ty też?

Dziewczyna skinęła głową. — Jedna wielka kupa.

— Joelle! — skarciła ją matka.

— Przepraszam. — Joelle przygryzła wargę. Val zastanawiała się w duchu, czy jej matka wie coś o tych podejrzeniach ciąży. Usiłowała przypomnieć sobie imię tej kobiety.

Wokół nich co chwilę ktoś unosił kapelusz. Pozdrawiano się ze staromodną kurtuazją. Matka Joelle znów zwróciła się do Val. — A jak się miewa pani druga córka?

— Hannah? Wyśmienicie.

— A maleńki?

Val nie zapamiętała swej odpowiedzi, bo następne słowa matki Joelle starły wszystko inne z jej pamięci.

— W zeszłym tygodniu nie widziałam pani wnuczka. Pewnie zostawili go w samochodzie.

— O kim pani mówi? — zdziwiła się Val.

— O pani córce — ciągnęła tamta cierpliwie. W tym dniu była w kawiarni z pani mężem.

— Hannah?

— Już miałam się przywitać, ale wyszli.

Prawda, główkowała gorączkowo Val, ta kobieta pracuje w jakiejś knajpie. Becky opowiadała, że sprząta ze stołów.

— Gdzie to było? — zapytała.

— Tam, gdzie pracuję. Hatfield House. Właśnie nadeszła duża grupa, cały autobus, więc nie zdołałam precyzyjnie się do ich stolika, by się przywitać. Ładna dziewczyna, nieprawdaż?

Kobieta odwróciła się, by pozdrowić następną osobę. Val wycofała się. Odeszła za róg i stanęła jak wryta, ze wzrokiem wbitym w kosz na śmieci. „Zachowajcie piękno Brent” — głosił na nim napis.

Przecież Morris nie był u Hannah od wielu tygodni. Nie zabrał jej do Hatfield House.

I mama Joelle nie wie, jak Hannah wygląda.

Ładna dziewczyna, nieprawdaż?

Morris wrócił do domu o zachodzie słońca. Nie zauważył geranium, bo żadnego nie kupił.

Obserwowała go, gdy zostawiał torbę w saloniku. Aż westchnął z wysiłku. Stał odwrócony do niej plecami, w tym lekkim, granatowym ubraniu, które mu sprawiła. Wyjrzał przez okno. Dopiero po chwili zauważyła, że mówi coś do niej.

— ...według opublikowanych badań, dziewięćdziesiąt dwa procent wezwań to fałszywy alarm, uwierzyłyabyś? Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jest ich aż tak dużo. Te dane podał nam przedstawiciel głównej komendy policji...

Te wałki tłuszczu na jego karku, fałdy skóry pod kołnierzykiem.

— ...Niemcy pracują nad kamerami wielkości kciuka, fotografie będą przesyłane telefonicznie do prywatnych firm ochroniarskich — musimy się na to załapać...

Lniany garnitur, załamania na plecach marynarki. Gdyby Morrisowi dać wolną rękę, kupiłby sobie jakąś okropną mieszankę poliestru, bo to najłatwiej. Sprawiała mu ten, gdyż chciała, by wyglądał z klasą.

— ...ci z Probe FX, tej firmy z Walsall, demonstrowali nam farbę — wykrywacz kradzieży... niewidoczna, rozpryskiwana z umieszczonych ponad głowami zbiorników.

— O czym ty, do cholery, mówisz? Morris urwał. Nie odwrócił się.

— Kim ona jest? — zapytała.

Rozdział czwarty

Łatwiej dawać niż przyjmować. Hannah wertowała swoje stare notatki z ostatniej klasy. Słowa otwierały się przed nią, niczym usta przemawiały do niej ze stron. Skąd E. M. Foster to wiedział, przecież nigdy nie był rodzicem? I nigdy go nie porwano. Wyrzała przez okno. Na podwórku trójka dzieciaków wrywała sobie wózek z supermarketu. Jedno zwyciężyło i znikło z nim w podcieniach bloku.

W ten poniedziałkowy poranek wreszcie podjęła decyzję: nie zrezygnuje z końcowych egzaminów. Jutro wybierze się do Westway Community College i zorientuje się, czy będzie mogła przystąpić do nich we wrześniu. To nie dokończona sprawa; szkody należy naprawiać.

Końcowe egzaminy. Jakże staroświecki termin, niczym podmuch przeszłości! Niedługo skończy dziewiętnaście lat, ale czuła się znacznie starsza. Była matką. Jej piersi przypominały dwa nabrzmiące mlekiem głązy. Zanim wróci do college'u, musi odstawić Tobiasa — jaka szkoda, karmienie dawało jej tyle radości! Ssać, patrzył jej w oczy; zaglądał do jej duszy. Palcami przebierał po piersi, naciskał. Kiedyś martwiła się tuszą; teraz jej ciało przypominało dojrzały, pełny owoc. Należało do niego, tak jak jego ciało należało do niej. Gdy był zadowolony, oczka zachodziły mu mgłą; po buzi przesuwaly się wszelkie rodzaje pogody. Odnalazła w nim wszystko... kochanka, którego nigdy nie miała... swego wybawiciela, swą udrękę i radość. Dzięki niemu bezpowrotnie wymknęła się z okresu dojrzewania, jego narodziny niczym milowe buty przeniosły ją przez wszystkie te żenujące sprawy: całusy po kątach, chichoty, poczucie niepewności: czy ja mu się podobam?

— Tyle tracisz! — narzekała mama. — Wszystko, czym powinny się zajmować dziewczyny w twoim wieku.

— Rzeczywiście — przyznała. — I dzięki Bogu.

Wykonała skok, i już nie było powrotu. Poznikały nawet pryszcze.

Mieszkanie znajdowało się na osiedlu komunalnych bloków w Notting Hill. Podnajeła je od Anette, byłej przyjaciółki Theo, która wyjechała do Tajlandii. Dom, w którym zamieszkała, należał do tego rodzaju budynków, jakie dotąd widywała jedynie w telewizyjnych serialach; choćby ta scena, gdy policjanci suną nie zadaszonym korytarzem, wyłamują drzwi i z zaskoczenia obezwładniają kilku czarnoskórych mężczyzn. Gdy się tu wprowadziła, rodzice byli przerażeni okolicą, ale w istocie sąsiedzi okazali się o wiele bardziej przyjaźni niż ci w Stanmore. Yasmin, mała dziewczynka z sąsiedztwa, oszalała

na punkcie Tobiasa i spędzała pół dnia w mieszkaniu Hannah, nosząc małego na rękach, jakby do niej należał. O świcie głośne dźwięki dudniącej muzyki towarzyszyły Hannah przy karmieniu dziecka. Całe ich piętro opanowała też gorączka loteryjna od czasu, gdy staruszek z mieszkania na końcu korytarza wygrał siedemdziesiąt osiem funtów. Hannah wypełniała kupon każdego tygodnia. Nieraz przychodziło jej do głowy, że gdyby jej życie okazało się wątkiem telewizyjnego przedstawienia, wygrałaby te pięćset tysięcy funtów, zniosła czek rodzicom, a oni wybaczyliby jej i wszystko znów wróciłoby do normy.

Bo, oczywiście, nic nie było w porządku. Czuła się odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Gdyby wtedy nie wybrała się do Camden Lock, gdyby nie dała się ponieść próżności — Chcecie mi zrobić zdjęcie? Do działu mody?

To samo było już wystarczająco złe. Ale potem, gdy rodzice powoli zaczynali zwierać szeregi i mobilizować się, gdy bez słowa skargi rezygnowali z najbardziej kosztownych rzeczy, a ją traktowali z taką wyrozumiałością, jakby była inwalidką, powtarzając: nie, to nie ma znaczenia, nic teraz się nie liczy, jak już cię odzyskaliśmy zdrową i całą... wtedy oznajmiła im swoją nowinę, i to ich dobiło.

Musiała odejść. Nie mogła pozostać w domu. Rodzice nadal, nawet po siedmiu miesiącach nie potrafili zrozumieć jej decyzji. Musiała przecież uwolnić ich z tych niepokojących, związanych z jej osobą emocji; oswobodzić siebie, wszystkich. Zmagania z samotnością to przynajmniej czysta walka, bez osadu poczucia winy, z dala od klaustrofobii domu, w którym każde wypowiedziane słowo, każdy przedmiot były dla niej wyrzutem. Ciężko radzić sobie samej z dzieckiem, ale w jakiś dziwny sposób właśnie te surowe warunki postawiły ją na nogi; rozumiał to nawet E. M. Foster. Czy rodzice nie mogą pojąć, że łatwiej jej przyjmować od państwa niż od nich?

Nastawiła w kuchni czajnik. Za oknem, na balkonach naprzeciwko suszyło się pranie. Zmieniająca się wystawa bielizny innych ludzi już dawno nie miała dla niej żadnych tajemnic. W porównaniu do Stanmore, życie toczyło się tu w pełnym świetle, eksponowane. Klótnie, głośne rozmowy, wrzaski dochodzące przez ścianę. Na podwórku pod domem mężczyźni majstrowali przy wrakach ciężarówek. Dzieci biegały bez nadzoru, przypominały psy baraszkujące pod tablicą „Nie wprowadzać psów”. Wrzuciła do kubka torebkę herbaty, naląła wody. Znała także posiłki sąsiadów, poznawała je węchem. Zżyła się z ich kuchnią w takim samym stopniu jak z wystawianiem majtek na widok publiczny.

Usiadła, przysunęła teczkę z notatkami z kursu cywilizacji klasycznej. Okładkę zdobiły nagryzmołone esy-floresy i wiadomości dla Tanyi, z którą kiedyś siedziała w jednej ławce. Z przenośnego łóżeczka Tobiasa dobiegło ją kichnięcie — cichutki i zdumiewająco dojrzały dźwięk, kichnięcie w miniaturze. Rzuciła na malca okiem. Zalała ją fala miłości. Jakie to dziwne, urodzić dziecko mężczyzny, którego nigdy nie widziała! Mieszkało tu wiele samotnych matek, ale one znały ojców swych dzieci, nawet krzykliwie na nich nadawały. Gnojek! Drań! Czasami czuła się jak Święta Maria Dziewica, zapłodniona przez ducha. Głos, ostra szorstkość policzka, język, penis — części ciała mężczyzny, który tam był, a jakby go nie było. Nieraz przypatrywała się twarzom mężczyzn na ulicy — jedna z nich może należeć do niego, a ona nigdy się nie dowie. Tobias też nigdy nie będzie wiedział. Pewnego dnia, w kolejce lub stłoczona w metrze może poczuje jego zapach, gdy będzie blisko niej. Aon, oczywiście, rozpoznają.

Spojrzała na synka; leżał rozpalony, z włoskami klejącymi się do czółka. Czarne włoski były jedyną cechą, w której do tej pory dopatrzyła się podobieństwa do siebie. Czy przypominał ojca? Tego nigdy się nie dowie. Co za niesamowita myśl!

Nie odrywała wzroku od małego. Jaki on czysty i niewinny, jakie nieskomplikowane ma potrzeby! Nic dziwnego, otoczony miłością, nie znał korodującej natury zła. Nie wydarzyło się nic, co mogłoby przyprawić go o poczucie winy. Gładkiego czoła dziecka nie szpeciła żadna zmarszczka niepokoju. Po prostu sobie leżał, z dwoma paluszkami w buzi.

Zamknęła teczkę z notatkami i pochyliła się nad dzieckiem, by wziąć je na rękę. W tym akurat momencie ktoś mocno zastukał do mieszkania — dzwonek miała zepsuty. Tobias skrzywił buzię.

Wzięła go na rękę, przełożyła przez ramię i otworzyła drzwi. Stała tam Becky, blada jak śmierć.

— Becky! Co się stało? Nie powinnaś być teraz w szkole?

Siostra odsunęła ją, wepchnęła się do środka. Wybuchła płaczem, zanoszącym się chlupaniem. Tobias rozwrzeszczał się na dobre.

— Becky! Co jest?

Dziewczyna wydawała przerażające dźwięki, zupełnie jakby przez gardło wyciągano z niej wnętrzności. Zawsze tak płakała; w jej żalu było coś teatralnego. Hannah usiadła obok niej na wersalce. Próbowwała objąć siostrę ramieniem, ale ta odsunęła się. — Co się stało? — Tobias krzyczał coraz głośniej. Przytrzymała go ramieniem. — Daj spokój, Becky! — W uchu siostry dostrzegła srebrnego delfina; kiedyś należał do niej.

Chlipanie ustało. Becky grzbietem dłoni otarła nos. — Tak okropnie, strasznie się pokłócili.

— Kto?

— Mama i tato. Musiałam się wynieść, krzyczeli przez całą noc. Nienawidzę go! Zabiłabym go!

— A co takiego zrobił?

— Nigdy już nie wrócę do domu! Zniknę i nikt mnie nie znajdzie.

— Nie bądź głupia. Już raz to przerabiali. I co mama sobie pomyśli, gdy pójdzie po ciebie do szkoły? Może dostać ataku serca, jeżeli cię tam nie zastanie. — Podsunęła siostrze garnuszek z herbatą. — Napij się trochę. Uspokój się. I powiedz mi, co się stało.

— On wyjechał na weekend. Wrócił wczoraj wieczorem i wtedy wybuchła ta awantura.

— O co?

— Tata ma przyjaciółkę.

Rozdział piąty

Gdzie się podziewałeś przez cały dzień?

— Na działkach. — Jon odłożył kask na stół. Przesunął dłonią po sztywno nastroszonych, brązowych włosach. Jej przystojniak.

— Ale mieliśmy przecież oglądać domy, obiecałeś.

— O Boże, naprawdę? — Pocałował ją w czoło. — Zajmiemy się tym jutro. Strasznie przepraszam. — Poczwała od niego zapach potu.

Wszedł do łazienki; po chwili usłyszała syk prysznic. Jon był jedynym znanym jej facetem, który puszczał wodę, jeszcze zanim się rozebrał. Głupek małpuje z amerykańskich filmów, pomyślała.

Wyszła na balkon. Słońce chowało się za ozdobionym wieżyczkami budynkiem. Jon wiedział, co się w nim mieści: muzeum czy coś w tym rodzaju. Jest czerwiec. Za miesiąc, już po ślubie, Jon będzie do niej należał. Pobiorą się i wszystko się ułoży.

Usiadła, zapaliła papierosa. Popatrzyła na skrzynki, na rosnące w nich wawrzyny, w niektórych także geranium i to coś wrzosowatego, jak to się nazywa? Jon poczuł się dotknięty, gdy wynajęła zawodowego ogrodnika; wolałby sam zająć się sadzeniem roślin. No pewnie! Nigdy by się nie zabrał do tej roboty, począwszy od wwiezienia całego kramu windą. A zresztą, na co ta harówka, jeżeli można oszczędzić sobie kłopotu i znaleźć kogoś, kto się wszystkim zajmie? Stroił fochy przez wiele dni. Czasem przychodziło jej do głowy, że całkiem zbzikował. Mieli tyle forsy, dlaczego się nią nie cieszyć? Ale kochała go; Chryste, jak ona kochała tego mężczyznę!

Nie wolno jej tylko okazać, jak bardzo go potrzebuje. Wystraszyłby się nie na żarty. Kiedyś miała nad nim władzę, ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy najwyraźniej jej się wymykał — Bóg jeden wie dlaczego, przecież miał wszystko, o czym marzył — ale odzyska go. Pobiorą się; zajdzie w ciążę. Podejmą całą forszę i kupią sobie coś na stałe, to miejsce tylko wynajmowali. Może niepokoił się ostatecznością zbliżających się zobowiązań. Nie powinna na niego naciskać, zresztą, czyż do tej pory nie radziła sobie doskonale? Nie wolno jej się zdradzić. Nie może dopuścić, by poczuł się jak w pułapce. By zaczął cokolwiek podejrzewać...

Zadeptała papierosa, wyrzuciła niedopałek przez balkon. Imponowała mu sposobem, jakim zarządzała ich finansami. Pewnie, trochę wydała — używany mercedes, meble — ale i tak zostało czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Jak na razie żyli z procentów z kas oszczędnościowo-budowlanych. Wszystko to dokładnie sobie przemyślała. Za nie więcej niż połowę pieniędzy kupią dom, resztę

zainwestują. Od miesięcy wertowała strony biznesowe Evening Standard i zaznajamiała się z informacjami o akcjach i funduszach powierniczych. Dochód może niewielki, ale wystarczy na utrzymanie. Postanowiła też założyć własną firmę, zając się terapią zapachową i masażem. Jon był lichym stolarzem, dlatego nigdy nie utrzymał żadnej pracy, ale nadawał się, by wieść życie dżentelmena. Już ona się nim zaopiekuje. Będzie do niej należał. Tylko do niej.

Rozegrała to nieźle, te rodzinne opowieści. Uważał ją za osobę nie liczącą się z żadnymi normami. I kiedyś była taka, gdy jeszcze uwielbiała go szokować. Jak choćby z narkotykami, i w ogóle. Ale w ciągu ostatnich miesięcy coś w niej pękło. Pieniądze powinny były ich zbliżyć, dostarczyć im dobrej rozrywki. Tymczasem Jon zachowywał się jakoś dziwnie. Godzinami przesiadywał w ciemności, zniknął gdzieś na swym motocyklu. Zaczynała panikować. Potrzebuje go, na całym świecie nie ma nikogo poza nim. Żeby tak móc zamknąć go na klucz, rodzić mu dzieci! To miejsce nie nadawało się dla nich; Jon nie potrafił zadomowić się w Kensington. Mieszkali tu prawie rok, a on wciąż czuł się obco. Wiedziała, że zrobi wszystko, by tylko go zatrzymać; wytapetuje ściany, będzie kopać w ogródku. Pragnęła tego. Ona, Eva!

Kochała go na śmierć i życie. Tak gwałtownie, że mogłaby wywrócić go na drugą stronę i lizać mu wnętrzności. Nigdy dotąd nie poznała mężczyzny, który by dotknął jej duszy i nawet zdawał się ją lubić. Był taki łagodny, i jaki wspaniały kochanek. Kochany, kochaneńki, cudowny. Rozumiał jej ciało. Potrafił doprowadzić ją do szczytowania głęboko w środku, i jeszcze raz, i ponownie, a jeżeli sam pierwszy doznał orgazmu, nie przestawał, dotrzymywał jej kroku. I cały czas patrzył na nią — zaglądał w jej duszę. Nawet podobało mu się to, co tam widział — jej bynajmniej, ale jemu, owszem. Rozumiał te jej ciemne miejsca, znał całe paskudztwo jej wnętrza. Poznał jej wszystkie sekrety; był jej jedynym przyjacielem. Jeżeli zostawi ją, ona umrze — to pewne, ale najpierw go zabije.

Na zawsze zapamiętała to, o czym wtedy myślała, gdy siedziała na balkonie i marzyła o ich wspólnej przyszłości. Następnego dnia mieli wybrać się do Harvey Nichols po jej ślubny strój. Dokładnie wiedziała, czego chce: kremowy jedwabny kostium od Jaspera Conrana czy podobnej klasy projektanta. Potem pojedą do Urzędu Stanu Cywilnego w Chelsea, by dograć szczegóły. Miała to być ekskluzywna ceremonia, w obecności garstki przyjaciół. Jej mama i tata na pewno nie figurowali na liście gości.

Ktoś na dole urządzał barbecue; dym piał się w górę. Zatrąbiła przejeżdżająca ulicą taksówka. I później wciąż pamiętała zdanie, które wtedy przyszło jej do głowy: on na okrągło bierze prysznic.

Wstała i weszła do sypialni. Jon siedział tam, przygarbiony. Ostatnio bardzo schudł, kręgosłup rysował mu się wyraźnie niczym przeciągnięty pod skórą naszyjnik. Usiadła obok niego, dotknęła jego ramienia; drgnął gwałtownie.

— Przeziębisz się — zauważyła.

Odwrócił się — ten wyraz jego twarzy! Jakby nigdy dotąd jej nie widział.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic.

— Daj spokój, Jonny, o co chodzi? Od dawna dziwnie się zachowujesz. — Poglaskała go po udzie; wzdrygnął się. — O co chodzi?

Nie zareagował, wpatrzony w jej misie, wsparte na poduszce.

— Już wiem, bzykasz kogoś innego — powiedziała lekko. — Pewnie wtedy, gdy udajesz, że jeździsz na działki... Nawozisz jakąś!

Odwrócił się natychmiast. — Co takiego?

— Tylko żartowałam.

Po chwili przyznał: — Pojechałem tam w zeszłym tygodniu.

— Dokąd?

— Tam, gdzie mieszkają Price'owie.

— Price'owie?

— Ludzie, którym zabraliśmy forszę. Oni wyprowadzili się do Harlegden.

— Tam pojechałeś? Co za głupota, mogli cię zobaczyć! Potrząsnął głową. — Nie było ich.

— A po co tam pojechałeś? Oszalałeś czy co?

— Chciałem się upewnić, że u niej wszystko w porządku. U Hannah. Wiedziałem, że wyniosła się z domu, dowiedziałem się kilka miesięcy temu, byłem tam już wcześniej.

— Kiedy?

— To bez znaczenia.

— Chcesz, żeby cię zamknęli?

— Musiałem dowiedzieć się, co się wydarzyło. Szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie, czy dowiedzą się, kim jestem.

— Co takiego?

— Ale nie zastałem ich — mówił dziwnie martwym, pozbawionym emocji tonem. — Waliłem w drzwi i kobieta z góry powiedziała, że się wyprowadzili. Podobno w zeszłym tygodniu strasznie się pokłócili. Wrzaski dochodziły do niej przez podłogę. — Palcem wskazującym pocierał czoło, w górę i w dół. —

Ojciec odszedł następnego dnia. A potem pani Price wyprowadziła się razem z drugą córką, tą młodszą. Rodzina się rozpadła, i to wszystko przez nas.

— Dokąd odeszli?

Potrząsnął głową. — Nie wiem — mówił zdławionym głosem. — Nie mogę tego znieść.

Trząsnął się cały. Cholera, on płakał! Nigdy wcześniej nie widziała go płaczącego. Objęła go ramionami, ale sztywno wyprostowany, ani drgnął.

— Daj spokój, Jonny, i tak by się rozeszli, nie mamy z tym nic wspólnego, Wyrwał się z jej uścisku. — Tak? Naprawdę?

— No dobrze, to nasza wina — stwierdziła z goryczą. — A czy to ja jestem winna temu, co ten gość mi zrobił?

— Jaki gość?

— Przyjaciel mamusi, Arnold. Opowiadałam ci...

— To nie ma nic do rzeczy.

— Ten pieprzony gnojek zwichnął mi szczękę. Miałam dwanaście lat! Musiałam powiedzieć lekarzowi, wyjaśniać, co się stało, że tak mnie walnął. Wiesz, co ja czułam, potrafisz sobie wyobrazić?

— A więc uznałaś: życie jest do kitu i należy się na kimś odegrać?

— Mam ci opowiedzieć z detalami, co się wydarzyło?

— Już mówiłaś. — Uniósł głowę i spojrzał na nią. — Tyle że, niestety, nie wierzę ci.

— Co takiego?

— Nie wierzę w te twoje opowieści. Wymyślałaś je, by zdobyć moje współczucie. — Otarł nos wierzchem dłoni. — Ale najgorsze, że już na niczym mi nie zależy.

— Jon... — urwała. Wróciły dawne skurcze żołądka; nie miała ich już od lat. Wstrzymała oddech, próbowała napiąć brzuch.

Jon patrzył na nią, ale w oczach miał pustkę. Łzy spływały mu po policzkach, gromadziły się w kącikach ust. — Nie obchodziło mnie tam, czy mnie zobaczą. Obojętne mi było, czy mnie złapią.

— Nie zależy ci na mnie?

— Nie mogę o nich zapomnieć — w ogóle jej nie słuchał. — Próbowałem, ale nie dam rady.

— A co ze mną?

Pomyślał przez chwilę. — Powiedziała mi, bym zamknął oczy i posłuchał, gdy coś mówisz... Ale jest jeszcze gorzej, gdy je otwieram...

Odszedł następnego dnia. Rano zawiozła samochód na przegląd do serwisu mercedesa. Po powrocie mieszkanie zastała puste. Wyczuła nieobecność Jona, zanim jeszcze przekroczyła próg.

— Jonny?

Pospieszyła do sypialni. Nikogo. Drzwi do łazienki były otwarte na oścież; jego kosmetyczka znikła. W szafie brakowało torby podróżnej.

Wróciła do saloniku. Wsunęła szufladę biurka i przewertowała dokumenty. Paszport Jona znikł. Na stole stał jego garnuszek do kawy; jeszcze ciepły.

Później próbowała sobie przypomnieć, co wtedy robiła. Stała odrętwiała, jak ktoś, kto uderzy się w palec u nogi i przez chwilę ból nie dociera do mózgu. Najpierw wymiotowała do klozetu. Potem próbowała zwinąć sobie jointa, ale nie udało jej się skleić tych cholernych rizlasów. I wtedy rozplakała się. Nawet nie zauważyła, że naląła sobie wódkę z tonikiem. I wrzuciła kostki lodu. Próbowwała unieść szklanekę do ust; kostki zagrzechotały o ścianki naczynia.

Zadzwieczał domofon. Podniosła się, ujęła słuchawkę. — Przesyłka od Johna Lewisa — powiedział męski głos.

Przez moment pomyślała: to tylko jakiś żart! Za chwilę usłyszę windę i Jon pojawi się w drzwiach z niespodzianką, prezentem zamówionym na nasz ślub.

W drzwiach stanął wielki, czarny mężczyzna. Przyniósł kartonowe pudło. — Gdzie mam postawić? — zapytał. Wskazała na podłogę. — Chce pani sprawdzić, czy jest wszystko? — Postawił pudło.

Przecież go nie okłamywała. No, może troszkę. Ale w dzieciństwie z pewnością wiele jej się przydarzyło, a później całe zło stłumiła w podświadomości — syndrom zapomnienia. Na pewno wykorzystywano ją, i jej mama z poczucia winy oddała ją pod opiekę obcym ludziom. To musiała być przyczyna, nieważne, czy zapamiętała coś z tego, czy nie. Czyżby Jon nie kochał jej na tyle, by jej uwierzyć?

— Na pewno nie chce pani otworzyć? — raz jeszcze zapytał posłaniec. Rozłożył kartkę papieru. — Proszę tu podpisać, złociutka.

Z trudem udało jej się poruszyć dłonią. Nagryzmoliła parafkę, co mężczyznę najwyraźniej zadowoliło, bo znów została sama. Pudło kryło ekspres do kawy marki Gaggia. Zawsze przepadali za kawą z ekspresu, i patrzcie tylko! Teraz sami mogli ją sobie przygotowywać.

Wróciła do kuchni, by na nowo napełnić sobie szklanekę, i dopiero wtedy dostrzegła kartkę opartą o pojemnik z chlebem.

Kochana Evo. Wybacz, jestem tchórzem, od początku nim byłem. Tak będzie najlepiej. Nie próbuj mnie szukać, bo wyjeżdżam daleko i nie wrócę.

Wybacz mi. Życzę ci wszystkiego najlepszego na przyszłość, całuję, Jon. PS Oddaj moje rzeczy komuś, komu się przydadzą, jakiejś organizacji charytatywnej...

Wróciła do saloniku i jeszcze raz wysunęła szufladę. Wyjęła książeczki czekowe. Cztery na jego nazwisko, z kas oszczędnościowo-budowlanych, znikły.

Później tego samego popołudnia poszła odebrać samochód. Plastikowa płachta, zostawiona przez mechaników na siedzeniu, kleiła jej się do pleców. Mimo rozsuniętego dachu była lepka od potu, zupełnie jakby miała gorączkę. Pojechała na działki do Acton. Sama nie wiedziała, po co; straciła jasność myśli. Jon z pewnością tam się nie ukrył, nie chciała jednak siedzieć bezczynnie. Jechała przez miasto, w którym nie było Jona. Zabrał swój pieprzony paszport. Zniknął bez śladu, jakby go porwano. A raczej, jakby porwał sam siebie. Porwał. Zabawne słowo, gdy zastosować do siebie, pomyślała; a więc tak się wtedy człowiek czuje. Ktoś, oni, po prostu znikają. Jakby pochłonęła ich ziemia.

Nie była na działce od roku. Jon spędzał tam wiele czasu; przywoził do domu posadzone przez siebie jarzyny. Z dumą je kładł przed nią. Drań. Jak mógł wykręcić jej taki numer? Owszem, zauważyła, że zachowywał się dziwnie. Może kompletnie ześwirował? Może poszedł na policję i przyznał się; w końcu się załamał. Kto wie, być może właśnie w tej chwili opowiada im o niej, podaje adres. Takie myśli przemykały jej pod czaszką, tyle że niewiele ją obchodziły. Niedługo zajmie się tą ewentualnością, ale jeszcze nie teraz. Może znajdzie coś, co wskaże jej, dokąd ten drań mógł się udać.

Brama stała otworem. Była szósta po południu. W pewnej odległości nad grządkami pochylały się jakieś stare pryki. Poczowała zupę — wiało z kierunku fabryki Heinza. Zapach przywrócił wspomnienia pośpiechu, podekscytowania. Ona i Jon, partnerzy w zbrodni. Uniesienia i lęki. Ich dwoje przeciw całemu światu...

Podjechała pod działkę, zaparkowała auto. Przez chwilę wydawało jej się, że zablądziła. Ale nie, wciąż stała tam szopa z drzwiami zamkniętymi na kłódkę; obok kran i stara porzewiała wanna.

Obrzuciła spojrzeniem teren. Przez chwilę pozostała w samochodzie, zbierała myśli. To przecież tutaj, czyż nie? Gdzieś tutaj, do cholery!

Miejsce było kompletnie zarośnięte chwastami. Wszędzie wysokie do kolan pokrzywy i osty. Pieprzona dżungla. Nikt nie zachodził tu od tygodni.

Przez jakiś czas nie ruszała się. Siedziała w wozie, nie wyłączyła silnika. Potem zapewne odjechała, ale nawet nie pamiętała drogi powrotnej do domu.

Jednak wróciła do mieszkania. Przeszukała lodówkę. Jeszcze przed dwoma dniami Jon wrócił z działki z jarzynami.

Wyciągnęła nylonową torbę, wciśniętą na samo dno pojemnika na jarzyny. Wyjęła sałatę, kilka pomidorów i wiązki rukwi. Sałata była zbyt czysta. I nawet ona wiedziała, że rukwi nie hoduje się na działce.

Cholera! Cholera! Cholera!

Nie był tam ani razu przez całe pieprzone lato. Jeździł gdzieś indziej, a te cholerne warzywa po prostu kupował w drodze do domu. W sklepie. Od miesięcy okłamywał ją. I od miesięcy coś planował — cały ten czas, gdy ona głądziła o ich przyszłości. O ślubie, o domu.

Co, do cholery, robił? Dokąd jeździł? Z jakąś kobietą?

Lodówka ożyła, zaszumiała. Zamknęła drzwiczki. Kurcze żołądka przybrały na intensywności. Pozostała skulona na podłodze; zupełnie jakby straciła władzę w nogach.

Siedziała tak i wspominała ich kłótnie sprzed roku, zanim to wszystko się zaczęło. Jak dokuczała mu na temat Susan, jednej z jego dawnych dziewczyn. Podniecała się własnymi słowami, sama rozpaliała swój gniew. Krzyczała na niego: Jeżeli kiedykolwiek innie zostawisz, odnajdę cię! Nawet po latach. Możesz wynieść się na koniec tego pieprzonego świata, i tak cię dopadnę!

Rozdział szósty

Którejś wrześniowej niedzieli Hannah wybrała się do Windsoru. Mieszkały tam jej matka z Becky; wprowadziły się do babci Wilson. I najwyraźniej sytuację trudno by było nazwać idealną; wraz z nadejściem lata cierpliwość wszystkich zainteresowanych zdawała się na wyczerpaniu. Może dlatego matka zaprosiła ją na lunch. — Przyjedź, proszę — powiedziała przez telefon. — Chcę z tobą porozmawiać. I koniecznie przywieź ze sobą Tobiasa — dodała, jakby nagle przyszło jej do głowy, że córka mogłaby zostawić dziecko same w mieszkaniu.

Hannah wsiadła do pociągu. W miarę jak za oknami przemykały kolejne domy, wpadała w coraz lepszy nastrój. Małżeństwo rodziców rozpadło się, matka czuła się nieszczęśliwa, Becky po raz kolejny straciła szkolne przyjaciółki — trudno o bardziej beznadziejną sytuację. I choć Hannah zdawała sobie sprawę, że jej beztroska jest wysoce samolubna, nic nie mogła na to poradzić — w ciągu ostatnich trzech miesięcy spotkało ją coś nadzwyczajnego: straciła poczucie winy. Teraz ojciec przejął rolę winowajcy. Uwolnił ją od ciężaru, przenosząc go na własne barki. Jej tato, cudzołożnik, niewierny mąż, nie wywiązujący się ze swych obowiązków mężczyzna, który uciekł z o połowę od siebie młodszą dziewczyną i zaszył się z nią w St Albans. Oczywiście, była na niego zła, ale równocześnie głęboko mu wdzięczna, z czego mogła się zwierzyć jedynie synkowi, który i tak nic by nie zrozumiał. Jeszcze w pociągu pochyliła się nad nim i wraz z oddechem muskającym mu główkę — jakie delikatne te jego włoski! — przekazała mu swój sekret. Wydychając poczucie winy, wdychała niewinność dziecka.

Babcia Wilson nigdy nie wyglądała jak babcia. Ta wiotka niczym bibułka kobieta, nadal piękna, nosiła narciarskie spodnie, grała w brydża i z zapalem zajmowała się ogrodem. Z dziadkiem, radcą prawnym, mieszkała w dużym, edwardiańskim domu. Żyła tam od zawsze; wychowały się w nim Val i jej siostra, ciocia Sophie, która wyemigrowała do Kanady. Teraz matka Hannah powróciła do domu swego dzieciństwa.

To ona otworzyła drzwi — jakaś mniejsza; jakby się skurczyła. Wargi pomarszczone, jakby mocno ściągnięte sznurkiem. Pocałowała Tobiasa w czubek głowy. — Z każdym dniem coraz bardziej przypomina swego ojca.

— Co takiego? — zdumiała się Hannah.

— Tylko żartowałam.

Weszły do środka i Hannah poczuła znajome zapachy: pasty do czyszczenia mebli i papierosów babci. Ale żeby matka pozwalała sobie na takie dziwaczne

żarty! Val miała na sobie dzinsy i podkoszulek z napisem Windsor Park Garden Centre.

— Gdzie babcia i Becky? — zapytała Hannah.

— Wyszły. Wrócą później. To ja chciałam porozmawiać z tobą na osobności.

Hannah podała jej Tobiasa. Matka trzymała go niezgrabnie, niczym paczkę, którą listonosz przekazał jej dla sąsiadów. Nie umiała radzić sobie z małymi dziećmi. Nigdy zresztą nie cechowało jej przesadne macierzyństwo. Jak i babcie Wilson; może Val po niej to odziedziczyła.

Weszły do saloniku. Z okien wychodzących na ogród w najdalszym jego kącie widać było huśtawkę, na której kiedyś huśtała się matka, tak jak potem Hannah w ich ogrodzie w Stanmore.

Val oddała córce Tobiasa i naląła sobie i jej trochę cinzano.

— Powinam chyba najpierw podgrzać mu butelkę — stwierdziła Hannah. — Próbuję go odstawić. W przyszłym tygodniu zacznę naukę w college'u.

Matka zignorowała tę informację. — Czy ty już ją widziałaś? — zapytała szybko.

Hannah potrząsnęła głową. — Kimberley? Podobno rzuciła pracę. Uczy się na pielęgniarkę.

— Nic dziwnego, że się w niej zakochał. Twój ojciec zawsze był okropnym hipochondrykiem. — Poszła za Hannah do kuchni. — Zupełnie jakby pedofil związał się z nauczycielką ze szkoły podstawowej.

— Mamo! — Hannah posadziła sobie Tobiasa na biodrze i rozglądała się za garnuszką. Matka nie kwapiła się z pomocą.

— Nie wystarczyło mu cudzołóstwo, musiał jeszcze zadać się z kimś o imieniu Kimberley! Jak on mógł?

— Imię najzwyklejsze w świecie — zaprotestowała Hannah. — Jedną z aktorek w Sąsiadach to też Kimberley.

— To właśnie miałam na myśli. A więc nie poznałaś jej? Hannah potrząsnęła głową. Wiedziała tylko, że ojciec wprowadził się do mieszkania Kimberley w St Albans. I że dzielą je z dwoma australijskimi pielęgniarkami. W innej sytuacji byłoby fascynujące wyobrazić sobie tatę w tym niezwykłym haremie.

— Ona zdaje się nosi podkoszulki z wizerunkiem Snoopy'ego — zakpiła matka. — Wiesz, jak poznałam twego ojca, babcia miała go za prostaka.

— Mamo! Ty przecież nigdy tak nie uważałaś. — Hannah zrezygnowała z garnuszka. — Twierdziłaś, że tata był romantykiem, człowiekiem uczuciowym i takim nieangielskim. Uznałaś te cechy za niezwykle pociągające. Babcie i

dziadka nazywałaś skończonymi snobami. — Usiadła, rozpięła stanik i przyłożyła Tobiasa do piersi. — To tylko męska menopauza. On się opamięta.

Wiedziała przecież, że to coś głębszego. Ojciec przechodził rodzaj nerwowego załamania. Wydarzenia z zeszłego roku zniszczyły go, stracił wiarę w ludzi. Okropna niesprawiedliwość, jaka stała się ich udziałem, wytrąciła go z równowagi, a w tej Kimberley znalazł jedyną pociechę; następną, całkiem nową córkę, której nie przydarzyło się nic przykrego, która jeszcze nie miała okazji rozczarować go. Ale Val nie była zdolna spojrzeć na sprawę w tym świetle.

Val cały czas coś mówiła — dla Hannah była teraz bardziej Val niż matką. — Nigdy mu nie wybaczę. Akurat wtedy, gdy go najbardziej potrzebowaliśmy, opuścił nas. Jak mógł tak postąpić? Żyje się w małżeństwie przez tyle lat i można nigdy nie dowiedzieć się, jaka naprawdę jest ta druga osoba, nigdy nie zostać poddanym próbie — ciągnęła monotonnym głosem. Hannah słyszała to wszystko już wcześniej. — Myślałam, że kocha swoją rodzinę, że kocha nas.

— Ależ to prawda!

— Tak naprawdę, jest samolubnym draniem. Wiesz, co mnie najbardziej przeraża? Że nigdy tego nie zauważyłam. Zawsze był taki, a ja się nie połapałam. — Przyniosła butelkę cinzano i usiadła przy stole. — To wydarzyłoby się wcześniej czy później. Oczywiście, cieszę się, że poznałam prawdę. — Kciukiem zsunęła z tacki kostki lodu. Zagrzechotały w szklankach. — Chcę się rozwieść.

— Nie możesz!

— Chcę się od niego uwolnić. — Podała szklankę Hannah. — I wrócić z Becky do Londynu; nie mogę tu dalej mieszkać z matką. To całe Windsor! Co za nudy!

— Tak samo ja mówiłam kiedyś o Stanmore...

— Jestem za stara, by żyć na jej utrzymaniu, być od niej zależną, znowu jak córka.

Przez wiele miesięcy nie powiedzieli babci Wilson o porwaniu. Gdy wreszcie została dopuszczona do tajemnicy, Morris był zbyt dumny, by zwierzyć się jej ze stanu ich finansów. Dopiero gdy odszedł, dotarło do niej, w jakiej znajdowali się sytuacji; teraz utrzymywała Val i Becky.

— Działamy sobie na nerwy, jesteśmy zbyt podobne. Chcę zamieszkać w Londynie, jak kobieta niezależna, jak ty.

— Ja? — zdziwiła się Hannah.

— Przecież sobie radzisz.

Hannah wbiła w nią wzrok. A więc to ona, Hannah, wybrała właściwą drogę! Na tej zwariowanej huśtawce — w górę i w dół — nagle zamieniły się miejscami.

Val wysęczyła cizano. Kolory powróciły na jej policzki. — Zmieniłaś się — stwierdziła.

— Ty także.

— Jak i twój cholerny tatuś. Wiesz, co miał na sobie, gdy go widziałam ostatnim razem? Kamizelkę ufarbowaną w stylu afrykańskim! — Dorzuciła sobie lodu. — Jak sądzisz, co powinnam zrobić?

Hannah zamyśliła się: osiemnaście miesięcy temu byłam nastolatką, strofowaną o nieporządki. I oto zostałam matką własnej matki, oferującą rady. — Nie bądź dla niego taka twarda. Rozmawiałam z nim przez telefon, jest w okropnym stanie.

— Tobie łatwo mu wybaczyć.

— Tak sądzisz? Uważasz, że cokolwiek z tego wszystkiego przychodzi mi bez trudu? — podniosła głos. Tobias przestał ssać. — Ty i tata byliście szczęśliwi, my, dzieci, także. Właśnie dlatego czuję się tak okropnie przez to, co zrobiłam.

— Nie ty. Oni. Liczę na to, że udławią się tą cholerną forszą. Że ich unieszczęśliwi, gdziekolwiek są... — Ze złością spojrzała na Tobiasa.

— To nie jego wina — zaprotestowała Hannah.

— Mam nadzieję, że dopadły ich wyrzuty sumienia.

— Oni nie mają najmniejszego pojęcia, co zrobili — zauważyła Hannah. — Nic o nas nie wiedzą. Prawdopodobnie żyją sobie teraz w Rio de Janeiro czy w podobnym miejscu.

— Oby smażyli się w piekle! Razem z twoim ojcem.

— Przestań! — Powinna zatkać Tobiasowi uszy. Kochała matkę, ale nagle ogarnęła ją wściekłość. Dlaczego wtedy siedziała sobie tam, przy tym swoim komputerze, zamiast jak prawdziwa, odpowiedzialna matka pomagać jej przy pracy domowej? Dlaczego nie ochroniła swej córki przed tym całym zamieszaniem? Ona, Hannah nigdy nie zachowałaby się tak wobec synka. Świat stanął na głowie: rodzice przestali być rodzicami, rozwiali się, niematerialni niczym puszek mniszka... kiedyś zdmuchiwała go do słów rymowanki: pierwsza godzina, druga godzina... Nauczy jej Tobiasa. Nagle zapragnęła pozostać sama z synkiem.

Val wycisnęła sobie do drinka kawałek cytryny. — Byliśmy kiedyś z twoim ojcem na herbacie w Fortnum. Uniosłam nad jego filiżanką kawałek

cytryny i zapytałam, czy mam go trochę ścisnąć, nim wpadnie do środka? — Upiła drinka. — Kiedyś potrafiliśmy się dobrze bawić w swoim towarzystwie...

— Na pewno. I powinnaś o tym pamiętać. Niech ta sprawa nie zepsuje wszystkiego, co było między wami.

— Wiem, że jesteś do niego przywiązana, mimo że czasami potrafił być żenujący, taki napuszony. Ale w młodości naprawdę miał poczucie humoru.

Matka zamilkła. Hannah z przerażeniem patrzyła na łzy spływające jej po policzkach. Jej matka płacze!

— Gdy go poznałam, jeszcze w Akademii Sztuk Pięknych, wszędzie jeździłam na rowerze. Także z domu do św. Marcina... — urwała.

— To będzie dość nieprzyzwoite, ale w końcu jesteś chyba wystarczająco dorosła?

— Mów dalej.

— Powiedziałam mu: „To prawdziwy cud: wskakuję na ten kawałek metalu i dziesięć minut później jestem na Charing Croos Road!” Na to on potrząsnął głową i odrzekł: „Opowiem ci o prawdziwym cudzie. Wskakuję na ciebie, wsuwam ci kawałeczek i pięć minut później jestem w niebie!”

Kropla spadła na włoski Tobiasa. Hannah otarła oczy. Wskazała dłonią na synka. — Przynajmniej mamy jego. W końcu coś dobrego wynikło z tej całej sprawy.

Matka osuszyła szklanę do dna. — I tylko to ma sens: umiejętność zaakceptowania sprawy, która ci się przydarzyła, jeżeli uczyniła cię lepszą i mądrzejszą. — Wbiła wzrok w szklanę. Hannah dopiero teraz zauważyła w jej włosach siwe pasemka. — Niestety, twój ojciec i ja nie stanęliśmy na wysokości zadania.

Po południu Hannah wróciła do siebie. Przystanąła w kuchni, przy oknie. Na dole, na podwórzu rosło jedyne, obetonowane drzewo. W gałęziach tkwiła plastikowa torba. Pory roku mijały, a torba wciąż tam była, najpierw zaplątana wśród ogołoconych konarów, potem powiewająca między liśćmi. Niektóre już zaczynały żółknąć. Hannah pomyślała: gdy Tobias wyrośnie na mężczyznę, ta torba wciąż tam będzie. My dryfujemy niczym rozbitkowie, unosimy się z wiatrem. Tylko ta plastikowa torba pozostaje, mocno zakotwiczona.

CZEŚĆ SZÓSTA

Rozdział pierwszy

Pogrzeb odbył się w Warrington. To tam jego ojciec mieszkał przez swoje ostatnie nie wiadomo ile lat. Ciotka Lavinia, jedyna żyjąca jeszcze krewna, powiedziała z westchnieniem: — Jaka szkoda, Jonny, takie zmarnowane życie.

Doznał wstrząsu na dźwięk swego imienia. Minał już rok, odkąd je zmienił, ale nikt z obecnych o tym nie wiedział. Na ten jeden jedyny dzień zrobił krok w przeszłość.

— Zaległości w czynszu i rozedma płuc — opowiadała Lavinia, popijając drobnymi łykami białe wino. — Przepijał każdego pensa. Dlaczego, Jonny? Twej matce nie dał nic oprócz nieszczęścia. Uważam nawet, że ją wykończył.

— Lavinio! — oburzył się jej mąż.

— Oczywiście, nie w sensie dosłownym. — Wzięła kanapkę. — Szkoda, że ty i on nigdy się nie pogodziliście. To prawdziwe zrzędzenie losu, że zadzwoniłeś do mnie w tamtym tygodniu, inaczej nawet nie wiedziałbyś o jego śmierci. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziewasz.

— A czym to się zajmujesz? — zainteresował się jej mąż, Alan. — Gdy ostatnio miałem o tobie jakieś wieści, kręciłeś się po Londynie furgonetką.

Dwa lata temu porwałem dziewczynę i dostałem za nią okup: pół miliona funtów. Wprowadziłem się do Kensington z przyjaciółką, a w przeddzień naszego ślubu uciekłem, zmieniłem nazwisko i zaszyłem się w Sussex.

— Mieszkam w Sussex — oświadczył.

— I wciąż robisz w drewnie?

Przytaknął ruchem głowy. Alan oddalił się. Pewnie pomyślał: co za nudziarz ze starego Jona, beznadziejny jak zawsze. Jedyną ekscytującą rzeczą, na którą nigdy się zdobył, było usunięcie „H” ze swego imienia.

Dopiero po powrocie do siebie dopadł go szok. Nie był przygotowany na podobną reakcję. Po śmierci matki odczuwał gniew i żal, a po wujku Charliem nosił żałobę, bo go kochał. Tym razem poczuł się, jakby stracił grunt pod nogami. Przez następne kilka dni próbował zająć się pracą. Mieszkał w wynajętym domku w pobliżu lotniska Gatwick. Był czerwiec, więc warsztat stolarski wystawił do ogrodu. Dla klienta z Horsham robił półki na książki; piłował sosnowe deski, a nad głową przelatywały mu samoloty; przesuwane nad nim wielkie brzuchy maszyn muskały go swym cieniem.

Takie zmarnowane życie — niezłe podsumowanie ojcowskiej egzystencji. Oszukiwał żonę, zbyt słaby, by oprzeć się pokusom; całe jego życie stanowiło

jeden ciąg marnych wykrętów i zrad. Ale najgorsze, że on, Jon, nigdy tak naprawdę nie porozmawiał z ojcem, nie przedsięwziął najmniejszej próby pogodzenia się z nim, nawet nie doszło między nimi do sprzeczki. Wciąż odsuwał tę sprawę na dalszy plan.

Nie dokończona sprawa. Te słowa nie dawały mu spokoju. Wbijał gwoździe na całej długości deski. Do tej pory sądził, że potrafi pogrzebać przeszłość, zrzucić ją niczym wąż skórę. Teraz już wiedział, że się oszukiwał. Gdy wziął do ręki paczkę nasion, ogarnęły go dawne mdłości. Eva dociekająca, gdzie był. „Na działkach”. Taka zdrada, takie tchórzostwo! Cóż, jest nieodrodnym synem swego ojca! Chcesz poznać prawdę? Nie byłem na działkach od wielu tygodni. Jeździłem po okolicznych hrabstwach, rozglądałem się za miejscem do zamieszkania, by móc od ciebie uciec tak daleko, abyś nigdy mnie nie odnalazła.

Gdyby Evie kiedykolwiek udało się go odszukać, zabiłaby go. Tak powiedziała. Możesz wynieść się na koniec tego pieprzonego świata, i tak cię dopadnę. Przez ostatni rok stopniowo pozbywał się lęku, że policja lub rodzice Hannah wpadną na jego ślad. I sam siebie przekonywał, że pozbył się Evy i odzyskał wolność. Ale ona wciąż jakby unosiła się w powietrzu niczym trujący gaz. Nachodziła go nocą, przez zasłony wnikała do sypialni i rzucała się na niego jak pantera. Czasami miała na głowie kasztanową perukę. Bywało, że idąc jakimś zaułkiem, słyszał stukot wysokich obcasów jej botków; gdy się odwracał, znów stawała się niewidzialna. Pewnej nocy głowa w kasztanowej peruce pojawiła mu się między nogami. Siedział w metrze linii Północ; ryk samolotu nad głową zlewał się z łoskotem wagonów. Głowa podniosła się, zasmarowane krwią usta wyszczerzyły się pogardliwie, policzki wybrzuszyły się. Spojrzał w dół: między nogami ział bólem otwór.

Był czerwiec. Opuścił Evę przed rokiem; jeszcze go nie odnalazła, zadbał o zacieranie za sobą śladów. Po przybyciu do Sussex zmienił dane osobowe. Teraz miał na imię Eliot; głęboko schował swą przeszłość. Z początku nowe imię i nazwisko traktował jak przebranie, takie, jakich kiedyś używali z Evą w swoich grach. W tamtych czasach, ucharakteryzowany na kogoś zupełnie innego, potrafił robić rzeczy, na które normalnie nigdy by się nie odważył. Choćby przechadzać się West Endem w charakterze siostry Evy; a nawet wejść do Underworld i próbować porwać zupełnie obcą dziewczynę. Ale wtedy, gdy uczynił to naprawdę, doznał zupełnie innych emocji. Dawny Jon wydawał mu się nieprawdziwy, obcy. W Eliocie bardziej potrafił odnaleźć swoje prawdziwe ja — był miłszy, silniejszy, stał się kimś rzeczywistym, kimś, kogo poszukiwał przez cały ten czas.

Tak to sobie przedstawiał. Próbował zacząć życie od nowa. Nawet spotykał się z nową kobietą, z Hazel: miłą i właśnie taką, jaką powinien był poznać dawno temu. Pracowała na lotnisku Gatwick; jako stewardesa latała do rozmaitych miejsc. Przysyłała mu widokówki. Ustawiał je nad zlewem: zachód słońca w Central Parku, Plac Świętego Marka. Zmywając naczynia, miał je przed oczami. Hazel mogła latać wszędzie, wolna niczym ptak.

Pierwszą noc spędzili ze sobą trzy dni po pogrzebie. Przyjęła go w siebie, jakby otwierała drzwi do zalanego światłem pomieszczenia. Później pogłaskała go po policzku. — Czy ty aby na pewno tu jesteś? — zapytała.

W ciemnościach skinął głową.

— Jesteś najmilszym mężczyzną, jakiego znam. Odsunął się. — Nie mów tak.

— Co ci się przydarzyło, Eliot? — szepnęła. — Czy kiedyś mi powiesz?

Odwrócił się do niej. Ujął jej dłonie i położył sobie na oczach. Jej ciepłe, suche ręce przyciskał sobie do oczodołów, wpychał do gałek oczu... z całej siły napierał nimi na mózg... wdzierła się ciemność...

Przytrzymał jej dłonie przez dłuższą chwilę. Pod powiekami! eksplodowały światła. Palce przyłożył do jej palców — tej samej co jego długości; leżeli tak razem, niczym zwłoki.

Nastał wilgotny, zamglony poranek. Szczebiot rozśpiewanych ptaków! od czasu do czasu milknął zagłuszony rykiem samolotów. Hazel wyszła wcześniej, pożegnała go pocałunkiem przy drzwiach. Jeszcze chwilę słyszał odgłos silnika jej auta, potem zgrzyt dźwigni biegów, gdy zwalniała przy skrzyżowaniu. Serce wręcz namacalnie tajało mu w promieniach słońca, jakby do ścierpniętej kończyny powracało czucie. Przeszedł do saloniku, zadzwonił do biura numerów telefonów.

— Jakie miasto?

— Watford — wyjaśnił. — To gdzieś w pobliżu.

— Nazwa?

— Price Security Systems.

Zapanowała cisza. Zaczepił spojrzeniem o dużą, stojącą na podłodze torbę podróżną; mieściła cały majątek jego ojca. Nie rozpakował jej, bo nie zdecydował, co zrobi z rzeczami. Zatrzyma tylko rodzinne fotografie.

Odezwała się telefonistka: — Price Security Systems? Nie mam niczego o takiej nazwie.

Wsiadł na motor i pognął alejką. Przejechał ulicami Horsham. Mijał kasy oszczędnościowo-budowlane, za ich oknami jego pieniądze leżały niczym uśpione potwory. Jesteś najmilszym mężczyzną, jakiego znam...

Jechał drogą M25; ruch nadal był ożywiony, wielu jeszcze śpieszyło do pracy. Pod czaszką znów pojawiły się słowa: takie zmarnowane życie. Pędził najszybszym pasem, ścigał się z własnym cieniem.

WATFORD. Pół godziny później. Gwałtownie skręcił przez pasy i zjechał z autostrady. Jak to Hannah mówiła: jej ojciec pracuje... w okolicy Watford? W Tring? South Mimms? Nie, to był ten limeryk. Żona archidiakona z South Mimms...

Próbował przypomnieć sobie ich rozmowę. Ciekawa jestem, co tato powie w biurze. Mały zakład — tylko gdzie? W strefie przemysłowej? Gorączkowo szukał odpowiedzi.

Wjechał do Watford, zatrzymał się przy jakimś hotelu i wszedł do holu. Odnalazł budkę telefoniczną. Pod aparatem piętrzyły się książki telefoniczne. Otworzył pierwszą z wierzchu na literze P. Price Price PricePricePricePricePricePricePricePricePricePricePricePricePrice...

Przecież to spis osób. Ależ z niego idiota. Otworzył spis firm. Price-Beaters... Price-Busters... Price-Elite... Price-Wise... Miał już od tego mętlik w głowie.

Zamknął książkę. Oni znikli z powierzchni ziemi. Dokładnie jak on.

By wytropić Hannah, musi odnaleźć jej ojca. Manewr niebezpieczny, ale miał to w nosie. Cóż mógł zrobić innego — wędrować po ulicach Londynu w nadziei, że się na nią natknie? Kobieta w Harlesden nie potrafiła mu pomóc; wyprowadzili się przed wieloma miesiącami, nie miała pojęcia dokąd. Nie знаła nawet nazwiska właściciela mieszkania na dole, sama niedawno się wprowadziła.

Już nie potrafił wywołać w pamięci twarzy Hannah; całkowicie się zamazała. Zresztą widywał jedynie jej dolną część. Jak u Kota z Cheshire, widoczne były tylko usta. Reszta rozplynęła się w abstrakcji, w udręce jego sumienia. Jak u licha ma ją odnaleźć?

Niemal zrezygnował. Siedział na swym motocyklu na hotelowym parkingu. Słońce skryło się za chmurą. Pomyślał: cóż, próbowałem. Odezwał się w nim dawny Jon — ten tchórzliwy, nieodrodny syn swego ojca, który pozwolił na zło, z powodu swej słabości dał się ponieść z jego prądem.

Wyjechał z miasta, przemierzał teraz tereny wiejskie. Wzdłuż drogi jak błyskawice migają żywopłoty. Słońce wychyliło się spoza chmur. Przy rozstajach w kształcie litery „T” zwolnił. Przed nim wyłonił się mały domek.

Cofnięty od drogi, stary, pokryty strzechą; po ceglanych ścianach pełzało pnącze. W ogrodzie stała studnia, do której wrzuca się monety, by spełniło się życzenie.

Zgasił silnik i po prostu siedział tam. Od okiennych szyb odbijały się promienie słońca. Tylko ty i ja, w domku w lesie... Jakie proste kiedyś wydawało się życie. Warsztat, na którym mógłby tworzyć przedmioty zarówno użytkowe jak i piękne, kobieta nucąca pod nosem w drugim pokoju. Już niemal uwierzył, że udało mu się; na skraju ogródka przy domu, który wynajmował, rosły nawet drzewa. Ale Eva miała racje. Żałosny, powiedziała. Zmądrzej.

Zsiadł z motoru i podszedł do furtki. Do domu wiodła wysypana żwirem ścieżka. Spojrzał na studzienkę. Zacieniał ją utrzymany w stylu domu daszek ze słomy; całość sprawiała nieco cukierkowe wrażenie. Zacisnął powieki. Pomyśl jakieś życzenie. I pomyślał: przez te wszystkie miesiące poruszałem się we śnie. Gdy otworzę oczy, zbudzę się.

Otworzył oczy. I wtedy ujrzał, że coś wystaje ze ściany domu — przycisk alarmu przeciwwłamaniowego. Nawet z miejsca, w którym stał, zdołał odczytać napis: PRICE SECURITY.

Później pamiętał tę chwilę z niezwykłą jasnością. W pobliżu przejechał samochód, po chwili ucichła dudniąca w nim muzyka. Ukryty w krzakach ptak rozśpiewał się tak głośno, że mógłby być sztubakiem przedrzeźniającym ptaka. PRICE SECURITY. Zastuka do drzwi i zapyta o adres firmy. Proste.

Podszedł podjazdem. Może na alarmie jest numer telefonu; podejdzie bliżej, spróbuje odczytać napis drobnym drukiem, widniejący pod nazwą. Niestety, drobnym drukiem dopisano SYSTEMS. Nacisnął dzwonek, czekał. Na żwirze przed domem leżały rozrzucone plastikowe cegły; ktoś wydrapał patykiem kulfoniaste znaki.

I nagle doznał dziwnego uczucia: za drzwiami czeka rodzina Price'ów, cała ich piątka. Stoi tam także ich spłowiała już fotografia. Przez cały ten czas czekaliśmy na twój powrót. Myślisz, że zdołasz zadośćuczynić za krzywdy, jakie wyrządziłeś? Sądzisz, że uda ci się nas odnaleźć? Nic nie rozumiesz: my już nie chcemy istnieć. Ukradłeś życie każdemu z nas — spójrz, jesteśmy tylko papierem.

Chciał się oddać w ich ręce, jak ostatniej nocy oddał się Hazel. Zaszłocha im na ramieniu i powie, że pieniądze, nie tknięte, czekają. Nie wziąłem ani pensa. Żyłem z własnej pracy jak uczciwy człowiek. Zapytajcie Hazel, ona wie, że jestem uczciwy! Wierzyłem, że nie korzystając z nich, przynajmniej nie robię nic złego. Wiem, kompletny idiotyzm! Przecież dla was to bez różnicy. Ale dla mnie miało znaczenie.

Zadzwoił ponownie. Jakieś dziecko wydrapało na żwirze te znaki, krzyżując się łamigłówkę. Gdyby znał do niej klucz, może odkryłaby mu swój sekret. Jak zniweczyć przeszłość... Rodzina Price'ów — zamrożona na

fotografii, nim dotknęła ich tragedia — ożyje i będzie żyła dalej, jakby nic się nie wydarzyło. Uwolniona przez niego Hannah wróci do domu z Camden Lock i dokończy wypracowanie... zjedzą kolację i pozmywają naczynia... Hannah odzyska dziewictwo...

W domu nie było nikogo. Podmuchy wiatru stukały szybami okien. Jon nagle poczuł się głupio. Co na Boga tu robi, w samym sercu Herfordshire? Jak mogło mu się wydawać, że jednym machnięciem różdżki dokona egzorcyzmu przeszłości? Nawet ta cholerna studzienka okazała się fałszywką.

Czas mijał, ale chyba nie więcej niż kilka minut. Nie zauważył nadjeżdżającego radiowozu. Zaskoczył go chrzęst stóp na podjeździe i zaraz pojawili się przed nim dwaj mundurowi.

— Możemy w czymś panu pomóc, sir?

Spojrzał na nich zaskoczony. — Co takiego? — Policjant miał czerwone, błyszczące policzki wieśniaka. Jon wybiegł wzrokiem na drogę.

Przy bramie stał zaparkowany radiowóz. Całkowicie opanowany, dopowiedział: — Wiedziałem, że w końcu przyjedziecie.

Popełnił błąd. Policjanci wymienili spojrzenia: no to trafił nam się świr. Ten o czerwonych policzkach powiedział: — Proszę o wyjaśnienie, co pan robi na tym terenie prywatnym.

— Potrafię wszystko wyjaśnić — odrzekł nonszalancko.

I wtedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Wóz zatrzymał się przy bramie. Wskoczyła z niego kobieta.

— Co się stało? — zawołała. Otworzyła furtkę i wjechała do środka. Wyłączyła silnik i wysiadła. Z tyłu samochodu, wśród góry sprawunków tłoczyło się kilkoro dzieci. — Nie ruszajcie się! — krzyknęła ostro i ruszyła w stronę policjantów. — Co się stało? Kto to? — Miała masywną, kwadratową szczękę, mówiła rozkazującym tonem.

— Chodziło mi o numer telefonu pani firmy antywłamaniowej — wyjaśnił.

Teraz wszyscy patrzyli na niego. Jedno z dzieci rozwrzeszczało się. Kobieta błyskawicznie odwróciła się w stronę samochodu. — Zamknij się, Pierś!

— Wiem, że to zabrzmiało dziwnie — kontynuował wyjaśnienia. — Ale widzi pani, właśnie niedawno włamano się do mnie. Zabrali wszystko, nawet krążki z jazzem — podniósł głos. — Jak ktoś mógł tak potraktować kompletnie nieznaną mu osobę? Dokąd podąża ten świat? A że akurat wtedy przejeżdżałem i zachwalano mi firmę Price Security, może zechciałyby mi pani pomóc i podać ich adres. To tyle. — Odwrócił się do policjantów. — Jeżeli panowie chcecie, proszę mnie aresztować. Już mi wszystko jedno. Coś takiego się przecież zdarza, tylko że... jaki w tym sens?

Zapadła cisza. Chyba krzyczał. Dzieci wpatrywały się w niego przez szybę. Kobieta przez dłuższą chwilę nie spuszczała z niego wzroku, potem zwróciła się do posterunkowych: — W porządku, wierzę mu. Wygląda na kogoś w głębokim szoku. — Wyjęła klucze. — Znam się na tym, pracowałam w kierownictwie hotelu.

W końcu odjechali. Pomógł jej rozładować zakupy i wnieść je do domu.

— Zawsze marzyłem o takim miejscu jak to — oznajmił.

— Coś takiego!

Rzucił torby na kuchenny stół. — To było bardzo miłe z pani strony.

— Hamish każe mi włączać ten kretyński alarm On nie jest taki ufny jak ja; ojciec opuścił go w dzieciństwie i dlatego uważa, że cały świat sprzysiągł się, by go obrabować i porwać mu dzieci. Caroline! — Mała dziewczynka zabrała się właśnie do otwierania torby z Sainsbury. Jon wyobraził sobie wypadające z niej banknoty. — Hamish każe mi nastawiać to przekłete barachło za każdym razem, gdy wyjeżdżam z domu. Zabiera mi to całe wieki — kody, zaprogramowanie i co tam jeszcze, trzeba mieć co najmniej maturę, by się połapać. — Wyciągnęła z torby udziec jagnięcia.— Pan stanął w zasięgu wychwytyjącej intruzów wiązki światła, a urządzenie jest połączone z posterunkiem policji. Miałam już trzy fałszywe alarmy. Po sześciu trzeba im płacić za przyjazd. — Podeszła do komody, otworzyła ją i wyjęła jakąś broszurę. — Zdaje się, że teraz nazywają się Rest Assured, ale to ta sama firma. Hamish będzie wiedział. On lubi się orientować w takich sprawach. — Odsunęła włosy z czoła i uśmiechając się, spojrzała na Jona z ukosa. — Może napije się pan kawy?

— Niestety. Muszę jechać.

Odwróciła się jakoś zbyt gwałtownie. — Oczywiście. — Wyjęła z torby główkę kapusty. — Przynajmniej będzie o czym porozmawiać dzisiaj wieczorem. Nienawidzę wsi...

Zrobiła się szósta, gdy przybył pod podany adres. „Rest Assured Security” obwieszczala tablica. Firma mieściła się w jednym z tych niskich, pozbawionych okien, przypominających pomieszczenia przemysłowe budynków, których wnętrze i prowadzona tam działalność dawały szerokie pole wyobraźni — mogło się tam dziać wszystko. Na parkingu stało zaledwie kilka samochodów.

Wszedł do holu. Młody człowiek w beżowym uniformie oglądał telewizję. — Szukam pana Price'a — oznajmił Jon.

— Price'a? — Pod warstwą pryszczycy zaścielającą twarz ochroniarza Jon dopiero po chwili zdołał dopatrzeć się jego rysów.

— Chodzi o Morrisa Price'a. — Aż się przeraził na dźwięk swego głosu wymawiającego to nazwisko.

— Aha, tego. Już od nas odszedł.

— Kiedy? Dokąd?

Młodzieniec wzruszył ramionami. — Nie wiem. Już tu nie pracuje. Napis na biurku głosił: „Posłańcy są proszeni o zdejmowanie kasków”. — Jon zdjął kask.

— I nie wiesz, dokąd odszedł?

Młody potrząsnął głową. — Nawet nie miałem okazji go dobrze poznać.

Jon wyszedł na zewnątrz. Za parkingiem wznosiły się magazyny i warsztat samochodowy Texaco. Po drugiej stronie zielone pola kąpały się w blasku popołudniowego słońca. Uniósł wzrok na tablicę: „Rest Assured”. A więc ojciec Hannah sprzedał swoją firmę. Wcześniej podobna wiadomość byłaby dla Jona kompletną abstrakcją, jak informacja o katastrofie, która wydarzyła się w jakimś dalekim kraju. Tu ponownie uderzyła go świadomość okropności czynu, jaki popełnił. Dwa lata wcześniej siedział sobie w parku... skrzyp huśtawki, płatki kwiatów rozsypane wkoło jak śmieci... i gazeta toczona po trawie podmuchem wiatru, pierwsze, napędowe ogniwo łańcucha wydarzeń, które doprowadziły do przejścia firmy w Herfordshire... do rozpadu małżeństwa...

Ruszył w stronę motocykla. Za plecami usłyszał kroki. Z budynku wyszedł jakiś mężczyzna i skierował się do swego samochodu, bmw z rozsuwanym dachem. Przystanął, obrzucił spojrzeniem motocykl Jona.

— Niezłe kółka! — pochwalił.

Jon spojrzał na samochód. — Akurat to samo pomyślałem o pańskich.

— Kiedyś, w grzesznych latach młodości miałem harleya. — Był opalony i w pewien gładki sposób przystojny. — Przejechałem nim całe Stany, od wybrzeża do wybrzeża. Wskazał na yamahe. — Ile coś takiego obecnie kosztuje?

Jon powiedział mu. Czuł absurdalną potrzebę wyznania, ze szczegółami, w jaki sposób zdobył pieniądze. — A tak przy okazji, właśnie szukałem tutaj pana Price'a. Kiedyś tu pracował.

— Morris przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

— I gdzie mógłbym go znaleźć?

Facet zmarszczył czoło, otworzył aktówkę i wyjął organizator. Przycisnął kilka guzików, mrużąc oczy przed promieniami słońca. — St Albans, Abbey View Road 14, mieszkanie A.

Jon po raz kolejny powtarzał w myślach otrzymane dane, gdy nieznajomy odszedł. I zaraz krzyknął:

— Kurwa mać!

Jon pospieszył do bmw. Przecięty dach — widok przypominający świeżą ranę — zwisał z jednej strony auta.

— Pieprzeni wandal! — wściekał się mężczyzna. Upuścił aktówkę na ziemię i przesuwał palcem wzdłuż boku karoserii. Na lakierze wyraźnie odcinała się rysa — od maski po bagażnik. — Moje dzieciątko! — mruknął, ochrypłym głosem. — Moje biedne dzieciątko. — Skrzywił się, dotknąwszy zadrapania; badał je delikatnie, jak ranę.

Jon zajrzał do środka samochodu. — Niczego nie zabrali, radio wciąż tam jest.

— Pieprzeni dranie. Wie pan, to wszystko przez zawiść. Tylko dlatego, że z nich takie beznadziejne buce! — podniósł głos. — Omal mi jaja nie posiwiały, gdy harowałem na to cacko. Moje dzieciątko. Cholera! — Otworzył drzwi od strony kierowcy i wrzucił aktówkę do środka. — Dranie nawet niczego nie ukradły. I dokąd podąża ten świat?

— Ma pan rację. To zawiść. — Jon wyprostował się i wskazał ręką na budynek. — Zamierza pan to zgłosić?

— Temu ćwokowi na straży? — nieznajomy zaśmiał się gorzko. — Cudowną tu mamy ochronę, prawda? — Wsiadł do wozu, przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaryczał, ożywiony. Samochód szarpnął do przodu. Coś zachrzęściło.

Jon usłyszał jeszcze stłumione przekleństwo, potem kierowca wycofał samochód i odjechał; z rykiem, pozostawiając za sobą obłok spalin i przekrzywiony znak: Dyrektor naczelny.

Przed nim wyłoniło się opactwo St Alban's, przysłoniło słońce. Nad nim zawisło ogniste niebo; cień olbrzymiej bryły kładł się przez drogę. Jon zsiadł z motoru w zasięgu mrocznego terytorium, zdjął kask. Pomyślał o Bogu patrzącym na dół, na ten samochód — dawno temu na Dean Street — na piękne czerwone ferrari oszpecone rysami zadrapań. A grzesznicy zostaną ukarani i będą płonąć przez całe wieki.

Pociągnął za dzwonek. Stał przed dużym budynkiem z czerwonej cegły; mieszkanie A znajdowało się na parterze.

Drzwi otwarła młoda kobieta w uniformie pielęgniarce. Nie wydawała się zaskoczona jego widokiem. — Przyniosłeś pieniądze? — zapytała.

Poczuł skurcz w sercu. — Jakie pieniądze?

— To nie jesteś specjalnym posłańcem? — mówiła nosowym głosem, może Australijka? — Właśnie wróciłam z pracy. Byłeś tu już wcześniej?

Zdjął kask, potrząsnął przecząco głową. — Jestem starym dobrym znajomym. Szukam pana Price'a.

— Morrisa? Za chwilę tu będzie. Chcesz poczekać?

Nagle poczuł się straszliwie zmęczony. No tak, nic nie jadł przez cały dzień.

Spojrzała na niego pytająco. — Wejdiesz? Trochę tu ciasno. Atak przy okazji, jestem Kimberley.

Wszedł do środka. W korytarzu piętrzyły się skrzynki — niebieskie plastikowe pojemniki pełne butelek.

— Myślałam, że masz dla nas forszę — rzuciła przez ramię. — Należy mu się coś z tej restauracji...

— A czy mógłbym dostać szklankę wody?

— Wody? — zaśmiała się, pokazując ręką wkoło. — Mamy jej mnóstwo. — Otworzyła jakieś drzwi. — Widzisz, co mam na myśli? Kiedyś mieszkaly tu moje koleżanki, razem wynajmowałyśmy ten lokal. — Sypialnia była dokładnie zastawiona skrzynkami. — Już ich nie ma. Gazowaną czy bez gazu?

— Chciałbym się dowiedzieć, gdzie się podziewa jego córka.

— Wejdz tutaj. Ja jestem wykończona. — Poprowadziła go do kuchni. — Która córka?

— Hannah.

— Mam, ta jest gazowana. — Odkręciła wieczko; zabulgotało i trochę wody wylało się na stół. — Rany! A po co ci ona?

— Jestem... no cóż, jej dawnym znajomym.

— Naprawdę? — Nalała mu wody do szklanki i podała. Potem z westchnieniem padła na krzesło.

— Nie do końca. Mam coś, co do niej należało, to wszystko. I chcę jej oddać. — Rozejrzał się wkoło. — Po co wam tyle wody?

— Morris założył przedsiębiorstwo. Jego kumpel, mieszkający kawałek dalej przy naszej ulicy, ma w ogrodzie studnię. Podobno pochodzi jeszcze z czasów rzymskich. — Zrzuciła buty, przysunęła bliżej krzesło i wsparła na nim stopy. — No więc opychają tę wodę restauracjom. Morris za diabła nie usiedzi na tyłku. Zawsze zajęty, zawsze w ruchu. Znasz go dobrze? Ja prawie nie znam jego przyjaciół.

Potrząsnął głową. Patrzył na tę zdrową dziewczynę i myślał: to przeze mnie Morris zamieszkał z tą pielęgniarzką w pokoju pełnym butelek. W głowie mu się zakręciło.

— Syn mu pomaga — dodała. — Działa w Londynie. Cóż, przynajmniej ma zajęcie, które trzyma go z dala od kłopotów...

Odchyliła głowę i napiła się wody. Jej akcent czynił ją mile nie związaną z niczym, co się wydarzyło; może dlatego właśnie Morris z nią uciekł. Jona uderzyła interesująca myśl: zarówno jego jak i Morrisa ciągnęło do kobiet w uniformie, profesjonalnych, zachowujących dystans, które potrafiły się nimi zaopiekować i pomóc w odzyskiwaniu równowagi. Nagle zapragnął położyć głowę na kolanach tej pielęgniarki i wszystko jej wyznać. Powiedziałyby: cicho, no już i kazała połknąć tabletkę na sen.

Napił się wody; bąbelki zaszumiały mu w gardle. Na dworze zabrzmiał głos dzwonu. Święty dźwięk, jakby przeznaczony specjalnie dla Jona, by oczyścić mu duszę.

— Masz adres Hannah? — zapytał. Przymrużyła oczy. — Hej, kim ty tak naprawdę jesteś?

— Znasz Julię, jej dawną koleżankę szkolną? Kimberley pokręciła głową.

— Jestem starszym bratem Julii. Kiedyś Hannah pożyczyła mi książkę o sztuce i chcę ją oddać.

Wyjaśnienie najwyraźniej wystarczyło.

— To gdzieś w pobliżu Ladbroke Grove. Raz byłam u nich z wizytą, ale nie pamiętam numeru.

— U nich? — zdziwił się.

— U niej i Tobiasa.

Hannah ma przyjaciela. Dlatego uciekła z domu. Poczuł ulgę: więc to nie tylko jego wina. Ucieszył się, że nie mieszka sama. Po chwili zaskoczyło go ukłucie zazdrości. Co za niezdrowe uczucie, uważać się za posiadacza! Ale miał prawo wiedzieć o swoim następcy.

— Jaki jest ten Tobias? — zapytał.

— Rozkoszny. — Wypiła wodę do dna. — Cudowny, miałam ochotę wyściskać go aż do bólu.

— Jest taki misiowaty?

— Był, kiedy go widziałam. Miał problemy z chodzeniem. Właśnie przez to.

— Jak to?

— Och, teraz na pewno już sobie radzi.

Spojrzał na nią nad brzegiem szklanki. Przyjaciela Hannah pewnie cierpi na jakieś schorzenie. Ta dziewczyna mówi o tym tak obojętnie, jakby była bez serca, ale w końcu to pielęgniarka. Dla nich kalectwo to chleb powszedni.

Odstawił szklankę na stół. — Co masz na myśli, że sobie radzi?

— Nie sądzisz, że powinno się już chodzić w wieku piętnastu miesięcy?

Jakie to dziwne, ten czas. Zamilkł, ale chyba nie na długo, bo pielęgniarka najwyraźniej nie zauważyła w jego milczeniu nic dziwnego. Mój Boże, powtarzał w duchu bez końca. Mój Boże...

Podniósł się z krzesła. Musi odejść, i to szybko. Jego głos zabrzmiał zadziwiająco obojętnie: — Będę się zbierał. Dzięki za wodę. — Wziął kask do ręki. — A więc nie znasz jej adresu?

— Morris zna. — Uniosła zwisający jej na piersi zegarek. — On powinien być lada moment.

Już szedł do drzwi. — A może sama dowiedziałaś się i przysłała na mój adres?

Podawała mu pisak i kawałek papieru.

Nabazgrał swoje namiary. — Nie mam telefonu. I czy moglibyśmy zachować tę sprawę między nami? — Próbował przybrać konspiracyjną minę. — Jej ojciec... to długa historia.

Wyszczrzyła się w uśmiechu. — Nawykłam do ich sekretów. — Spojrzała na kartkę. — Eliot. Nigdy cię jakoś nie widziałam.

Uśmiechnął się. — Bo ja jestem takim trochę Niewidzialnym. — Podziękował jej i odszedł. Zamknęła za nim drzwi.

Zapadła noc. A więc jest ojcem.

Wkroczył w świat, który zmienił się już na zawsze.

Rozdział drugi

Eva nie znosiła, gdy nieznajomy mężczyzna usiłował szczytować w jej ustach. Niby dlaczego miała połykać to całe paskudztwo, niemal dławiąc się na śmierć? Didi pchnął jej głowę w dół, wcisnął swój interes. Dłonią odszukał łechtaczkę i energicznie pocierał; przypomniawszy sobie matkę, polerującą kłamki domów obcych ludzi.

— O tak... tak! — jęczał, szturchając ją w podniebienie. O nie! Szarpnięciem cofnęła głowę i, przewróciwszy się na plecy, wciągnęła go na siebie.

Należał do tych gości, co to informują kobietę na bieżąco. — Zbliża się... o tak... tak dobrze... — oznajmiał głosem komentatora z Aintree. — Już prawie... tak... — Niby czemu miało ją to obchodzić? Mosiężne łóżko trzeszczało rytmicznie. Niegdyś dźwięki te przyprawiały ją i Jona o ataki śmiechu.

Nie myśleć o tym! Zacisnęła mocno powieki, zaciemniając obraz.

— O Jezu! — jęknął i zadrżał, wstrząsany dreszczem. Przyciągnęła go do siebie, wepchnęła głębiej; między nogami poczuła falę ciepła, ale nie zdążyła — drań już się z niej wyslizgiwał.

— O rany, z ciebie to prawdziwa petarda — skomentował. Wstała, owinęła się narzutką. Nie chciała, by widział ją naga.

— Ładna chata — pochwalił. — Musiała nieźle kosztować.

— Mąż kupił to mieszkanie, jest ginekologiem.

Weszła do kuchni. Kopniakiem odsunęła pudełko po pizzy, oderwała kawałek ręcznika z rolki i wytarła krocze. Nalała sobie kieliszek wódki i wypiała jednym haustem.

W powietrzu panowała duchota; był parny, czerwcowy wieczór. Nalała sobie następną porcję i przeszła do saloniku. Na tle żółtawego nieba wznosiły się wieżyczki budynku naprzeciwko. Wyszła na balkon, zapaliła. W tym roku jakoś nie zabrała się do sadzenia roślin. W skrzynkach pozostały jedynie wawrzyny. Dopiero teraz zauważyła ich pożółkłe liście.

Drgnęła na dźwięk spuszczonej w toalecie wody. Włazą do łazienki, jakby byli u siebie. A także rozwalają się na łóżku, te zadowolone z siebie koguciki. Przecież to nie ich łóżko. W zeszłym tygodniu taki jeden zapytał: „Czemu tu nie posprzątasz?” Nie jego zasrany interes.

Didiego poznała dzisiaj po południu w Kensington Gardens. Przyglądała się bawiącym się dzieciom. Pochodził z Maroka czy z jakiegoś podobnego kraju, ale mówił z amerykańskim akcentem. Zaczął opowiadać jej o sobie, jak to zajmuje się rozprowadzaniem części maszyn czy czymś takim, ale ona akurat

zainteresowała się wysiłkami małego chłopca, próbującego patykiem przyciągnąć swoją łódeczkę.

Zgasła papierosa w ziemi. Pety sterczące ze skrzynek kojarzyły się z wojskowym cementarzem. Miała nadzieję, że ten typ już się ubiera. W pieprzeniu okazał się beznadziejny. Potrzebna mu była tylko po to, by się w niej spuścić. Czasami, ale niezbyt często, udawało się. Jeżeli byli dobrzy w tej robocie, zaciskała oczy i eksplozja w jej głowie pozwalała o wszystkim zapomnieć; choć na chwilę.

Nasłuchiwała. Żadnego dźwięku. Może zasnął i utkwiał u niej na całą noc. Nie trzeba było go do siebie ściągać, do tej pory powinna już się nauczyć. Pozwalała na inwazję na teren swej prywatności: gdy dowiadywali się, gdzie mieszka, stawali się natrętni. Albo zachowywali się tak, jakby mieszkanie należało do nich, i próbowali ją sobie podporządkować. Gość, który był tu jeszcze wiosną, nawet zabrał jej odkurzacz.

Kłopot w tym, że oni na ogół mieszkali poza miastem lub byli żonaci, względnie jedno i drugie. A ona z miejsca się napalała i jak zwykle proponowała: chodźmy do mnie.

Nie podobał jej się ten Didi. Może już węszył po mieszkaniu. Jeden taki, jeszcze na wiosnę, szukając odkurzacza, natrafił na broń. „Należy do mojego syna — wyjaśniła..— Małego Trevora. Właśnie wyjechał z tatusiem”.

Osuszyła drugi kieliszek do dna i wróciła do sypialni. Stała w drzwiach.

Jestem drwalem, fajny ze mnie chłop! — podśpiewywał Didi. Kręcił się wkoło, nagi, tylko na ramiona narzucił koszulę w kratę. — Pracuję całą noc i... — urwał. — Hej, co jest? Nie lubisz Monty Phytona?

— Zdejmuj to — rozkazała.

Uniósł brwi. — Przepraszam, przepraszam. To był tylko żart. — Porozpinał guziki. — Nie patrz tak, przerażasz mnie.

— Wynocha!

— Hej, uspokój się...

— Mój mąż wraca do domu.

— Ale mówiłaś...

— Będzie za chwilę. Ubieraj się.

Znów złapały ją kurcze brzucha. Z trudem łapała oddech. Usiadła na krześle.

— Wszystko w porządku? — zapytał, wciągając kurtkę. — Zobaczymy się jeszcze?

— Nie. On wraca na dobre.

Odprowadziła go do samych drzwi. Potem zamknęła je, na korytarzu zaczęła na syk otwierającej się windy i wróciła do mieszkania.

Weszła do sypialni, podniosła z podłogi koszulę — wełnianą, kraciastą koszulę roboczą. Przycisnęła ją do twarzy. Nawet po roku wyczuwała jego zapach, woń drewna i trocin. Uniosła rękaw, powąchała miejsce pod pachą. Wyczuła zatechły pot.

Nogi się pod nią ugięły. Usiadła. To nie ma nic wspólnego z Jonem, pomyślała; przed południem wymasowała ją Elaine, dziewczyna z siłowni, która przez cały czas szczebiotała o swoim chłopaku, jak to pisze dla niej wiersze. Można się porzygać!

Po chwili udało jej się wstać. Wzięła prysznic i poczuła się lepiej. Potem nasypała sobie garść płatków kukurydzianych, ale gdy spojrzała na wznoszący się w misce pagórek, dostała mdłości. Była dziewiąta trzydzieści. Zaledwie dziewiąta trzydzieści! Ktoś zwolnił zegary, była tego pewna. Czekają ją jeszcze długie godziny, nim pójdzie do łóżka. I następne, zanim zaśnie, nawet po pigułkach. Były do niczego.

Ta sprawa z koszulą prawdziwie ją rozstroiła. Co za idiotyzm! Nawet nie chciało jej się zajrzeć do programu telewizyjnego. Nie wstając, przesunęła się w stronę sterty kaset wideo; powypadały z półki jakieś dwa tygodnie wcześniej, ale nie zdobyła się na poukładanie ich. Zegar na wideo wskazywał 9.32. Przynajmniej znów pokazuje właściwy czas; całą zimę spóźniał o godzinę, ale wraz nastaniem czasu letniego znów chodził prawidłowo. No i widzicie? Wystarczy poczekać i sprawy się ułożą same!

Przez chwilę siedziała bez ruchu. Kasety wideo wyglądały tak, jakby ktoś rzucał nimi o sufit. Tych oznaczonych jego pismem nie dotykała; może znów będzie je chciał obejrzeć. Uniosła opisaną przez siebie kasetę. Żar ciała. Nagrała ją wiele miesięcy wcześniej i jeszcze nie obejrzała. Widziała ten film w kinie dawno temu, razem z Lylem. William Hurt i Kathleen Turner, naprawdę seksowni.

Wsunęła kasetę w urządzenie, nacisnęła „play” i skuliła się na kanapie. Niebo za oknem pociemniało; zaczęło padać. Na ekranie pokazał się obraz. Właśnie kończył się serwis wiadomości, starych, sprzed miesiący.

...a więc walka dalej toczy się w tym śpiącym miasteczku w Sussex i ekolodzy są zdeterminowani nie przegrać jej... mówił Ian Leslie, Wiadomości południowo-wschodnie, Horsham...

Gwałtownie pochyliła się do przodu, przycisnęła „stop”, przewinęła do tyłu. Puściła kasetę od początku.

Na ekranie szczerze owinięty płaszczem reporter zwracał się do kamery. Na jakiejś ulicy. Wciąż jeszcze relacjonował, gdy Jon wyszedł ze sklepu za jego plecami. Przeszedł na skraj chodnika, zaczekał, aż ulicą przejedzie samochód, i

ruszył na drugą stronę. Trzęsącą się ręką nacisnęła „przerwa”. Zatrzymał się, jak ktoś zamrożony w miejscu. Miał na sobie skórzaną lotniczą kurtkę, dzinsy i czerwoną chustę, której nigdy wcześniej nie widziała. Znowu cofnęła i on tyłem z powrotem wszedł do środka. Sklep żelazny — na zewnątrz leżały w stertach drewniane listwy.

Znów zatrzymała taśmę. Uklękła przed ekranem i wpatrywała się w niego. Stał z uniesioną stopą, gotowy do następnego kroku. Ostry profil; zmierzwione, dłuższe niż zapamiętała włosy. To z pewnością Jon.

Kazała mu iść. Zatrzymała. Uruchomiła ponownie. Przysiadła na udach, wpatrzona w ekran. W środku aż jej się gotowało.

Horsham. A więc to tam teraz mieszka. Na pewno tam; do cholery, przecież tam coś kupował.

Ponownie wciskała guziki. Niesamowite! Zimowy widok w połowie czerwca. Wpatrywała się w ekran jak zaczarowana. Wprawiała Jona w ruch — do przodu, do tyłu, kazała mu iść przez chodnik. Była wszechmocna! Zupełnie jak igranie z rzeczywistością wirtualną, jak w tym miejscu niedaleko Picadilly Circus: poruszało się nimi dowolnie, i nagle buch! Eksploдовали.

Horsham. No to go ma.

Rozdział trzeci

Podjęcie całej gotówki zabrało Jonowi ponad tydzień. Umieścił pieniądze na rozmaitych kontach w kasach oszczędnościowo-budowlanych w kilku okolicznych miasteczkach i trochę potrwało, nim przypomniał sobie o wszystkich; zupełnie jak wiewiórka nie pamiętająca, gdzie zakopała orzechy. Nie chciał wzbudzać podejrzeń wpłacaniem dużych sum. Jednak i tak musiał wcześniej zawiadomić kasy o zamiarze podjęcia tak poważnej gotówki.

Sądził, że w ten sposób, odwracając transakcję, poczuje się dowartościowany; w końcu nie wydał tych pieniędzy. A tak naprawdę stało się odwrotnie — powróciły dawne lęki, nerwowość kryminalisty. Dostawał gęsiej skórki, obserwując twarze kasjerów. Ostatnie miesiące egzystencji w charakterze uczciwego obywatela znikły, jakby nigdy ich nie było, i znów wracał pędem do motocykla, kurczowo trzymając torby na zakupy, jakby był złodziejem. Zresztą, byt nim.

W piątek pojechał do Londynu. Hazel miała akurat kilkudniowy lot do LA; sprawa tym bardziej stała się zarówno nagląca, jak i bardziej możliwa do przeprowadzenia. Znalazł sobie hotel w Notting Hill, średniej klasy, Albion, którego później niemal nie umiał odnaleźć, w takim stanie ducha znajdował się podczas tamtego weekendu.

Udał się na górę, do swego pokoju, torbę podróżną wstawił do szafy i zatrzasnął drzwi. Wyobraził sobie pokojówkę, jak rozsuwa zamek i oto ma przed oczami banknoty na sumę dwustu tysięcy funtów. Che sard, sard... Ogarnął go przedziwnie fatalistyczny nastrój, czuł się, jakby ciężar odpowiedzialności już spadał mu z ramion.

Zapytał o drogę. Mandela Estate, Borrowdale, mieszkanie 23. Kimberley przysłała mu adres Hannah; nazwy tańczyły pod czaszką. Znał go dopiero od dziesięciu dni, ale już stał mu się bliski niczym wierszyki z dzieciństwa. Poszedł tam wieczorem. Czekał na zapadnięcie nocy, ale cóż, dla Hannah i tak pozostanie spowity peleryną ciemności. Nawet gdyby się pozbył okrycia — bynajmniej nie miał takiej intencji — i tak zawsze będzie jej tym Niewidzialnym.

Usłyszał jakieś głosy. W ten ciepły wieczór nad ulicami unosiły się zapachy curry i perfum. Dotarł do bloków, olbrzymich betonowych brył. W oknach, a także na galeriach połyskiwały zapalone lampy. Budynki przypominały wielkie oceaniczne statki żeglujące przez noc; ciemność dodawała im świetności, wzmacniała łunę bijącą od telewizorów. Odczytał nazwy poszczególnych bloków... DERWENT-WATER... AMBLESIDE... kiedyś spędził wakacje w

Krainie Jezior, sam z matką, gdyż ojca nagle wezwano służbowo — eufemizm, który nikogo nie oszukał. Mieszkańcy wychylali się ponad balustradami balkonów, nawoływali się ze znajomymi z dołu. Jak świetliki żarzyły się czubki papierosów. Pomyślał o kole fortuny, które z własnego dzieciństwa potoczyło nim w niemowlęctwo synka w tej betonowej Krainie Jezior. Los, popychając go z hałaśliwego Tottenham przez ciszą Kensington, zatoczył pełne koło i z powrotem przywiódł do slumsów. Jon uświadomił sobie z przerażeniem, że Eva mieszka zaledwie milę dalej; nie wolno mu teraz o niej myśleć!

„BORROW ALE”, głosił napis — ktoś usunął środkowe „D”. Zakaz wjazdu. Blokady na kola. Spojrzał w górę budynku. Za którymś oknem rośnie jego syn. Tobias — czy podoba mu się to imię? — i nie patrzy na wspaniałe ogrody Stanmore, ma przed oczami jedno, jedyne drzewko. Jakaś nylonowa torba w pułapce gałęzi połyskiwała w świetle lampy. Ale gdyby to było Stanmore, jego syn nie istniałby.

Winda okazała się nieczynna. Schodami dostał się na galerię górnego piętra. Mieszkania 21-33. Z okien na beton korytarza padały ozdobne cienie, zdradliwe plamy światła, przez które musiał przejść. Zrobiła się dziesiąta. Pospiesznie minął numery dwadzieścia jeden i dwadzieścia dwa i zatrzymał się.

Przy drzwiach pod numerem dwadzieścia trzy wisiała roślina w plastikowej doniczce. Na progu stały dwie puste butelki na mleko. W najbliższym, słabo oświetlonym oknie opuszczono roletę. Żółtą, w niedźwiadki. Poczuł ogarniające go podniecenie: to na pewno pokój synka. Kilka jardów dalej śpi Tobias, mały chłopczyk, który boi się ciemności.

Przeszedł obok drzwi, zajrzał w drugie okno. Do połowy tylko opuszczona zasłona pozwalała zobaczyć wnętrze.

Hannah siedziała przy stole, obok niej pojedyncza lampa oświetlała stertę książek. Pochylona, coś pisała. Na chwilę przerwała, przewertowała jakąś książkę, jedną dłonią przytrzymując wybraną stronę. Coś odpisywała, pochłonięta tekstem. Wyglądała na bardzo zajęta; na nosie miała okulary.

Okulary. Nawet nie wiedział, że Hannah je nosi. No tak, przecież w szopie ich nie potrzebowała.

Nie wrócił do hotelu. Błądził ulicami. Tak właśnie włóczyli się mężczyźni po ulicach Tottenham; goście o zdecydowanej minie, idący szybkim krokiem, z opuszczoną głową. Zdawali się posiadać jakiś cel, ale gdy zobaczył ich wciąż przemierzających ten sam szlak, zrozumiał, że tak naprawdę, niczym lekka, rozrywkowa muzyczka zostali zamknięci w labiryncie beznadziejności, skazani na powtarzanie się. Zaprzagnął powrócić do tamtego mieszkania, zajrzeć do

sypialni. Dręczyła go myśl: jestem niewidzialny dla mojego syna tak jak dla jego matki; kiedyś, w przyszłości może usiądzie obok mnie w autobusie i nie rozpozna mnie.

Przeszedł obok masarni. Puste tace lśniły w świetle ulicznych lamp. I nagle uderzyła go myśl: i ja także go nie rozpoznam.

A jeśli Tobiasz nie jest moim dzieckiem? Może po utracie dziewictwa Hannah załamała się i padła w ramiona pierwszego lepszego faceta...

Gorączkowo główkował, jak załatwić sprawę. Czy rzucić torbę z pieniędzmi pod drzwi, zadzwonić i uciec, tak jak kiedyś, gdy był mały i naciskał cudze dzwonki. A może zapowiedzieć się, po raz pierwszy spojrzeć Hannah w oczy i ujrzeć w nich własne odbicie?

Musi zobaczyć synka, jego twarz! Szedł ulicami Holland Park. W mroku majaczyły podparte filarami domy. Ciekawe, jak ich mieszkańcy zarobili swoje pieniądze? Czy dla zysku odbierali innym szczęście? I pomyślał: na krótką chwilę odwiedziłem to życie, na moment je sobie pożyczyłem. Znajdował coś niewinnego w tym drobnym akcie wandalizmu. On jedynie jakby pożyczył te pieniądze, powodowany słabością i pożądaniem, a czyniąc tak, sprawił, że rozpadła się rodzina i narodziło się dziecko. Wręcz nie do pomyślenia! A jednak myślał o tym przez cały czas. Wydarzenia zniekształcone wracały do niego w snach. Dwa lata temu, pomyślał, pewnego chłodnego dnia, na działkach w północnym Londynie został poczęty mój syn...

Wrócił do hotelu o świcie. Położył się do łóżka. Jeszcze jeden dzień. Spędzę go z nimi, zanim się pożegnają.

I tak zaczął się najdziwniejszy dzień jego życia. Zamknął tę sobotę w sejfie swego serca. Po latach otwierał go i, niczym skąpiec, oglądał swój największy skarb, cenniejszy od złota i od wszystkiego, co można za nie kupić. Tyle że w pewnym sensie zdobył go poprzez pożądanie złota.

Nie spał. O dziewiątej rano już stał przed blokiem. Udawał zajętego czytaniem Guardian, choć litery skakały mu przed oczami. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a jeżeli nawet, nikt nie znajdował w jego obecności niczego szczególnego. W okolicy kręciło się mnóstwo bezużytecznie wyglądających mężczyzn, młodzi stali w grupach przy wejściu z tablicą „Wjazd”, prowadzącym do podziemnego parkingu, nie zwracając uwagi na to, co wdychają. Zrobiło się upalnie — pierwszy prawdziwy dzień lata. Zdjął koszulę i plecami wsparty o ścianę siedział, pławiąc się w słońcu. Mrużąc oczy, obserwował wyjście z klatki schodowej. Późnym rankiem pod drzewami na ławkach coraz więcej kobiet oddawało się słonecznej kąpieli; od czasu do czasu unosiły głowę, by zawołać swoje dziecko.

Czyżby ją przeoczył? Mogła wyjść wcześniej. Już zaczynał się niepokoić, gdy pojawiła się. Była pierwsza trzydzieści. Wyłoniła się z klatki schodowej, z synkiem pod pachą; drugą ręką przytrzymywała spacerowy wózek. Omal nie poderwał się, by jej pomóc.

Powstrzymał się i tylko patrzył, jak radzi sobie z rozłożeniem sprzętu. Swoboda jej ruchów świadczyła o znajomości rzeczy i długiej praktyce. Nogą strąciła poprzeczkę i rozłożyła wózek, potrząsając nim. Paskami przymocowała synka. Z odległości, która dzieliła go od nich, nie rozróżniał rysów malca. Widział tylko niebieskie spodniki na szelkach i ciemne włoski chłopca.

Ruszyła. Szedł za nią, zachowując dystans. Włosy miała krótko obcięte; niebieska spódnica i miękko opadająca bluzka nadawały jej od tyłu matronowatego wyglądu. To on przyczynił się do tej transformacji. Ze sposobu, w jaki się poruszała, znikła sztywność typowa dla niepewnej siebie nastolatki. Była teraz matką całkowicie pochłoniętą swym dzieckiem. Od czasu do czasu pochylała się, by szepnąć coś malcowi wózku. Jon odetchnął z ulgą. Nie groziło mu, że Hannah go zauważy; reszta świata przestała dla niej istnieć.

Minęła jakąś przecznicę i szła dalej Portobello Road. Była sobota; na targu zrobiło się tłoczno. Stała w kolejce przy stoisku z jarzynami. Sprzedawca ładował jej ziemniaki do torby. Rozmawiała z nim; najwyraźniej regularnie robiła tu zakupy. Poszukała w portmonetce drobnych; sprzedawca wydał jej resztę. Jej profil, gdy wkładała monety z powrotem do portmonetki, miał ten skoncentrowany wyraz osoby kalkulującej, ile jeszcze może wydać.

Poszedł za nią do stoiska z owocami. Dwa lata temu śledzono ją na innym targu, pomyślał. Dwa lata temu była nastolatką zainteresowaną ciuchami. Teraz jest matką i kupuje ziemniaki. Nagle wróciły do niego tamte chwile, gdy siedział w toyocie i dla uspokojenia nerwów puszczał jedną z tych okropnych kaset z muzyką Evy. Obok przeciskali się przechodnie, obrzucając go wściekłym spojrzeniem — bo zostawił silnik na chodzie. Samochód był tak zdezelowany, że po wyłączeniu nie chciał zapalić. Zapamiętał, jak zdumiewało go, że potrafi koncentrować się na praktycznych aspektach przedsięwzięcia, które przecież napawało go odrazą.

Przecisnął się bliżej, by spojrzeć na synka. Tobias ssał dwa paluszki, zafascynowany dotykał sari kobiety stojącej przed Hannah w kolejce. Miał okrągłą, senną buzię. Skoncentrowany na swoich paluszkach, czerpał z nich pożywienie. Jon kiedyś też miał zwyczaj ssać kciuk; przypomniał sobie to uczucie, przetrwało w nim wszystkie te lata. A w malcu nie odnajdował żadnego podobieństwa do siebie; w jakiś dziwny sposób fakt ten podtrzymał go na duchu.

Hannah właśnie opuszczała targowisko. Dwie torby z zakupami zwisały z rączek spacerowego wózka. Przeszła obok stoiska ze swetrami w stylu ludowym — kiedyś podobny nosiła — tym razem jednak nie poświęciła im nawet spojrzenia.

Poszedł za nią do parku: zwykły plac zabaw, trochę zdeptanej trawy i kilka ławek. Wokół wznosiły się wysokie, odrapane budynki. Grupa dzieciaków siedziała na ziemi, kiwając głowami w rytm głośnej muzyki rodem z getta. Na trawie, odwrócony twarzą do ziemi spał starszy mężczyzna.

Hannah już nie nosiła wyplamionej atramentem, hinduskiej torby na ramię. Z obszernej — w rozmiarach małego dziecka — torby wyjęła chleb, urywała z niego kawałeczki i wręczała synkowi siedzącemu na jej kolanach. Tobiasz rzucał je na ziemię. Stary mężczyzna poruszył się, przewrócił się na plecy. Tak naprawdę wcale nie stary, był w wieku Jona. Wokół niego leżały zapakowane nylonowe worki na zakupy. Wyglądało, jakby Tobiasz właśnie jego chciał nakarmić chlebem.

Jon usiadł na sąsiedniej ławce. Gołębie jakby tylko na to czekały, zleciały się natychmiast. Dziobały kawałki chleba; potrzasały nimi i z irytacją rozrzuciły wokół. Chłopiec rzucał im następne. Mężczyzna zmienił pozycję i obmacał swój dobytek, upewnił się, czy aby nikt nie zabrał nylonowych toreb. Z powrotem przewrócił się na brzuch i zanurzył twarz w trawie. Miał poplamione spodnie.

Jona ogarnęło dziwne uczucie. Znajdował się zaledwie kilka jardów od Hannah; widziała go, a jednak pozostał dla niej niewidzialny. Poczul się pochwycony w pułapkę nieistnienia, a przecież siedział tu, głośno wycierając nos — widok synka poruszył go do głębi. Ktoś coś krzyknął; Hannah odwróciła się i spojrzała na Jona: równie dobrze mogłaby go nie widzieć.

Ogarnęło go uczucie nieważkości: był nikiem; mógł być kimkolwiek, mężczyzną na trawie, z całym swym majątkiem spakowanym w torby tak stare, że napisy firmowe zatarty się. Jego bliźniacze duchy usiadły po obu stronach synka: mężczyzna nie posiadający niczego i ten, który miał wszystko. Względnie, jeżeliby spojrzeć na to inaczej: człowiek z całą masą worków na zakupy i ten o pustych rękach. Ani jeden, ani drugi nie zwrócił na siebie uwagi małego chłopca; dziecko, wskazując na huśtawkę o dwóch końcach, ciągnęło matkę za rękaw.

Podnieśli się, ale Tobiasz nie dał się poprowadzić w stronę zwykłych huśtawek. Siedząc okrakiem na biodrze matki, wychylał się w stronę huśtawki-deski; rączką wskazywał na nią i piszcząc coś, czego Jon nie słyszał.

— Nie możemy — powiedziała Hannah i ruszyła w stronę tych zwykłych huśtawek. Mały rozwrzeszczał się na dobre.

Jon zerwał się z miejsca. Później dotarła do niego nierozwaga, z jaką się zachował, ale nie potrafił się powstrzymać. Podeszedł do huśtawki-deski i usiadł na siedzeniu w kształcie łyżki. Tym czynem przekroczył granicę świadomości Hannah. Uniósł brwi i wzrokiem ściągnął jej uwagę na drugi koniec huśtawki.

Trzymając dziecko na rękach, obrzuciła Jona podejrzliwym spojrzeniem. Szacowała go. Czy jest godny zaufania? Czego chce?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Niczego od ciebie nie chcę. Nie odważył się odezwać, mogłaby rozpoznać jego głos. Prawdopodobnie wzięła go za opiekuna z urzędu, wyznaczonego do zajęcia się sprawami lokalnej społeczności.

Przeniosła Tobiasa na drugie biodro i rzuciła z uśmiechem: — Dziękuję.

Zdjęła dziecko na ziemię — spójrzcie, on stoi! Sięgnęła w stronę huśtawki. Jon odepchnął się w górę, Hannah przytrzymała drugie siedzenie. Z zadziwiającą siłą ściągnęła je niżej, usiadła. Syna umieściła sobie na kolanach.

Skinęła głową i Jon wprowadził huśtawkę w ruch. Odepchnął się w górę. Stuknęli o ziemię i Tobias zapiszczał. Hannah podgięła nogi, odepchnęła się i już oni szybowali w górę, wysoko nad Jonem, który ze stukotem opadł w dół. Ważyli mniej więcej tyle samo; wznosili się i opadali rytmicznie, w górę... w dół. Do góry popłynęły twarze, uśmiechnięte oblicze Hannah i napięta buzia chłopca... opadali... wznosili się... ku słońcu. Wypełniła go niezwykła radość. Głosy miasta ucichły.

Odepchnął się mocniej... poleciał w górę, oni wylądowali ze stukotem... Tobias piszczał, Hannah śmiała się... teraz ona odbiła się mocniej... frunęli w górę... Jon huknął w ziemię z impetem, aż jego pośladki, jakby pozbawione ciężaru, uniosły się nad siedzenie. Z uśmiechem zaparł się nogami, odepchnął się z całej siły i poszybował... teraz oni łupnęli w dół. I spójrzcie! Mógł szybować... szybować... bez końca. Hannah próbowała przerwać zabawę, ale Tobias zaprotestował krzykiem.

Jon stracił poczucie czasu. Pięć minut, godzina... może huścili się całe popołudnie. W końcu Hannah zawołała, łapiąc oddech: — Dość! — Po raz ostatni odepchnęła się w górę. Zsiadł i przytrzymał siedzenie, delikatnie ściągając ich w dół.

Mocno trzymając dziecko, Hannah zeszła z huśtawki. Na dole, na ziemi, nagle wydała się niezdarna. Twarz błyszczała jej od potu.

— Jeszcze! — jęknął Tobias.

— Cicho, kochanie. Wrócimy tu jutro. — Przyglądała spódnice. — Obiecuję. — Z powrotem przymocowała mu opadające szelki. Dłonie wciąż miała poplamione atramentem. — Dziękuję. — Posłała Jonowi uśmiech, potem zwróciła się do małego: — Powiedz dziękuję temu miłemu panu.

Tobias uniósł ku niemu oczka, zmarszczył czoło. Jon pochylił się i wzburzył malcowi włosy. Zdumiewająco gęste. — Uważaj na siebie — powiedział.

Oddalił się. Teraz park wydawał mu się większy, gdzieś poznikali inni ludzie. Trawnik opustoszał; śpiący na trawie mężczyzna obudził się, pozbiierał swoje manatki i odszedł.

Jon ruszył w stronę ulicy. Wokół niego, trzepocąc skrzydłami, fruwały gołębie. Na niebie rozpostarł się wachlarz plamistych chmur. Odwrócił się tylko raz.

Rozdział czwarty

Czuła się zaskakująco spokojna. Teraz, gdy go już dopadła — w Horsliam — może poczekać. W sobotę poszła do fryzjera i zrobiła sobie odrosty. — Wygląda pani dzisiaj wspaniale, nie ta sama — pochwaliła ją Donna, fryzjerka.

— Mój mąż wraca do domu — wyjaśniła.

— Cudownie! Jak długo go nie było?

— Rok. Wyjechał do Hongkongu.

— Na rok? — Palce zatrzymały się. — I nie widywała go pani?

— Codziennie faksowaliśmy do siebie. Przysyłał mi kwiaty — róże, orchidee.

— Jakie to romantyczne! Kiedy przyjeżdża?

— Jutro. — Eva spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Powiedziała, zwracając się do własnych warg: — Jutro go odzyskam.

Po południu wysprzątała mieszkanie. Śmieciami wypełniła aż sześć czarnych worków. Ileż w niej siły! Odsuwała kanapy, jakby były z tektury. Wpychała do worków niedopałki, kości z kurczaka — zdumiewające, co znajdowała. Zdecydowała się nawet na przeniesienie do kuchni ekspresu do kawy. Zdawać by się mogło, że ledwie wczoraj postawiono go na podłodze w saloniku. I był tam przez cały rok. Czyż to nie zabawne? Zupełnie jakby przez ten cały czas życie, zamrożone, stało w miejscu. — Wszystkiego najlepszego — szepnęła do urządzenia i pocałowała chromowaną powłokę.

Wzięła długą kąpiel. Wlała do wanny olejek z drzewa sandałowego, popryskała odrobiną płynu Badedas. Zapaliła świece i leżała, głęboko zanurzona, obserwując cienie tańczące na kafelkach. — Horsham — nuciała pod nosem. — Horsham Horsham Horsham... — Nie śpiewała już całe wieki; jej głos wydawał chrobotliwe dźwięki. Przypomniała sobie piosenkę Simona i Garfunkela o parze w powozie: „Wszyscy jedziemy poszukać Hooooor-sham...” Wyszła z wanny dopiero, gdy woda zrobiła się zimna, a świece dopaliły się jedna po drugiej.

Położyła się wcześniej. Nawet zrezygnowała z drinka przed snem, bez najmniejszego trudu. Przecież może przestać pić w każdej chwili, ot tak, po prostu! Jeden drink prowadzi do następnego, a jutro musi być u szczytu formy. Zjadła dwie miski płatków Crunchy Nut i poszła do łóżka.

Niestety, sen nie przychodził. W końcu chyba nic dziwnego? O piątej trzydzieści była już ubrana i gotowa do wyjścia. Włożyła czarne legginsy i czarny, obcisły sweter, który zawsze mu się podobał. Wyglądała jak komandos z SAS.

Nalała sobie ostatnią filiżankę kawy. Ręka jej się trzęsła — też nic dziwnego, no nie? Obserwowała wijący się między palcami dym papierosa. Poruszała dłonią, odwróciła grzbietem w dół, i znowu w górę. Zgasila papierosa w popielniczce pełnej niedopałków. Kiedy zdążyła tyle wypalić?

Poczekala do ósmej. Potem wyszła z mieszkania i nacisnęła guzik windy. Weszła do środka, wybrała przycisk „B”; winda opadała gładko, do samego podziemnego garażu. Schodkami zeszła do mercedesa, swojego maleństwa. Stalowe drzwi rozsunęły się; minęła rampę, wyjechała na cichą ulicę.

Londyn jeszcze spał. Był niedzielny poranek. Przez rozsunięty dach wozu do środka wpadały dźwięki rozspiewanych kościelnych dzwonów. Przejechała przez Streatham, obok zakratowanych sklepów. Strony leżącego na siedzeniu obok atlasu drogowego lekko drgały na wietrze. Koniuszkami palców prowadziła idealnie nastrojoną maszynę, potężny silnik zgrany z jej ciałem.

Szybko przejechała przez przedmieścia, wydostała się za miasto. HORSHAM 5 MIL. Przez otwór w dachu do wozu wdierało się zimne powietrze, ale nie dbała o to. W ogóle niewiele odczuwała. HORSHAM 2 MILE.

Wreszcie dojechała, zaparkowała wóz w bocznej uliczce, zgasila silnik. W pobliżu ujrzała pomalowany na biało domek. Zamieszkajmy na prowincji, powiedział kiedyś. Może nawet stoi za tymi oknami, czy to nie byłoby zabawne?

Dzień był szary, chłodny. Wsiadła z auta i ruszyła główną ulicą. Poznała ją, oglądała ten odcinek drogi na wideo chyba z czterdzieści razy. Przeszła na drugą stronę i zatrzymała się w miejscu, gdzie przed

kilkoma miesiącami stał reporter. Zauważyła sklep żelazny. Podeszła bliżej. PRZEPRASZAMY! ZAMKNIĘTE.

Poszła dalej, zatrzymała się przy sklepiku z gazetami. Wszedł z niego mężczyzna niosący przed sobą stertę niedzielnych magazynów niczym tacę. Spojrzał na nią i wsiadł do samochodu. Gdzieś niedaleko kościelny dzwon wybił dziesiątą.

On szedł tym chodnikiem. Tutaj kupował gazety. Podeszła do wystawy, zlustrowała kartki. „Do sprzedania kuchenka typu Baby Belling”, „Potrzebny wybieg dla klaczy”. Może Jon obserwuje ją. Czowała na sobie jego wzrok; musi gdzieś tu być. Spojrzała na swoje odbicie w szybie; ulica za jej plecami była pusta.

Znów wpatrzyła się w wystawę. Tym razem zauważyła kartkę: „Eliot Parker, stolarz i budowniczy. Wszelkie najdrobniejsze prace.

Eliot. Ta dziewczyna w szopie nazwała go tym imieniem. I Parker... Saksofonista Charlie Parker był jego idolem.

To z pewnością on. Poznała pismo. Zmienił nazwisko, czy to nie rozkoszne? Atrament wyblakł od słońca; kartka leży tu pewnie od wielu tygodni. „Minstead koło Horsham, Przy Kościele 4”.

Odnalazła wioskę w atlasie drogowym. Jon podarował go jej, gdy kupili mercedesa. Przedtem nigdy nie miała takiej mapy. Wyobraziła sobie, jak ona i Jon siedzą obok siebie, wiatr rozwiewa im włosy, a oni pędzą drogami Brytanii i do nieprzytomności pieprzą się w luksusowych hotelach. Rejestrują się jako państwo X, zgodnie z prawdą.

Wreszcie Minstead. Silnik pomrukiwał, gdy płynęła przez wieś. Nigdy wcześniej nie czuła się tak całkowicie przytomna, w pełni przebudzona. I czujna, bardziej nawet niż tego dnia, gdy polowała na tamtą dziewczynę. Zwolniła koło pubu. Wciąż był zamknięty. Czuła na sobie obserwujący ją wzrok okien cofniętych od drogi domków. Przyhamowała — trochę zbyt gwałtownie — i starała się odczytać nazwy. Pod Wiciokrzewem... Stara Kuźnia. Na wiejskim placu dwoje dzieciaków siedziało na huśtawce. Rodzice naciskali deskę — tato z jednego końca, mama (tłusta krowa) z drugiego. Gdy przejeżdżała obok nich, tato obrzucił ją spojrzeniem.

Minęła salon sprzedaży przyczep... pocztę... swym czarnym mercedesem płynęła niczym rozlewająca się plama oleju... Oczy zasłoniła ciemnymi okularami, głowę owinęła szalem, który posłużył za opaskę na oczy Hannah. Przypomniała to sobie i rozbawiona, zachichotała. Rozsunięty dach samochodu przyciągał spojrzenia przechodniów. Pewnie uznali ją za gwiazdę filmową. Znów dźwięk kościelnych dzwonów...coraz głośniejszy... o jest, tam niżej... kościół zadawał się przyciągać ją niczym magnes.

Naprzeciwno bożej świątyni ciągnął się rząd domków. Minęła numer cztery; ostatni. Zasłony na oknach zaciągnięte. Zaparkowała przy końcu alejki. Stało tam wiele samochodów; wierni szli do kościoła. Wyłączyła silnik. Dzwony rozdźwięczały się na dobre, co za hałas! Zasunęła dach, zamknęła się w środku, odcięła od zewnętrznego świata.

Siedziała tak przez chwilę, głęboko oddychała. Kilka lat wcześniej próbowała rzucić palenie i udała się po pomoc do hipnoterapeuty. Leżysz na plaży... zrelaksuj się... rozluźnij czubki palców, dłonie... Otworzyła oczy i spojrzała w tylne lusterko. Ustawiła je tak, by mieć widok na domek. Nikt z niego nie wyszedł ani nie wszedł do środka; żadnego znaku życia. Ani śladu motocykla.

Wysiadła z samochodu i podeszła do budynku. W ogrodzie na froncie leżały owinięte brezentem deski. Płachtę przyciśnięto cegłami.

— Szuka pewnie Eliota?

Aż podskoczyła. Z sąsiedniego domu wyszedł starszy mężczyzna. Dopiero po chwili zrozumiała, co do niej mówi.

— Nie ma go. — Mężczyzna niósł czarny, wypchany worek na śmieci. Podniósł pokrywę kosza przed domem i wcisnął wór do środka. — Wyjechał do Londynu.

Wrócił do siebie, zatrzasnął drzwi. I zaraz uchylił je ponownie, by wypuścić kota.

Na niebie nisko zahuczał samolot. Eva z wrażenia aż osłabła. I omal nie roześmiała się na głos.

Pojechał do Londynu. Wrócił do mieszkania, po nią. Tego samego dnia, gdy ona przyjechała, by go odnaleźć tutaj! Jakie to typowe, typowe dla nich; bo oni są właśnie tacy, ona i Jonny. Łączy ich telepatia.

Otworzyła furtkę od frontu. Przeszła przez ogród; obcasy botków zapadały się w trawie. Obeszła domek z boku. Teraz, gdy wiedziała, że go tu nie ma, nabrała odwagi. Z tyłu grządka z jarzynami — schludne rzędkie, ani śladu chwastów. Wyhodował je dla nas, pomyślała. Przez ten cały czas przygotowywał to miejsce.

Podeszła do okna na tyłach domu, zajrzała do środka. Zdjęła okulary, przycisnęła twarz do szyby. Kuchnia; z mroku wyłowiła starą elektryczną maszynkę, półki z laminatu... tandetna kuchenna dziupla, ale wystarczy. Jak się jest szczęśliwym, co więcej potrzeba? On dobrze wiedział, co jej trzeba do szczęścia, i zawsze tego dla nich pragnął.

Dostrzegła widokówki nad zlewem, wsparte o okno. Odwrócone tak, że mogła odczytać ich treść. Pochyliła się bliżej, mrużąc oczy przed rażącym je światłem.

Wszystkie najwyraźniej wysłała jakaś „H”.

Właśnie byłam w tej świątyni na spektaklu dźwięku i światła. Nawet idiotyczna ścieżka dźwiękowa nie zdołała zniszczyć atmosfery tajemniczości...etc. etc. Całuję H.

Mamy tu 40 stopni, można skonać z gorąca. Hotel pełen Niemców, same „leżakowe chwaty”... Całusy H.

To wspaniałe, średniowieczne ściennie malowidło. Dlaczego piekło jest zawsze bardziej interesujące od nieba? Odpowiedzi po powrocie, wystarczy na jedną stronę... etc. etc. Tęsknię za tobą, H.

Wyraźny, zdecydowany charakter pisma. Dzwony kościelne waliły, jakby to one były jej durnym sercem. Dopiero ryk przelatującego na niebie samolotu zagłuszył ich dźwięki; a ją pochłonął jego wielki cień.

Jedną pocztówkę podpisano innym imieniem.

Drogi Eliocie. Miło było cię poznać. Oto, jak obiecałam, adres Hannah: Londyn WIO, Mandela Estate, Borrowdale, mieszkanie 23. Proszę, ucałuj ją ode mnie. Wszystkiego najlepszego, Kimberley.

Usiadła w aucie. Wpatrzyła się w adres, który drżącymi rękami zapisała na pudełku zapalek.

Nie mogła przełknąć śliny. Gardło ją piekło, jakby właśnie paliła marihuanę. Całusy od H.

Oczywiście, doznała szoku, ale przecież wszystko było jasne. To z pewnością Hannah, ta tłusta, pryszczata uczennica, to ona się na niego napaliła. I stało się — jak z tą Paty Hearst. Tamta też zakochała się w facecie, który ją porwał; nakręcili o tym film.

Głupia dziwka. A teraz co, jeździ sobie po świecie! Hotele, baseny, zagraniczne cuda. Jej życie przypomina długie wakacje. Jon niepotrzebnie się o nią niepokoił. A Price'owie najwyraźniej byli niezłe nadziani; co to dla nich pół miliona. Cholera, trzeba było wyciągnąć więcej — dwa, trzy miliony.

Zrozumiała, co się wydarzyło. Jon, zażenowany cielecą miłością Hannah — jest taki miękki, taki dobry — pojechał do Londynu powiedzieć jej prawdę. Kocham Evę. Spędziłem cały rok na przygotowywaniu jej wielkiej niespodzianki. Eva jest jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek mógłbym pokochać.

A potem pojawi się w mieszkaniu. Spójrz, kto przyszedł, powie. Myślałaś, że odszedłem? Jak mógłbym cię zostawić? Ty głupiutka, tylko udawałem.

Dłonie jej się trzęsły, jakby żyły własnym życiem. Idiotyczne, przecież wszystko już miało być dobrze. Teraz pewnie siedzi i rozmawia z Hannah. Eva i ja na zawsze pozostaniemy razem. Nic nas nie rozdzieli, nawet śmierć. Eva właśnie po mnie jedzie. Przystawiła dźwignię na tylny bieg. Zapaliła silnik i cofnęła auto, ślizgając się w błocie. Zmieniła bieg i przejechała przez wieś.

Mandela Estate. Tym razem jechała szybko.

Rozdział piąty

Hannah spędziła tę noc u matki, w mieszkaniu oddalonym o dziesięć minut spacerem od jej domu. Spały z Becky w podwójnym łóżku, a matka w małym pokoju. Często robiły tak w sobotnie noce, gdy reszta Londynu oddawała się rozrywce. Hannah przypominały się dawne, dziewczęce czasy, gdy w Stanmore zostawała na noc u koleżanek.

Rano Val namawiała ją do pójścia do kościoła. — Chociaż ten jeden raz — nalegała. — A nuż ci się spodoba.

Hannah już otwierała usta, już miała zaprotestować. Jestem przecież pół-Żydówką. I ateistką. Za tydzień mam końcowe egzaminy. Ale spojrzawszy na matkę, przystała na propozycję.

Val odnalazła Boga. A dokładniej, odkryła Go na nowo — niczym ukochanego z dzieciństwa, cierpliwie czekającego na nią przez te wszystkie lata, gdy była żoną innego. Jak Hannah mogłaby odmówić jej tej odrobiny przyjemności? Po okresie załamania, po tygodniu szpikowania się pigułami i leżenia w zaciemnionym pokoju Val z krainy snów wynurzyła się z powrotem do światła jakby wyciszona; a nawet radosna. Jakby odrzuciła od siebie wszelką gorycz. Na nowo odnalezione chrześcijaństwo najwyraźniej nadawało jej życiu sens. Hannah jeszcze nie potrafiłaby określić, czy to aspekt wybaczenia nappełniał matkę spokojem i czy pogodziła się z tymi, którzy wprowadzili zamieszanie w jej życie, czy bardziej ożywiało ją głębokie przekonanie, że złoczyńcy po śmierci będą się smażyć w piekle. Jednak uznała, że pytanie o to byłoby nietaktem.

W każdym razie na jej oczach wesoła, światowa Val zmieniała się całkowicie; okazała się o wiele bardziej troskliwą babką, niż kiedykolwiek była matką. Opiekowała się Tobiasem w godzinach, które Hannah spędzała w college'u, ponadto na część etatu pracowała w Obywatelskim Biurze Doradczym, więcej czasu poświęcając biedakom niż bogatym. I nie dalej jak przed tygodniem wyznała córce: — Dziwne, ale jestem niemal wdzięczna za to, co się wydarzyło. I nie pytaj, dlaczego. — Więc Hannah nie zapytała.

Poszły do kościoła — surowego, w wiktoriańskim stylu przybytku w Bayswater. Becky, jak to zbuntowana nastolatka, nie zgodziła się im towarzyszyć i została z Tobiasem w domu. Hannah uklękła w ławce. Pochylona obok niej Val donośnym głosem dołączyła do Credo: — Wierzę w jedyne Boga, Ojca Wszechmogącego...

Zacisnąwszy wargi, Hannah recytowała w duchu: Ciągłe ten zapach krwi! Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu z tej malej ręki... Uczyła się fragmentów „Makbeta” na pamięć.

Pobiegła myślami do synka. Poprzedniego dnia na huśtawce przytrzymywała go, ścisnąwszy nogami. Wzlatywali w górę ku zdradliwemu, błękitnemu niebu. Mały już czynił pierwsze wysiłki, by dorosnąć, opuścić ją i odejść w świat tak przerażający, że jego babka po otuchę zwróciła się do Boga, a dziadek próbował wodą mineralną zmyć swoje grzechy.

— Psalm Czterdziesty Siódmy.

Podniosły się. W ciągu ostatniego roku albo Hannah wyrosła, albo Val się skurczyła, w każdym razie córka była teraz wyższa od matki. I wiele wyższa od ojca, gdyby tu przy nich był.

Wokół niej rozbrzmiewały głosy. Przed laty, w pierwszej klasie śpiewały z Emmą własną wersję kolęd... Gdy pasterze nocą prali swe skarpety... uznawszy pomysł za nader zabawny, jako że wcześniej nikomu nie przyszedł do głowy. Aż skrecały się ze śmiechu. Od tamtego czasu zdawały się minąć całe wieki; jakże były niewinne, nie znające świata... w epoce, zanim pojawiły się pryszczki i staniki, zanim zapaliły pierwszego marlboro i poznały smak pocałunku z języczkiem. Emma wciąż miała płaskie piersi, a jej rodzice jeszcze byli małżeństwem. Tak jak i rodzice Hannah, związani zdawało się na zawsze... A Julia, na wypadek końca świata, zjadała pudding przed daniem głównym. I widzicie? Koniec świata nie nastąpił. Przynajmniej jak na razie.

Rozdział szósty

Prosto z Sussex Eva pojechała do Notting Hill. Kilka razy omal nie rozbiła wozu — kretyni, powinni uważać, jak jadą. Gdy zaparkowała wreszcie przed tablicą z napisem „Mandela Estate”, lepiła się od potu. Poprawiła ustawienie tylnego lusterka, pomalowała usta szminką. Och, niech to! Jeszcze raz. Zmazala szminkę i nałożyła ją ponownie.

Na chodniku połyskiwały odłamki rozbitego szkła. A jeśli jakiś drań zniszczy jej samochód? W takiej okolicy robią to dla zabawy. Nie mogła jednak wjechać w obręb osiedla; „Zakaz wjazdu. Blokady na koła”, oznajmiał znak. Zresztą i tak nie chciała, by Jon ją zauważył, w każdym razie jeszcze nie teraz. Wolą go zaskoczyć.

Wyjęła chusteczkę higieniczną i starła błoto z obcasów. Musi zaprezentować mu się elegancko. Otwierając drzwiczki samochodu, wyrzuciła chusteczkę do rynsztoka. Wzdłuż chodnika ścieliły się śmieci, zupełnie jakby ktoś opróżniał tu worki; pod murem leżał materac. Spojrzała w górę, na blok. Betonowy wieżowiec, jak ten, do którego przeniosła się jej matka po oddaniu ją pod opiekę obcym. On jest tam, czeka na nią.

Zamknęła auto na klucz i przeszła przez bramę. Pomyślała: czyż nie jestem sprytna? Udało mi się go odszukać, zanim on odnalazł mnie. Boże, jak ja kocham tego mężczyznę. Na śmierć i życie.

A jak on ją kochał wtedy, zaraz potem, gdy się do niego wprowadziła! Powiedział: — Każdego dnia w tym tygodniu mam zamiar zająć się inną częścią twego ciała.

— W porządku. Od czego zaczniesz?

— Od twoich kolan. — Klęknął i całował je. — Każdego dnia popracuję nad kawałeczkiem twego ciała.

— Ależ z ciebie głuptas.

Leżeli na dywanie, roześmiani. Wymyślił wiersz, w którym było tak śmiesznie o tych kolanach:

Oto kolanka pszczele

Czy prosić o więcej się ośmielę?

Tak blisko przysunął do nich twarz, że łaskotał ją oddechem.

— Och, jak pachną sianem — zauważył.

Wyjął pisak i zabrał się do rysowania. Na jednym kolanie wymalował szeroki uśmiech, na drugim grymas oddający zachnięcie. Później, w pubie, pod stołem zwracał się do jej kolan. Faceci siedzący obok patrzyli na nich jak na parę wariatów. No i byli stuknięci.

— Kto ma te pszczele kolanka?

Eva zamarła. Jakiś facet, zajęty polerowaniem samochodu, posłał jej uśmiech.

— Przez chwilę miałem nadzieję, że to mój szczęśliwy dzień — oznajmił. Cholera, najwyraźniej mówiła na głos.

— I kto jest stuknięty? — pytał dalej ze śmiechem.

Winda okazała się nieczynna. Musiała wejść po schodach. Były betonowe — ależ hałasują te jej obcasy. Starła się stąpać na palcach. I widzicie? Ani jednego dźwięku. Zrobiła się pierwsza po południu. Od wielogodzinnego prowadzenia samochodu rozboleły ją plecy, ale nie zwracała na to uwagi. Czuła się niezwykle mocna; silna jak koń.

Dotarła pod mieszkanie numer 23. Okna zasłonięte roletami. Eva przekrzywiła głowę, nasłuchiwała. Żadnego dźwięku, poza łomotaniem jej serca.

Są w środku, była pewna. Niemal wyczuwała Jona tam, za drzwiami. Czeka na nią; słyszała jego oddech. Zamknęła oczy i dotknęła go, tę jego miękką szyję.

Że też nie mają kuchennych drzwi. Mogłaby go zaskoczyć. Zobaczyć wyraz jego twarzy!

Zadzwoiła. Żadnej odpowiedzi. Dzwonek pewnie zepsuty. Podniosła pustą butelkę na mleko i stuknęła nią w drzwi.

Ale hałas! Odskoczyła. Czekwała. Z sąsiedniego mieszkania rozchodził się zapach pieczonego mięsa. Jak tu cicho. Pogłaskała butelkę. Jeżeli ją zbije — nic trudnego, o balustradę — a więc jeżeli ją zbije, szkło tak gładko wejdzie mu w krtań, jak nóż w masło.

Zapukała ponownie. Cisza. W mieszkaniu nie było nikogo.

Rozdział siódmy

Mieszkanie Val — dwie sypialnie na poddaszu — miało okna z widokiem na dachy Westbourne Grove. Choć ciasne, z kuchenną wnęką w salonie, posiadało pewien studencki urok. Właśnie wróciły z kościoła. Patrząc na matkę zapalającą gazową kuchenkę, Hannah pomyślała: rozwiedzeni ludzie cofają się w przeszłość o całe dekady. Mój ojciec mieszka z uczennicą szkoły pielęgniarstwa; matka ma w łazience Geezera — taką podobiznę jednego z tych koni z Ascot.

Na lunch jadły makaron, popijały go sokiem pomarańczowym. — To jedyne, co wam pozostało z marzeń o Florydzie — Hannah wskazała na karton z sokiem. Miesiąc wcześniej rodzice oddali kupony wakacyjne Rhodzie.

— Prawdę mówiąc, nigdy nie miałam ochoty tam jechać — stwierdziła matka.

— A ja, owszem — zauważyła Becky.

— Prawdopodobnie roi się tam od staruchów w poliestrowych ciuchach, a napady zdarzają się na każdym kroku — nie ustępowała Val. Uśmiechnęła się i dołożyła córkom makaronu. — A nas już wystarczająco sterroryzowano.

Hannah podchwyciła wzrok Becky. Czy przez matkę przemówiła gorzko, czy tylko żartowała? Ostatnio niezbyt umiały ją rozgryźć. Mimo że mieszkała z Becky, skończyła z nadopiekuńczością. Rozpoczęła nową podróż swego życia, jakby bez nich.

Dokładnie o drugiej zabręczał dzwonek. Atmosfera przy stole natychmiast zgęstniała. Val wstała i odniosła naczynia do zlewu.

— Cześć wam — zawołał Morris od drzwi. Po pokonaniu schodów z trudem łapał oddech. — Jak leci? Jak się miewa mój wnuk? — Wszedł do środka i zwrócił się do Becky: — Gotowa, księżniczko?

Ojciec nigdy nie zostawał dłużej. Zdawał się nie znajdować tu dla siebie dość miejsca. Widać było wyraźnie, że w mieszkaniu Val czuje się nieswojo. Brązowawa, ściągnięta w pasie bluza podkreślała jeszcze sterczący — niemal ciężarny — brzuch. Hannah, oczywiście, nie odważyłaby się skrytykować ojca. Nawet Becky nie przyszłoby do głowy powiedzieć mu, że wygląda jak sierota; swobodna bliskość ich stosunków już dawno odeszła w zapomnienie.

Zabierał Becky na tor deskorolkowy w Queensway. — Może potem wpadniemy do McDonalda, co ty na to?

Becky skrzywiła się. Hannah dobrze wiedziała, co siostra sobie myśli. Po pierwsze — wolałaby spędzać czas z przyjaciółmi. Po drugie — dlaczego ojciec traktuje ją, jakby była młodsza, niż faktycznie jest? Becky niechętnie

podniosła się od stołu. Hannah kontynuowała w myślach: dlaczego? Bo chce, by wciąż miała jedenaście lat i żeby nic się nie wydarzyło.

Val odwróciła się do męża, chłodno uśmiechnięta. Morris podał jej nylonową torbę. — Gazowana, jak lubisz — oznajmił.

— Dzięki. — Wyjęła butelki z wodą.

— W poniedziałek jedziemy z Theo na spotkanie. Z przedstawicielami Trust House Forte. Trzymajcie za nas kciuki.

— A więc interesy idą nieźle? — Val starała się być dla niego miła, jakby właśnie spotkali się na koktajl party. On natomiast mówił sztucznie beztroskim głosem. Gdy zostawali razem nieco dłużej, stopniowo odzyskiwali dawną naturalność, ale ich spotkania zazwyczaj trwały krótko. Nigdy nie padało między nimi imię Kimberley.

Poczucie winy, jakie Hannah żywiła wobec rodziców, w większej części już znikło. Ich rozstanie potoczyło się własnym impetem, winą obarczali wydarzenia z przeszłości, z okresu zanim przyszła na świat; przestała czuć się odpowiedzialna. Martwiła się o nich, ale w sposób, w jaki ktoś dorosły niepokoi się o los swych rówieśników. A obecnie wypracowali pewnego rodzaju, choć nieco żenująca, ale jednak rutynę. Niesamowicie, pomyślała, że do wszystkiego potrafimy się dostosować.

— Czy mógłbyś przyprowadzić Becky z powrotem o szóstej? — poprosiła Val. Wytarła dłonie. — Ma dużo zadane.

— Czy kiedykolwiek się spóźniłem?

Hannah podniosła się i także okazała gotowość do wyjścia.

— Podwieźć was? — zaproponował Morris. — Odwiozę was do domu.

Był szary, zimny dzień, Londyn zdawał się przyciśnięty ciężką pokrywą. Jeszcze poprzedniego dnia słońce świeciło wręcz niewiarygodnie, zupełnie jak na zagranicznych wakacjach, gdy wspominało się je po powrocie. Morris wioził córki przez Ladbroke Grove. Jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło, Hannah zdawało się, że to miasto zamarło, wyciszone w oczekiwaniu, by ktoś zerwał przytłaczające je wieko.

Morris gawędził z Becky o szkole — chodziła do ogólniaka Holland Park. — I przy wejściu was tam ostro po torbach przewalają? — zażartował. Już wielokrotnie rzucał tę uwagę.

— Nie — odrzekła Becky obojętnie. — To my przewalamy nauczycieli.

Siedzieli ściśnięci na przednim siedzeniu. Ostatnio Morris jeździł furgonetką. Gdy hamował, z tyłu pobrzękiwały pojemniki z butelkami. Zwrócił twarz w stronę Hannah, zapytał, jak sobie radzi z powtórką.

— Chyba nie robisz tego dla mnie? — upewniał się. — Ani dla matki? Mam na myśli końcowe egzaminy.

— Ależ skąd — skłamała. — Nie dla was. Robię to dla siebie.

— Aha. — Nie potrafiłaby określić, czy w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, czy ulga i ta niemożność zasmuciła ją.

Jechali już ulicą Mandela. Morris zatrzymał się, tyłem wjechał na parking. Skrzynki przesunęły się. — Pozwól mi, młoda damo, odprowadzić cię do bramy — zaproponował.

Serce w niej zamarło. Sztuczny ton ojca oznaczał, że chce porozmawiać. A ona przecież musi zachować jasność myśli. Podczas drzemki Tobiasa zamierzała powtórzyć sobie „Makbeta”; potem, jak obiecała, zabierze synka na huśtawki. Na szczęście mały miał nieskomplikowane potrzeby.

Wysiedli z furgonetki. Becky została w aucie i kręcąc gałką, próbowała nastawić radio na Capital FM. Morris pomógł przypiąć Tobiasa w wózek i ruszyli w stronę klatki schodowej domu.

Morris odchrząknął. — Tak naprawdę, moja droga, potrzebuję twojej rady.

— Mojej?

— Poza tobą nie mam się do kogo zwrócić.

— Chodzi o Theo czy Becky? Potrząsnął głową.

— Bucik! — krzyknął Tobias. Zrzucił go z nóżki. Morris schylił się i podniósł sandałek z chodnika.

— Tatus, tatus, tatus — wyrecytował malec. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział, a Hannah poczuła się zaraz odrażona.

— Prawdę mówiąc, o Kim. Chce, byśmy się pobrali — zwracał się do małego czerwonego sandałka w swej dłoni. — Chodzi jej o dziecko. Jest młoda, przed nią całe życie. Co mam jej powiedzieć?

— Uważasz, że jesteś za stary?

— Za stary? Oczywiście. Dobijam sześćdziesiątki. — Założył Tobiasowi sandałek. Malec natychmiast znów próbował go zrzucić. — Ale chodzi o coś więcej. Jak mógłbym przyczynić się do przyjścia dziecka na taki świat? — Wyprostował się i zatoczył ręką koło. Niedaleko stał zaparkowany błyszczący, czarny mercedes. — Spójrz no, ten samochód to prawdziwe dzieło sztuki. 350 SL, jeśli się nie mylę. Gdy widzę coś takiego, natychmiast przychodzą mi do głowy dwie myśli. Wiesz jakie? — Pokiwał jej palcem. — Po pierwsze: co ktoś musiał zrobić, by kupić taki wózek, po drugie: jak długo pozostanie w tak idealnym stanie na tym świecie pełnym zła... — Umilkł na chwilę. — Więc jak mogę, wierząc, że każde piękno istnieje tylko po to, by je zniszczono, zdecydować się na sprowadzenia dziecka na ten świat?

Hannah obrzuciła spojrzeniem mercedesa. W środku ktoś siedział. Przez szparę opuszczonej szyby wydobywał się papierosowy dym.

— A ja myślę jedynie: jaki ładny samochód — wyznała.

Szli dalej. — Nie mam się komu zwierzyć — kontynuował. — Więc pomyślałem sobie: moja Hannah mnie zrozumie.

— I pomyliłeś się! — zaprotestowała. — Spójrz tylko: ja mam dziecko! — Twarz jej poczerwieniała. Czowała się zażenowana zwierzeniami ojca. Szli dalej, w stronę jej bloku.

— Tatuś, tatuś, tatuś — paplał Tobias do mijanej ściany.

— Mama twierdzi, że dziwnym trafem wdzięczna jest za to, co się wydarzyło.

— Twoja matka tak powiedziała?

— Uważa, że się zmieniła. Że poznała wiele spraw, o których nigdy by się nie dowiedziała.

Doszli do schodów. Złożył wózek i ruszył w górę. — A ja wszystko popsułem — rzucił gorzko przez ramię.

— Nie powinieneś mieć sobie nic do zarzucenia. — Niosąc Tobiasa, szła schodami za ojcem. — To ja przecież irytowałam cię, to nie twoja wina. Z pewnością byłam denerwująca.

— A teraz jestem rozczarowany Theo i Rebecą... — Przerwał, by złapać oddech, ale nie zatrzymał się. — I to głównie moja wina.

— Och, nie gadaj głupot.

Dotarli do jej mieszkania. Czy to nie dziwne, przyszło jej do głowy, że czuje się mądrzejsza od własnych rodziców? Poszukała w torebce kluczy. — Cieszę się, że poprosiłeś mnie o radę. — I rzeczywiście, teraz, gdy zaskoczenie minęło, była głęboko wzruszona. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła mu się bliska. — Chcesz wiedzieć, co myślę? Nie pozwól tym, którzy to nam zrobili, by zrujnowali ci resztę życia. Jeżeli im się uda, to znaczy, że w końcu wygrali. Jakby wygrało zło.

Otworzyła kluczem drzwi. Ojciec pocałował ją w czoło. — Jestem z ciebie dumny — wyznał. — Z tego, jak sobie radzisz. Czuję się zaszczycony posiadaniem takiej córki.

— Widzisz? Gdyby tamto się nie wydarzyło, nigdy nie musiałabym sobie radzić. Studiowałabym w Sussex, zanudzałabym cię o samochód. Nigdy byś się nie dowiedział, jaką wspaniałą masz córkę.

Roześmiał się. Tym razem śmiech nie był wymuszony, brzmiał całkiem naturalnie. I zaraz potem ojciec odszedł.

Weszła do mieszkania. Opuszczone rolety nadawały pomieszczeniom spokojnego, mrocznego wyglądu.

— Czas na drzemkę — zwróciła się do synka. — Potem pójdziemy do parku.

Włożyła go do łóżeczka. Wyjął paluszki z buzi i oznajmił: — Tatuś-tatuś.

— Mama — poprawiła go.

Usiadła przy biurku. Rozmyślała o ojcu przemieszczającym się furgonetką po Londynie; z tyłu hałasujące pojemniki z butelkami. Biedny tato. Otworzyła „Makbeta”. Mógłżeby cały ocean te krwawe ślady splukać z mojej ręki?

Morris przeszedł na drugą stronę ulicy, do furgonetki. Na boku karoserii rysowało się wgniecenie; w piątek Theo pojechał z dostawą do Covent Garden i stuknął wozem w słupek. Morris musiał ukryć niezadowolenie: potrzebował pomocy Theo, dla ich obopólnego dobra, należało więc postępować z synem nadzwyczaj ostrożnie. „Co tam, to tylko trochę forsy” — oświadczył.

Wsiadł do furgonetki. Becky opuściła szybę, ale i tak w szoferce unosił się papierosowy dym. Morris już otwierał usta, by skarcić córkę; i powstrzymał się. Także z Becky nie potrafił rozmawiać; obecnie nie miał prawa zabraniać jej palić czy w ogóle czegokolwiek.

Włączył silnik, ruszyli. Nagle uderzyła go ironia sytuacji. W dawnych czasach, gdy prawie nic się nie działo, bez najmniejszego kłopotu porozumiewał się z Theo i Becky. Teraz, gdy miało miejsce tyle poważnych wydarzeń — opuścił rodzinę, by zamieszkać z inną kobietą, żona rozwiodła się z nim i poślubiła Boga, narodził mu się wnuczek, którego nieznany ojciec zniszczył ich rodzinę — po dwóch burzliwych latach jedyną osobą, przed którą mógł otworzyć serce, okazała się Hannah, ta właśnie córka, z którą w przeszłości podobne rozmowy byłyby nie do pomyślenia.

Jechali w kierunku Bayswater. Chętnie zadałby Becky z tysiąc pytań. To najmniej ważne brzmiało: czy naprawdę chcesz jechać na tor? Becky, jego złota dziewczynka, jego kochanie...

— Mów do mnie, opowiedz mi coś — poprosił.

— Ale co?

— Cokolwiek — nalegał, zdesperowany. — Cokolwiek, : Bawiła się kolczykiem w uchu. — Może dowcip? Skinął głową. Lepsze to niż nic.

— Wiesz, co zrobił dyslektyczny wyznawca szatana?

O nie! Zaraz usłyszysz coś obrzydliwego, co przyniosła ze szkoły.

— Poddaję się — zrezygnował. — Co takiego zrobiłem dyslektyczny wyznawca szatana?

— Zaczął słuchać muzyki tylko Santany!

Morris roześmiał się. Jakież to niewinne! Nagle, zupełnie irracjonalnie poczuł pewność, że wszystko się ułoży.

— Gdzie to słyszałaś? — zainteresował się.

— Hannah mi powiedziała. — Dojechali pod tor; wypięła się z pasa. — A jej to powiedział ten gość w szopie.

Rozdział ósmy

Zrobiła się trzecia, a oni jeszcze nie przyszli. W parku nie widać było dzieci. Panował chłód, dokuczał wiatr; po ciepłym, słonecznym dniu pogoda zmieniła się, jakby rozumiała powagę jego zadania. Siedział tam już od pierwszej. I marzył pomimo skórzanej kurtki i motocyklowych rękawiczek. Na ziemi, między butami ustawił torby z Tesco.

„Wrócimy tu jutro. Obiecuję” — tłumaczyła Hannah synkowi. Ich synkowi.

Teraz w parku pozostali jedynie ci, którzy nie mieli dokąd pójść. Rozmaici goście, zabijający czas, wchodzili i siadali na ławkach — osobno, każdy miał całą dla siebie; grzebali w nylonowych workach i wyciągali puszki z piwem. Pod krzakiem ktoś spał w śpiworze, nawet nie drgnął przez cały ten czas. Czarny gość w oberwanych łachach, o włosach zasmarowanych popiołem wędrował od jednego do drugiego kosza na śmieci i mówił coś do siebie dziewczęcym szczebiotem.

Dziesięć po trzeciej. Wokół nie brakowało policji. Kilka razy posterunkowi — po dwóch — sprawdzali, co dzieje się w parku. W tym momencie akurat przechodzili obok niego. Rzucił okiem na zegarek i zmarszczył brwi, udając, że czeka na dziewczynę.

Piętnaście po trzeciej. Potężnej postury kobieta zatrzymała się przed nim i powiedziała: — Zgnietli ten jego mały brzuszek. — Przeszła dalej i zwróciła się do czarnego jegomościa, stojącego na brzegu piaskownicy: — Wiesz, co oni zrobili? Zgnietli ten jego mały brzuszek.

Jon opuścił wzrok na torby, które trzymał między butami. Ciężkie jak jego sumienie. Nie myślał o Hazel; Hazel zacznie się jutro. Wspomniał ojca. Zanim ich porzucił, zaczął chować po domu butelki. Kiedyś, zupełnie niespodziewanie Jon odkrył jedną w pudle z zabawkami, gdy szukał swego traktora. Tamtego wieczora matka przeszukała cały dom. Potem, mocno zaciskając cienkie wargi, ładowała butelki do nylonowych worów; Jon miał wtedy dwanaście lat. Słyszał, jak matka hałasuje w kuchni, wsadza worki do wiadra na śmieci. Gdy poszła spać, wydobyl je i wyszedł na ulicę. Worki były takie ciężkie! Wepchnął je do pojemnika przed czyimś domem, chcąc się od nich za wszelką cenę odżegnać.

— Masz przy sobie cążki do paznokci? — znów zaczęła go potężna kobieta; o dziwo, mówiła głosem osoby wykształconej. Jon potrząsnął przecząco głową. — Tylko pytam — wyjaśniła.

Usiadła na ławce obok. Znajdowała się od niego pod wiatr, ale nie chciał robić jej przykrości, przenosząc się na inne miejsce.

Trzecia trzydzieści. Za żwirową ścieżką stała huśtawka o dwóch końcach. Niebieskie siodełko w kształcie łyżki, na którym wczoraj siedział, zawisło w powietrzu niczym znak zapytania. Po ziemi potoczyły się papierki. Teren wokół był zasłany zeberkami, jakby przed chwilą rozegrał się tu akt kanibalizmu.

Pod huśtawką rozłożono gumowe maty, by dzieciom złagodzić uderzenie o ziemię. Jon pomyślał: ileż to niebezpieczeństw czeka na Tobiasza, a mnie przy nim zabraknie. Uważaj na siebie. Jedno byle jakie zdanie ma starczyć mojemu synkowi na całe życie.

Między butami trzymał dom. Dwa domy — nawet więcej. Bilety lotnicze do każdego miejsca na ziemi znajdowały się między jego stopami. Te torby mieściły w sobie wszelkie możliwości, o jakich sam marzył, a które nigdy nie zostały mu dane. Wyjął chusteczkę higieniczną, przycisnął do nosa. Wreszcie rozpoznał zapach tej kobiety; poczuł go kiedyś, mijając fabrykę kleju. I został mu głęboko w nozdrzach.

Hannah nie przyjdzie. Już nie mógł znieść tego czekania; miejsce, w którym się znajdował, wydychało rozpacz. Nie chciał, by jego synek tu przychodził.

Spojrzał na zegarek. Trzecia czterdzieści sześć. Poczekaj do czwartej. Potem podda się, odejdzie.

Rozdział dziewiąty

Hannah o mało co nie zawróciła. Boże, jak zimno! Spojrzała w dół: Tobiasz siedział w wózek, w rączkach ścisnął torebkę z kromkami

chleba. Łapki miał mocno zaróżowione. Gdy Zwolniła, zaczął podskakiwać w górę i w dół.

— Ptaszki! — jęknął.

Pójdą tylko na pięć minut. Jedna szybka runda na huśtawce, potem nakarmią gołębie. Przeszła na drugą stronę Portobello Road. Jak to zwykle w niedzielę, było tu całkiem pusto. Po stoiskach pozostały tylko linie namalowane na betonie. Pomyślała o Camden Lock, o tym, jak niegdyś, wyrwawszy się z przedmieścia, chichocząc, biegła tam z grupką rozszczebiotanych przyjaciółek. Z niektórymi nadal pozostawała w kontakcie, mimo że ich życie potoczyło się innym torem. Emma studiowała na uniwersytecie w Hull; sypiała ze swoim opiekunem od spraw duszpasterskich. Rachel i Tanya zrobiły sobie roczną przerwę i właśnie z plecakami wędrowały po Ameryce Południowej, co teraz, gdy miała dziecko, wydawało jej się niesłychanie niebezpiecznym przedsięwzięciem. Nie była w Camden Market od tamtej niedzieli, równie szarej jak ta, gdy poszła tam sama.

Co zresztą nie było prawdą. Znalazł się tam ktoś jeszcze, śledził ją. Wystarczyło się odwrócić, a zauważyłaby ją: kasztanowa peruka, postać z determinacją przepychająca się przez tłum.

Hannah poprowadziła wózek z synkiem w stronę parku. Ta suka śledziła ją od samego Stanmore; obserwowała i chowała się, gdy tylko Hannah odwracała głowę... Teraz, patrząc wstecz, była niemal pewna, że już wtedy wiedziała... wyczuwała zło emanujące z postaci, która ją śledziła... szła za nią, stukając kurewskimi obcasami...

I ten zapach perfum; jeszcze teraz zdawał się unosić w podmuchach wiatru. Wypełniał jej nozdrza, gdy leżała w szopie, twarzą zwrócona do ściany... Chłodny, ponury dzień. Zupełnie jak ten... zbyt zimny jak na początek lata... żelazna pokrywa nieba naciskająca na ziemię... przez całą niedzielę miasto wydawało się wyciszone... wyczekujące, obserwujące...

Hannah przeszedł dreszcz. Najchętniej zawróciłaby, jednak coś ją powstrzymywało. Przyspieszyła kroku. Dla dodania sobie animuszu dźwiękiem własnego głosu, przemówiła do Tobiasza.

— Już prawie jesteśmy na miejscu... spójrz, jaki ładny piesek. Gorący oddech metra... stuk stuk... obcasy przechodzące przez peron za jej plecami...

— Już bliźniutko, kochanie... za tym rogiem.

Poczuła na karku gęsią skórę. Próbowwała skoncentrować się na wieściach od ojca. Kimberley chce mieć dziecko; może niedługo on także będzie pchał wózek. Czyż to nie niesamowite? I nagle zrozumiała, skąd bierze się ten dziwny ucisk żołądka... wreszcie do niej dotarło... stukot obcasów, coraz szybszy za jej plecami, coraz bliższy...

— Jesteśmy na miejscu! Spójrz tylko.

Przed nimi rozciągał się park. Wiatr poruszał krzakami, przyginał młode drzewka. Dalej, za budynkami, na głównej drodze huczały samochody.

— Tatuś, tatuś, tatuś — wyrecytował Tobias.

Rozdział dziesiąty

Ewę rozboleły płuca. Piekły, jakby zostały odarte ze skóry, pozbawione wierzchniej warstwy. Za dużo tych przeklętych papierochów. Oparła się o mur, łąpała oddech.

Tuż przed nią Hannah właśnie przechodziła na drugą stronę ulicy. Kierowała się na plac zabaw. Ten człapiący krok. Wielgachne nogi obciążone dzinsami. I dziecko.

Dziecka się nie spodziewała. Z początku jego widok kompletnie wyprowadził ją z równowagi. Teraz, idąc za Hannah, próbowała sobie wszystko uporządkować. Najważniejsze, by przekonać samą siebie, że to nie dziecko Jona.

Tyle że było jego, nie miała już wątpliwości. Dlaczego? Bo siedział tam, w parku.

Widziała go wyraźnie; wiedziała, że Hannah ją do niego doprowadzi. I oto on — podniszczona skórzana kurtka, kręcone brązowe włosy. Na ławce w pobliżu huśtawek. Pochylony do przodu, z brodą wspartą na dłoniach. Ze wzrokiem wbitym w torby z zakupami. Z zakupami dla nich dwojga.

Ewę ścisnęło w dołku. Ulicą przejechał samochód pełen czarnoskórych mężczyzn; uderzyła w nią dudniąca z auta muzyka. W gardle poczuła smak wymiocin.

Oderwała wzrok od Jona. Pobiegnęła spojrzeniem przez trawnik, ku Hannah. Dziewczyna przeszła obok Jona, jakby go nie знаła. Dlaczego się nie przywitali? Eva niemal dała się ponieść zwariowanej chęci, by zawołać: Hej! On tam jest! Czyż to nie głupota?

Hannah dojechała wózcikiem pod same huśtawki. Jon nie ruszył się z ławki.

Eva sięgnęła do torebki, wymacała nóż — firmy Sabatier, zawsze to, co najlepsze. Najdroższe, co tylko można dostać za pieniądze. Leżał tam niczym w gnieździe, owinięty papierowymi serwetkami.

Ruszyła przez ulicę.

Rozdział jedenasty

Kości — oto co Hannah przede wszystkim zapamiętała. Porozrzucane na ziemi, z zaschłymi na pomarańczowo plamami krwi, obgryzione resztki żeberka na wynos.

Pochyliła się, by odwiązać Tobiasa.

— But! — zawołał triumfalnie.

Sandałek leżał na ścieżce. Podeszła i podniosła go. Na ławce siedział mężczyzna, ten sam, co wczoraj. Wycierał nos; obserwowała go kątem oka. Nie pomógł jej podnieść bucika, co nawet trochę ją zaskoczyło, gdyż poprzedniego dnia okazał się taki pomocny. Ale była mu także wdzięczna. Nie chciała, by myślał, że chce go poderwać. No i wczoraj czuła się nieco zażenowana, za ciężka na tę huśtawkę; jak słoń huknęła o ziemię, tak niezdarnie szło jej z odbiciem się w górę.

Zaniosła sandałek Tobiasowi. W pobliżu nie było innych dzieci. Na trawie stali dwaj policjanci, przy siedzącym na śpiworze mężczyźnie.

Tobias rzucił torbę z chlebem na ziemię. Podniosła ją. — Może najpierw nakarmimy ptaszki?

I wtedy ją zobaczyła. Kobieta stała w krzakach, ubrana w legginsy, botki i czarny sweter. Ciemne okulary. Wyjmowała papierosa z paczki. Coś znajomego było w sposobie, w jaki potrząsnęła pudełkiem i stukając o nie czubkami palców, wypchnęła papierosa.

Blondynka o falujących włosach. Tym razem bez peruki.

— Zostań tu — nakazała Tobiasowi.

Całkowicie opanowana, spokojnie przeszła przez trawnik do policjantów. Serce jej waliło, ale głos nawet jej nie zadrżał.

— Aresztujcie tę kobietę — zażądała. — To złodziejka. Mundurowi pobiegli wzrokiem za jej wyciągniętym palcem. —

Ukradła ci coś, kochana?

— Pół miliona funtów.

Wyższy z policjantów uniósł brwi. Kolejna świruska. Ten siedzący na rozłożonym na ziemi śpiworze zakpił: — A ja jestem papieżem.

— Szybko ! — nietistepowała Hannah. — Proszę!

Ton desperacji w jej głosie sprawił, że podjęli decyzję. Ruszyli obaj naraz, wpadając na siebie, gdy jednocześnie się odwracali.

Dalej wszystko potoczyło się jak na przyspieszonym filmie. Kobieta w jednej chwili wykonała zwrot i rzuciła się do ucieczki. Potykała się, obcasy tonęły jej w trawie. Okazała się jednak zdumiewająco szybka, po chwili

przechodziła przez ulicę. Jeszcze unik przed chłopcem na rowerze, i już biegła boczną uliczką, w stronę głównej drogi.

Policjanci popędzili za nią. Jeden coś krzyknął, czego Hannah nie dosłyszała; wiatr poniósł jego słowa w odwrotnym kierunku.

Jon zareagował błyskawicznie. Oczywiście, musiała wszystko spieprzyć, pomyślał. Jeszcze nie dotarł do niego szok spowodowany widokiem Evy; nie było dość czasu. Przebiegając obok, coś do niego krzyknęła.

Dysząc, dopadł wózka. Jedną plastikową torbę wrzucił do środka, Tobiasowi na kolana. — To dla ciebie — oznajmił. — Tylko nie wydaj wszystkiego na raz. — Drugą postawił na ziemi obok.

— But — powiedział Tobias. Wskazał na sandałek.

— Przykro mi, stary.

Jon pobiegł przez trawnik. Przeskoczył przez niską drewnianą balustradę odgradzającą park od ulicy.

Wpadł w boczną uliczkę, minął na głucho zamknięty pub i zniknął.

Małe, zmarznięte paluszki Tobiasa zajęły się gumową taśmą. Gdy udało się ją odczepić, chłopczyk zachichotał radośnie. Zachwycony trzymał na kolanach wielki wór. Prawie taki duży jak on sam.

Wyśmienita zabawa, wspaniałe zajęcie dla małych, pracowitych paluszków.

Hannah wciąż stała nieruchomo. Uciekająca w stronę głównej drogi kobieta znikła jej z pola widzenia. Nie ustających w pościgu policjantów też straciła z oczu. Stała i próbowała zrozumieć, co się właściwie dzieje. Osłabła, bez tchu, czuła się kompletnie wykończona. Co też ta kobieta mogła tu robić?

Wysłuchana w dalekie odgłosy miasta, zarejestrowała nagły zgrzyt hamulców i paskudny dźwięk uderzającego o coś metalu.

Potem cisza.

Mijał czas. Zapewne tylko krótka chwila, mimo że cisza zdawała się trwać bez końca. Bywalcy parku, nasłuchując, zamarli tam, gdzie się znajdowali. Wszystkie głowy odwróciły się w tę samą stronę.

W końcu Hannah przypomniała sobie o synku. Jezu, całkiem o nim zapomniała! Nogi się pod nią ugięły: dopadał ją szok. Odwróciła się; wiatr przykleił jej kosmyk włosów do policzka.

Spojrzała na plac zabaw. Przez chwilę zdawało się jej, że pada śnieg.

Tobias siedział w gęstej śnieżycy. Płatki przypominały kawałeczki papieru. Ulatując od niego z podmuchami wiatru, kłębiły się wokół huśtawek. Było ich tak wiele, że ledwie mogła dojrzeć pod nimi synka. Leciały nad parkiem i niczym płatki kwiatów pojawiały się na krzewach.

Inne, dolatując dalej, obsiadły mężczyznę na trawie. Jak użądłony natychmiast wygramolił się ze śpiwora i potykając się, szedł przez trawnik, podnosił płatki-papierki i wpychał do kieszeni. Trzej młodzi ludzie dołączyli do niego, wydając entuzjastyczne okrzyki.

Kawałki papieru opadły wokół tłustej kobiety. Siedziała na ławce w sukni balowej i swetrze. Podniosła jeden, spojrzała na papierek pod światło. Płatki nad jej głową płały własnym tańcem. Gdy lądowały, zaśmiecały ziemię.

Tobias siedział sobie jakby nigdy nic, z szeroko otwartymi oczkami. Rączki złożył razem.

Z daleka zawyła syrena ambulansu, rozbrzmiewała coraz głośniej. Hannah podeszła do Tobiasa. Na żwirze obok wózecka słały się papierowe prostokąty.

Pochyliła się, podniosła papierek. Przez chwilę patrzyła nań, oniemiała. Pięćdziesięciofuntowy banknot.

Rozdział dwunasty

Tamta nazywała się Eva Lisiechi. Hannah dowiedziała się o tym dopiero kilka godzin później. Kobieta zmarła przed przyjazdem karetki.

Dopiero po powrocie do mieszkania, gdzie przesłuchiwali ją policjanci, w końcu olśniło ją. Ależ ona wolno myśli!

— To był jego głos — oświadczyła. — Powiedział do mojego synka: „Uważaj na siebie.” — Zamilkła. Wrócił ten moment, gdy w Edgware, zanim zdjęła z oczu opaskę, usłyszała ten głos: Uważaj na siebie.

Wczoraj na huśtawce powinna go była rozpoznać.

— Jestem głupia, nic nie podejrzewałam. Oni z pewnością coś knuli, on i ta kobieta. Eva. Nie wiem.

— Mogłabyś opisać nam jego wygląd?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na Tobiasa. Siedział w łóżeczku, ubrany do snu. Zlizywał czekoladę z pełnoziarnistego ciasteczka. Potrząsnęła głową. — Chyba nie.

— Przecież go widziałas!

Powędrowała spojrzeniem na drugą stronę pokoju, na leżące pod ścianą torby z Tesco — jedna pełna, druga prawie pusta. Tkwiące w nich banknoty zdawały się jej nielegalne; musiała sobie przypominać, że faktycznie należą do niej i jej rodziny. Jeszcze nawet nie powiedziała rodzicom — och, zobaczyć ich twarze! Ale przeliczyła pieniądze: sto dwadzieścia tysięcy funtów.

Reszta wędrowała przez świat. Ciekawa była, czy świat już się o tym dowiedział; wyobraziła sobie ten mały park rojący się od ludzi. W głęboką noc gorączkowo szukali pod krzakami; na brzuchach wślizgiwali się pod zaparkowane samochody. Oczyma wyobraźni widziała banknoty fruujące nad Londynem i niczym cudowna manna spadające na nieznane podwórka.

Próbowała powstrzymać się od uśmiechu; ci dwaj poważnie wyglądający młodzi ludzie — bardzo młodzi — mogliby nie zrozumieć. Przecież nie mieli najmniejszego pojęcia o istocie wydarzenia sprzed lat. Oni kierowali się prostą zasadą niewinności i winy, ona natomiast już dawno straciła rozeznanie, kto właściwie zyskał na tym, co się stało.

— To był całkiem przeciętny mężczyzna — powiedziała. — Nic specjalnego nie zauważyłam. — Zwróciła się do tego szczuplejszego: — Trochę przypominał pana. Ale nikt nie wie, jak on naprawdę wygląda, więc nikt nigdy go nie znajdzie.

I nikt nigdy nie znalazł.